

EUGENIUSZ PAUKSZTA,

Noc jak dzień,

1955

I

Przyszły przed kwadrans, gdy w budynku poznańskiego Liceum Pedagogicznego było jeszcze zupełnie cicho. Pomrukując, woźny wskazał kierunek. Długim korytarzem, a potem wygodnymi schodami dostały się na piętro. Dziewczęta mocno trzymały się ramienia czarno ubranej kobiety.

Królowna skierowała spojrzenie w stronę okien, potem spytała:

- Tu jest bardzo jasno, prawda?

- Tak, tak, dziecko...

Stanął we framudze okiennej, nie opodal gabinetu dyrektora szkoły. Starsza pani w staromodnych bucikach, nerwowym ruchem dłoni poprawiając niemodny kapelusz, rozglądała się po długim korytarzu.

Skończyła się niedawna cisza. Szkołę zapełnił gwar, zewsząd dobiegały rozmowy, śmiech odbijał się echem od ścian.

Dziewczęta ścisnęły się za ręce.

- Boję się... czy nie będziemy znowu czekały tyle godzin co wczoraj.

Towarzysząca im kobieta dostrzegła woźnego idącego dostojnym krokiem.

- Proszę pana, czy dyrektor już przyszedł?

- Jeszcze nie. Na swój czas przyjdzie - odpowiedział burkliwie.

Informacja ta nie uspokoiła starszej pani. Zagadnęła przebiegającą obok małą dziewczynkę:

- Panienska nie wie, czy pan dyrektor już przyszedł?

Dziewczynka zatrzymała się.

- Ja nie wiem, nie widziałam jeszcze pana dyrektora...

Dostrzegła dziewczęta pod oknem. Na twarzy jej odmalowało się zdumienie. Poszła wolno, wciąż oglądając się.

W hałaśliwy gwar wypełniający budynek wbił się dźwięk dzwonka. Starsza pani westchnęła. Z rezygnacją oparła się o parapet okienny.

- Ciociu, czy to już lekcje? Tak.

- A my? Znowu na korytarzu?

- Nic, nic, zaraz przyjdzie dyrektor. Zaprowadzi was do klasy.

- Wiesz, Janka, ja się boję. Ja chyba nie dam rady...

Przyjaciółka nie odpowiedziała. Uwagę jej zwróciły szybkie i ciężkie kroki zdołujące

w kierunku gabinetu dyrektorskiego. Ciotka oderwała się od okna, zabiegła drogę pulchnemu człowiekowi w nowych butach na grubej podeszwie.

- Jesteśmy, panie dyrektorze.

- Widzę, widzę... Proszę. - Wsuwał klucz w zamek, zatrzymał się jednak. - Przejdźmy lepiej do pokoju nauczycielskiego. Proszę. - Głos miał gruby, mówił głośno, dobitnie.

Ciotka wzięła dziewczęta pod ręce. Przytuliły się do niej, jakby szukać chciały opieki przed tym grubym, niechętnym głosem.

- Proszę siadać.

Zapadło milczenie. Przerywał je skrzyp posadzki pod mocnymi krokami dyrektora. Dziewczęta wodziły głowami za ich odgłosem. Dyrektor nagle zatrzymał się.

- Trwacie więc przy swoim zamiarze? Nie przekonały was moje wczorajsze słowa, że wśród widzących nie dacie sobie rady? Przecież to prosty nonsens! - Z niechęcią wzruszył ramionami.

Starsza pani poruszyła się nerwowo.

- Panie dyrektorze. Wielu z nich wspaniale sobie poradziło. Dlaczego one mają być gorsze?

- Możliwe... Ja nie rokuje jednak nadziei. Ministerstwo bodaj też tak uważa, przyjęcie traktuje jedynie warunkowo.

Ktoś wszedł do pokoju. Dziewczęta odruchowo zwróciły głowy w stronę drzwi. Znowu zabrzmiał gruby, krzykliwy głos dyrektora:

- Dzień dobry, kolego. Poproszę tutaj. To nasze nowe uczennice - niewidome. Mówiłem wczoraj kolegom o tym wypadku. Przyjmujemy je na okres próbny - położył na tym słowie specjalny nacisk. - Może pan kolega zechce zaopiekować się nimi i zaprowadzić je do klasy. Ja później też tam zajrzę, mam jeszcze parę telefonów do załatwienia. Hm, hm - chrząknął spoglądając na starszą kobietę. - Tak, a pani pozwoli ze mną.

Wyszli we dwójkę.

- Dzień dobry paniom - odezwał się profesor.

- Dzień dobry - odpowiedziały cicho.

Niepewnie podniosły się z krzeseł. Trzymały się za ręce. Kralówna, mająca lepszą orientację, skierowała się w stronę jego głosu.

- Proszę - usłyszała tuż obok siebie.

„Musi być młody - pomyślała - ale jak on chce, abyśmy poszły? Same?”

Kilka chwil stali tak nie opodal siebie. Profesor czuł się nieswojo, nie wiedział, co powinien uczynić. Kralówna zdecydowała się pierwsza. Wyciągniętą dłonią dotknęła

profesora. Chwyliła go mocno za ramię. Drugą ręką przygarnęła do siebie towarzyszkę, czuła, że Bronowska drży.

Profesor szedł przez korytarz szybkim, nierównym krokiem. Zatrzymali się, nacisnął klamkę, zawahał się. Jakże ma wchodzić z uczennicą przytuloną do jego ramienia?

Krótki rumor przy wstawaniu z ławek zamienił się w nagłą, zdumioną ciszę, przebiegły ledwo słyszalne szepty:

- Niewidome, niewidome...

- Panie kolego, przyprowadziłem nowe uczennice. - Speszony, zaczerwieniony historyk rad był pozbyć się już swoich towarzyszek.

Przyrodnik przypatrywał się na przemian to koledze, to dziewczętom. Wreszcie wykrztusił:

- Więc to jednak naprawdę? - Opanował się zaraz. - No tak, dziękuję panu koledze.

Proszę, siadajcie.

Stały na tym samym miejscu.

- Tam, tam jest wolna ławka - dodał przyrodnik; w tej samej chwili pojął, że palnął głupstwo i z zażenowaniem opuścił dłoń.

Ale już koleżanki chwyciły niewidome, prowadziły je do ostatniej ławki, nieumiejętnie pomagały przy siadaniu.

Nie od razu rozpoczął się przerwany wykład. Uwaga klasy była rozproszona. Dziewczęta oglądały się na nowe towarzyszki. Ciche szepty nie ustawały. Wciąż te same słowa dobiegały do uszu dziewcząt:

- Niewidome, niewidome...

W mocnym uścisku trzymała Bronowska pod ławką rękę przyjaciółki. Obu im potrzebna była świadomość wzajemnej obecności. Czuła, że palce Kralówny są suche i zimne jak lód. Jej dłoń mokra była od potu i rozgrzana.

Przeciągnęła ręką po włosach. Pamiętała jeszcze z dzieciństwa ich ciemny brąz. Lekki uśmiech przewinał się w tej samej chwili po wąskich jej wargach, usłyszała bowiem szept płynący gdzieś z bliska:

- Piękne warkocze. Czy ona sama je splata? Chyba nie... Starła się skupić uwagę na słowach nauczyciela. W ogólnym zarysie zaznajamiał z tegorocznym programem swojego przedmiotu. Zupełnie nie mogła uważać na te słowa wypowiedane jednostajnym, matowym głosem. Marszczyła czoło, zaciskała prawą dłoń na brzegu ławki. Nie pomagało. Płynący zza otwartych okien szum drzew przywiódł jej na pamięć stare kasztany w Owińskach. Spędziła tam blisko pięć lat, głęboko przywiązała się do starych murów poklasztornych. Tam czuła się

pewna, nie trwożyli jej nauczyciele, przeważnie zresztą też niewidomi, zżyta była ze środowiskiem. Tutaj wszystko zdawało się jakieś obce. Przerazała ją myśl o dyrektorze w skrzypiących butach i z grubym głosem. Nie ustępował, upierał się, że niewidome nie poradzą sobie z nauką.

Tak bardzo chciała się uczyć. W Owińskach uważano ją za jedną z najzdolniejszych. Poparto zamiar dalszych studiów. Nie była to łatwa sprawa. Dyrekcja liceum stanowczo się sprzeciwiła. Nie pomogła interwencja Polskiego Związku Niewidomych ani Wydziału Oświaty. Trzeba było długich starań Zarządu Głównego w Ministerstwie; wreszcie po spędzonych w niepewności wakacjach nadeszło zezwolenie... Przyjęte zostały warunkowo.

Przestraszyła się nagle brzemienia odpowiedzialności. To będzie próba nie tylko jej i Kralówny. One dwie reprezentują szerszą sprawę. Jeżeli im się nie powiedzie, utrudnią drogę innym niewidomym pragnącym dalej się uczyć.

Profesor zakończył monotonne informacje. Przechadzał się teraz między rzędami ławek, dowiadywał o nazwiska uczennic, czasem niespodzianie rzucał jakieś pytanie z dziedziny przyrody. Słuchając odpowiedzi uśmiechał się albo niezadowolony mruczał pod nosem.

Obie Janki czuły wyraźnie, że z daleka omija ławkę, w której siedziały. Jakby obawiał się niewidomych dziewcząt.

Kralówna westchnęła głęboko.

„Biedna Misia” - pomyślała Bronowska o przyjaciółce, nazywanej tak w Owińskach, ponieważ w figurze, w ruchach i w ogóle w sposobie bycia miała wiele z wdzięcznego niedźwiadka.

Wysunąwszy dłoń wyczuła pod pulpitem swą teczkę. Wyjęła z niej tabliczkę brajlowską i kilkanaście arkuszy papieru. Rylec do pisania miała w kieszonce. Chciała notować, zająć się pracą, może to pomogłoby jej lepiej skupić uwagę. Ale widocznie na tej lekcji nie będzie żadnego wykładu. Z westchnieniem ulgi powitała dzwonek. Profesor ulotnił się szybko.

Wszczął się rumor, dziewczęta biegały po klasie, zapoznawały się wzajemnie, oglądały salę, w której spędzić miały cały rok. Tylko koło ławki, na której siedziały obie Janki, nie było nikogo. A przecież czuły wiele par oczu wpatrujących się w nie z uporem.

- Misia, wyjdziemy?

- Nie wiem, czy trafię do drzwi... Może lepiej przesiedźmy przerwę w klasie?

Misia musiała być bardzo zdenerwowana, jeżeli odrzuciła ten projekt. Bronowska wiedziała, jak doskonałą orientację w terenie ma przyjaciółka. Na pewno i tutaj poradziłyby

sobie.

- Wyjdźmy, tam może jest ciotka...

- To przyjdzie po nas - powtórzyła z uporem Kralówna.

- Jak się nazywacie? Bo ja jestem Hania Owczarzakówna - zabrzmiał nagle koło nich cienki, dziecinny głosik. - Ja już was dzisiaj widziałam. Stałyście w korytarzu przy oknie razem ze starszą panią.

Przedstawiły się. Kralówna szukała przed sobą dłoni nowej koleżanki, chcąc ją uścisnąć. Tamta pojęła to dopiero po chwili, podsunęła bliżej drobną, malutką rączkę. Sama już wzięła rękę Bronowskiej.

- Czy wy naprawdę nic a nic nie widzicie? To musi być straszne.

- Janka, to znaczy Bronowska, nie widzi zupełnie, ja mam poczucie światła. Wiem sama, że teraz jest dzień. Ale to wszystko. A takie straszne znów nie jest,

Z tupotem podbiegła ku nim inna dziewczynka.

- Słuchajcie, jakaś pani czeka na was i jeden pan z białą laską. On też nie widzi. Czy to wasz ojciec? Chodźcie, chodźcie - pociągnęła Bronowską za rękę.

Janka kurczowo jej się uczepliła. Dziewczynka nie od razu zrozumiała, czemu niewidoma koleżanka chwyta ją tak mocno pod ramię. Prowadziła nieumiejętnie, Bronowską parę razy uderzyła się boleśnie o kanty ławek. Z tyłu szła Misia kierowana przez Owczarzakównę.

Zastanawiały się, kim może być niewidomy mężczyzna. Nie spodziewały się nikogo...

- Są nasze dziewczynki, panie Maleszka - zabrzmiał tuż obok głos ciotki.

- Prezes - odsapnęła z ulgą Misia, serdecznie ściskając grube palce niewidomego mężczyzny.

- Przyszedłem was odwiedzić. Jakże tam poszło pierwszego dnia? Co? - dopytywał się, szeleścił papierem. - Przyniosłem wam w prezencie od Związku po trzy kilo brajlowskiego papieru. Postaramy się, aby go nie zabrakło i nadal. Tylko uczcie się dobrze, dziewczuchy, wstydu nam nie przynieście. Przecie nie na próżno użeraliśmy się o was z tymi urwipółciami, co jeszcze nie rozumieją, że niewidomy to także człowiek i ma prawo do nauki... - Wyciągnął rękę, z szorstką serdecznością gładził po głowie jedną z dziewczynek.

- Nic jeszcze nie wiemy. Była tylko jedna lekcja - szepnęła Bronowską.

- Ten pan dyrektor znowu się gniewał...

- Nic, Misia, nie bój się dyrektora. Abyś się dobrze uczyła, to i dziesięciu takich nic wam nie zrobi. Tylko się nie dać, dziewczuchy, tylko się nie dać, pieska niebieska. Nie dyrektor, ale nasze państwo was uczy, pamiętajcie.

Głos jego brzmiał stanowczo. Nabraly otuchy. Maleszka ma rację, mądry człowiek... Nie, nie dadzą się, przyłożą się do nauki, aby nie zawstydzić swych opiekunów.

- Gdzie siedzicie? Ławki wygodne? - Był bardzo przejęty, chciał wiedzieć o każdym drobiazgu. - Za jakiś czas poproszę o pozwolenie, przyjdę na lekcję posłuchać, jak wam idzie. Tylko głowa do góry, dziewczuchy, głowa do góry. - Zastanowił się. - A w ostatniej ławce dla was nie miejsce. Tam możecie źle słyszeć... Tak, tak...

Przenikliwy terkot dzwonka.

- No, to bywajcie, dziewczuchy, bywajcie! - poklepał jedną i drugą po ramieniu. - Tylko się nie dać! Głowa do góry! - mówił to serdecznie i z troską. Wiedział najlepiej, ile starań kosztowało przyjęcie ich do liceum.

Ciotka odprowadziła je do drzwi klasy. Tam niewidomymi zaopiekowały się koleżanki, niezmiernie ciekawe, jak „te ślepe” będą się razem z nimi uczyły.

Wszedł nauczyciel. W klasie ucichło. W chwilę potem drzwi znów się otwały, wśród dziewcząt przeleciał cichy szept:

- Dyrektor.

Janki poznały go od razu po ciężkim kroku i skrzypieniu butów. A gruby głos zapamiętały na zawsze. Zwracał się właśnie do klasy, mówiąc z wyraźnym rozdrażnieniem.

- Razem z wami, dziewczynki, rozpoczynają naukę Bronowska i Kralówna, niewidome. Pamiętajcie, żebyście odnosiły się do nich właściwie - urwał. - Kralówna, Bronowska, wstańcie! - zawołał podnosząc głos.

Wstały posłusznie ze swoich miejsc.

- Chodźcie tutaj, będziecie siedziały w pierwszej ławce... Niepewne, wysunęły się do przejścia między ławkami. Potknęły się, przelekle, drżące, nie potrafiły wyczuć kierunku.

- Zawsze tak będzie... - sarknął głośno dyrektor.

Historyk, który prowadził kolejną lekcję, podbiegł do dziewczynek z pomocą. Ostrożnie przeprowadził je do pierwszej ławki, pomógł usiąść, z odrobiną urazy spojrzął na zwierchnika.

Dyrektor postać jeszcze chwilę, skrzypiąc butami przeszedł ciężko wzdłuż katedry, wreszcie burknawszy „do widzenia”, opuścił klasę. Nastrój natychmiast zelżał. Niewidome poczuły zwrócone na siebie dziesiątki par oczu. Któraś z uczennic chlipnęła cicho. Bronowska drżała. Misia łagodnie gładziła ją po spoconej dłoni.

Młody historyk rozpoczął pierwsze zdania wykładu. Po chwili przerwał, coś sobie przypominając:

- Umówimy się, że będziemy robić z każdej lekcji dokładne notatki.

Zaszeleściły wyjmowane i rozkładane zeszyty. Janki również sięgnęły do swych teczek, wydobyły brajlowskie tabliczki, włożyły w nie arkusze sztywnego papieru. Rylce cichutko zadzwoniły o metal. Z jakimś szczególnym wzruszeniem wpisały datę u góry arkusza: 2 września 1951 roku. Dzień ten miał zadecydować o ich przyszłych losach. Notowały opanowanym jeszcze w Owińskach skrótowym systemem znakowań brajlem. Ocierające się o metal tabliczek rylce pukały głośno przy wyciskaniu każdego punktu.

Janka Bronowska swoim zwyczajem wysunęła koniuszek języka, starała się nie uronić ani słowa z tego, co najważniejsze. Początkowo wydało jej się, że profesor mówi za szybko. Serce zatrzępotało lękiem, że nie nadąży notować. Po paru minutach spostrzegła z ulgą, że radzi sobie dobrze, nie zostaje w tyle za tokiem wykładu. Obok siebie słyszała pukanie rylca Misi.

„A inne? - Zdumiała się, że nie słyszy, aby pozostałe koleżanki także notowały. - Dlaczego nie piszą?” Zamarła w osłupieniu, nachyliła się do Misi pragnąc zapytać ją o przyczynę, gdy nagle uświadomiła sobie, że przecież tamtym nie potrzeba brajla, że zwyczajnie, jak wszyscy widzący, zapisują swoje uwagi ołówkiem. Z politowaniem nad samą sobą potrząsnęła głową, wróciła do przerwanej pracy.

Z każdą minutą czuła się pewniej. Daje sobie radę. Z pierwszej próby wychodzi zwycięsko. Tak samo musi pójść dalej. Nie ugnie się, nie cofnie.

Z ostrym pukaniem przesuwają się rylce przez klatki tabliczki.

Pracowniczkę biura oddziału Polskiego Związku Niewidomych w najlepsze zabawiały się rozmową, gdy skrzypnęły drzwi wejściowe z ulicy, a potem w przyległej sali rozległy się kroki i charakterystyczne szuranie.

- Prezes idzie - szepnęła jedna z urzędniczek. - Poznaje go zawsze, bo posuwa się nie powoli jak inni, ale idzie prosto, ciągnąc laskę.

Zaterkotała maszyna, zaszeleściły przekładane akta. Maleszka zatrzymał się w progu. Zerknął na niego. Nasłuchiwał przez chwilę, potem pewnie podszedł do biurka sekretarki.

- Było coś nowego?

- Nie, panie prezesie. Tylko telefon ze szczotkami, że znów mają kłopot z surowcem. Grozi im przestój. Prosi o interwencję.

- Zawsze to samo. Pieska niebieska! Że też Jaglarz sam nie może się o to postarać. Poczciwy chłop, ale fujara... - Wymacał krzesło, usiadł. - Inna sprawa, że zaopatrzenie spółdzielczości w ogóle szwankuje. I jak tu wykonywać normy? - Zatraskany, podparł czoło rękami.

- Aha, jeszcze nadeszły z Warszawy nowe książki brajlowskie. Trzy paczki.

- To dobrze. To dobrze - ucieszył się. - Ciekawe?

- Nie wiem, panie prezesie. Nie rozpakowałyśmy jeszcze. Telefonowałam do pana Kupczyka, ma przyjść wieczorem... Zapomniałabym zupełnie, pan Malinowski czeka w świetlicy.

- Proszę go poprosić do mego pokoju. - Podniósł się, zmarszczył czoło, coś sobie przypomniał: - Trzeba kupić nowe słomianki. Tamte już do niczego.

- Dwa tygodnie dopiero, jak je kupiłam. Słabe są, rozsypują się w strzępy.

- Tak. Zdaje się, że będę musiał sam zrobić kilka sztuk. Żyłem z tego w czasie okupacji... Czy sprawozdanie już pani przepisała? - zwrócił się niespodziewanie do maszynistki.

- Nie jeszcze, ale zaraz skończę, panie prezesie.

- Niech się pani pośpieszy. Co pani robiła przez ten czas, gdy mnie nie było? Ja nie widzę, ale potrafię się zorientować, kiedy ktoś zaniedbuje pracę.

Poszedł do swojego pokoju. Maszynistka pokazała mu język. Przecież nie widzi...

Maleszka usadowił się za stołem w małym pokoiku, z napisem na drzwiach: „Prezes”. Przeciągnął ręką po stole, potarł o siebie palce.

- Znowu kurz. Bałagan w naszym biurze. Już ja to bractwo nauczę pracować - zamruczał gniewnie. - Proszę! - krzyknął słysząc pukanie. - Kto tam?

- Czy można? My tu z Kowalczykiem razem... - odezwał się ostry, niemiły dyszkant kobiecy.

- Kowalczyk? To dobrze, dobrze, mam z wami, moi drodzy, do pogadania. - Uścisnął szukającą go miękką dłoń. - Ej, bracie, pieska niebieska, nie możesz się nawet nauczyć podawania ręki po ludzku? No, o co chodzi?

- Ja tego, ech, bo żyć ciężko, tego... - bąkał niestary jeszcze mężczyzna, skulony, jakby w nieustannej bojaźni. Dłonią pocierał rękaw, który w tym miejscu nabrał już tłustego połysku. Urwał, zająknął się kilka razy, na wychudzonej twarzy pojawił się - wyraz cierpienia.

- No, śmiało, chłopie, przecież cię nie zjem. Życie ciężko? Czeka, może znajdziemy radę.

- Może ja powiem, panie prezesie. Taka sprawa, że u nas bieda. Ubranie Kazkowi się rozsypało, o, niech pan prezes zobaczy, jakie to szmaty - chwyciła dłoń Maleszki, chudymi palcami powiodła nią po obszarpanych rękawach.

- Bo ja tego, ech, tego, chciałem o zasilek prosić - z nagłym przyływem odwagi

wybąkał Kowalczyk. - Z renty przecież nie idzie wyżyć, a na przyodziewek to już żadną miarą nie starczy. Tego, ech... - znów się zająknął.

- Tak, zasiłku jakiego chcemy się dopraszać dla niego, sieroty - podtrzymała niewidomego kobieta.

Maleszka czuł, jak mu krew uderza do głowy. Zaciśnął dłonie na stole, wycodził przez zęby:

- Wiecie co, Kowalczyk? Ja bym chętnie z wami dłużej pogadał i o tej zapomodze, i o innych sprawach. Chcę wam pomóc, pieska niebieska - zakończył mocniej, czując w ruchach tamtego jakieś wahanie i niepokój.

- Ja tego, ech, zawsze.

- Ale tak w cztery oczy! - powiedział z naciskiem.

- A czemu to, panie prezesie? Może przeciw nam zechce pan Kazka buntować? Znamy już, jak to jest w waszym Związku, znamy... Chodź, Kazek, pójdziemy lepiej, nie nam tu co szukać...

- Ech, tego, ja...

- Zostańcie, Kowalczyk, dobrze radzę!

- Wyjdź, Truda, wyjdź, może tego, ech, co dobrego...

Nie powiedziała nic, ze złością wyszła z pokoju.

Maleszka nasłuchiwał przez chwilę. Wyczuł wyraźnie obecność kobiety pod drzwiami. Podniósł się nagle, szybko zrobił kilka cichych kroków, szarpnął ostro klamkę.

Stuknęło głucho, kobieta z piskiem odskoczyła na bok.

- Mógłbyś pan uważać, jak ślipiów nie masz, a nie głowy ludziom rozbijać!

Roześmiał się głośno. Pewien był, że więcej już nie będzie podsłuchiwać. Stanął teraz przy Kowalczyku, serdecznie ujął go aa ramię.

- Chłopie, żal mi ciebie. O zapomogę przychodzisz, bezzwrotną?

- Tego, hm, tak, bezzwrotną...

- Widzisz, a ja ci powiem, że ty pewnie prędko w ogóle nie będziesz miał po co przychodzić do Związku. - Głos Maleszki stał się ostry. - Widziano cię, jakeś zebrał ubiegłej niedzieli. A wiesz, jak ostro walczymy z żebractwem? Nie po to państwo daje nam możliwości pracy, byśmy szargali dobre imię niewidomych obywateli. Zebrałeś przy kościele Dominikanów, prawda?

Maleszce wydało się, że usłyszał coś jakby chlipnięcie. Wreszcie Kowalczyk wyjąkał:

- Życ przeciw muszę. Kobieta gwałtuje o pieniądze...

- Co ja o tej kobiecie myślę, to inna sprawa. Do żebractwa cię zmusza, żyje z tobą na

wiarę, na dodatek ma jeszcze gacha. Ale to już twoja rzecz. Nam zależy na tym, żebyś nie żebrał, chłopie. Chcemy ci pomóc, żebyś mógł pracować jak każdy człowiek. Tyle już razy mówiłem: idź na szkolenie przywarsztatowe. Ale żebrać ci nie damy. Jeżeli jeszcze raz cię złapiemy, zawiadomię milicję. Rozumiecie?

- Ja tego, ech, nie potrafię pracować... Gdzieby...

- Macie tyle lat, co ja, mało nad czterdziestkę. Żyliście przed wojną z żebractwa, piliście, sami nie potraficie zrobić jednego kroku. Co z was za człowiek? I dzisiaj chcecie znowu tego samego? Patrzcie, niewidomi pracują, coraz więcej jest roboty. Zakładamy nowe spółdzielnie, możemy pracować w przemyśle, wybór jest, tylko chcieć, pieska niebieska!

- Tego, ech, bo ja...

- Zaraz. Kowalczyk! Przedtem sobie pomyślcie. Ja się wystaram dla was o miejsce w spółdzielni. Szczotki potraficie robić na pewno. Mało, wynajdzie się miejsce w internacie, będziecie mieli spokój. Przemyślcie to sobie, a potem przyjdziecie do nas

- Poklepał po ramieniu skulonego na krześle człowieka. - A z żebranią skończcie, przestrzegam ostatni raz.

Podniósł się z krzesła.

- Szkoda mi was, naprawdę szkoda - westchnął. Kowalczyk też powstał.

- A tego, hm, zapomoga?

- Zapomóg nie dajemy! Dajemy możliwość uczciwej pracy!

Skierował go we właściwym kierunku, otworzył drzwi. Stojąca na korytarzu kobieta podskoczyła ku nim, gwałtownym ruchem ujęła Kowalczyka pod ramię, gorączkowo pytała:

- Dostałeś? Dostałeś?

- Nie... - szepnął cichutko, jakby ze wstydem.

- Et, z waszym Związkiem! Gówno nas tu już oni zobaczą. Idziemy, Kazek, bo cholera trzęsie człowieka ze złości. Jaśnie hrabiowie, żebractwa zabraniają, taka wasza i mać!
- zaklęła ordynarnie, szybko pociągnęła ślepcę za sobą.

Maleszka stał, słuchał, ze smutkiem kiwał głową. Gdy ucichły już kroki Kowalczyka, poczłapał do świetlicy, szukać Malinowskiego, przewodniczącego rady zakładowej przy spółdzielni dziwiarskiej. Ale Malinowskiego nie było w świetlicy, rozmawiał przez telefon z Kupczykiem.

Ten najlepszy brajlista w oddziale od kilku dni niecierpliwie dowiadywał się o nadejście przesyłki z nowymi książkami. Uradowany pomyslną wiadomością, dzwonił z pytaniami o szczegóły już trzeci raz, zapowiadał przybycie zaraz po pracy. Paliła go ciekawość, co zawiera przesyłka.

Malinowski opowiadał o tym prezesowi z dużym podziwem. Sam lubił czytać, co dnia znajdował przynajmniej godzinę na lekturę. Ale na taki zapał jak Kupczyk nikt nie potrafił się zdobyć.

- Tu Kupczyk, a tam Kowalczyk. Dwa światy, pieska niebieska - mruknął Maleszka.

- Jaki Kowalczyk? - zastanowił się Malinowski.

- No, ten żebrak przedwojenny. Znów go przyłapano w niedzielę. A dzisiaj przyszedł po zapomogę razem z tą swoją przekłętą babą!

- To spekulantka. Wykorzystuje ślepotą Kowalczyka kupując towary bez stania w ogonku. Zna ją całe miasto...

- Szkoda chłopca. Chciałbym mu jakoś dopomóc. No, ale przejdziemy do mnie...

- Dobrze. Mam parę spraw do obgadania. Udało mi się wykołatać pokój dla tej piątki z Wrocławia. Nad dziewiarnią była salka zajęta na magazyny. Jakaś wybrakowana przędza leżała tam stosami, czort wie po co i na co. Trudno było, ale wywalczyłem. Łóżka także są...

- To dobrze, bo już przyjeżdżają... Głupia sprawa. Organizować nowy kurs produktywizacji, a nie zapewnić pracy i mieszkań. Dopiero do Warszawy trzeba było delegację wysłać.

- Grunt, że jednakże jakoś idzie. Rozkręcamy robotę - uśmiechnął się Malinowski, niski, zażywny, zawsze pogodny mężczyzna.

- Wiem. Ale jak człowiek widzi możliwości, jakie dziś daje opieka państwa, to by chciał, żeby od razu było na medal... A przecież proste, że ustawa i zarządzenie to jeszcze nie wszystko. Trzeba bić się o swoje sprawy...

- Kiedy my właśnie tego nie umiemy. Było dziś u mnie dwóch z ZISPO, chcą tam porzucić pracę i przejść do dziewiarstwa. Mówią, że w spółdzielni więcej zarobią. Tłumaczę, wspominam o zmianie norm, a oni nic, tylko swoje i swoje.

- Czy ci ludzie nic nie rozumieją, pieska niebieska? Tyle starań, tyle zachodu, aby ich umieścić w przemyśle, a potem oni zaczynają przebierać... Którzy to? Muszą z nimi pogadać.

- Pajczak i Wiliński.

- Wieczni rozrabiacze! Tych niczym nie zaspokoisz. Zawsze im mało...

Maleszka zdenerwował się. Ręce mu szybko biegały po stole wystukując jakiś gwałtowny takt. Mruczał pod nosem. Były murarz, warszawski robociarz, całym sercem oddany sprawie, nie mógł często pojąć postępowania niektórych niewidomych. Stawał się wtedy bezradny, jak i w tej chwili. Malinowski chciał go rozchmurzyć, skierował rozmowę na inny temat.

- Damy sobie radę, nie bierzże tak wszystkiego do serca. A jak te dziewczęta z

Owińsk? Uczą się już?

Na twarz prezesa powrócił uśmiech.

- Już. Byłem u nich. Dziewczęta lękają się, czy sobie poradzą. Tego się nie obawiam, byle ten gruby dyrektor, pieska jego niebieska, nie stawiał przeszkód. Zły jestem na niego. Dzisiaj wydziwiał od nowa. Narzekał też, że opóźnione są wiekiem.

- Ile lat mają?

- Obie z trzydziestego drugiego rocznika. Po siedemnaście skończyły... Wtedy, wiesz, nie strzymałem. Jak mu wygarnę, że ślepotą nie pyta o wiek, tak samo jak wojna, która przerwała czy uniemożliwiła im naukę w zakładach... Rypnąłem mu prosto w oczy, że dziwię się jego postawie. Państwo popiera sprawę niewidomych, w Bydgoszczy, Krakowie czy Wrocławiu nie ma takich przeszkód przy umieszczaniu naszej młodzieży w liceach dla widzących, a tylko on wynajduje trudności, jakby celowo chciał szkodzić...

- No i co? I co?

- Nic, jęczał, że to rozbija tok normalnych zajęć, że przez nasze dziewczęta może się obniżyć ogólny poziom klasy, i różne takie duperele. Machnąłem w końcu ręką, powiedziałem „do widzenia”, i tyle...

- Pewnie. Ważne to, że już się uczą.

- Tak. I dobrze im pójdzie. Pewien tego jestem, pieska niebieska - zaśmiał się, przeciągnął ramiona, aż zatrzeszczały w stawach. - Wiesz, radość ogarnia, jak się coś dobrze załatwi...

Dzień wielkich wrażeń nie minął dla Misi wraz z dzwonkiem oznajmającym koniec lekcji. Po Bronowską przyszła ciotka, Janka bowiem miała już zostać u niej na stałe.

Rodzice Kralówny mieszkali na wsi, nie opodal Chodzieży. Oddział Związku wystarał się dla niej o miejsce w internacie przy liceum. Tam już dyrektor bezpośrednio nie decydował, a kierownictwo internatu okazało więcej zrozumienia, obiecało dopomóc dziewczynie w pierwszym, najtrudniejszym okresie. „Gdzież, takie niebożątko...” - roztkliwiano się nad nią z dobrego serca

Wychowawczynie przyszła po nią zaraz po zakończeniu lekcji i nieustannie litując się nad „kalectwem biedaczki” zaprowadziła do jadalni na obiad.

Misia nie znosiła litości. Upokarzało ją to, podkreślało jej niższość w stosunku do wszystkich innych, nad którymi nie było potrzeby roztkliwiania się. Na słowa wychowawczynie zacisnęła szerokie, pełne wargi, zwarła dłonie tak silnie, że paznokcie wpijały się w ciało. Już otwierała usta, aby poprosić swą przewodniczkę o zaprzestanie

ckliwych wydziwiań, wstrzymała się jednak. Nie chciała na samym początku zostać źle zrozumianą.

Wychowawczynie wyznaczyła jej miejsce przy jednym ze stołów. Dziewczęta siedzące obok poprosiła o opiekę nad koleżanką. Umilkł rozgwar, jaki tam panował przed chwilą. Uczennice jadły w zupełnej ciszy. Misia wyczuwała, że obserwują ją bacznie, ze zdziwieniem i jakby nawet cieniem niechęci. Jest dla nich obca, daleka, inna... Gdy w dzieciństwie bawiła się razem z dziećmi widzącymi, te często odtrącały ją od siebie... Znowu powtarzało się to samo.

Widelec z brzękiem wypadł jej z rąk. Spłonęła mocnym rumieńcem, gorączkowo macała po stole. Dopiero po chwili czyjaś dłoń podsunęła jej nieszczęsny widelec. Podziękowała głosem niepewnym i zduszonym.

- Proszę bardzo...

Przy końcu obiadu znowu pojawiła się wychowawczynie.

- Słuchaj, Kralówna, moje biedactwo, przyprowadzałam ci twoje trzy towarzyszki. Będziecie mieszkaly we czwórce, zapoznajcie się. Pokój wasz ma numer ósmy. Zaopiekujcie się, dziewczynki, Kralówną. Zajrzę potem do was...

Podaly sobie ręce, bąknęły nazwiska. Sama musiała wziąć pod ramię jedną z koleżanek. W progu sypialni znowu ją opuściły, rozbiegły się po pokoju, z ożywieniem wybierając łóżka. Nikt nie spytał Misi o zdanie. Uśmiechnęła się smutnie, poprosiła, by wskazały jej miejsce.

- Wolne jest pod ścianą, z brzegu. Pokażę ci...

Usiadła, powoli rozpakowywała swój skromny dobytek, musiała upomnieć się o pokazanie szafy. Dziewczęta obserwowały ją uważnie, szeptały coś z cicha. Dobiegały do niej pojedyncze słowa. Kryło się w nich zażenowanie, dziecięca ciekawość, trochę niezadowolenia, że im właśnie przypadło w udziale towarzystwo niewidomej.

- ...Będziemy musiały za nią sprzątać i pilnować porządku...

Uśmiechnęła się, powiedziała półgłosem:

- Ja też potrafię sprzątać, tylko przedtem muszę się dobrze zorientować w pokoju.

Umilkły speszone. Nie przypuszczały, że ma tak wyostrzony słuch.

Powiesiła jedną z sukienek. Wróciła do łóżka, wygładziła zmiętą spódniczkę, znowu skierowała się do szafy. Szła już dosyć pewnie, pamiętała kierunek. Niespodziewanie potknęła się na nowej przeszkodzie, której tu przed chwilą nie było, omal nie upadła. W tej samej chwili usłyszała cichy chichot. Schyliła się, podniosła leżącą na drodze szczotkę do zamiatania. Nie powiedziała ani słowa, tylko serce ścisnęło się jej boleśnie.

Leżąc już w łóżku, długo w noc myślała Misia o nowym życiu. W pewnej chwili posłyszała cichy szmer, potem stąpanie bosych nóg. Pstryknął wyłącznik, przez półprzymknięte powieki zauważyła, że pojaśniało w pokoju. Udała, że śpi.

Stąpanie zbliżyło się do jej łóżka. Wyczuła czyjeś uważne spojrzenie. Potem zatrzeszczały sprężyny innego łóżka, jakby się ktoś na nim unosił. Cichy szept dotarł do uszu niewidomej:

- Wiesz, Kazia, ona jest ładna... Patrz, uśmiecha się, a te jasne włosy rozsypały się po całej poduszce.

Z drugiego łóżka dobiegło pytanie:

- Czy ona naprawdę nic a nic nie widzi? To musi być strasznie ciężko, prawda?

- Ja też tak myślę...

II

Pogwizdując lekko wszedł do pokoju. Uderzył go mdły, duszący zapach niewietrzonego pomieszczenia, dymu tytoniowego i wilgotnej odzieży. Stał w progu. Z prawa dobiegało ciężkie, udęczone chrapanie. Słychać było jeszcze inny, mocny oddech.

- Kto tam?

- Ja, Marcińczyk.

- No i co, łysa pało?

- Nie czepiaj się, Ziuk. Leżycie jak cepy w tych smrodach, nie troszcząc się o nic. - Położył na stole dwa duże bochenki chleba. Dłonią odszukał jedyne krzesło w ich pokoju, zrzucił na nie płaszcz.

- O co się mam troszczyć? Żebym miał za co, to bym się uchlał, zapomniał przynajmniej o pieskim życiu. A tak leżę i staram się nie myśleć o pustym brzuchu. Trzeci dzień bez obiadu to nie mucha.

Mężczyzna na łóżku przy ścianie chrapnąwszy silniej, zbudził się, nasłuchiwał.

Warpechowski znowu się odezwał:

- Już mi dosyć Dzitko nagadał. Zapytaj się, to ci powie, jak go namawiałem, żeby sprowadził tu sobie jakąś dziewczuchę, miałby uciechę.

Potężny, niezgrabny mężczyzna odgarnął z siebie płaszcz, którym się przykrywał, spuścił na ziemię nogi okutane przepoconymi onucami. Marcińczyk z odrazą poruszył nozdrzami - od onuc rozszedł się po całym pokoju nieznośny odór. Nie powiedział jednak ani słowa.

Dzitko stanął, wielki, kanciasty, z zarostem nie golonym od dobrego tygodnia.

- Ty, Warpechowski, lepiej nie gadaj po próżnicy. Zasnąć by tobie lepiej było, łatwiej te trzy dni przeczekaasz, co do wypłaty ostały... Ja bez dziewczki trzydzieści lat żyję, to i dalej też żyć potrafię, ot co - odsapnął.

- A gdzie tamci? - zapytał Marcińczyk.

- Do Związku poszli, na wieczór świetlicowy. Czerpak pewnie znowu się dorwał do swoich szachów. Też przyjemność! - Ziuk przeciągnął się. - Psu na budę zdatny cały ten Związek. Ja sam nie chodzę, bo i po co? Bez Związku tak samo świecę gołym tyłkiem, jeśli ochota komu popatrzeć...

- Przyniosłem chleb i kiełbasę. Starczy na dziś i jutro. Stróżka zagotuje gorącej wody. Pójdiesz, Ziuk, i przyniesiesz.

- Ta poleska pierdoła niech idzie. - Warpechowski cicho podszedł do Dzitki, otwartą dłonią trzasnął go w plecy.

- Ty, szczenok, miej w pamięci, żeby ja z nerw nie wyszedł - flegmatycznie przestrzegł olbrzym.

- Ziuk, zostawisz go raz w spokoju? - Marcińczyk nadał słowom ton bardzo stanowczy. - Masz żarcie, to ciesz się, a Dzitki nie zaczepiaj. Mało dziś oberwałeś za to świństwo w dziewiarni?

- Jakie świństwo? Jest o czym gadać.

- A jest. Bo skoro zaczniesz kraść, wszystkim nam wyrobisz paskudną opinię. Dostałeś po uszach, mało cię nie wyleli z roboty, teraz znowu zaczniesz?

- Gdzieś mam to wszystko, razem z tobą i twoim kazaniem. Zaplątał mi się pod maszynę kawałek od tego Jakóbca i tyle. Zaraz zrobili z tego historię złodziejską. Jak komu bieda, to już wszystkie wszy leżą na niego...

- Praktykę z takimi „przypadkami” masz przecież dobrą, sam opowiadałeś.

Zgrabny, nieduży chłopaczek zrezygnował z dalszej rozmowy. Z kpiącym grymasem na twarzy stał jeszcze, jakby wahając się: iść na dół po gorącą wodę czy postawić się butnie i odmówić żądaniu Marcińczyka. Głód przeważył. Bez słowa nacisnął klamkę. Słysząc było na korytarzu jego szybkie i pewne kroki.

- To znaczy, będzie można podjąć? Pachnie ten chleb, pachnie, aż w gębie ciepło się robi. A skąd taka kulacja?

- Malinowski znowu pożyczył mi parę złotych. To porządny człowiek. Przecież i o węgiel dla nas wystarał się, można było parę razy napalić. Ludzki człowiek.

- Aha, taki on jest. - W głosie Dzitki brzmiało niewzruszone przekonanie o zacności przewodniczącego rady zakładowej.

Marcińczyk podparł czoło rękami, zamyślił się. Za trzy dni pierwsza wypłata. Dotąd borykali się ze straszliwą nędzą. Po egzaminach na kursie produktywizacji we Wrocławiu wszystkie ich fundusze pochłonęły koszty podróży do Warszawy. Nie pomyślano bowiem z góry o robocie dla kursantów i okazało się po rozdaniu świadectw, że z pracą jest trudno, a problemem prawie nie do rozwiązania staje się kwestia mieszkań. Wtedy kursanci dwukrotnie wysłali delegację do Ministerstwa i do władz związkowych. Na pokrycie kosztów złożono resztkę pieniędzy. Dobrze przynajmniej, że interwencja się udała.

Do Poznania skierowano ich pięciu. Tyle było wolnych miejsc w spółdzielni dziewiarskiej. Parę tygodni musieli przesiedzieć we Wrocławiu, zanim Związek i Spółdzielnia wykołatały dla nich wspólny pokój. Jechali z radością, że wreszcie zaczną

samodzielnie pracować. Poza nią krył się jednak silny niepokój. Jakie będzie to nowe życie?

Okazało się, że wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż na szkoleniowym kursie produktywizacyjnym. We Wrocławiu i typ maszyn był odmienny, i sama praca nie wymagała nawet części tego wysiłku, co w poznańskiej dziewiarni. Przyjechali krótko po ustaleniu nowych norm. Część pracowników była rozgoryczona, sarkąła mocno na Wojewódzki Zarząd Spółdzielni Inwalidzkich, że ustalając zmianę norm dla wszystkich inwalidów nie wziął pod uwagę specyficznych trudności, jakie mają w pracy niewidomi. Inni bez komentarzy zwiększyli wysiłek pragnąc utrzymać zarobki na poprzednim poziomie. Rączki maszyn z furkotem przewalały się z jednego końca warsztatu na drugi, nici ze szpul odwijają się szybko.

Piątka wrocławska początkowo nie mogła sobie poradzić z tempem. W pierwszych dniach nawet normy nie wyrabiali. Po pracy półżywi wracali do swego pokoju. Bolały ich ramiona, nogi puchły od wielogodzinnego stania, znużenie ogarniało całe ciało. Znaleźli się o krok od depresji, ogarniał ich lęk, że ruiną marzenia o materialnej niezależności...

Mury starego budynku łatwo chłonęły w siebie wilgoć. We wrześniu tego roku padały nieustannie deszcze. Pokój był chłodny. Nie mieli koców, nie mówiąc już o pościeli. Przykrywali się płaszczami, nie stać ich było na ciepłe pożywienie. Tylko przez pierwszy tydzień chodzili na obiady do stołówki przy Starym Rynku, potem jedli głównie chleb. Starania o zaliczkę pozostały bez rezultatu. Okres trzech pierwszych miesięcy traktowany był jako próbny, przepisy zakazywały udzielania w tym czasie jakichkolwiek zaliczek. Dobrze, że Marcińczykowi przysłano rentę, bo inaczej kto wie, czy wytrzymaliby. Od tygodnia utrzymywali się z drobnych pożyczek. Chleb zapijali wodą, dobrze, jeżeli gorącą. Do tego dołączało się niewyspanie. Żaden z nich nie miał zegarka. Bali się straszliwie spóźnienia do pracy. Czasem budzili się i wstawali o drugiej w nocy, nie mając pojęcia, czy do ranka jeszcze daleko. Dopiero ostatnio próbowali orientować się po ruchu w okolicach placu Wielkopolskiego, na który wychodziło okno ich pokoju.

Opuścili się i zaniedbali. Nie sprząтали pokoju. Po powrocie z pracy przeważnie nie wychodzili już nigdzie, kładli się zaraz na łózkach, snem próbując zagłuszyć doskwierający głód. Łatwo rodziły się wszelkiego rodzaju kłótnie i spory. Nie bardzo byli dobrani...

- Kudy jego poniosło z tą wodą?

- Pewnie nie zagotowała się jeszcze... Wiesz, Dzitko, warto się naradzać, nim Ziuk nadejdzie. Za trzy dni wypłata. Trzeba mądrze pomyśleć, co robić. Czy będziemy dalej żyć razem, czy każdy osobno zacznie się starać o siebie?

- Ja to sam sobie zaradzę. - Dzitko nie miał zaufania do spółek. W dodatku ranne

zajście z Warpechowskim przy próbie kradzieży w dziewiarni do reszty go zniechęciło.

- To twoja rzecz. Jest inna sprawa. Żyjemy te trzy tygodnie jak świnie. Pokój nie sprzątny, już zaległy się pluskwy. Trzeba będzie domagać się dezynfekcji. Ale porządku za nas nikt nie utrzyma. Trzeba kupić szczotkę, maszynkę elektryczną, żeby mieć gorącą wodę na herbatę, trzeba wreszcie wystarać się o węgiel, bo zima idzie, tylko jej patrzeć. Na to wszystko musimy się złożyć, bo to dla wspólnej korzyści.

- Nie może to zostać, jak jest? Taki szmat pieniędzy wydawać?

- Głupstwa. Dzitko. Przecież tak żyć dalej nie podobna. Brud aż się lepi. Najlepiej zaraz przy wypłacie zebrać pieniądze, pójdziemy i kupimy, co najbardziej konieczne.

- Jak maszynka, to i garnek jaki będzie potrzebny. Nowy wydatek - zamarkocił się Dzitko.

Drzwi otwarły się z trzaskiem. Zajęci rozmową, nie dosłyszeli kroków Warpechowskiego na korytarzu. Z triumfem postawił czajnik na stole.

- Gorąca jak łydy u młodej dziewczyny! - wykrzyknął.

- Temu tylko baby w głowie albo wódka... - mruknął pobłaźliwie Dzitko.

- A pewnie. Niech tylko doczekam wypłaty, zaraz kupię całego litra.

- Szczенок ty, szczенок.

Marcińczyk krajał chleb, co chwila sprawdzając dłonią, czy obdziela wszystkich jednakowo.

W ciemnym, ponurym pokoju rozlegało się teraz mlaskanie.

Z dziewiarni, mieszczącej się piętro niżej, dochodził głuchym, przytłumionym echem stukot maszyn. To pracowała druga zmiana.

Lokali związkowych jeszcze nie opalano. W obszernej świetlicy unosiła się wilgoć parująca z przemoczonego obuwia i ubrań.

- Na tej Kościelnej dziury w chodnikach na pół metra. Wpadłem po kolana, zmokłem cały - wyrzekł kulawy Giętka, miał w dłoniach nasiąkłe wodą nogawki spodni.

- Nie mogłeś to ominąć kałuży? Idzie i nie patrzy pod nogi... Zaśmieli się na tę kpinę z własnego kalectwa.

- Czekajcie, brajlaki, a wiecie, co się nam wczoraj z Józkiem Potyrałą zdarzyło?

Koterba opowiadał ciekawie, stary kpiarz potrafił zadrwić i z innych, i z siebie. Otoczyli go kołem.

- U jednej starej paniusi nastroiiliśmy z Józkiem fortepian, że grało wszystko na sto dwa. Mamy już wychodzić, baba nie poczęstowała nawet herbatą, na dworze plucha, jakoś nie

ochotno. Aż tu wsuwa się przez drzwi mocno zawiany jegomość. Zobaczył nas i krzyczy. „Mamuńka, zatrzymaj muzyków, mam z nimi do pogadania...” Ona nic, my czekamy, co będzie. Zagarnął nas do stołu, daje kieliszki, nalewa. Wesoły chłopaczek, mówi, że to dobre od chłodu. No, to my raz i drugi, i jeszcze siup... A baba, szelma, ani czym zagryźć nie dała. Synaczek wypił i zachrapał od razu przy stole. Ona nas wtedy czym prędzej na schody...

Dziewczęta w drugim końcu świetlicy zachichotały. Któryś ze słuchaczy wrzasnął:

- Cicho, babiniec, Koterba opowiada...

- Deszcz padał, ale teraz było nam ciepło. Idziemy, szuramy laskami, trudno coś wyczuć, chodniki gdzieś pouciekały. Wpadliśmy raz na panią latarnię, pokłonili się jej grzecznie. Zderzyliśmy się z drugą, nic już nie powiedzieli. Przy trzeciej Józiu myślał, czyby jej nie skłać. Tedy ja mówię: „Wiesz co, bidoku, chodź trochę na bok, postojmy, poczekamy, niechaj przejdzie ta procesyjo...”

Urwał, skrzywił wychudłą, znużoną twarz. Głośny śmiech przywitał opowieść. Wtedy rozdziawił szeroko usta, rechotał wraz z innymi.

Kobiety mówiły głośno, z przejęciem, co chwila wybuchały miechem. Któryś z mężczyzn zamruczał:

- Jakby dwa lata się nie widziały. Poznały po głosie.

- Widzisz go, jaki

- Ciszewski, bo dostaniesz.

Nie odpowiedział, poczłapał do stołu, za którym siedzieli jacyś zapalczywi szachiści. Przeciągnął dłonią po włosach kolegi, po czole i po nosie.

- Cizek, ja nie Zośka, abyś minie tak dokładnie oglądał.

- Aha, Czerpak.

Przysiadł obok, słuchał przestawiania figur, szelestu dłoni obmacujących szachownicę.

W tej chwili otworzyły się drzwi.

- Dzień dobry, koledzy!

- Dzień dobry! - odkrzyknęli chórem.

- Mało nas dzisiaj... - świetliczanka przeliczyła obecnych. - Tylko szesnaście osób.

- Bo deszcz, ciężko chodzić... - usprawiedliwiali nieobecnych.

- Spóźniłam się. Tramwaje stanęły, pół godziny ruch był wstrzymany. Dzisiaj przewidziana jest pogadanka obywatela z Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, a potem próba chóru. Czy jest prelegent? - Rozejrzała się. Prelegenta nie było. - Nie przychodził przedtem?

Może się nie doczekał?

- Ma on nas w nosie... Po co niewidomym wykłady...

- A bo to pierwszy raz nabijają nas w butelką?

- I czego leżć taki kawał świata, żeby potem tylko się denerwować...

Gniewne, rozżalone głosy zabrzmiały ze wszystkich stron. Świetliczanka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Skierowana do tej pracy przed dwoma miesiącami, nie umiała sobie poradzić w nowym, zupełnie nie znanym jej środowisku. Żałowała swych wychowanków, ale zarazem czuła do nich jakąś antypatią. Nie umiała ich zainteresować żadną pracą. Początkowo licznie odwiedzali świetlicę, teraz stronili od niej coraz bardziej. Denerwowała się. Zdecydowana już była porzucić tą pracę. Nic jej się tu nie wiodło... Ot, choćby i teraz. Co robić? Zobaczyła, że parą osób zmierza ku drzwiom.

- Czekajcie, będziemy śpiewać.

Koterba gniewnie odsunął ją białą laską, fuknął pod nosem - Ja tam wołam sam sobie w domu pośpiewać...

Wyszło ich pięcioro. Z zalem patrzyła na pozostałą gromadkę. Dwie pary zapamiętały się w szachach. Reszta, przeważnie dziewczęta, siedziały obok siebie, szeptały na ucho, chichotały pociągając za długie włosy Ciszewskiego, który oznajmił uroczystym głosem, że w najbliższym czasie zamierza się żenić, i prosił o pomoc w wyborze.

- A jaka ma być ta żona? - pytały.

- Widząca, zgrabna, ładna, uczona, z forszą, wierna i zakochana we mnie po uszy.

- Znajdziesz taką, ale na księżycu.

- Dlatego i wybieram się na księżyc, tylko teraz chmury, nie widać dobrze drogi - odpowiedział.

- To jak, dziewczęta, śpiewamy?

- Nie ma wszystkich, jaki to chór z paru osób? Zapisało się przecież dwanaście, a teraz nas tylko pięć - nadąsała się jedna.

- To chyba będziemy musieli odłożyć nasz wieczór na kiedy indziej?

- Dobrze, dobrze, idź paniusia łaskawie do domu, weselej nam bez takiej kultury. - Sopówna zasyczała jak żmija. Zgryźliwych jej uwag bali się wszyscy. - Na drugi raz nikt już nie przyjdzie, bo co nam z tego?

- Pewnie, że nie przyjdziemy. Zimno, mokro, człowiek łeb sobie rozbija, żeby zdążyć, a potem każą mu klamkę całować. Et! - strzepnęła ręką drugą.

- Dziękuję wam, moi mili, widzę, że rzeczywiście nie potrzebujecie żadnej kultury. - Obrażona, wkładała płaszcz, nerwowo zapinała guziki.

- No pewno, przecież my zupełna ciemnota... kulturalna. - Ciszewski obrócił się w stronę świetliczanki.

Nie odpowiedziała, gniewnie trzasnęła drzwiami, zastukały w korytarzu jej spieszne kroki.

- Poszła. Teraz może pośpiewamy naprawdę? - pytały dziewczyny.

Ktoś podszedł, z hałasem otworzył wieko pianina. Popłynęła melodia Góralu, czy ci nie żal. Ogólny śmiech przeleciał pomiędzy zebranymi.

- No, wiadomo, że Rysiu gra. On tylko potrafi Górala i Gęsi za wodą, nic więcej.

Dziewczęta siedziały na ławce i miarowo kiwając się śpiewały. Zastukały składane do pudełka figury szachowe, do chóru przyłączył się ładny, niski głos Czerpaka.

Za tą piosenką popłynęła następna. Skupili się wszyscy razem, objęli ramionami. Piosenki były coraz smutniejsze. Wreszcie Siejek Ryszard, mały, niepozorny chłopczyna z bielmem na lewym oku, przestał grać: wyczerpały się jego skromne możliwości.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Każdy z nich myślał właściwie o tym samym. Lubili zebrać się czasem, usłyszeć coś ciekawego. Zaśpiewać, zabawić się. Jednak ostatnia, trzecia już z rzędu kierowniczką świetlicy nie umiała sobie poradzić. Poprzednie organizowały przynajmniej jakieś wieczory, dyskusje, był chór, gorzej czy lepiej, ale śpiewał. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy, przy nowej, przewrażliwionej i pozbawionej krzty talentu organizacyjnego świetliczance rozlazło się nawet i to.

Powoli się rozchodzili. Starsza kobieta, pełniąca obowiązki woźnej, zaglądała już do sali kilkakrotnie. Spieszyło się jej do domu.

Przybylski ujął Czerpaka pod ramię. Poczuli nagle silne znużenie. Niedojadali przecież już od tygodnia. Szli wolno ulicą Dąbrowskiego, ostrożnie mijali przechodniów. Nogi ich wpadały w kałuże, klęli z cicha. Przejeżdżające auta bryzgały fontannami błota.

- Wiesz, bracie, we Wrocławiu było o wiele lepiej.

Przystanęli na ruchliwym skrzyżowaniu. Samochody i tramwaje mijaly się co chwila, dążąc w różnych kierunkach. Zeszli wreszcie na jezdnię, gdy ostry głos dzwonka rowerowego zmusił ich do nagłego cofnięcia się.

Czerpak wyczuł, że obok również ktoś stanął.

- Czy można prosić o przeprowadzenie? - zapytał ogólnikowo; nie wiedział, kto stoi przy nim, kobieta czy mężczyzna.

- Chętnie - głos był młody, przyjemny.

Czerpak mocno uchwycił ramię kobiety. Przez namokły deszczowiec poczuł po chwili

ciepło bijące od jej ciała. Przeszedł go nagły dreszcz. Westchnął.

- Panowie dokąd? - spytała.

- Na plac Wielkopolski...

- Idę właśnie na główną pocztę. Pomogę panom. Nie było jeszcze późno. Miasto szumiało wiecznym gwarem, przestał mżyć, ulice jak na zawołanie zapełniły się ludźmi, ścian mijanej kawiarni dobiegały dźwięki muzyki.

- Jest kulacja, chłopaki, Marcińczyk przyniósł chleb i kiełbasę. Czosnkowa, dobra - zamląskwał Dzitko oznajmiając przybyłym radosną nowinę.

- Wasze porcje na stole, jedzcie. Szkoda, że woda już przestygła. Ale za parę dni kupimy maszynkę.

Przybylski przekreślił kontakt, podniósł głowę do góry, z satysfakcją ujrzał jasny krąg rzucany przez żarówkę. Miał poczucie światła, rozeznawał cienie, co ułatwiało mu względnie swobodne poruszanie się po ulicy.

- Sam, dziadu, będziesz płacił rachunek za światło. - Ziuk nie lubił Przybylskiego, najstarszego i najbardziej pogodnego z nich wszystkich.

- Zapłacę, zapłacę - bąknął pojednawczo.

Zjedli szybko. Rozweseliło ich przyjemne uczucie sytości.

Dzitko usnął, Ziuk nerwowo przewracał się na łóżku. W pewnej chwili poderwał się, narzucił zniszczoną marynarkę, nie mówiąc ani słowa wyniósł się ma korytarz. Słuchali przez chwilę jego lekkich i pewnych siebie kroków.

- Co tam nowego w Związku?

Przybylski obrócił się w stronę, skąd doszedł go głos Marcińczyka.

- Zawsze to weselej spotkać się z ludźmi jak myśleć tutaj o naszej biedzie. Szkoda, że odczytu nie było. Pośpiewaliśmy trochę, a Karol wygrał dwie partie w szachy. - Podeszedł do siedzącego przy stole kolegi, prosząco pogłodził go po ramieniu. - Karolek, nauczysz mnie grać w szachy, dobrze?

Czerpak mruknął potakująco, niespodziewanie zanucił melodię jakiejś piosenki. Dzitko drgnął, przewrócił się na drugi bok i zachrapał przeciągle. Nie wiedzieć czemu, pozostali zaśmiali się serdecznie.

- Będziesz dziś czytał? - Przybylski nie odstępował Czerpaka.

- Idę spać. Uderzyłem dziś palcami o rączkę maszyny, spuchły, nie ujadę ani stroniczki.

Przybylski westchnął ciężko. Potem starannie ustawił w kącie swą białą laskę, z którą

się nigdy nie rozstawał, zgasił światło.

- Kołdrę jaką muszę kupić z wyplaty - mówił próbując jak najekonomiczniej wyzyskać ciepło wytartej, starej jesionki, którą się okrywał. Od wieczornego deszczu nasiąkła wilgocią, dreszczem przejmowała zziębnięte ciało.

- A czemu sam nie czytasz? - rozległ się głos Czerpaka.

- Nie chcę od środka książki. Jutro mam dostać Janka Muzykanta, wtedy spróbuję...
Choć, po prawdzie, nie idzie mi.

Westchnął głęboko. Potem wsłuchał się w ciszę pokoju, przerywaną jedynie chrapaniem Dzitki i spokojnymi oddechami dwu pozostałych kolegów.

Za oknami monotonnie siąpił deszcz. Szum niósł się po placu, szeleściły ostatnie liście na drzewach. Przyległą ulicą przemknęło auto.

Czerpak pierwszy przerwał milczenie:

- Niebo musi być teraz szare, zwisa zupełnie nisko nad głową. Przy takiej pogodzie cały świat staje się jakby mniejszy... Dziwny bywa czasem deszcz w lesie. Jak już zacząłem źle widzieć, lubiłem chodzić do lasu. Bywało, złapał mnie deszcz daleko od domu. Drzewa łączyły się z sobą koronami. Nawet gdy nie było wiatru, szumiały bardzo smutno. Pnie stawały się szare, wszystko robiło się szare. Ciemniało, wokoło, drobne krople rozбивały się o gałęzie i mgłą opadały na dół. Lubiałem wtedy stawać pod drzewem, patrzeć i słuchać... Raz wyszły mi naprzeciw o parę kroków dwie sarny. Zobaczyłem je zupełnie wyraźnie. Miały błyszczące chrapy, skąpy wała po nich woda... Ostatni raz wtedy widziałem sarny. Już nie chodziłem do szkoły, lekarze zabronili, że to osłabi wzrok.

Urwał. Koledzy na łózkach poruszyli się niecierpliwie, jakby w oczekiwaniu na dalszy ciąg. A Czerpak myślał już o czymś innym.

- Wiecie, ja bardzo wiele czytałem. Obok nas mieszkała stara nauczycielka, pożyczała mi książki, trochę mnie douczała. Ale umarła. Długi czas później nie miałem żadnych książek. A potem, potem, kiedy dostałem... - głos Karola nabrał nagle chropawych tonów - wtedy nie mogłem już nic odczytać. Litery widziałem, ale tańczyły, wirowały, nie potrafiłem ich rozróżnić. Myślałem, że to z gorączki, że jestem chory. Biorę termometr, nic. Wiem tylko, że strasznie krzychałem, jak zrozumiałem, że przestaję; widzieć... - Wzdrygnął się, umilkł.

- Ja nigdy nie czytałem. Mnie nie uczono niczego. Aż dopiero na kursie - z całą szczerością wyznał Przybylski.

- Nigdy?

- Nigdy, Marcińczyk, nigdy. Miałem osiem lat, jak mnie ojciec dał do sąsiada do pasania gęsi. A później poszedłem do dworu... Zawsze myślałem, żeby być uczniem, ba,

żeby choć umieć czytać.

- Jak to, a przecież mówiłeś, że w młodości oślepieś?

- W młodości. Właśnie w tym dworze. Miałem trzynaście lat. Ekonom raz się rozszłościł, że bydło wlaźło w szkodę, miał bicz w ręku, przejechał mnie nim po oczach. Jezu, jak to bolało, nie macie pojęcia, chłopaki. - Wspomnienie zapiekło go silnie, aż musiał przesunąć dłonią po oczach. - Błagałem ojca, żeby mnie posłał do szkoły dla niewidomych. Nie chciał, mówił, że woli mieć ze mnie wyrękę w gospodarstwie, choćby i ślepego, niż do obcych oddawać i jeszcze płacić za to. Całe życie spędziłem w wiosce, tyle że w wojnę Niemcy mnie wzięli do tłuczenia kamieni na szosie...

- Ślepego?

- Powiedzieli, że to nieważne, że przynajmniej nie ma obawy, aby jakiś odłamek uszkodził mi oczy... Mam pamiątkę, te dwa sztywne palce u lewej ręki. Ech, co ja wtedy naobijałem sobie rąk i nóg.

- Twoi rodzice żyją jeszcze? - Marcińczyk zaciekawiał się losami przyjaciela. Zamknięty w sobie chłop pierwszy raz rozgadał się serdeczniej i szczerzej.

- Ojciec. Matka dawno umarła. Dobra była kobieta, zawsze mnie broniła, nigdy nie skrzywdziła złym słowem.

- A ojciec?

- Ojciec miał jedno w głowie: swoje hektary. Ma teraz trzynaście, a jak oddawał mnie do sąsiada na pasanie gęsi, tylko cztery obrabiał. Przez skąpstwo dorobił się... Żałował dla dziecka, do obcych posyłał na pracę. Żałował dla mnie na lekarza, jedzenie potrafił wypomnieć. - Przybylski mówił ze smutną goryczą, ale tak jak o sprawie już dawno przebrzmiałej. - Starszy brat ożenił się, bratowa nie chciała mi dawać jeść. Ojciec zarobił się niedołączny, trząsał się, aby i jemu synowa nie odmówiła chleba... Żyłem tak chyba, jak teraz z wami, bo choć niby jedzenia miałem więcej, za to omaszczone gorzkimi słowami. Sto razy na dzień słyszałem: „Ty przeklęty ślepaku!” Brat miał radio, podano tam o kursie dla niewidomych. Ukradłem wtedy bratu trochę pieniędzy, pojechałem... - urwał i teraz szybciej, jakby w obawie, aby go źle nie zrozumiano, dorzucił: - Pieniądze te odeślę, część już zaraz z wypłaty. Nie chcę, aby minie nazywał złodziejem. A ja musiałem wyrwać się... - Dyszał ciężko. Oparty na łokciu, pół siedząc, skierował niewidzące oczy w kierunku okna, zza którego nieustannie dochodziło siąpienie deszczu.

- Widzicie, czemu nauki dla mnie nie było, nawet czytać się nie nauczyłem. Moje główne zmartwienie, że nie uczony, mniejsza już o to, że nie widzę. Do liceum poszły nasze dziewczyny, mówią, że im idzie. Inni na uniwersytecie, inni jeszcze w domu się uczą,

egzaminę zdają. Ja ledwie czytać umiem, tak mi trudno... - ostatnie słowa wyrzekł cicho.

- Przybylski, jak się trochę u nas ułoży, pomogą ci w brajlu, poćwiczymy. A i w Związku ma być kurs dla początkujących, wiesz?

- Wiem, zapisałem się, ale to najwcześniej za miesiąc... Zaśmieli się. Już się zapisał, wszystko zatem w porządku, niema co wzdychać.

- Gdzie Warpechowski? - zaniepokoił się nagle Czerpak. - Znów będzie nas budził po nocy. Potem się człowiek nie może rozeznąć, rano to czy północ dopiero.

- Siedzi pewnie u tego kulawca, co mieszka na dole. Tam się cała banda ich zbiera, niewidomych i innych inwalidów. Kobiety do nich przychodzą, wódki sobie, jak jest okazja, też nie żałują - obojętnie informował Marcińczyk.

Czerpakowi wydało się, że w głosie kolegi brzmi jakby ton lekkiej zazdrości. Nasunął płaszcz pod szyję, odwrócił się do ściany.

Gdy do pokoju z hałasem wszedł Warpechowski, wszyscy już spali. Tylko Marcińczyk syknął gniewnie:

- Nie mógłbyś zachowywać się ciszej, psiakrew?

Ziuk zachichotał długo, przeciągle, mruknął jakieś przekleństwo, Marcińczyk poczuł od niego zapach wódki. I nagle sam zapragnął napić się alkoholu. Aż mu ślina podeszła do gardła. Ziuk układał się nucać półgłosem ordynarną piosenkę.

- Będziesz jeszcze pił, Dzitko? - głos Przybylskiego załamał się, zabrzmiał w nim ton bólu.

Olbrzym wyprostował się. Potracił pustą już flaszkę po wódce, z brzękiem rozbiła się o podłogę. Ziuk chichotał kołyszając się na krześle z rozbawieniem przysłuchiwał się tej scenie.

Dzitko chwiejąc się zrobił dwa kroki w stronę Przybylskiego, złapał go za ramię najpierw jedną ręką, potem drugą, przysunął twarz blisko do jego twarzy, zachrypiął:

- Ot co, mileńki mój, powiem ja tobie. Ty byś lepiej sam z nami wypił. Psie życie, to i warto zapić je przy okazji. - Odbiło mu się kwaśnym oddechem. Przybylski cofnął głowę do tyłu. - A jeszcze ślepemu... Ziuk, gdzie wódka? Dawaj dla Przybylskiego.

Nachylił się, przebierał po stole rękami szukając flaszki.

- Nie ma. Postawiłbyś, stary dziadzie, kwaterkę - doradzał Warpechowski.

Dzitko zastanowił się.

- Koc mam, pościel też. Garnek kupiony, czaj kipi, aż w uszach słodko. Obiady zapłacone za cały miesiąc... Można, można! - krzyknął, zaczął szperać gorączkowo w kieszeni zapełnionej marynarki. Wyjął banknot, odszukał wyciągniętą chciwie dłoń Ziuka,

podał. - Masz, kup za wszystko, i kiełbasa żeby była, i ogórki. Wypijemy za naszą ślepotę, chłopcy!

- Nie gadałbyś głupstw, Dzitko - upomniał posmutniały nagle Marcińczyk.

Przybylski stał wciąż w tym samym miejscu, słuchał. Pozostali, podnieceni perspektywą dalszej wypitki, zapomnieli o nim zupełnie. Czerpak również wręczył Ziukowi pieniądze, nawet Marcińczyk, chociaż mniej chętnie, coś tam dołożył. Przybylskiemu zrobiło się jakoś bardzo ciężko. Powiedział cicho, łagodnie:

- Grzesiu, miej miarę, po co ci to?

Marcińczyk zadygotał ze złości. Powstał, z hałasem odsuwając krzesło, aż potoczyło się w kąt pokoju, trzasnął pięścią w stół, krzyknął:

- Mam to wszystko gdzieś, rozumiesz? Będę pił, bo mam ochotę przepić to swoje zapaprane życie, wiesz? I niczyich rad słuchać nie będę, bo nie chcę! Chcesz, pij, nie chcesz, nie pij, prywatna rzecz! A komuś w bebechy nie zaglądam... Ziuk, leć po wódkę, jak pić, to na całego!

- Akuratnie powiedział - przytaknął Dzitko. Przybylski nie odezwał się więcej ani słowem. Podeszedł do

swego łóżka, odszukał płaszcz, czapkę, zdjął z poręczy laskę, sprawdził jeszcze, czy ma na ramieniu opaskę niewidomego, cichutko, jakby zawstydzony, wysunął się za drzwi.

- Poszedł! pies z nim tańcował! - zaśmiał się Warpechowski, tamci go jednak nie podtrzymali, zrobiło im się przykro. Dzitko niepewnie trzął głową, bębnił grubymi paluchami w zlany wódką i piwem blat stołu. Czerpak siedział na łóżku kolebiąc nogami. Marcińczyk brwi namarszczył, potem splunął.

- Idziesz ty, Warpechowski, czy nie idziesz?

- Już, tylko nie rozdzieraj jadaczki... Mam pomysł. Wiecie, zajrzę do tego kulawego na dole. Niech przyjdzie do nas, będzie weselej... On ma córkę, dobrze się całuje, brajlowałem ją w korytarzu... - zaśmiał się. Nie słysząc protestu, z trzaskiem zamykał już drzwi za sobą, lekkie jego kroki zastukały na korytarzu.

Zachrzęściły sprężyny łóżka pod ciężarem kładącego się Dzitki. Olbrzym westchnął ciężko, żałośnie:

- Teraz u nas kopią ostatki kartofli... Na polach pusto, wiatr gania, pod koszulę przenika, zimno, a tak dobrze. Dobrze, chłopaki! Albo z rybakami wyjechać, okoń pięknie się łowi pod zimę i płoń. Szczupak też się trafi czasem na pud i więcej. Głodny, to żeruje nie patrząc jak i kędy... Nad wodą wypić albo w polu - to by była ochota! Nie takie tam życie jak w mieście. Mury tylko dokoła, samochody, pył. Maszyna tylko ci brazga w dziewiarni pół

dnia, a potem ta nora. Tyle, że pieniądze zarobić można... Ot, i koc jest... - wymacał dłonią, gładził pieszczotliwie włochatą, tanią materię. - Pierwszy w życiu, dotąd łachmanami się okrywałem. Żeby tak warsztat dostać, na wsi osiąść, odpracować swoje, a potem iść w las, w pole, po liściach opadłych, co szurzą pod nogami... Ech, Bożeczka ty mój! - Wstał gniewny jakaś, nie po swojemu podniósł głos: - Dacie tej wódki, bo żałość serce wygryzie, tak jak bieda wygryzła już oczy, że tylko na słozy je stać.

CzERPak poruszył się. Opowiadanie Dzitki wzbudziło i w nim wspomnienia.

W czterdziestym trzecim roku to było... Ostatnia jesień, kiedy jeszcze mogłem widzieć cokolwiek... - Alkohol skłaniał ich dzisiaj do bardziej szczerych wynurzeń. - Z matką byłem na grzybach. Mało co tam już mogłem znaleźć, chyba żem który potrafił. Łaziłem po lesie, a u nas w Olkuskim ładny las. Pełno było wtedy kolorowych liści buczyny, dębów... Złapię, bywało, takie listki, przesiewam między palcami, patrzę, jak łyskając kolorami opadają wolno na ziemię, zataczają koła. Wiewiórka wtedy blisko zupełnie spuściła się z drzewa na mech. Tłusta była na orzechowym wikcie, bo się jej sierść lśniła jakby polerowana. Nie była ruda, a taka jakaś ogniście czerwona. - Zamyślił się, dodał: - Wiecie, tę wiewiórkę mam ciągle w oczach, o, i teraz zdaje mi się, jakby smykała przed oczyma. Jedna, dwie... - głos mu się załamał, ścichł.

Marcińczyk poruszył się niespokojnie. Nie lubił takich nastrojów. Rzucił z sarkazmem:

- Jak białe myszy zobaczysz, to będzie znak, żeś przejrzał zupełnie...

- U nas też były wiewiórki, my je nazywali białkami, że to brzucha miały białutkie. Ogniste w kolorze, prawda. Ale ja ich nic lubię, ze szczętem nie lubię.

- Czemu, Bolek?

- Sześć lat mnie było. Na wiosnę rybacy jeździli z ościeniami na wodę. Rozlewała się szeroko po łąkach i oczeretach, że i nie ogarnąć, jak spojrzysz. Noc była ciemna, w sam raz odpowiedzialna dla łowli ościeniem. Smolaki w koszyku na przedzie łódki paliły się mocnym ogniem, czerwone światło biło w wodę, ryba głupiała, stawała w miejscu. Wtedy my w nią ościeniem... Kuma dopadłam wielkiego, pudów pewnie z pięć. Mikołaszka stary był celny, trafił przy samym łbie. A gadzina jak nie szarpnie, jak nie zatrząsie łódką. Ślisko było, poleciałem na łeb, oczyma prosto na smolaki, na ogień... Jeszcze tylko ten ogień widziałem, mocny, czerwony, potem jakby go cień przesłonił, szerniał, i nic więcej. Już nie było prócz bólu. Prawe oko wypaliło mi zupełnie, w lewym też nic, nawet tej czerwoności nie pozostało. Ot jak! Teraz widzisz czemu ja ognistych kolorów nie lubię i nie chcę mieć tego w pamięci...

W pokoju było duszno, dym z papierosów mieszał się z wyziewami wódki i

niezdrowym oddechem obecnych. Czuli się jakoś dziwnie, ni to dobrze, ni to źle. Inaczej jednak niż w dotychczasowe dni niedojadania, chłodu i poniewierki. Byli syci, kręciło się im w głowach.

- Ja już więcej nie chcę pić - szepnął Czerpak, zapatrzony we wspomnienia przeszłości.

- A ja będę pił. Bo mnie teraz ta krasność w oczach stanęła i drażni, rad bym ją wyrwał, rzucił za siebie. - Dzitko mówił spokojnie, ale w głosie dawała się wyczuć tłumiona pasja. Zdjął okulary, napięstkami szorował po oczach.

Marcińczyk milczał. Zamilkli tamci. Okres rozgadanej szczerości minął. Każdy zamknął się teraz w sobie, zapamiętał we własnym bólu. Czy warto było pić, jeżeli zamiast zapomnienia wracało ze wzmożoną siłą poczucie tragizmu swojej doli, jeżeli pryskał spokój z takim trudem zdobywany przez całe lata? Może Przybylski miał rację, że nie chciał pić z nimi i wyniósł się na samotną włóczęgę po szumiących gwarem ulicach Poznania?

Na korytarzu rozległa się rozmowa, zadudniły liczne kroki. Na chwilę zagłuszył wszystko mocny, pewny siebie śmiech dziewczyny.

- Idą. To Pypeć stuka swoim kulasem. Że też mu się chciało włączyć na drugie piętro... - nasłuchiwał Marcińczyk.

- Czorczi ich nadali, łakome wszystko na naszą wódkę. - Dzitko serdecznie pożałował swoich pieniędzy.

Ziuk triumfalnie wkroczył pierwszy, zadzwonił wyciągniętymi z kieszeni flaszki wódki.

- Dobra nasza, jest wódziunia. I Pypcia sprowadziłem z Małgosią i koleżanką... To ci zabawa! - pokrzykiwał rozradowany.

Pypciówna z niesmakiem wciągnęła ciężkie, zadymione powietrze, rozejrzała się dokoła.

- Ależ tu u was jak w chlewie, chłopcy - zdziwiła się.

- Po kawalersku - tłumaczył Ziuk podsuwając się do dziewczyny.

- Taki z ciebie kawaler? Ledwo co od podłogi wyrósł - śmiała się, przytuliła na chwilę do chłopca pulchne, gorące ciało.

Warpechowski rozkładał na stole zakupy. Pypeć, mały, szpakowaty człowieczek bez jednej nogi, uważnie spoglądał po obecnych. Trzej niewidomi, których zastał w pokoju, milczeli onieśmieleni albo gniewni. Postanowił rozładować zły nastrój.

- Za naszą znajomość, panowie, przyniosłem i ja flaszczynę. Postawił na stole.

Ziuk obmacał ją dłonią.

- Pół litra. To ci dopiero będzie pijaństwo! - Aż podskakiwał z uciechy, wprawnym uderzeniem o dno butelki wybił korek.

- Daj, daj, niech ja naleję. - Któraś z dziewczyn z chichotem wyrwała mu flaszkę.

- Za wasze zdrowie, panowie. - Pypeć nie czekał długo. - Hop, siup, alleluja, pojechali... - przeciągnął z lubością ostatni wyraz, delektował się ostrym, gryzącym smakiem wódki.

Za tą kolejką poszła druga i trzecia. Pili szklankami. Brali w palce ogórki, kromki chleba i plasterki kiełbasy, jedli mlaskając. Humory się poprawiły. Marcińczyk zaśmiał się wesoło, podniósł szklankę do góry.

- No, chłopcy, za chwałę dnia, gdy przybyły do nas piękne dziewczęta...

- A skąd pan wie, że piękne?

- Wiem, czuję po głosie, a jeżeli można, to zaraz obejrzę - śmiało przysunął się do dziewczyny, szybko przejechał dłonią po jej włosach, musnął tylko twarz, zawadzał dłużej o obfity biust.

- Co to, to nie. Za wcześnie, kwiatku, za wcześnie... - Zanuciła fałszywie.

- Ale nóżki czy ładne? - Marcińczyk nie kapitulował. - Przecież nie zobaczę inaczej.

- Małgosia, Małgosia, już zapomniałem, czy twoje nogi też zgrabne... - Ziuk zataczając się podchodził do Pypciówny, ale ona żwawo podskoczyła do bryłowatego Dzitki, przysiadła przy nim na skraju przysuniętego do stołu łóżka. Dzitko zadrzał ze wzruszenia, zaśmiał się krótko, urywanie, nie odważył się objąć dziewczyny.

Pypeć zagadał się z Czerpakiem. Karol najmniej reagował na obecność kobiet, ale nie rezygnował z picia.

- Wiecie, chłopaki, że miło u was, naprawdę miło... - Małgosia całym ciężarem oparła się o Dzitkę, do niego to mówiła.

- A powiedziałaś, że chlew - dąsał się zupełnie już pijany Warpechowski.

Nawet nie zwróciła uwagi na jego słowa. Zośka, zaśmiewająca się w objęciach Marcińczyka, krzyknęła tupiąc nogami.

- Śpiewajmy, śpiewajmy, będzie jeszcze weselej.

Ktoś zaczął słowa jednej piosenki, ktoś innej, po chwili wszystkie głosy złączyły się we wspólnym chrypliwym śpiewie.

III

Zbudził się z poczuciem ciężaru, który przytłaczał go i odbierał oddech. Jeszcze walczył z resztkami głębokiego snu, wywołanego wzmożoną dawką narkotyków. To Liza dostarczyła mu wczoraj proszki. Dobra dziewczyna, ma serce, lituje się nad nieszczęśnikiem.

Imię pielęgniarki przywróciło - choremu pełną przytomność. Czuł, że włosy jeżą mu się na głowie, czoło zlewa się zimnym, lepkiem potem. Podniósł do twarzy jedną dłoń, potem drugą, sekundę się wahał, jakby bał się doświadczenia, które po raz setny rozwieje resztki kołacącej gdzieś w najgłębszej podświadomości nadziei. Przeciągnął dłońmi po oczodołach. Nie, nie było żadnej opaska, nie było już od trzech dni... Lewe oko ziało pustką. Po prawej stronie palce wyczuwały obecność gałki ocznej. Otworzył powiekę. Rozciągała się przed nim jakaś szara poświata, snuły się cienie, ale nic więcej, żadnego zarysu, żadnego konkretnego punktu, na którym wzrok mógłby zatrzymać się z nadzieją. Wtedy ostrożnie, powoli unióśł się na łokciu, odwrócił głowę. Na szarym tle widniała jaśniejsza plama, urywająca się niewyraźnymi, ciemnymi liniami. Tak, to było okno. Tyle tylko zdolności widzenia mu zostało.

Z bolesnym jękiem opadł na poduszki. Z daleka doszły do niego niewyraźne głosy. Jakby leżał na dnie głębokiej, głębokiej studni, nad której zrębem schyleni ludzie wiedli cichą rozmowę. Chciał zerwać się, krzyknąć ratunku, ale nie mógł.

Usłyszał lekkie kroki. Poznał, że zbliża się Liza. Bezwiednie, jak małe, skrzywdzone dziecko, wyciągnął rękę przed siebie. Na przegubie poczuł ciepło jej zwinnych palców. Zrobiło mu się lżej na sercu. Pomyślał, że dziewczyna musi być ładna, że ma drobną, szczupłą figurkę, tak jak Stasia... Jak Stasia... Wspomnienie narzeczonej spadło na niego nową falą mroku.

Zajęczał cichutko, przeciągle.

Pielęgniarka zacisnęła usta. Nie mogła się jeszcze przyzwyczaić do bezmiaru cierpienia, z jakim stykała się na swoim oddziale.

- Siostró, siostró...

Poprawiła kołdrę niemal automatycznym ruchem, szepnęła:

- No co? Jakże się spało, panie Czesławie?

- Ech! - stęknął i zaraz zacisnął zęby, zwarł mocno wargi, aby nie słyszeć więcej własnych narzekań.

Otworzył przymknięte powieki, z ogromnym napięciem wpatrywał się w jej twarz.

Na szarym tle widział tylko jakąś ciemniejszą plamę, nic więcej. Wyciągniętym ramieniem zagarniał powietrze. Zrozumiała. Przecisnęła się koło szafki, stanęła na tle okna. Obrócił głowę, patrzył znów długo, z szalonym wysiłkiem. Tym razem na tle jaśniejszego kwadratu okna dostrzegł coś jakby kontury głowy i całej sylwetki. Odetchnął z ulgą. Uśmiechnęła się.

- No co, lepiej dziś widać, prawda? To się powoli poprawi, przecież pani doktor wie, co mówi. Zapowiedziała panu, że z czasem może przyjść poprawa. Musi pan tylko mocno wierzyć i jeszcze mocniej pragnąć tego. Trzeba pomagać organizmowi, a nie utrudniać martwieniem się... - mówiła łagodnie.

- Siostrzyczko Lizo! - dobiegło chrapliwie wołanie z drugiej strony pokoju.

- Dobrze będzie, dobrze! Potem znów przyjdę - pogładziła jeszcze raz dłoń Młyńczaka, przesunęła się do pacjenta trzeci już tydzień leżącego bez ruchu po zdjęciu katarakty.

I znowu w sali zapanowała zupełna cisza. Tylko gdzieś z dala niósł się warkot motoru, a z korytarza dobiegały odgłosy rozmowy.

Czesław Młyńczak wciskał głowę w uginającą się pościel z takim uporem, jakby ją pragnął przebić na wylot. Myślał o Stasi. Była przedwczoraj, parę godzin po zdjęciu opatrunku, który po dokonanej operacji przez cały miesiąc zakrywał oczy i czoło, przez cały miesiąc karmił go złudną nadzieją. Stosował się do wszystkich zaleceń lekarzy, przy zmianie opatrunków nie otwierał nawet na chwilę oczu, choć go mocno korciło, leżał bez ruchu, to znów na rozkaz poruszał pod opaską zbolalymi, twardymi powiekami. Tak wierzył, tak strasznie wierzył, że to, na co zanosilo się już od lat, a co przy owym upadku przyszło zastraszająco nagle, odmieni się teraz i że będzie znów widział. Nadeszła chwila, gdy uwolnione z więzi opatrunków oczy chciwie spojrzwały przed siebie, by nie zobaczyć nic. Albo tyle co nic, bo czymże była minimalna reakcja na światło... Myślał, że oszaleje. Godziny mijały, a on z rozpaczą gryzł róg poduszki, zatapiał zęby w napięstkach, żeby tylko nie krzyczeć. W głowie łomotało, modlitwy mieszały się z klątwami, myśli wirowały, galopowały, urywały się nagle. I właśnie wtedy dano mu znać, że Stasia przybyła, chce się z nim widzieć. W lęku, że załamie się teraz ostatecznie, zaczął krzyczeć:

- Nie, nie, nie! Nie chcę jej widzieć! Powiedzcie, że nie chcę, ani dziś, ani nigdy. Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

Przerażona pielęgniarka trzymała go za ręce, bo zaczął walić się po głowie. Zapewniała głośno, że nikt nie wejdzie, że nie wpuszczą jej ani dziś, ani jutro...

- Nigdy, nigdy, nigdy - powtarzał w kółko.

Uspokoił go dopiero zastrzyk morfiny, wstrzyknięty z polecenia lekarza. Jakiś czas

pojękiwał jeszcze, szeptał, potem oddech jego stał się równiejszy, usnął.

To było przed trzema dniami. Od tego czasu wiele razy przeanalizował całą sprawę, utwierdził się w słuszności swojej decyzji. Nie ma dla nich wspólnego losu, mowy być o tym nie może. I dlatego więcej się już ze Stasia nawet nie spotka. Poprosi, aby ktoś w jego imieniu napisał do niej list, że wygasła w nim miłość i że nie widzi celu podtrzymywania dalszej znajomości...

Chwycił się obu dłońmi za głowę, taki ją ból rozsadał. Przyciskał obie ręce do skroni, tłumiąc jęki. Zapadł w półsen, półjawę. Przelatywały przed nim obrazy z jego życia, z minionych wypadków i z marzeń, których nie będzie mógł już zrealizować.

Od roku zaczął się pogarszać stan jego jedyne widzącego oka. Musiał zaprzestać pracy, nie dawał sobie rady z robotą. Jakiś czas krył to przed kolegami biurowymi, ale potem błędy stały się zbyt widoczne. Lekarze kazali zgłosić się na operację dopiero za trzy miesiące, gdyż oko było nadwreżone wysiłkiem. Mało zresztą robiono nadziei... Nie bardzo to wtedy pojmował i nie chciał domyślać się prawdy z półsłów. Przebywał w domu, nie czytał, całymi dniami wylegiwał się na tapczanie, rozmyślał... A potem wszystko przesłoniła troska o matkę. Cały czas poświęcał pielęgnacji chorej. Od rana krzątał się przy jej łóżku, podawał lekarstwa, gotował, zaparzał zioła, był na każde zawołanie. Nic nie pomagało, gasła z dnia na dzień. Przejścia okupacyjne nadwładliły jej organizm, troska o syna też nie wpływała dobrze na jej zdrowie. Ataki zdarzały się coraz częściej. Wybiegał wtedy na klatkę schodową, pukał do mieszkania sąsiadów, prosił o telefoniczne wezwanie lekarza. Sam wracał do matki, przygotowywał mokry kompres, odmierzał krople... Lekarz zawsze przychodził szybko, zastrzyk i odpowiednie zabiegi robiły swoje, chora wracała do życia.

Ale tamtego dnia wszystko sprzysięgło się przeciw Młyńczakom. Atak był silniejszy niż dotychczas. Sąsiadów nie było w domu. Wrócił więc z powrotem, zarzucił piersi chorej zwilżonym, chłodnym ręcznikiem, dopiero pobiegł do najbliższego telefonu. W kawiarni aparat był zepsuty, w aptece zaś przeprowadzano remanent. Przebiegał właśnie jezdnię, gdy silne uderzenie w głowę przewróciło go na ziemię. Nie stracił przytomności, oszołomił go tylko silny ból. Podniósł się o własnych siłach, nie zważał na klątwy woźnicy furgonu. Odurzony ciosem, wolniej już przeszedł jezdnię, półprzytomny z bólu wszedł do orbisowskiej kolektury, połączył się z lekarzem. Na szczęście doktor - stary przyjaciel rodziny - był w domu. Obiecał natychmiast przybyć.

Nie wiedział, jak dowłókł się do domu, nie pamiętał, skąd miał tyle przytomności, aby zmieniać kompresy, odmierzać porcje lekarstwa. Jeszcze pomagał doktorowi w jakimś

zastrzyku. Oprzytomniał dopiero, gdy usłyszał słowa współczucia. W pierwszej chwili nie zrozumiał, potrząsnął przecząco głową. Doktor powtórzył. Wtedy wybuchnął szlochem. Czuł, że lekarz podaje mu jakieś krople. Przytulany do stygnącej dłoni matki uspokajał się z wolna. Miał jeszcze tyle świadomości, że podziękował lekarzowi, przyjął od niego zaświadczenie zgonu, wysłuchał praktycznych wskazań, co trzeba robić...

Szok nerwowy i uderzenie przyśpieszyły rozwój jego choroby. W dwa dni po pogrzebie zaniewidział zupełnie, nie mógł odróżnić dnia od nocy. To, czego obawiał się najbardziej, stało się faktem...

Ale zaraz potem nadeszła dziwna obojętność. Ból po utracie matki przesłonił wszystko. W takim stanie trafił do szpitala, przebył tygodniowy okres przygotowawczy do operacji, która według pierwotnego terminu miała się odbyć dużo później... Dopiero przed samym zabiegiem zbudził się z odrętwienia. Uczepił się nadziei na pomyślny wynik leczenia. Myśl ta uzdrowiła go z załamania po śmierci matki, pomogła przetrwać ciężki, skomplikowany zabieg, późniejsze bolesne zastrzyki i badania. Wierzył, że będzie widział. I dopiero od trzech dni stracił tę wiarę...

Westchnął z cichym, przejmującym jękiem.

- Spokojnie, spokojnie. Zaraz obchód, docent przyszedł - posłyszał szept Lizy.

Przytrzymał ją za rękę.

- A potem spać, dobrze? - szepnął błagalnie.

- Kiedy doktor zezwoliła dawać panu środki nasenne tylko w wyjątkowym wypadku - mówiła bez przekonania.

- Ja bardzo proszę, bardzo.

W oczach dziewczyny stanęły na chwilę łzy.

- Dobrze, dobrze...

Przebieg zebrania Komisji Związkowej dla Spraw Produktywizacji zaczął przybierać obrót całkiem niespodziewany dla prezesa Maleszki. Sprawy produkcyjne okazały się równorzędne z innymi, ba, bezpośrednio od nich zależne w sposób, jakiego się Maleszka poprzednio nie domyślał.

Słuchał uważnie, choć czasem miał ochotę trzasnąć pięścią w stół, zabronić im tego krytykowania. „Rozwarli jadaczki, pieska niebieska, a jak do roboty, to ich nie ma...” - myślał. Palcami bębnił po biurku, jak zawsze, gdy był zdenerwowany.

Mówił teraz instruktor z Owińsk. Maleszka odetchnął. Tam nie ma takich problemów jak w Poznaniu. Będzie można pozbierać myśli. Na prawo od siebie słyszał posapywanie

Jaglarza, prezesa spółdzielni szczotkarskiej. Miał astmę, obecna listopadowa szaruga była dla niego szczególnie uciążliwa. Jaglarz zdawał się być przerażony starciem, jakie zdarzyło się przed chwilą. „Tak, ten niegroźny, ale dla odmiany fujara, diabli wiedzą, co lepiej?” - zastanawiał się prezes.

Ostry, zaczepny głos Doroszewskiej wypełnił teraz maleńki, zadymiony pokoik. „Oho, trzymaj się, stary!” - powiedział sobie Maleszka. Doroszevska podniosła się z miejsca, na stojąco lepiej jej się mówiło.

- Kolega Hulka określił to słusznie. Cała robota leci na łeb. Zamiast zatrudniać w przemyśle więcej ludzi, tracimy i te pozycje, któreśmy zdobyli. W szczotkarstwie niedobrze, nie tylko z surowcem. Ludzi nie można zastawić samopas, bo wtedy zaczyna się bałagan i praca nie idzie. A u nas w dziewiarni lepiej? Że surowiec jest i normy robimy, to nie wszystko. Ale ile zawiści, jeden by zjadł drugiego... Do Związku nikt nie zachodzi, bo po co? Wszystko leży, wszystko! Ludzie nie przychodzą do pracy, pijaństwo rośnie z dnia na dzień. Czy wy wiecie, co się dzieje z tą piątką, która przybyła z Wrocławia? Od dwóch miesięcy stałe pijaństwa, wrzaski, jakieś dziewczęta. I co się dziwić, że potem gorzej pracują, że w nosie mają cały nasz Związek, że schodzą na psy. Produktywizacja to nie tylko sprawa pracy, ale sprawa pełnej opieki nad człowiekiem. Malinowski nie może sobie poradzić z zarządem inwalidzkiej spółdzielni. Dopuścił do automatycznej, papierkowej zmiany norm, nie rozwiązał zagadnienia urlopów i wczasów, ludzie nadal pozostają bez mieszkań...

- Akcja WAN nie ruszyła. Dobrze, jeżeli z Nowym Rokiem zbiorę ze dwa komplety do nauki - dodał Kupczyk. Od dawna powtarzał, że zarząd nie docenia sprawy zwalczania analfabetyzmu niewidomych.

- Czego chcesz, Kupczyk, pieska niebieska? Zawiadomienia o nauce brajla poszły do wszystkich. Jak mam okazję, to i pojedynczo namawiam.

- Ale bo... - próbował jeszcze Kupczyk.

- Otóż rzecz w tym - zaczął Hulka - że zrobiliśmy błąd, oddzielając jedne zagadnienia od drugich. A tymczasem człowiek to jedna całość. Co z tego, że temu i owemu damy pracę, kiedy go potem zostawiamy samotnie? Trzeba zrobić atmosferę, jak się to mówi, doprowadzić do serdecznego współzycia. Pracę kulturalną musi się połączyć ze sprawami produkcji. A gdzie nasze chóry, gdzie zespoły amatorskie, gdzie wspólne wieczory, teatr, opera koncerty? Traktujemy siebie jak bydłeta, którym wystarczy dać robotę, żeby były pieniądze na żarcie. Mówicie, że w dziewiarni szerzy się pijaństwo? Pewnie, a u nas to nie? Jakie rozrywki mają nasi ludzie? Czego się uczą? Nie każdy ma radio, bo i o to nie umieliśmy się w porę postarać.

- Zapotrzebowanie złożone - bąknął Maleszka.

- Tak, a ja wiem, że już trzeci raz nadeszły odbiorniki dla świata pracy, nam się jednak figa dostała. Co z zegarkami, czemu nawet białych lasek nie dostajemy? A psy?

- Wińcie Zarząd Główny!

- Winimy, ale winimy i Oddział. Czy Kowalskiego ktoś zastępował, jak chorował trzy miesiące?

- Ja zastępowałem - wtrącił gniewnie Maleszka waląc całą dłońią w biurko.

- To źle. Nie umiemy rozłożyć roboty. Widzisz, prezesie, ty sacra pragniesz zajmować się wszystkim, a temu i moczarni nie poradzi. Teraz taka moda, żeby wszystko robić zespołowo, kolektywnie, jak to się mówi... Mądra moda. Bo sam jeden, bracie, taczek związkowych nie upchasz. Ot jak!

- Dajcie mnie wreszcie dojść do głosu, pieska niebieska! A to się rozgadali, gorzej niż przekupy na rynku! - Maleszka zaciągnął się gwałtownie papierosem. Mówił powoli, ale znać było, że się z trudem opanowuje. - Wy macie rację, że zaniedbaliśmy i kulturę, i akcję WAN, i wiele innych rzeczy, ale ja myślę, że lepiej będzie, jeżeli najpierw zapewnimy pracę wszystkim, a potem dopiero zabierzemy się za resztę spraw...

- Stop, stop, przyjacielu! A kogóż my zatrudniamy? Tych nielicznych, co przychodzą do Związku i dopominają się o pracę. Ba, ściągamy z innych ośrodków, jak choćby tych pięciu z Wrocławia. A tymczasem w ewidencji mamy w naszym oddziale dwie i pół setki niewidomych, z których połowy w ogóle nie znamy... O nich czy pomyśleliśmy? A o tych, którzy nie należą do Związku? W samym mieście i po wsiach. Wielu jeszcze żyje jak zwierzęta: zahukani, zaszczuci, przycupnięci gdzieś na piecu czy w kącie, czekają tylko na miskę strawy, nie umieją jeść po ludzku ani się ubrać, ani umyć, jedna nędza i brud... Nie jest tak?

- To co, będę chodził i szukał ich?

- Chodził, nie chodził! A czy przejrzeliliśmy dokładnie ankiety inwalidzkie przy przydiach powiatowych rad narodowych? Czy wiemy, co się dzieje choćby w klinikach ocznych? A przecież była uchwała Zarządu Głównego, aby pozostawać z klinikami w stałym kontakcie, zająć się tymi, co dopiero stracili wzrok, im w pierwszym, najcięższym okresie, zadbać o przeszkolenie w robocie, o wyuczenie brajla. Czy my w ogóle orientujemy się, ilu niewidomych próbuje jeszcze zarabiać żebractwem? Nie, Maleszka, musimy uderzyć się w piersi? My wszyscy, wszyscy, bośmy jednostronnie podeszli do sprawy...

Dajcie pokój, dajcie pokój, pieska niebieska! - krzyknął prezes. - A z kim tu pracować? Ludzi dobrać nie można. Dopiero wypowiedziałem maszynistce, myślała, że u

niewidomych to bumelowanie, a nie robota. Świetliczanki nie mamy. Dobrze, że ta nauczycielka trochę pomaga. Tysiące spraw do załatwienia, ile listów trzeba wysłać, na ile odpowiedzieć! Od nowego roku jest etat dla instruktora kulturalno-oświatowego. Gdzie szukać takiego, by zrozumiał i właściwie poprowadził robotę.

- I żeby miał do niej serce! Z naszymi ludźmi niełatwa sprawa...

- Czemu gdzie indziej są odpowiedni ludzie, a tylko u nas ciągle ich brakuje?

- My nie umiemy pilnować tego, cośmy zaczęli. Choćby z przemysłem. Umieścimy kogo po długich staraniach i umywamy ręce. A człowiekowi dzieje się źle, nie zawsze się spotka z przyjaznym przyjęciem... Pamiętacie wytwórnię papierosów?... Prezes stara się, ale pewnie, że jeden nie poradzi... Umieściło się dwie dziewczyny w liceum. Wiecie, jak im się wiedzie? Nie. A ja wiem. Źle! Trudno im, stosunek do nich jest niewłaściwy... - Doroszevska natarła ze zwykłą sobie pasją.

- Papier posyłamy im regularnie każdego miesiąca - bąknął Kowalski.

- Papier to nie wszystko. A tymczasem pomija się je na lekcjach, stopnie stawia z litości. Widziałam niedawno Bronowską. zrozpaczona dziewczyna, traci wiarę...

- Sił nie starczy na to... Ja w samej spółdzielni ledwie się mogę uporać z robotą - markotnie odezwał się milczący dotąd Jaglarz.

- Et, u was gorzej jeszcze, bo i robota nie idzie... Znów były przestoje, prawda? - Doroszevska zwróciła się w jego stronę.

- A były, były...

- Pozwólcie, pieska niebieska! Ja wiem, że macie rację. Ale dajcie radę...

Zebranie zanosilo się na długo.

- Przyrowadzam panu towarzysza, nie będzie się pan już tak nudził - oznajmiła Liza.

- Dziękuję - bąknął Młyńczak.

Słyszał jeszcze jakieś krzątanie się, potem znów ogarnęło go zupełne zobojętnienie. Okres rozpaczy i gwałtownej szarpaniny wewnętrznej minął. Nie zaciskał już pięści, nie jęczał w bezmiernej żalości. Może zrobiły swoje narkotyki, może sama natura zesłała nań otępienie na wszystko, co dzieje się w nim samym i poza nim.

Nie interesował się już chorobą ani dalszym leczeniem. Pożegnał jakąkolwiek nadzieję i znosił to w tej chwili bez bólu. Zdawało się nawet, że przyzwyczajał się do ciemności. Bywało, że celowo przymykał powieki, męczyła go bowiem mdła szarość roztaczająca się przed oczyma, a właściwie przed okiem. Obojętnie przyjmował posiłki, poddawał się zabiegom. Mówił mało, parę słów jedynie zamieniał z siostrą Lizą, na

odezwania chorych towarzyszy na sali nie reagował. Jakby się w nim coś zapadło.

Nie lubił tylko wczesnych ranków, gdy budził się ze snu. Wtedy bowiem zniknął nagle bezwład psychiczny, zrywała się gwałtowna, niepowstrzymana chęć normalnego życia, bez wiecznej ciemności, z możliwością oglądania chmurnego nieba, barw kwiatów, uśmiechów dzieci i dziewcząt...

Nie mógł poradzić sobie z wyczuwaniem odległości. Potraçał o framugę drzwi, uderzał o kanty łóżka, potknął się któregoś dnia o krzesło stojące w korytarzu i przewrócił. Albo rozszalał się nad sobą od nowa, albo kłął, ogarniała go pasja, gotów był walczyć ze wszystkimi i wszystkim. Nie pomagało nic, zostawała ta sama nieogarniona ciemność.

Czasem też nękały go dwa przeraźliwie wyraźne obrazy z przeszłości.

Pierwszy obraz to było spotkanie ze ślepcem w dzieciństwie. Mieszkali wtedy na Jeźycach. Ojciec, tokarz, prowadził tutaj maleńki warsztat. W niedzielę cała rodzina udawała się do kościoła.

Czesław dreptał trzymając za rękę odświętnie ubranego ojca. Pewnego razu, gdy wychodzili z kościoła, lunął ogromny deszcz. Zatrzymali się w przedsionku, stłoczyli wraz z innymi. Na odkrytej przestrzeni, pośrodku placu, został tylko jeden człowiek. Skurczony pod uderzeniami strug wody, nie zaprzestał ponurego, przeciągłego zawodzenia: „Miłościwi państwo, parę grosików dla niewidomego, miłościwi państwo, parę grosików...” Czesław patrzył na kalekę z obrzydzeniem i litością zarazem. Długa zmiętoszona broda, ponury, zgorzkniały wyraz twarzy, głos chrypliwy, jednostajny. Żebrak siedział na spływających wodą kamieniach obojętny na wszystko, zawodząc bez chwili przerwy. Widok ten ostał się w pamięci chłopca, obecnie zaś wracał ponurą przepowiednią. Próżno usiłował uwolnić się od tego wspomnienia...

Drugie przeżycie było jeszcze bardziej wstrząsające. Zaraz po zajęciu Poznania przez wojska hitlerowskie uciekł z miasta, pragnął wziąć udział w obronie stolicy. Z garstką innych ochotników dostał się do niej w tym dniu, kiedy wyszedł rozkaz opuszczenia Warszawy przez wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Czesław wymaszerował na wschód... Nadchodził wieczór. W przydrożnym rowie dostrzegł jęczącego płaczliwie człowieka. Był to ślepiec. Wywędrował ze swym przewodnikiem z Warszawy, ten go ograbił po drodze i uciekł zostawiając na pastwę losu. Bał się sam iść dalej, tkwił w rowie, kłął i na przemian wzywał miłosierdzia. Czesław nakarmił go, potem oddał mu wszystkie pieniądze, jakie posiadał, i... uciekł przed strasznym widokiem. Myślał wtedy, że gdyby on sam miał stracić oczy, palnąłby sobie w łeb bez chwili namysłu.

Teraz zaniewidział zupełnie, mogła go czekać dola nieszczęśliwca spotkanego w 1939

na szosie podwarszawskiej. Bał się śmierci, bał się decyzji zadania jej sobie... To jakieś swoiste tchórzostwo, jak je nazywał, gnębiło go, rodziło uczucie pogardy dla siebie samego.

- Pozwoli kolega, Silnicki jestem - usłyszał gruby głos, poczuł, jak ręka tamtego maca po kołdrze w poszukiwaniu jego dłoni. Przedstawił się niechętnie, nie miał zamiaru wdawać się w rozmowę. Silnicki jednak nie kapitulował. Gdy Czesław nie zareagował, przysiadł na jego łóżku.

- Ciężko, prawda panie kolego?

- Ciężko... - bezwiednie odszepnął Młyńczak.

Zapadła chwila milczenia. Przybysz ujął dłoń Młyńczaka. Czesław poczuł nagle sympatię do jego ręki. Twarda była, ale ciepła, serdeczna w dotyku. Zdawało się, że z dłoni tej promieniuje jakaś siła, otucha.

- Czasem dobrze jest porozmawiać, wyzwolić się z wszystkiego, co człowieka dręczy... My nie jesteśmy samotnicy...

- Kto pan jesteś?

- Niewidomy jak pan, kolego. Mając sześć lat straciłem wzrok. Zznałem wiele złego... Ale dzisiaj jestem szczęśliwy, Pracuję, uczę się, Kocham...

Czesław milczał. Czuł wdzięczność do Silnickiego za tak serdeczne i bezpośrednie podejście. Z drugiej strony gniewał się za jego wścibstwo. Ale Silnicki nie mówił więcej. Siedział nie wypuszczając ze swej dłoni ręki Czesława.

Po długim czasie doszło Silnickiego ciche, pełne niedowierzania i ciekawości pytanie.

- Szczęśliwy? Czy niewidomy może być szczęśliwy?

- Tak, ale przedtem trzeba wiele zrozumieć. Szczęście nie jest rzeczą łatwą. Tylko od człowieka ono zależy...

- Kim pan jest, tak dziwnie pan mówi?

- Kim? Pracuję w ZISPO, w wydziale mechanicznym. Przed miesiącem uzyskałem odznakę przodownika pracy. Zarabiam. Pomagam jeszcze starym rodzicom, co miesiąc posyłam im dwieście złotych. A teraz mam dziewczynę, zamierzam się żenić... Marzyłem zawsze o rodzinie, własnym domu, dzieciach...

- Ona widzi?

- Widzi... Czemu kolega o to pyta?

- Bo... bo widzi pan, ja uważam, że pan nie ma prawa się żenić. To krzywda dla niej, nowe obowiązki, wieczna troska. To skazywanie kobiety na ofiarę. A jeszcze... to zawsze straszna zależność. Jakież może być samopoczucie niewidomego w małżeństwie z widzącą? Nie, na to nie mógłbym się nigdy zgodzić. Właśnie jako mężczyzna.

- Czemu, kolego?

- Bo... bo widzi pan... Ja też mam dziewczynę. Ona mi nieraz mówiła, już wtedy, gdy zaczął się mój stan pogarszać, że niezależnie od wszystkiego wysłaby za mnie. Kochamy się. Kochaliśmy się... - poprawił, w głosie jego zabrzmiał ból, zacisnął nagle wargi.

- Odeszła teraz?

- Nie, ja nie chcę jej widzieć! Napiszę, że jej znać nie chcę, że nie kocham, że... - prawie krzyczał, wzburzony od nowa, przejęty. Czuł, jak twarz zaczęła go palić, ręce drżały nerwowo.

- Nie można tak mówić. Wyjdzie pan ze szpitala, opanuje jakiś zawód, będzie pan zarabiał, usamodzielnisz się, wtedy stać będzie pana na małżeństwo i utrzymanie rodziny.

- Po pierwsze, niczego nie opanuję. Co ślepy może robić? Wyplatać koszyki? Kto z tego wyżyje? A po drugie, takie małżeństwo to tylko litość ze strony kobiety. Swoiste pojmowanie honoru... Nie! nie! nie!

- Zostawmy ten temat. Potem zaczniesz pan myśleć inaczej. Ale niech pan nie zrywa z nią jeszcze. Niech pan zostawi sobie i jej czas na przemyślenie.

- Nie! nie! nie!

Silnicki nie przeczył, nie chciał więcej rozdrażniać chorego. Nieraz już stykał się z ociemniałymi z trudem przyzwyczajającymi się do nowej sytuacji. Gładził Młyńczaka po rękę. Czesław leżał cicho, z przymkniętymi powiekami.

- Czy to wypadek? - ostrożnie zapytał Silnicki. Pragnął zająć uwagę chorego czymś innym, odciągnąć go od ponurych myśli. Znał takie stany, wiedział, że najlepszym, choć bolesnym lekarstwem jest opowiadanie o przeszłości.

- Zaczęło się w 1945... przy walkach pod cytadelą poznańską.

- Pan w nich brał udział?

- Tak. Przez całą okupację należałem do grupy bojowej w Warszawie, a potem w Poznaniu. Rozbili nas krótko przed końcem, kto wyszedł żywy, działał na własną rękę. Jak się zbliżały wojska radzieckie i nasza Armia, przedarłem się do niej.

- Pamiętam te czasy, byłem przecież wtedy w Poznaniu... Młyńczak zamyślił się. Wzruszały go wspomnienia tamtych gorących chwil. I nie żałował strasznych przeżyć. Jak dobrze poznał wtedy ludzi, prawdziwą przyjaźń i bohaterstwo. Przypomniał sobie Katarka, dzielnego chłopca, z którym zaprzyjaźnił się. Zginął on tego samego dnia, gdy jego spotkało nieszczęście. Jakże to było? Ach tak, Katarak nacierał wtedy z prawej flanki, pędził z wiązką granatów w dłoni, chciał dotrzeć do żelbetowej ściany, przerzucić przez nią swe „gruszki”... Nie dobiegł, rozerwało go w strzepy...

Nie wiedział, kiedy i jak rozpoczął opowieść. Czasami zapominał, że mówi do kogoś. Wspomnienia wróciły jak żywe; każda sekunda, każde zdarzenie, wszystko utrwaliło się świetnie w pamięci.

Radziecka artyleria rozpoczęła ogień ze wszystkich stron. To miał być decydujący atak. Kłęby dymu przewalały się gryząc pod powiekami. Wszędzie te dymy, bo za nami płonęły jeszcze niektóre budynki Poznania. Czasem podnosiły się nowe ognie od niemieckich pocisków...

Głos jego był teraz spokojny, tylko bardzo wrażliwe ucho wyczułoby w nim wewnętrzne wzruszenie.

- Radzieccy żołnierze poszli już do ataku. Dym dawał osłonę, a mimo to kosili ich z ciężkich kaemów. Nasza kompania atakowała pierwsza. Zerwaliśmy się z głębokiego okopu. O sto metrów czerniały dwa czołgi, spalone przed paru dniami. Rwaliśmy do nich zakosami. Czołgi nas osłaniały. Porucznik kazał przyspieszyć. Wypadłem na otwartą przestrzeń. Tuż obok mnie równym sznureczkiem zryła ziemię seria z karabinu maszynowego. Skoczyłem w jamę od pocisku. Kilku kolegów za mną. I wtedy walnęły małe niemieckie działka. Buchnęło gdzieś obok... Nie wiem, jak szybko się ocknąłem. Do połowy przysypany byłem ziemią. Twarz miałem wbitą w twarde, żwirowaty piach zmieszany ze śniegiem. Odłamek ugodził mnie w udo. Ale najgorsze było lewe oko. Nie widziałem nim nic, bolało piekielnie. Zawieźli mnie do polowego szpitala, potem do Poznania... W cztery dni później cytadela została zdobyta... Już beze mnie...

- A oczy?

- Lewego nie dało się uratować. Na prawe widziałem jeszcze nieźle. Miano mi wyjąć lewe, ale czas był gorący, brakło właściwych narzędzi, lekarstw, zostawiono... Tyle że z każdym miesiącem widziałem gorzej. Nie myślałem jednak, że to się tak skończy...

- Co to? Co to? - Silnicki gwałtownie podniósł się z miejsca nasłuchując. Na korytarzu rozległ się jakiś przeraźliwy krzyk, potem zapadła cisza, a w chwilę później wybuchł spazmatyczny płacz kobiety. Zatupotały kroki, odezwały się liczne zmieszane głosy...

Nasłuchiwali. Powoli uspokajało się wszystko.

Chory ze zdjętą kataraktą zadzwonił na salową. Nikt nie przychodził. Nacisnął znów guzik i długo nie odejmował od niego dłoni. I teraz także nikt się nie pojawił.

- Jestem dopiero na obserwacji, mogę się swobodnie poruszać - rzekł Silnicki idąc w kierunku drzwi. Ujmował klamkę, gdy z odwrotnej strony pchnęła drzwi siostra Liza.

- Dokąd pan?

- Na korytarz, chciałem trochę pospacerować. Zastanowiła się, potem go przepuściła.

Gdy podchodziła do chorego z usuniętą kataraktą, Młyńczak zatrzymał ją.

- Siostrzo Lizo, co to się stało? Taki krzyk?

- Krzyk? - zawahała się. - Jakaś pacjentka bała się operacji. Zaczęła krzyczeć, nim jej wytłumaczono, że operacja odbędzie się dopiero za tydzień...

Wysłuchiwała życzenia drugiego chorego, obiecała zaraz przysłać salową.

Na korytarzu zobaczyła stojącego przy oknie Silnickiego. Podeszła do niego.

- Siostra Liza?

- Tak. Wie pan już? Ponuro skinął głową.

- Znałem go, dwa dni leżeliśmy na jednej sali. Młody człowiek. Nie wytrzymał nerwowo... To straszne...

Teodor Maleszka z zaszępiłą miną siedział za swoim biurkiem. Chwilami miał uczucie, jakby wszystko waliło się na niego, tak jak wtedy przed wojną, gdy runęła nazbyt oszczędnie stawiana ściana nowego czynszowego budynku zasypując jego i dwu kolegów. Tamci dwaj nie wyszli z tego żywi, on stracił wzrok...

Oddany całą duszą Związkowi, brał czynny udział w jego pracach od chwili ukończenia wojny. Gdy w roku 1947 zorganizowany został przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej pierwszy kurs dla niewidomych, zgłosił się od razu. Dostyc miał plecenia słomianek i mat. Przyjechał do Poznania i stał się duszą pracy związkowej. Ponieważ najważniejszym zagadnieniem w tym czasie była sprawa produktywizacji niewidomych, a właśnie on wyróżniał się na tym polu, wybrano go na prezesa. Początkowo radził sobie dobrze. Organizował spółdzielnie, umieszczał ludzi w przemyśle, bił się o każdego pracownika, radował każdym nowym niewidomym przy warsztacie.

Od pewnego czasu jednak coś się zaczęło załamywać w pracy związkowej. Niezbyt rozumiał, gdzie należy szukać korzeni zła. A robota kulą coraz bardziej...

I w tej chwili siedział, zadumany nad tymi wszystkimi sprawami. Ścisnął głowę obu rękami, niewiele jednak to pomogło.

- To dlatego, że nieuczony jestem... - smutno szepnął do siebie.

Gdzie mu było przed wojną do nauki? Cztery oddziały zaledwie skończył, poszedł do pracy, tak jak ojciec, w murarce. Wkrótce zginął ojciec w czasie starcia z policją. Matki w ogóle nie pamiętał. Odumarła go, gdy miał dwa lata. W zakątkach myśli zostało wspomnienie śniadej kobiety z gładko zaczesanymi włosami... Musiał już sobie sam dawać radę. I dawał. Brał udział w strajkach, w pochodach pierwszomajowych. Kiedyś policjant tak zdzielił go płazem szabli, że została głęboka rana. Jeszcze dziś blizna dawała się wyczuć palcami. W

chwilach dobrego humoru lubił pokazywać ją towarzyszom... Pół roku przesiedział na Mokotowie. Gdzież przy takim życiu marzyć o nauce? Próbował w OM TURze, ale zaraz zarzucił, trzeba było organizować właśnie długą kampanię o podwyższenie niskich stawek przy robotach murarskich. Tak więc skończyło się na czterech klasach powszechnej.

Westchnął. Chwilę jeszcze posiedział, podniósł się wreszcie, pomaszzerował do sekretariatu. Została tam tylko jedna pracowniczka. Maszynistkę zwolnił niedawno po dosyć burzliwej scenie. Przyszedł do Związku niewidomy staruszek, oberwany i zaniedbany. Przyprowadził go ktoś z rodziny, kto nie mógł czekać, śpieszył się do pracy. Po załatwieniu sprawy Maleszka polecił maszynistce odprowadzić staruszka do tramwaju. Przejście przez jezdnię było tu niebezpieczne. Stary sam w żaden sposób nie dałby sobie rady. Tymczasem maszynistka odburknęła, że nie pójdzie. Gdy zapytał dlaczego, wybuchła histerycznym krzykiem, że się godziła do normalnej roboty, a nie do chodzenia ze ślepymi żebrakami pod rękę... Wtedy nie wytrzymał, kazał jej milczeć, sam odprowadził staruszka. Po powrocie polecił sekretarce wypisać zwolnienie. Nie przyjął żadnych tłumaczeń. Tą sprawą przebrała miarkę. Powiedział tylko molestującej go dziewczynie:

- W Związku Niewidomych nie można być bezdusznym automatem biurowym. Do tej pracy trzeba mieć dużo serca. Kto tego i ile rozumie, pieska niebieska, dla tego w Związku nie ma miejsca...

Sekretarce przybyło teraz roboty. Spadły na nią dodatkowe i obowiązki. Wzdychała, lecz pracowała pilnie. Wołała się prezesowi nic narażać.

Maleszka myślał tymczasem o niedawnym zebraniu grupy produktywizacyjnej. Zastanawiał się nad usłyszaną krytyką, starał się naprawić niedociągnięcia. Niesporo to szło. Od jakiegoś czasu bezskutecznie szukał właściwej osoby na referenta kulturalno-oświatowego. Pragnął też ruszyć już ostatecznie z nauką brajla, kilku zgłoszonych zrezygnowało, inni nie dawali się namówić żadnym sposobem.

Znów westchnął. Sięgnął po słuchawkę. Nieomylnie trafił na właściwe okienka w tarczy. Numery miał zanotowane w pamięci, la zaś była pojemna. Nakręcił numer kliniki okulistycznej. Centrala długo się nie zgłaszała. Wreszcie uzyskał połączenie z dyżurnym lekarzem.

- Tu Maleszka, prezes Związku Niewidomych. Mamy zamiar roztoczyć opiekę nad tymi z waszych pacjentów, którzy ociemnieli ostatnio i przeżywają teraz ciężkie chwile... Chcielibyśmy zaznajamiać ich z naszym Związkiem, z możliwościami uzyskania kwalifikacji zawodowych, z...

Urwał, bo młody głos dyżurnego lekarza przerwał mu gwałtownie. Słuchawka

zadrżała nagle w dłoni prezesa.

- Co? Co pan mówi, doktorze?...

Czas jakiś trzymał jeszcze słuchawkę uniesioną w powietrzu. Potem powolnym ruchem złożył ją na widelkach. Zabębnił palcami po stole. „Oho! musi być silnie zdenerwowany” - przemknęło przez myśl sekretarce; jeszcze pilniej pochyliła się nad papierami.

- Słyszała pani? - zapytał nagle Maleszka.

- Nie, nic nie wiem.

- W klinice okulistycznej młody chłopak popełnił samobójstwo, wyskoczył z drugiego piętra... Przed miesiącem wpadł do dołu z wapnem. W szpitalu dowiedział się, że już nie odzyska wzroku, wolał skończyć ze sobą... Gdyby ktoś ze Związku przyszedł do niego w porę, może by do tego nie doszło...

Umilkł, potem pokiwał głową, dokończył niemal szeptem:

- Przecież ja to wiem sam po sobie. Też chodziły mi po głowie podobne myśli. Mało brakowało... W takiej chwili człowiek nie powinien być sam, pieska niebieska, musi mieć przy boku kogoś przyjaznego...

Po dłuższej chwili sekretarka zakomunikowała ściszym głosem:

- Panie prezesie, telefonował major Kijak, pytał czy jutro w południe mógłby zobaczyć się z panem. Chodzi mu o psa przewodnika...

Kiwnął tylko potakująco głową. Wstał, poczłapał ciężkim, zmęczonym nagle krokiem do swego pokoju. Pragnął być sam. Czuł jakąś współodpowiedzialność za niepotrzebną, głupią śmierć tamtego biedaka.

Pojał teraz jaśniej niż kiedykolwiek, że ci, którzy mówili, że nie wystarczy troszczyć się o zatrudnienie, o chleb, ale że trzeba dbać o całość spraw człowieczych, mieli rację... O całość! O brzuch, ale i o głowę, i o serce...

Silnicki nie odstępował Młyńczaka nawet na krok. Kierowała nim obawa, aby w chwili załamania młody technik nie zechciał pójść w ślady chłopaka z wyżartymi przez wapno oczyma. Poza tym poczuł do Młyńczaka szczególną sympatię. Serdecznie pragnął mu dopomóc.

O tragicznej śmierci niewidomego prawie nie rozmawiali ze sobą. Jedyne pierwszego dnia, pod świeżym wrażeniem wypadku, wymienili kilka uwag. Silnickiego zaniepokoił wtedy kierunek myśli Młyńczaka.

Starął się rozruszać Czesława, zachęcić go do życia. Opowiadał szeroko o pracy

niewidomych, porównywał ich sytuację przedwojenną z obecną, napominał, aby nie dopuścił do wytworzenia w sobie postawy niższości w stosunku do widzujących.

Młynczak słuchał uważnie, czasami wypytywał o szczegóły. Często jednak zainteresowanie jego gasło w jednej chwili, zamydlał się, milczał ponuro albo podchodził do okna i długo patrzył w jednakowe zawsze dla niego niebo.

Przyjaciel zauważył, że podenerwowanie Młynczaka wzrastało po wizytach siostry. Nie mógł dociec przyczyny. Była to kobieta młoda, żywa, umiała w sposób właściwy postępować z bratem. Nie roztkliwiała się nad nim, stanowczo ucinała narzekania Czesława na jego beżyteczność.

Silnicki wyczuwał jednak, że między rodzeństwem istnieją niedomówienia. Zauważył to, gdy Czesław niespodziewanie spytał siostrę:

- Zochna, a co z Karolem?

Milczenie trwało ułamek sekundy. W głosie kobiety, mimo że całym wysiłkiem starała się zapanować nad sobą, załamywało się coś.

- Karol? Nawet nie wiem... Nie widziałam się z nim od tygodnia. Wiesz, nie zgadzaliśmy się ze sobą, mamy bardzo różne zainteresowania...

Urwała, bo Czesław odszukał nagle jej dłoń, chwycił, przycisnął mocno do ust, a potem szepnął:

- Zochna, ja rozumiem, rozumiem... Ale ty nie masz prawa tego robić, nie masz prawa poświęcać się dla mnie!

- Co ci się roi? Gdzie widzisz poświęcanie? Za wiele wyobrażasz sobie, mój kochany!
- zaśmiała się.

On nadal uporczywie kręcił głową. Wychodząc zaznaczyła wyraźnie:

- Pojutrze przyjeżdża Stasia. Chce ciebie odwiedzić. Chyba nie wyrzucisz jej, jak ostatnio... po co krzywdzić biedną dziewczynę. Ja nie wiem, które z was bardziej cierpi, Czešku...

Chciał oponować, nie pozwoliła.

- Bardzo cię o to proszę!

Po jej odejściu usłyszał Silnicki cichy, tłumiony szloch. Czesław łkał długo. Przyjaciel starał się nie zdradzać siwej obecności żadnym szmerem. Rozumiał, jak wielką ulgę przynoszą czasem łzy. Szczególnie jeżeli płyną z niewidomych oczu...

Było już pod wieczór, gdy Młynczak pierwszy zwrócił się do niego:

- Wiesz, drogi - nawet nie wiedzieli, kiedy zaczęli tak mówić do siebie - ja ciągle nie mogę zapomnieć tego chłopca, który wyskoczył oknem. Czy ty go znałeś?

- Tak. Mało jednak wiem o nim. Był wtedy w strasznej rozpacz...

- W większej niż ja?

- O tak! Młodszy był, tragiczniej brał swoją ślepotę do serca. Ty już podświadomie nawet mogłeś się przyzwyczaić do najgorszego, widziałeś tylko na jedno oko, stan twój stopniowo się pogarszał, ciężkie przeżycia przyspieszyły jedynie katastrofę. On zaś był zdrowy, młody, silny, w głowie mu nie powstała możliwość nieszczęścia. W sobotę po wypłacie wypił z kolegami na budowie, zaraz po pracy... Może szarżował, chciał się popisać, nie wiem... Nagle poślizgnął się, wpadł do dołu z wapnem, nakryło chłopaka z głową. Wyciągnęli go szybko, ale czy to wiele czasu potrzeba, aby człowiek przestał widzieć słońce i kwiaty, niebo i ptaki? Przemyli mu oczy oliwą, sprowadzili lekarza. Ale tu trzeba było natychmiastowej operacji. Nim karetka przywiozła go z Ostrowia do Poznania, było już za późno, wapno wyżarło mu młode, zdrowe oczy. Świat stał się dla niego ciemnicą, i to najbardziej niespodziewanie... Nie miał siły, by znieść ten cios, przestraszył się życia, stchórzył przed nim po prostu. Dlatego wybrał taką drogę, nie inną... Może było to chwilowe zamroczenie, kto wie, w każdym razie stało się, już tego życia nie da się wskrzesić...

- Powiedziałeś: tchórzostwo! Czy go tym nie obrażasz? - Czesław natarł niesłychanie ostro. - Tchórzostwo? O, mnie się zdaje, że trzeba nie lada odwagi, może aż bohaterstwa, aby zdecydować się na rozstanie z życiem, choćby perspektywy jego przedstawiały się jak najgorzej. Człowiek sam nie wie, jak jest przywiązany do życia... Byłem na froncie, byłem w partyzantce, ale tam jest inaczej. Tam nie działasz sam, jest dowódca, który myśli za ciebie, są koledzy, którzy razem ryzykują, jest szansa wygrania, zostania przy życiu. Jest wreszcie poczucie obowiązku, honoru... A tutaj? Tutaj jesteś tylko ty i nikt więcej. Sam sobie rozkazujesz, sam dodajesz odwagi... Ej, nie! Ja się nie bałem uderzać na cytadelę. A tutaj bałbym się jak ostatni tchórz - wstrząsnął się, jakby z odrazą do siebie. - Zdaje ci się, że nie myślałem chwilami o tym? Nie raz! I zawsze lęk był silniejszy. Powiedz, kto tu tchórz, a kto odważny? Silnicki uśmiechnął się.

- Odwaga zawsze jest tam, gdzie jest przyszłość. A taka śmierć nie ma żadnej przyszłości, nawet w dobrej pamięci ludzkiej. Samobójcy mogą być czasem zrozumiani, nigdy jednak nie zostają rozgrzeszeni, nie tylko przez Kościół, ale i przez społeczeństwo. Cóż to za odwaga wycofać się z życia, z trosk, zmartwień, trudności? Nie, Czesław, tamten biedak nie zgrzeszył odwagą...

- Nie wiem, nie wiem. Patrz, przyjdzie Stasia. Dziewczyna, którą kocham. I co z tej miłości, kiedy muszę ją w sobie zabić? Gorzej, muszę ją zabić w niej także. Po co ta męczarnia?

- Ale pozwolisz jej zobaczyć się z sobą?

- Dla Zochny to zrobię, ona prosiła... - Milczał, potem szepnął tonem zwierzenia: - Nieprawda, nie dla Zochny, dla siebie! Ho chcę ją widzieć, chcę dotknąć jej rąk, jej włosów, chcę słyszeć jej głos. To nie tak łatwo kazać sobie zaprzestać kochania...

- Nie, nie tak łatwo - potwierdził Silnicki; w głosie jego czuło się mądrość doświadczenia.

- Nie wiem, co będzie z siostrą. Ona chce zerwać z Karolem, żeby poświęcić się dla mnie... Ja tego nie mogę przyjąć, ja nie mam żadnego prawa do takiej ofiary.

- Nie masz!

- No widzisz, tamten pozbył się już podobnych problemów...

- Nie w tym rzecz. Musisz stać się samodzielny, pokazać to siostrze, żeby spokojna o ciebie mogła zająć się własnym losem. Ale musi mieć przekonanie, że sam sobie dasz radę.

- Czy dam? - w tonie było bolesne powątpiewanie.

IV

Kupczyk z satysfakcją zatrzasnął drzwi szafy. Jeszcze kilkakrotnie przeciągnął dłonią po zimnej, śliskiej powierzchni mebla. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Przed tygodniem dopiero zakupił stół, parę krzeseł i tę szafę, dużą, trzydrzwiową, zajmującą tyle miejsca w jego pokoiku.

Nareszcie był u siebie. Ile trudu i starań kosztowało go zdobycie tego pokoju, ile się nabiegał, nawypisywał podań, nastał w poczekalniach urzędu kwaterunkowego! W końcu dopiął swego. Wydawało mu się, że nie ma rzeczy niemożliwych, jeżeli się bardzo tego pragnie.

Poprawił krawat, dotknął punktów zegarka. Była dopiero szósta. Miał jeszcze czas. Stąd, z Daszyńskiego, dojeżdżał „siódemką” prawie do drzwi lokalu związkowego. Wliczając czekanie, nie zabierało to więcej niż pół godziny czasu.

Starannie oczyścił obuwie, strzepnął szczotką po mankietach spodni, dokładnie umył ręce. Zastanawiał się, co ma teraz robić? Czytać mu się nie chciało, i tak przez dwie godziny lekcji dosyć się naszoruje palcami po punktach wyciskanych niewprawnymi dłońmi kursantów.

Przypomniał sobie wieści z domu, zasepił się. Podszedł do stołu, przysiadł, wziął list siostry do ręki. Pisała, że Leon w ostatnim miesiącu miał dwa ataki, powtarzały się teraz prawie regularnie. Prosiak im zdechł, pomór jakiś panował w okolicy. Matka znowu choruje. Od tygodnia leży w łóżku, popłakuje nad sobą i nad nimi. Kasia prosiła, żeby przyjechał naradzić się...

Zamyślił się. Dłoń jego machinalnie, z nawyku przesuwająca się po kartce znaczonej wypukłymi punktami pisma brajlowskiego. Na usta niewidomego wypełził smutny uśmiech.

- Tak, tak - szepnął. - Cieszyłeś się meblami, własnym pokojem, robiłeś plany na przyszłość. Gdzie ci, Julek, myśleć o sobie...

Postanowił, że w sobotę po pracy pojedzie do rodzinnej wsi w Szamotulskim. Lubił ten swój Oporów, mimo że radosnych wspomnień stamtąd nie wyniósł. Tyle że poznał życie. O, i jak jeszcze!

Mimo hałasu czynionego przez przejeżdżający właśnie pod oknem tramwaj, czujnym uchem wyczuł niepewne szuranie nogi macającej pierwszy stopień schodów wiodących na półpięterko, gdzie mieścił się jego pokoik. Z chwilą gdy noga trafiła na stopień, dalsze kroki stały się pewne i szybkie.

Kupczyk podniósł się, otworzył drzwi.

- Wchodź, Staszek, wchodź, zaraz pojedziemy. - Dotknął ubrania przybysza. - O, deszcz pada?

- Śnieg, ale mokry, głębie oblepia, za kołnierz wpada, zimno...

- Psia kręć, węgla jeszcze nie mamy. Od tygodnia zwlekam z przy wózka, ciągle brak czasu...

- Ożeń się, będziesz miał więcej! - zaśmiał się przybyły, rosły mężczyzna w średnim wieku, z grubą łaską w dłoni i opaską niewidomego na lewym ramieniu.

- Psa nie wzięłeś?

- E, nie do pracy, to nie ma pośpiechu. Choć teraz żałuję, przy śniegu źle się idzie. Pocałowałem jakieś drzewo, tu, niedaleko od ciebie...

- Zawsze jest tak, jak pada deszcz, śnieg, nawet jak mgła. Ale ja czuję przeszkodę także i wtedy.

- Ty nie wadzisz od urodzenia, tobie łatwiej. Co nowego?

- Nic. Wiesz, że będziemy mieli instruktora od wychowania fizycznego? Podwyższyli nam budżet, żeby wstawić ten etat... Ja tam ćwiczył nie będę, starczy mi tego, co ze szkoły...

- Ja też, dość nagimnastykuję się w fabryce - zaśmiał się Ratajczak.

- Lekcję zrobiłeś?

- Zrobiłem, ale mi nie szło, cholera! Tej dwójki ani rusz opanować nie mogę, ciągle zapominam albo nie mogę jej namacać. Widzisz, palce mam za grube, nie to, co ty, chudeusz.

Kupczyk zaśmiał się. Znow pomacał wskazówki brajlowskiego zegarka.

- Pora na nas, piętnaście po szóstej.

- Ubierz się dobrze, zimno.

- Co chcesz, grudzień za pasem. Zaraz i Nowy Rok, ani się obejrzyysz” jak ostatnie tygodnie przeleca.

Starannie zamknął drzwi, potrząsnął klamką dla sprawdzenia. Wyszli na ulicę. Obaj używali lasek, ale też obaj poruszali się z dużą swobodą. Kupczyk znał lepiej swoje strony, prowadził. Ratajczak trzymał się jego lewego ramienia. Zaraz jednak musieli zwolnić kroku. Wraz ze śnieżycą podniósł się wiatr ciskając w twarze płatami mokrego, lepkiego śniegu.

W pewnej chwili Kupczyk przystanął, potem skręcił w lewo.

- A co? Omal nie przywitałeś się z latarnią? - zaśmiał się towarzysz, uradowany, że nie tylko on traci orientację w czasie niesprzyjającej pogody.

- Mało brakowało, prawda - niechętnie odburknął Kupczyk. Nie lubił, gdy podawano w wątpliwość jego swobodę poruszania się.

Szybkim, równym krokiem przechodzili teraz ulicę. Z tyłu za nimi zabrzmiał gwałtowny dzwonek. Stanęli, obok przesunął się rower.

- Psia... - zaczął w pasji rowerzysta, dojrzał widocznie opaski, zamilkł.

- Najgorzej z rowerzystami. Cicho to jedzie, ani dosłyszysz.

- A traktory lubisz?

- Prawda! Diabło takiego trudno wyczuć, przed tobą czy za tobą, blisko czy jeszcze daleko. Ja wolę zawsze przeczekać - dodał Ratajczak.

Byli już na przystanku. Nadjeżdżał tramwaj. Kupczyk nasłuchiwał.

- Nasz?

- Nie, to „czwórka”, bo nie przekładał zwrotnicy. „Czwórki” mają zresztą inne wagony, otwarte, skrzypią na szynach zupełnie inaczej niż tamte... Ja się tutaj nie pomylę - z wyraźną przechwałką mówił Kupczyk.

Nadjechała „siódemka”. Wsiadli przednim pomostem, otrzepywali się nawzajem ze śniegu.

- Przy takiej pogodzie na pewno wielu nie przyjdzie - mruknął Kupczyk.

- Aha...

Zamyślił się każdy nad swoimi sprawami. Ratajczak coś sobie przypomniał. Pociągnął kolegę za rękaw:

- Wiesz, dobrze zrobiłeś wychodząc z „Centry”. Niedługo przejdzie się tam na mechaniczne izolowanie kubków, a wtedy nam powiedzą: uszanowanie... Gdybym znalazł dobrą robotę, chętnie bym poszedł. Tutaj, brud straszny i ciągły smród, aż w głowie wierci.

- Dlatego odszedłem. Lekarz nie pozwolił mi zostać dłużej. Zresztą pamiętasz, nie mogłem już wytrzymać tego łupania w głowie...

- Znow będzie osiem osób bez pracy!

- Muszą wam przecież coś dać. Ustawa jest, nie można ludzi na bruk wyrzucać. To nie przedwojenne czasy.

- Tere fere, ja tam nie jestem niczego pewien. Ale się nie przejmuję, graby mam zdrowe, zawsze sobie poradzę. No i baba pracuje... Gdzie my jesteśmy?

Tramwaj właśnie przystanął. Ludzie przeciskali się ku wyjściu.

- Most Uniwersytecki.

- Liczysz przystanki? Bo ja liczę. Czasem zagapię się i przejadę dalej...

- Nie, ja orientuję się w terenie. Skręty, wzniesienia, zwrotnice, to mi wystarcza. Odbicie zgrzytów od domów też łatwo poznać, rozróżnić niezabudowane przestrzenie.

- Wam jednak łatwiej, przyzwyczailiście się od urodzenia. Gorzej, jak człowiek

raptem przestanie oglądać siebie w lusterku - zasepił się Ratajczak.

- Łatwiej, nie łatwiej. Tyś widział, wiesz, jak świat wygląda. A ja co? Zawsze to macanie i słuch.

- Ale ci nie żal, bo nie masz czego wspominać.

- Tym więcej ciągnie nieznanne. No, już Kraszewskiego. Wysiadka!

Śnieg zdążył zamienić się w błoto, gęsto zalegające chodniki. Ostrożnie przeszli przez wylot Kościelnej na Dąbrowskiego.

- Złe miejsce na lokal związkowy. Jeszcze kiedy skończy się nieszczęściem - burknął Kupczyk.

- Wszyscy narzekają. Za to blisko i dojazd tramwajem dobry. Przed wejściem otrzepali buty i ubrania. Z otwarciem drzwi wionął na nich gwar licznych głosów i duszne, rozgrzane oddechami powietrze.

- Dzień dobry, dzień dobry - słyszało się co chwila.

W sali zajętej przez bibliotekę brajlowską rej wodziły dziewczęta. Odbywała się tam próba uczestników konkursu recytatorskiego. Głośne powitania i szepty denerwowały deklamujących. I tak już ręce latały im niespokojnie. Ryś Siejek pociągał co chwila nosem, twarz jego ściągała się wtedy w przykrym grymasie, aż stara nauczycielka, po odejściu świetliczanki opiekująca się świetlicą, odwracała się z odrazą.

Maryla Doroszevska żwawo podbiegła, zawołała w głąb korytarza:

- Panowie szlachta, spokój, bo nic tu robić nie można... Za pół godziny koniec, wtedy możecie kwiczeć.

Zatrzasnęła drzwi, przekreśliła klucz w zamku. Roześmiała się oznajmiając, że teraz mają już spokój. Usiadła znowu, ale wierciła się na krześle bez przerwy.

Starsza pani zadreżona była już do ostatka. Dyszała ciężko, z trudem panowała nad sobą. Pragnęła tylko doprowadzić możliwie szybko do zakończenia konkursu. Potem niech sobie zarząd radzi, jak chce. Spojrzała po obecnych. Przeważnie młodzież, ale było i dwóch starszych uczestników. To Pomorska, słynna ze swoich prac włóczkowych, i Kaszak, prawie sześćdziesięcioletni mężczyzna o pełnej twarzy i krótko na jeża przystrzyżonych włosach.

Zastanawiała się, na kogo obecnie kolej. Aha, Ciszewski, ten z długimi włosami, i Wera Mitkówna.

- Panna Mitkówna powie nam teraz swój wiersz... Drobniutka, o nienaturalnie dużej głowie dziewczyna spłonęła nagłym rumieńcem.

- Eee, może jeszcze chwilkę, ja potem... - Zawsze się straszliwie peszyła.

- No, to pan Ciszewski.

Była nauczycielka odetchnęła z ulgą, gdy tym razem nie napotkała żadnych oporów. Szczupły, przystojny mężczyzna, o niemal że bikiniarsko długich włosach, zręcznym skokiem znalazł się na środku pokoju. Ręce złożył na piersiach, skłonił się trochę komediancko, chrząknął. Z pozą zblazowanego aktora czekał na ucieszenie kolegów. Jeszcze raz chrząknął, zaczął z emfazą, głosem patetycznym i donośnym:

Wszystko skończone już...

- Chwileczkę, chwileczkę. Przedtem trzeba zapowiedzieć tytuł wiersza i podać nazwisko autora.

- Asnyk, wiersz pod tytułem Rezygnacja.

Znowu odchrząknął, przechylił się do przodu, wykrzywił twarz, huknął:

Wszystko skończone już pomiędzy nami.

I sny o szczęściu pierzchły bezpowrotnie,

Wziąłem już rozbrat z tęsknotą i łzami -

I żyć i umrzeć potrafię samotnie.

Zebrani wsłuchali się w słowa Asnykowej tęsknoty. Szczególnie dziewczęta siedziały wzruszone, przy którejś zwrotce Mitkówna otarła łzy ze swych ładnych, brązowych, nic niewidzących oczu. Inne też były niemniej przejęte...

Ciszewski jakby wyczuwał nastrój zebranych. To ściszał głos, to znów wybuchał jakimś zrywem rozpacz, potem zwalniał tempo, ledwo sączył słowa. Wykrzywił przy tym twarz, wstrząsał czupryną, gestem tragicznym wyrzucił przed siebie ręce, wreszcie zakończył podniosłym akordem, wznoszącym się niemal do krzyku, i znieruchomiał.

Starej nauczycielce nie podobały się grymasy chłopaka. Raziły ją jego gesty, ale nie raziła interpretacja wiersza. Nie zwracała uwagi na niepotrzebny patos, na nie umotywowane tekstem zniżanie czy podnoszenie głosu. Nie znała się na tym. Odpowiadał jej dobór wierszy. Wszystko to były poezje cierpiętnicze, pełne tragizmu, bezbrzeżnego smutku, goryczy. Nie zastanawiała się nad dziwacznością tych upodobań. Jej stare serce wiele przeszło za młodu, wiele zaznało rozczarowań i smutku. Odnajdywała je w poezji, przysłuchiwała się wzruszona.

Długo trwało milczenie. Dziewczęta skupiły się, objęły ramionami. Jedna tylko Doroszevska kręciła niechętnie głową, a stary Kaszak chichotał cichutko, lecz pogardliwie. Ciszewski dosłyszał ten chichot, zaczepnie przysunął się do starego.

- No jak, panie Kaszak?

- No tak, panie Ciszewski! - odpowiedział stary z przekpinką.

- To było takie ładne, Jureczku - szepnęła sentymentalna Gryskówna.

Siejek siedział skulony, nikłą, zapadłą - jego piersią wstrząsnęło coś jakby szloch.

- No, a teraz, panna Mitkówna. To byłby już koniec. Dziewczyna podniosła się z krzesła. Drżała na całym ciele, trema dławiała jej głos.

- Konopnickiej A jak poszedł król na wojnę... Utknęła.

- No, proszę, proszę! - w głosie starej panny zabrzmiało zniecierpliwienie.

- Konopnickiej A jak poszedł król na wojnę... - Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Jeszcze próbowała się opanować, ale już przebiegł wstrząs przez jej figurkę, dziewczyna wybuchnęła płaczem, zakryła twarz rękoma. - Ja nie mogę, dzisiaj nie mogę...

- I kto to się pcha do konkursu? Z czym? - usłyszała zimny, złośliwy głos Ciszewskiego. Nie lubił jej, wyzwał kiedyś od cieląt z dużą głową, dokuczał przy każdej okazji.

- Głupiś, panie Ciszewski! - zagrział nagle gruby, mocny głos Kaszaka.

Stary robotnik zrobił kilka kroków w stronę, skąd dochodził go szloch. Wyciągnął dłoń, dotknął ramienia dziewczyny. Wtedy przysunął się bliżej, ujął jej głowę w spracowane dłonie, przytulił do piersi.

- Cichaj, cichaj, malutka.

Uspokajała się zwolna. Kaszak gładził ją niezdarnie po głowie. W sali panował gwar, niemal że zgiełk. Nauczycielka przekręciła klucz w drzwiach. Zatrzymał ją jeszcze głos Doroszewskiej:

- Proszę panią, a czy pani Kitliczowa, ta od świetlic, przyjdzie na konkurs? Obiecała...

- Przyjdzie, będzie w jury sędziowskim.

- To dobrze, to dobrze! - Pełna temperamentu Doroszevska aż zatańczyła. - Bardzo mi się podobała.

- Kończcie już, kończcie, dziesięć po siódmej. Teraz pora ma brajła - doszedł od drzwi poważny głos Kupczyka.

- Już, już, Julku... Szkoda, że ty nie stajesz do konkursu. - Doroszevska klepnęła go po ramieniu, zaśmiała się.

Pewnie, sam tego żałował, ale tak się złożyło, że nie miał czasu w okresie przygotowań. Starych wierszy nie chciał powtarzać, nowych zaś nikt mu nie przepowiedział na brajła, żeby się mógł ich wyuczyć na pamięć.

- Kupczyk, Kupczyk, czy wreszcie zaczniemy? - nawoływał któryś z gorliwych uczniów.

- Już, już. No, trzymaj się, Maryla - pożegnał Doroszewską. Stary Kaszak prowadził uspokojoną Mitkównę.

Kupczyk śmiał się w duchu z przejęcia uczestników przyszłego konkursu recytatorskiego. Długo marudzili wychodząc, wkładając okrycia, rozważali swoje możliwości, ciekawi byli składu komisji sędziowskiej. W niektórych odezvaniach znać było zazdrość i obawę przed konkurencją.

Pamiętał z Owińsk swój udział w różnych konkursach, straszliwa emocje, jakie wtedy przeżywał. Wydawało mu się, że wśród tamtejszej młodzieży poziom był znacznie wyższy, I dobór wierszy wyglądał ciekawiej. „W każdym razie trzeba przyjść na konkurs, posłuchać, bić brawa zwycięzcy.”

Kursanci rozsiadali się przy stołach. Usłyszał pukanie rysika wybijającego punkty w okienkach tabliczki brajlowskiej. Ktoś jeszcze teraz uczył się uporczywie. Brzękały tabliczki, szeleścił zakładany w nie papier. Tuż za stojącym blisko drzwi Kupczykiem rozlegał się jednostajny, cichutki chrzęst. Podniósł głowę, nasłuchiwał, potem uśmiechnął się.

- Co, Pomorska, i tutaj przychodzicie z robotą? - Wyczuł wysuwającą się dłoń kobiety, uściśnął ją mocno.

- Szkoda czas marnować! Jedna doktorowa zamówiła swetry dla siebie i męża, muszę szybko wykończyć, bo jadą do Zakopanego... Czemu nie zaczynamy?

- Prezes prosił, aby chwilkę poczekać, ma jakieś pilne sprawy.

- Aha!

- Męża nie możecie namówić? Potrząsnęła głową:

- Nie. Powiedział, że zapisze się na następny kurs. Niech tam... Niezdrowi mu się zresztą. Sama nauczę go, czego tutaj się dowiem, będzie mu łatwiej.

Rozpoznał w tej chwili krok Maleszki. Prezes nie szedł sam, były z nim jeszcze dwie osoby.

- Kupczyk, już jestem! Tylko kolega major ma do was sprawę. To bywajcie, majorze! I jakoś więcej trzymajcie ze Związkiem. Nam trzeba waszej pomocy, roboty przybywa, ludzi brak...

- Dzień dobry koledze.

„Musi być dobrym człowiekiem” - pomyślał Kupczyk ściskając dłoń majora. To samo wrażenie odniósł już kiedyś, gdy zetknął się z nim pierwszy raz.

- Moja bratanica, poznajcie się.

Major ujął go przyjacielsko pod ramię. Kupczyk uczył nagle nieprzewartą chęć poznania jego twarzy. Zapytał:

- Pozwoli pan, że go pobrajluję?

- Widzisz, Lilu, jak my siebie oglądamy? - uśmiechnął się Kijak, nachylił twarz ku szybkim, zręcznym palcom Kupczyka.

Wprawnymi ruchami przebiegały mu po czole, oczach, nosie, policzkach i wargach.

Twarcz majora Kijaka niełatwo pozwalała odgadnąć charakter człowieka. Wśród wyostrzonych rysów tkwił zawsze leciutki, łagodny uśmiech. Czasem można było wziąć go za grymas goryczy.

Major zaczął mówić przyjemnym, trochę metalicznym głosem:

- Mam do was prośbę, kolego. Podobno macie u siebie parę książek francuskich w brajlu? Czy to prawda? Chciałbym je od was pożyczyć. Znam dobrze francuski, a polskie rzeczy, które tylko mogłem wydostać, już przeczytałem... Zima idzie, dni stają się coraz krótsze, w domu się siedzi, a wiecie, nie zawsze to lekkie - dodał tonem zwierzenia.

- Pan major nie zna rosyjskiego?

- Bardzo słabo. Czytać nie potrafię... A w tej chwili nie znalazłbym sił na naukę.

- Ja nie znam francuskiego. Owszem, mam trzy rzeczy, jedna w pięciu tomach. Zabłąkały się tutaj w czasie okupacji, były między brajlowskimi książkami w języku niemieckim. Przyniosę je tu jutro, do sekretariatu.

- Dobrze, dziękuję. Dużą mi tym zrobicie przysługę, kolego. No, macie lekcję, uciekam i tak wam zabrałem czas.

Gdy odchodził, po odgłosie jego kroków można było poznać wojskowego. Stawiał je mocno, energicznie, chwilami jednak czuło się wyraźne wahanie, jakby w niektórych momentach brakowało majorowi odwagi.

Kupczyk myślał o Kijaku. Niby był razem z nimi, a właściwie to nie był. Niby serdeczny, koleżeński, a przecież brakowało więzi między nim a resztą niewidomych.

„A ta dziewczyna wyglądała na znudzoną i zniecierpliwioną koniecznością opieki nad ślepcem. Młoda jeszcze, sądząc po dłoni, nie ma chyba więcej niż szesnaście lat, a jakaś obca. Te palce wysmukłe, może i ładne, ale zimne, odpychające” - myślał.

Podszedł do stolika, nasłuchiwał przez chwilę oddechów zebranych uczniów, oznajmił:

- Zaczynamy.

Przez całą lekcję wspomnienie postaci majora Kijaka wracało jednak nieodparcie. Człowiek ten miał dla Kupczyka dziwny urok.

Kupczyk prawą dłonią wodził po kartce otwartej książki, lewą opierał się o pulpit Koterby. Słyszał, jak stary postękiwał z wysiłku.

- Jak to było?

- Kilka lasek... Powoli, powoli pisać, namyślcie się nad każdą literą. Nie bać się, litery nie ugryzą. Jak napiszecie, to odwróćcie kartkę, sprawdźcie, coście napisali... Pamiętajcie, że piszemy w negatywie, czyli że litery mają odwrócony obraz. Wobec tego przy pisaniu punkty pierwszy, drugi i trzeci gdzie się znajdują kolego Przybylski?

- Po prawej stronie klatki... - Dobrze, a przy czytaniu?

- Po lewej.

- Nie, ja tego nie mogę zrozumieć. Raz tak, raz siak - rozgniewał się Koterba.

Kupczyk nachylił się nad stroicielem, oparł dłoń o jego ramię, tłumaczył od nowa zasady pisania alfabetem brajlowskim. Koterba kiwał głową, znać było, że wkłada olbrzymi wysiłek umysłu, aby pojąć te skomplikowane dla niego wywody.

- Ja nie wiem, jak się to pisze! - w głosie Pomorskiej zabrzmiał lęk.

- Oj, Pomorska, Pomorska! - strofował. - Przecież wam mówiłem., żebyście się wprawiali tylko w rozeznanie dwójki i czwórki. Piszcie na zmianę; jeden rząd punktów drugich, następny czwartych, i tak całą stroniczkę.

- Gotowe! - z triumfem oznajmił Maleszka. Inni też uporali się już z trudnymi słowami.

- Dobrze, sprawdzę potem. Teraz napiszcie takie słowa: laska i kilka lasek.

- Ojej!

- Nic, nic, Koterba, fortepian trudniej nastroić.

- Ale, bogać tam trudniej. Struny jak wosk chodzą w rękę, a ten cholerny rylec wymyka się z palców. Litery też skaczą jak żuki po trawie, ani się obejrzysz, jakieś źle nakłuł...

- Pójdzie, pójdzie, prawda Przybylski?

- Musi.

Nasłuchiwał rozgorączkowanych oddechów, pukania ryłców wykluwających litery sześciopunkt. Jednym szło to sprawniej, inni nie mogli sobie poradzić z opanowaniem układu.

Wbrew jego pesymistycznym przewidywaniom pierwszy kurs brajlowski dla niezaawansowanych udało się zorganizować zaraz w początkach grudnia. Dziś była dziewiąta lekcja. Zamierzał zebrać jeszcze drugą grupę. Szło to dosyć opornie. Ludzie niezbyt chętnie godzili się na duży wysiłek, jakiego wymagało opanowanie brajla. Powodzenie pierwszego kursu dodawało mu jednak otuchy.

Było ich jedenaścioro. Przeważnie starsi. Ot, prezes Maleszka, pokorny teraz,

posłuszny, z iście murarską zaciętością wykluwający rylcem kropkę po kropce, tak jak układał kiedyś cegłę po cegle. Gdy mu się nie powiedzie, zaklnie czasem swoją „pieską-niebieską” i wykluwa dalej. Albo Koterba. Stary stroiciel, pijus niezgorszy, ma swój pewny kawałek chleba, wydawałoby się, może dokończyć życia bez znajomości pisma. Pogodny, wesoły, mający w zanadrzu zawsze kupę dykteryjek, zaradny jak rzadko. Pracuje teraz, męczy się, chce opanować tę nową, (tak trudną dla niego sztukę. Jakże to on powiedział, zupełnie niespodziewanie przychodząc na pierwszą lekcję? Aha. „Teraz nie takie czasy, żeby warto było być głupim.” Wygadał się przy okazji, że samotnie, poza Związkiem, przerabia pierwszy kurs Wszechnicy Radiowej.

Pomorska westchnęła głęboko. Słuchał pukania jej rylca. Długo, ostrożnie wodziła nim po ząbkowanych brzegach klatki, nim wycisnęła kropkę.

- Gotowe! - zabrzmiało triumfalnie kilka głosów.

- Dobrze. Teraz jeszcze jedno, również po parę razy: Emil ma kilka lasek.

- Ojej, nie pamiętam, jakże to - „m” wygląda? Na śmierć zapomniałem, pieska niebieska. Że się to głowy nie trzyma! Kupczyk, pomóż!

Nachylił się mad Maleszka, podszeptając. Prezes rozpogodził się, prawą dłonią mozolnie wyszukiwał klateczki, lewą przytrzymał tabliczkę.

Kupczyk wrócił do swych rozmyślań. „Pomorska choćby. Ma gospodarstwo, dwoje dzieci, mąż zarabia nieźle w szcztokami, jest przodownikiem, zaradny, sam potrafi zrobić zakupy na mieście. Mogłaby siedzieć w domu. Nie, przychodzi na kurs, uparta, ambitna, choć idzie jej rzeczywiście trudno. Do wszystkiego tak się garnie. Dopiero skończyła z recytacjami, od razu zasiadła do nauki. A przecież ma jeszcze sporo roboty na drutach. Ludzie znoszą zamówienia, bo mało kto jej dorówna. Właściwie to powinienem poprosić ją o zrobienie swetra. Siostra przysłała niedawno kilogram wełny. Zima idzie, a palto mam wiatrem podszyte...”

- Pierona, kandyś uciekła? - zasapał Ratajczak, Kupczyk uśmiechnął się. Zauważył w tej chwili, że w kilku miejscach ucichło pukanie rylców. Tak, to Przybylski, Wisus, jeszcze paru. Ci, co już przedtem trochę zaznajomili się z brajlem. Początkowo zamierzał rozdzielić wszystkich na dwie grupy: trochę zaawansowanych i zupełnych analfabetów. Po namyśle zrezygnował. Nawet ci najlepsi nie byli jeszcze tak mocni, żeby im przeszkadzało powtórzenie wszystkiego od początku. Wprawia się, pozostali tymczasem dopędzą ich. Najślabszych poduczał dodatkowo, przed i po lekcji. Taką na przykład Pomorską. Do robót miała palce zgrabne nad podziw, ale w czytaniu szło jej słabieńko. Nie mogła rozróżnić liter. Albo Przybylak. Najmłodszy ze wszystkich. Ośleplł podczas wojny, poniewierał się we wsi,

przypadkiem dopiero przyszedł tutaj, opanował szczotkarstwo. Miał nie więcej niż osiemnaście lat. Niezdolny był, ciężko mu szło.

- Gotowe - usłyszał właśnie głos Przybyłaka.

- Będę sprawdzał kolejno. U kogo przejrzę, niech pisze dla wprawy punkty drugi i szósty na zmianę, a potem pierwszy i czwarty.

Nachylał się, wprawnym ruchem wysuwał kartony z tabliczek, szybko kontrolował teksty.

- Jaka tu laska? Tu wyraźnie napisane jest lampa? - zdziwił się nad tabliczką Koterby.

- Widać ciemno było, to myślałem o świetle - bynajmniej nie zmieszany odciął się stary.

Roześmieli się wszyscy.

Po chwili Koterba zaczął wystukiwać punkty: drugi i szósty. Kupczykowi wydała się podejrzana ta szybkość. Sprawdził. Rzeczywiście, w pośpiechu Koterba coraz to przeskakiwał przez klatkę. Tym razem trochę się speszył, pisał dalej już bardziej uważnie.

Po przeprawie z Pomorską, która upierała się, że jej rylec ma koniec zbyt gruby i dlatego nie wyczuwa nim środkowych punktów, zarządził przerwę. Teraz nastąpić miało czytanie. Zawsze tak dzielił dwugodzinną lekcję. Zadawał jeszcze pracę do domu.

- Uważajcie, bo kończy się nam zapas papieru. A nowy przydział, pieska niebieska, nie nadejdzie z Warszawy tak szybko - przestrzegwał Maleszka.

Milczenie, potem gniewny głos Wisusa:

- Nie gadajcie, prezesie. O sprawiedliwości nie pamiętacie. Sam słyszałem dziś rano, jakeście po parę kilo dawali dziewczętom i chłopcom, co to po szkołach czy uniwersytetach się uczą. To im każdemu aż tyle, a dla nas ma nie starczyć?

- Zrozumcie, że im w szkołach papier przede wszystkim potrzebny.

- Jenteligentów hodujecie, ale dla prostego robotnika to już uwagi nie macie. - Zadzierzysty i kłótlivy Wisus nie myślał ustępować.

Niespodziewanie poparło go jeszcze paru.

- To oni będą mieć matury czy na doktorów się wyszykują, a my nie mamy na czym nauczyć się pisać? Czemu tak? Albo to ślepek ślepakowi nie równy, że jednych windujecie nad drugich?

- Zdolni są i młodzi, wiek im pozwala na naukę - tłumaczył Maleszka.

- Ja też jestem młody! - porwał się nagle Przybylak.

- U nas tak wszystko w Związku. Dla jednych jest, dla innych brakuje. Było kilka zegarków, daliście studentom. A czemu nie innym? Ja nie dostałem, a bo to mnie

niepotrzebny? Gdzie sprawiedliwość, gdzie? Ja już o tym mówiłem na naszym zebraniu, nie chcieliście słuchać - Wisus pienieł się.

- Na tym samym zebraniu ja ci to tłumaczyłem, tłumaczyli inni,

- No, a ja? Osiemnaście mam lat, nie więcej. Też się chcę uczyć! - wmieszał się cienkim, piskliwym głosem Przybylak.

- Będziesz zdolny, to dalej pójdziesz!

- Aha, i jego byście zmarnowali. Co nam po tych jenteligentach. Ot, ten major, co to był dzisiaj? Mądry, uczony, a jaka z niego dla Związku pociecha, hę? - Wisus znajdował nowe, argumenty.

- Pozwólcie, koledzy, może ja parę słów powiem.

Aż drgnęli ze zdziwienia. Rozmuski bardzo rzadko głos zabierał. Przyzwyczaili się już do tego.

- Kolega Wisus powiedział: „Co niewidomym po inteligentach wśród nas”? Tak zrozumiałem.

- A tak. Bo co? Może inaczej?

- Chwileczkę. Jest mała różnica. Mówiono tu o majorze Kijaku. Nie on jeden jest taki. Ze mną podobnie. Wiecie, że byłem bankowcem, dosyć sobie cenionym specjalistą finansowym. Teraz z trudem daję radę w „Stomilu”. Chodzi o to, że wiedzę zdobyłem jako człowiek widzący. I nie umiem jej teraz spożytkować, nie wiem jak, choć bardzo bym chciał. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa tych, którzy kończą studia już jako niewidomi. Ci będą umieli pracować, pokażą swoim przykładem, na co nas stać. Dalej będą rozwijać to wszystko, co się teraz robi w Polsce dla inwalidów. I zamiast wyrzekać, powinniśmy ułatwiać naukę naszym kolegom. Dopiero dziś uzyskali możliwość jej zdobywania. Niechaj więc korzystają, to dla nas wszystkich oni się uczą, nie dla siebie. Kolega Zygał kończy prawo, chce zostać prokuratorem, otrzymał już pierwszą praktykę, radzi sobie podobno doskonale. Czy tacy jak on nie wpłyną na poprawę sytuacji niewidomych? Czy nie potrafią opracować i przeprowadzić zatwierdzenia uchwał umożliwiających nam jeszcze pełniejszy udział w życiu kraju? Albo kolega Korycki, który ukończył w tym roku socjologię i jako temat pracy magisterskiej opracowuje zagadnienie produktywizacji niewidomych? Czy to nie ułatwi nam potem przełamywania oporów, tak jeszcze częstych, przy zatrudnianiu niewidomych w przemyśle? Można by tak argumentować bez końca... Nie macie racji, kolego Wisus! Gdyby nawet miało zabraknąć dla nas papieru, to co najwyżej poczekalibyśmy parę tygodni. A oni czekać nie mogą. W liceach, na uniwersytetach trzeba się uczyć i uczyć bez przerwy, niewidomemu więcej niż innym. Oni muszą mieć papier. I Zarząd mądrze robi.

- Kruk krukowi oka nie wykołę. Wy zawsze jednym frontem przeciw robotnikowi... - Wisus nie bardzo wiedział, jak argumentować.

- A ja kim jestem, kolego, czyż nie takim samym robotnikiem jak wy? Wy dziewiarz, ja przy dętkach w „Stomilu”, obaj pracujemy fizycznie. Ale obaj się uczyliśmy, chcemy czytać i pisać. Wiemy, że to potrzebne. Tamci idą dalej, trzeba im pomóc... Tyle!

Nikt już nie podejmował dyskusji. Maleszka bębnił palcami po stole. Koterba to usłyszał, przestraszył się nowego wybuchu ze strony prezesa, roześmiał się.

- Jużeście się wyklócili, teraz pora na mnie. Wiecie, jaką miałem wczoraj przygodę? Dziewczyna, co to mnie czasem obszywa, kazała przynieść pięć metrów tasiemki, do kalesonów była potrzebna... Ty, Wisus, nie przerywaj, już ci jakieś świństwo w głowie! - zwrócił się do kompana słysząc jego podejrzliwe mruknięcie. - Tasiemka tasiemką, można kupić, nie majątek. Idę na Kraszewskiego, tam jest taki sklep z drobiazgami... Szturcham laską jedne drzwi, drugie, a wiem, że ten sklep to trzeci albo czwarty z kolei. Wreszcie jest. Włazę, cisza, nikogo z kupujących, rozradowany wołam od progu: „Panie, pięć metrów tasiemki poproszę...” Aż tu nagle grubachny głos odpowiada mi: „Pięć metrów kiełbasy mogę panu sprzedać, ale tasiemki nie mam!” Tom dopiero pojął, że do rzeźnika trafiłem... Od dziś już wacham, mim wejść gdziekolwiek.

- Ten zawsze coś musi wymyśleć - zaśmiewali się.

Z jednego nastroju łatwo przechodzili w zupełnie inny. Kupczyk skorzystał z okazji, wrócił do lekcji. Coś jeszcze sobie przypomniał, nachylił się ku Przybylskiemu:

- A czemu to waszego wielkoluda znowu dziś nie ma?

- Dzitki? Ech, to samo co zawsze... skrzywił się niechętnie Przybylski.

- Aha... No dobrze! Może teraz kolega Przybylski przeczyta z elementarza... O tutaj, od samej góry...

Przybylski przesuwiał prawą dłoń po tekście, lewą sprawdzał już odczytane litery. Dukał powoli:

- Emil i Kasia idą do sali. Idę do sali na naukę. Pozostali uważnie śledzili tekst na swoich elementarzach. Nie wszystkim szło łatwo. Większość nie potrafiła jeszcze odczytać nie tylko słów czy zdań, ale nawet i liter.

Dopóki szło o pisanie, Ratajczak dawał sobie z tym radę. Zapamiętał układ większości liter, umiał odróżnić rozmieszczenie punktów w klatce. Kłuł rylcem uważnie, z jakąś pasją, cieszył się, gdy Kupczyk nie znajdował błędów.

Przy czytaniu jednak opadało go zwątpienie. Z zazdrością słuchał dukania

Przybylskiego, Wisusa, paru innych. Nie pocieszał go fakt, że byli tacy, którym szło nie lepiej od niego.

- Dziewiąta lekcja, a ja nic jeszcze, pierona, liter nie rozpoznaję - szeptał z głęboką rozpaczą. - To gorzej niż rąbać na przodku - wspominał swą przeszłość górniczą.

I znów wodził niekształtnymi, grubymi palcami po drobnym maku brajlowskich punktów. Nie, nie potrafił rozróżnić ich położenia. Tyle, że teraz już wyczuwał obecność kilku punktów pod palcem. Przedtem i z tym nie mógł sobie poradzić. Punkty jednak nie formowały mu się jeszcze w żadną literę. Różnie próbował: to naciskał silniej, to znów lekko przeciągał opuszką wskazującego palca po papierze, nic, ciągle tylko te jagły, gorzej, mak rozsypany na karcie...

Oblał się potem. Gdzież tu oni widzą, że laska? Napisać potrafiłby, wiedział, że przy „l” musi być pierwszy rząd od góry, przy „a” natomiast tylko jedynka, na lewo od góry. Samo „a” odczytywał, tyle tego. Żadna inna litera nie chciała formować się w czytelny znak pod jego palcem. Nie rozróżniał zupełnie odległości, mimo że pierwsze lekcje w elementarzu pasane były z zachowaniem dużego odstępów pomiędzy literami. Nic nie wychodziło. Kropki stawały się gmatwaniną, z której nie umiał wyłuskać żadnego sensu.

Usłyszał pacnięcie kropli potu na elementarz. Palce wyczuły wilgoć. Pośpiesznie wyciągnął chustkę, otarł zroszone czoło. Nie pocił się tak od czasu, gdy pracował w kopalni.

Odjął ręce od kartki dając odpoczynek zmęczonym palcom. Potrząsnął głową. Dziwne uczucie! Ile razy z tym szczególnym napięciem przesuwiał palcami po wypukłościach tekstu, tylekroć doświadczał potem wrażenia bólu około oczu. Aż się dziwił przypominając sobie, że gdy czytał jeszcze normalnie, zawsze po dłuższej lekturze odczuwał podobny ból.

Obok Maleszka męczył się wraz z Kupczykiem nad odcyfrowaniem zawilego, ukrytego w sieci punktów słowa laska. Trudno mu szło. Ratajczak chwilę słuchał, potem wspomniał na moment, gdy dawno już temu dla ciekawości powiódł dłońmi po otwartej stronie książki brajlowskiej. Wiedział, że to ma być pismo wypukłe. Wyobrażał je sobie jako znaki rozmiarów włoskiego orzecha, przynajmniej monety jednogroszowej. Pierwsze dotknięcie wywołało niedowierzanie, potem zaś przerażenie. Cóż można wyczytać z tej jagły rozsypanej na papierze?... Gdziekolwiek dotkniesz palcem, napotykasz takie ziarna biegnące w różnych kierunkach. Pomyślał, że to nieprawda. Pismo nie może być aż tak drobne...

Śmiejąc się serdecznie młody chłopak, wychowanek szkoły w Owińskach, odczytał mu wtedy treść znaków. Ratajczak słuchał uważnie, nie bardzo wierzył. Nie zamykając książki zwrócił się z tą prośbą do drugiego brajlisty. Ten powtórzył mu słowo w słowo to samo. Wtedy doszedł do wniosku, że posiada dotyk zupełnie nie wyszkolony, że palce jego

mają skórę grubszą od innych; dlatego czytanie sprawia mu trudność nie do pokonania.

Dziś jeszcze nie całkowicie ufał zapewnieniom Kupczyka, że naskórek jego nie różni się od innych. Przed tygodniem dobrą godzinę drapał sobie czubki palców ostrą żyletką pragnąc wzmocnić ich wrażliwość. Nie tylko nie pomogło, ale było znacznie gorzej. Delikatna skórka zaogniła się, dwa dni chodził z obwiązanymi palcami.

I wtedy się uparł. Zaprzysiął sobie, że nie bacząc na wstyd, choćby nawet na wyśmiewanie kolegów, nauczy się czytać. Tak jak nauczył się swobodnie poruszać. Przecież początkowo we własnym domu miał sobie dać rady, obijał się o każdy mebel, chodził z daleko wyciągniętymi przed siebie dłońmi, szurał nogami. Bez pomocy żony nie odważał się wyjść parę kroków poza ich dom w Ligacie. I wtedy dopomógł mu upór. Uparł się, że potrafi sam sobie poradzić. Długo trwało, nim dopiął swego... Uśmiechnął się na wspomnienie tysiącznych potknięć i niemniej licznych guzów, które towarzyszyły temu usamodzielnieniu.

Nachylił się znowu nad stołem. Pokryta licznymi bruzdami, nacętkowana pod skórą plamkami węgla twarz jego przybrała wyraz skupienia. Zacisnął zęby, aż w szczękach zaboląło. Twarde, spękane dłonie położył na otwartej karcie elementarza. Wskazujące palce rozpoczęły długą, mozolną wędrówkę...

- No, jakże ci idzie, Ratajczak? - Kupczyk nachylił się nad nim przyjaźnie, jakby dla dodania otuchy poklepał go po ramieniu.

- Musi iść, pierona! - syknął nieustępliwie.

Leżeli wszyscy. Dzitko pochrapywał jak zawsze. Marcińczyk z Karolem leniwie wymieniali po parę słów, znów zastygali w zadumie.

Przybylski wchodząc pociągnął nosem. Słaby zapach alkoholu roznosił się po izbie. Dzitko zbudził się na skrzyp drzwi, usiadł na łóżku.

- Ech, to ty, Stefan? - ziewnął.

- Ja. Wszyscy byli na lekcji. Kupczyk pytał o ciebie. Piliście znowu?

- Ech, małe pół litra. Pieniądzy nie ma.

- A do końca miesiąca jeszcze daleko.

- Ty byś ciągle tylko krakał i krakał, Przybylski. I bez tego dość nudy. Miały przyjść dziewczęta, poczytać, zapomniały pewnie albo się im nie chciało. Gadamy z Karolem pod chrapanie Bolka - leniwie informował Marcińczyk.

- Warpechowskiego nie ma?

- Nie, przylazła po niego jakaś dziewczucha, poszedł. Już on za tymi babami świata nie widzi.

Przybylski krzątał się przy swoich rzeczach.

Minał nagle dobry nastrój godzin spędzonych w Związku. Atmosfera wspólnego pokoju działała na niego coraz bardziej przygnębiająco. „Nuda, nuda i jeszcze raz nuda” - myślał. Czerpak zaniechał gry w szachy, nie pociągała go już. Marcińczyk spoważniał, strofował nawet czasem Warpechowskiego, ale widział wszystko w czarnych kolorach, nocami wzdychał ciężko, nie śpiąc przez długie godziny. Dzitko był taki jak zawsze. Poddawał się wpływowi reszty. Rozleniwił się, spał nieustannie. Ledwie przysiadł za stołem czy legł na łóżku, wnet chrapał.

- Czwarty miesiąc się zaczął od przybycia tutaj - ni stąd, ni zowąd powiedział nagle Karol. - Inaczej już niż na początku. Pamiętacie, jakieś marzli pod mokrymi płaszcami? I jaki tu chlew był u nas?

- Wypiłbym. Mógłby Ziuk przynieść butelkę.

- Dzitko, spałbyś lepiej. Ledwo trzy dni minęło, kiedyś się urznął jak bela. Skąd ci ochota do chłania?

- Ochota, bo ochota!

Przybylski wyszedł na korytarz, napełnił czajnik wodą, włączył wtyczkę do kontaktu. Sprawdził, potrząsając, czy w czajniczku do zaparzania jest herbata.

- Mam przydział na radio, jutro przyniosę. Z monterem też załatwiłem, założy antenę. Tylko, chłopcy, pamiętajcie, żeby nie popsuć. Osiem rat... - opowiadał Stefan, rozpromieniony. Radio było jego dawnym marzeniem.

Do pokoju z trzaskiem wpadł Ziuk. Ramienia jego trzymała się pijana, chichocząca Pypciówna.

- Radio sobie kupuje, hrabia. A na wódkę toś nie chciał, dziadzie, pożyczyć. Forse, którąś bratu podwędził, odesłałeś już? Hrabia z cudzej kieszeni - zaśmiał się złośliwie. - Chodź, Małgośka, na moje łóżko, wypijemy tę ćwiartkę. Jak Dzitko będzie grzeczny, to mu też damy.

W pokoju zapanowało milczenie. Przybylski nie odpowiedział na zaczepkę, ale ręce jego zacisnęły się mocniej na poręczy łóżka. Nie znosił tego chłopca, wszystko w nim wrzało.

Tamtym trzem zrobiło się nagle przykro. Rozradowała ich wiadomość o tym, że w ich pokoju znajdzie się radio. Marzyli przecież o tej czarodziejskiej skrzynce, grającej, mówiącej, dającej tyle radości. Już mieli zamiar pogadać na ten temat, gdy Warpechowski zepsuł wszystko. Cuchnęło alkoholem od tej pary. Dziewczyna obejmowała Warpechowskiego, domagała się wódki. Zaczęli pić prosto z flaszki.

Przybylski nie wytrzymał. Gwałtownym ruchem zapalił światło. Dziewczyna

zapiszczała cienkim głosem:

- Zgaś, dziadzie, światło!...

Znów zabulgotała wódka. Resztkę oddała Warpechowskiemu. Wypił do dna, potem rzucił butelkę o podłogę, pod nogi Dzitce.

- Ziuk, przestaniesz? Pędź won to babsko, pókim dobry! - powolnym, flegmatycznym głosem zachrypiał nagle Dzitko.

- Durna pało, mam i dla ciebie co wypić, o patrz! - brzęknęła nowa flaszka. - Nie jestem ja zły kolega, nie. To Przybylski tylko o sobie pamięta, a was ma...

Małgośka zapiszczała mocniej z uciechy.

- A ja bimbam na was, boście wszystkie ślepoki! Chi! chi! chi! Zatrzeszczały sprężyny. Dzitko podniósł się ze swojego łóżka.

Przeciągnął ramiona, aż w stawach zgrzytnęły.

- Pójdiesz ty, hadzie? - ryknął.

- Mam cię gdzieś, rozumiesz...

- Jak nie wyjdiesz w tej minucie, to ja cię wyniosę, ale byś kości miał całe.

- Mam cię głęboko, zostaw mnie, bo łeb ci rozwałę, chamie! wrzasnął Ziuk.

- Kąsasz, gadzino? No, czekaj ty! - zasyczał Dzitko. Ponownie uniósł Ziuka za kark, tym razem kołnierzem jego marynarki okręcił dobrze swą pięść, aby chłopak nie mógł ugryźć. Warpechowski miotał się, krzyczał, wierzgał nogami, omal nie wywrócił stołu, wreszcie zaczął charczeć, dusił go kołnierz ubrania.

- Dzitko, co robisz, puść go, puść! - krzyknął Marcińczyk, który dopiero teraz zareagował na to, co się działo.

- Cicho, bo i ciebie wyniosę - zasyczał znowu Dzitko. - Nie udusi się, gad nie duśliwy...

Jeszcze chwilę potrzymał Warpechowskiego w miejscu, potem ciężkimi, długimi krokami podszedł ku drzwiom. Omal nie rozbił sobie głowy o zostawione przez Małgośkę wpół otwarte drzwi. Wyrzucił Warpechowskiego na korytarz.

- Czemuś to zrobił, Dzitko? - zawołał Marcińczyk.

- Cicho, cicho, bo gniewliwy dziś jestem. Co, wraca?

Ziuk z rykiem wpadł do pokoju, ciągnął za sobą coś ciężkiego.

- Gdzie ten cham, gdzie, psia jego morda?... - seplenił, słowa mu się plątały.

- Ja? Tutaj, tutaj! - odezwał się Dzitko z całym spokojem. Warpechowski bełkocąc rzucił się w tę stronę, zadzwięczało jakieś żelazo, ze stołu z brzękiem posypały się szklanki. Dzitko stęknął, potem skoczył na oślep, już nie nasłuchując, złapał Ziuka.

- Ach, z żelazem ty na mnie? - Odrzucił wyszarpięty z dłoni Warpechowskiego łom.
- Teraz ja ciebie dalej wyniosę, a drugi raz nie pozwolę wrócić. Nie z Dzitką tobie zaczynać, gad!

Nie zważając na wrzaski i odgrazania chłopaka niósł go. Tym razem pozostali w izbie długo słyszeli towarzyszące wrzaskom mocne, powolne kroki Dzitki po korytarzu, potem na schodach, gdzieś już zupełnie na dole.

- Co on z nim zrobi?- poderwał się wystraszony Marcińczyk.

- Nie wiem. - Stefan pobladł, drżały mu ręce. - Kto wie, do czego ten Dzitko w pasji może być zdolny.

Wszyscy trzej rzucili się do drzwi, biegli objijając się w pośpiechu o ściany korytarza. Byli już na pierwszym piętrze, gdy doszedł do ich uszu głośny krzyk Warpechowskiego, potem klątwy jakieś i piskliwy, wystraszony głos kobiety. Zatrzymali się.

- To u Pypcia, co oni tam robią?

Czekali. Po chwili zadudniły ciężkie kroki Dzitki. O metr przed nimi przystanął, wyczuł ich obecność.

- Kto tu?

- Coś z nim zrobił?

- Co? Zaniósłem do tego kulawca, rzuciłem do środka, niech sobie cieszą się razem z tą dziewczką. Świnie, gady...

- Zaraz wszyscy przylecą tutaj, znów będzie granda.

- Nie wrócą. Powiedziałem, żeby nie śmieli, bo głowy im porozbijam. Kulawiec to tchórz, a córka siłą przytrzyma Ziuka.

Wracali ponurzy. Sąsiedzi, którzy wylegli na korytarz zwabieni hałasem, umilkli na ich widok. Znaleźli się znów w swoim pokoju. Dzitko siad na łóżku, ciężko sapał. Zmęczyła go ta przeprawa. Nagle wstał, podszedł do łóżka Ziuka, coś tani szurał rękami, Po chwili otworzył szeroko okno i na pusty o tej porze plac Wielkopolski wyrzucił flaszkę wódki zostawioną przez Warpechowskiego. Rozległ się ostry brzęk tłuczonego szkła. Dzitko zaśmiał się pogodnie jak zwykle.

- Koniec!

Nie zrozumieli. Powtórzył:

- Koniec, więcej pił nie będę! - Zawahał się. - Powiedz, Przybylski, czy ja po wypiciu wyglądam jak świnia?

- Gorzej.

- Aha! No to koniec.

Czerpak zachichotał, oświadczenie Bolka wydało mu się śmieszne. Marcińczyk zacisnął zęby. Nie powiedział nic.

Dzitko odsapnął, mówił już spokojnie, cichym głosem:

- Trzy miesiące. Jeden o głodzie i chłodzie, dwa przy wódce. Ot jak! Zamiast żyć jak ludzie to my jak, jak... - nie mógł znaleźć właściwego określenia.

- ...świnie - podpowiedział szeptem Przybylski. - O to, to. Jak świnie!

Marcińczyk poruszył się niespokojnie. Olbrzym zrozumiał.

- Ty nic nie mów, bo prawda! Wódka, jakieś baby rozpustne, czort wie co... Ja też razem, tfu! - splunął nagle. I zaraz dorzucił mocniej: - Jak nam tu zrobią ten internat, ja z tym gadem razem mieszkać nie myślę!

- Dajże spokój z internatem. Swobody nie będzie - sarknął Czerpak.

- Jaka tobie swoboda? Że bab nie można sprowadzać? To i dobrze. Takich jak Małgośka, co tylko ściskać się chcą na łózkach i wódkę pić, nam nie trzeba. A porządne i tak nie chciały przychodzić do nas, żeby porozmawiać, poczytać...

- Były przecież dwie córki portiera. I dziś miały przyjść.

- Ale nie przyszły! Mądre dziewczyny. Wstyd tylko byłby przed nimi - uciął Dzitko jakimś nowym, kategorycznym tonem. W tej samej chwili uczuł obejmujące go serdecznie ramiona. Poznał, odwzajemnił uścisk.

- Ech, Stefan, jaki ja był durny, jaki durny...

- Herbata kipi! - przypomniał Karol.

Przybylski wyłączył grzejnik, podał gorącą herbatę. A potem rzekł tonem proszącym:

- Czerpak, poczytasz nam później. Przyniosłem Placówkę Prusa, ale mnie samemu ciągle jeszcze czytanie źle idzie. Przybylski pierwszy wypił herbatę, wyciągnął z kąta grubą księgę brajlowską, sprawdził jeszcze, czy trzyma w dłoniach pierwszy tom.

V

- Kierowniczką powiedziała dzisiaj, że od przyszłego tygodniu nie będzie już mogła pożyczać mi maszyny, powinnam, jej zdaniem, wystarać się przez Związek o własną... Prezes robił, co mógł, ale na to Związek nie ma funduszy.

- I co będzie?

- Matka ma przyjechać za kilka dni, żeby mi kupić płaszcz i buty. Myślę, że jeszcze obejść się bez nich w tym roku.

- Nie martw się, nie będzie maszyny, to ja ci napiszę, podyktujesz mi z brajla.

- A twój czas?

Koleżanka przytuliła do siebie niewidomą.

- Ej, Miśka, pomożesz mi w historii i polskim, najwięcej umiesz i łatwo ci idzie. Nie to, co mnie...

Królowna ucałowała Melę Suchocką, z którą zaprzyjaźniły się serdecznie. Pomagały sobie nawzajem. Mela czytała jej głośno bieżące lekcje, ułatwiała także opanowanie obowiązkowych lektur, tych, których brakło w księgozbiorniku brajlowskim.

Do pokoju z hałasem wpadły dwie dziewczynki. Od samego początku mieszkały we czwórce, poznały się już i polubiły.

Malutka, żywa Józia podbiegła do Misi, ujęła ją za rękę, zakręciła wokół.

- Wiesz, podsłuchałyśmy z Kazią rozmowę Gacka z dyrektorem. Przyrodnik bardzo się wstawiał za tobą i Janką, mówił, że to jest krzywda takie postępowanie, że sam początkowo traktował was niesprawiedliwie jak inni, dopiero rozmowa z tobą otworzyła mu oczy. „One przyszły tutaj się uczyć, kolego, a nie czekać na filantropię!” - wołał. Dyrektor machał rękami, mówił, że to fikcja, że przecież najlepsze, co można zrobić, to tolerować waszą obecność i jakoś przemykać oczy na te tak zwane studia. „Mało to teraz widzi się podobnie poronionych pomysłów? Nadgorliwość, nadgorliwość, panie kolego, i pan też dał się jej unieść...” A wtedy Gacek krzyknął, że on wie, co mówi, że sprawdził wasze wiadomości i z czystym sumieniem wystawia dobre stopnie, że dyrektor zajmuje antyhumanistyczną postawę. Potem trzasnął drzwiami i wyszedł. Widzisz? A na początku, pamiętasz, jak was w ogóle nie zauważał w klasie?

- Tak, przez pierwszy miesiąc, nie wiem, czy raz się do mnie odezwał...

- Omijał waszą ławkę łażąc po klasie. A teraz patrz, jaki obrońca. Wiesz co, Miśka? Gacek się pewnie w tobie zakochał. On jeszcze młody, a że brzydki straszliwie i wie, że

żadna z nas na niego nie spojrzy, to wybrał ciebie... - z powagą mówiła Kazia, piętnastoletnia kobietka,

Pozostałe wybuchnęły śmiechem. Misi zrobiło się przykro. No tak, ona nie widzi, więc brzydotę i wszystko, co najgorsze, zostawiają dla niej.

Zatęskniła za samotnością. Koleżanki miały wychodzić na pozalekcyjne ćwiczenia sportowe. Pływały obecnie na krytym basenie.

- Idźcie, idźcie, bo się spóźnicie i nie wpuszczą was na pływalnię. - Sprawdziła godzinę na zegarku. Dostały je z Bronowską niedawno dzięki staraniom Maleszki. Był to prezent od Zarządu Głównego.

- No i co będzie z Gackiem? Ty jesteś z nas najstarsza, możesz wychodzić za mąż - chichotała Kazia, marząca stałe o wielkich, romantycznych przygodach miłosnych.

Odetchnęła z ulgą, gdy głosy koleżanek ucichły w długim korytarzu. Uśmiechnęła się smutnie. Zatarła zziębnięte ręce, siadła za stołem. Dłonią odruchowo gładziła czcionki maszyny do pisania. Nie wyobrażała sobie już nauki bez niej. Każdą pracę pisemną opracowywała najpierw pismem brajlowskim, a potem dopiero, po skorygowaniu, przepisywała na maszynie „ślepą metodą”. W ten sposób pisała też listy do domu i znajomych, do najbliższych jej osób w Owińskach.

„A jednak dobry ten Gacek” - pomyślała o przyrodniku, którego nazywały tak, bo miał uszy odstające jak nietoperz.

Poza historykiem, który od pierwszego dnia, od owego niefortunnego przyprowadzenia ich z gabinetu dyrektorskiego do klasy, szczerze zaopiekował się niewidomymi uczennicami, Gacek był pierwszym z profesorów, który się do nich właściwie ustosunkował. A ile miały przykrości na jego lekcjach! Wyraźnie przecież podkreślił przy pierwszej półokresówce, że stawia im obu dostatecznie, ale nie bardzo jest pewien, czy wiadomości ich „dają po temu wystarczające powody”.

Czuła, że jest rozdrażniona. Powtórzone przez koleżanki starcie Gacka z dyrektorem nie wpływało uspokajająco. Trudności nie malały, mimo że mijały cztery miesiące od chwili, gdy drżące, speszone zasiadły w ławce szkolnej... Tyle się już przeciwności pokonało, a tak wiele nowych wciąż wyrastało przed dziewczętami, których jedyną winą było to, że nie miały wzroku...

Przez pierwsze tygodnie pobytu w internacie było jej bardzo ciężko, męczyły ją lekcje, na których z całym napięciem skupiała uwagę wiedząc, że podstawą jej wiadomości będzie to, co zapamięta z wykładów, denerwowały ją mnożące się ciągle trudności i niezrozumienie ze strony wykładowców i koleżanek. Nie znajdowała również spokoju i

wypoczynku w swym pokoju. Jej trzy towarzyszki, w zasadzie miłe, o dobrych sercach dziewczęta, były naiwne i czasem po dziecięcemu okrutne. Pierwszy raz zetknęły się z niewidomą i nie umiały ocenić rozmiaru nieszczęścia. Wynajdywały różne sposoby, by wypróbować zdolność orientacji nowej koleżanki, i często nie domyślając się nawet, sprawiały jej wiele bólu.

Już pierwszego dnia zaczęło się ze szczotką podłożoną w przejściu między łózkami. A potem wciąż powtarzały się nowe „psoty”, jak to określały niewinnie.

Musiała być stale skupiona, czujna, przygotowana na różne niespodzianki. Potrafiły podłożyć jej miednicę z wodą pod pościel, nasypać soli do herbaty, przesunąć cichutko talerz w ten sposób, że łyżka czy widelec trafiała w próżnię. Parę razy zamieniały jej ubranie przy rannym wstawaniu. Wyczuwała od razu, zaledwie wzięła sukienkę do ręki. Dziwiły się, próbowały dowodzić, że jednak cośkolwiek musi widzieć. Nie mogły pojąć, jak dalece wysubtelniony może być dotyk palców. Kilkakrotnie nie znajdowała rano butów. Szukając opuszczała śniadanie, na dzwonek musiała śpieszyć do szkoły w mocnych pantoflach. Pod wieczór buty znajdowały się pod innym łóżkiem, schowane w umywalce, na korytarzu albo w szafie na szczotki.

Bała się, że nie starczy jej sił na walkę z dyrektorem, z większością wykładowców, z koleżankami. Zaczęła zastanawiać się, czy nie lepiej byłoby zrezygnować z nauki i pójść do pracy w dziewiarstwie, szczotkarstwie czy przemyśle. Odwiedziła niedawno Basię, koleżankę z Owińsk, pracującą teraz w szczotkami. Przypomniał jej się obraz dużej, przestronnej sali, wesołych rozmów niewidomych, wspólnego śpiewu, żartów, często złośliwych, ale jakichś bardziej swojskich, mimo wszystko serdecznych. Robienie szczotek dobrze jej szło na zajęciach zawodowych w Owińskach. Drut do ręki złożony w pół, kolankiem osadzony w otworze, założona pod nie kępka włosia czy innego surowca, ostre pociągnięcie, sprawdzenie dłonią stopnia wytrzymałości, ponowne złożenie drutu w kolanko i tak dalej, i dalej... Osiem godzin, potem internat, drobne troski i radości, wyprawa do związkowej świetlicy, zabawa, jakiś chór lub muzyka. Kiedyś może nawet miłość, dom własny...

W tym momencie marzenia się urwały. Misia była trzeźwa. Wiedziała aż nadto dobrze, że los niewidomych dziewcząt jest o wiele smutniejszy niż mężczyzn. Na dziesięć jedna zaledwie wychodzi za mąż, wiele wpada w stan depresji, nie umie sobie znaleźć miejsca na świecie... Właśnie troska o niewidome dziewczęta popchnęła ją na studia pedagogiczne. Z myślą o nich zмага się z przeciwnościami, niedosypia po nocach, ucząc się do późna. Pragnie ulepszyć metody pracy i nauczania w zakładach dla niewidomych, przystosować dziewczęta do życia, rozbudzić w nich nowe ambicje.

Długi czas znosiła wszystko w milczeniu, nie zwierzała się nawet Bronowskiej, która też miała dość własnych przeżyć, a bardziej wrażliwa - odchorowywała ciężko przykrości szkolne, Przyszedł jednak dzień, gdy cierpliwość Misi wyczerpała się do reszty. Koleżanki wycięły z papieru śmieszna, brzydką kukłę, przywiesiły ją na plecach Kralówny. Nie wiedząc o tym paradował n całe popołudnie z karykaturalną figurką na sobie, nie mogła zrozumieć chichotów wybuchających przy każdym jej poruszeniu. Dopiero wieczorem, przy układaniu sukienki na krześle, wyczuła, że przypięty jest do niej jakiś papier. Uważnie oprowadziła palcem kontury, zrozumiała. Spytała cicho, poważnie:

- Długo ja z tym chodziłam?

- Całe popołudnie.

- Dlatego tak byłyście rozbawione?

Tym razem odpowiedziało jej milczenie.

- Posłuchajcie, dziewczynki. Pomyślcie, gdybyście nie widziały, jakby wam wtedy było? Miałam jedenaście miesięcy, nie zdążyłam jeszcze nauczyć się widzieć i poznawać, gdy utraciłam już na zawsze radość widzenia... Matka wychodziła pracować w pole, zostawiała mnie pod opieką starszej siostry. Ona chciała się bawić z innymi dziećmi. Ponieważ nie spałam, ścisnęła mi mocno oczy... Tak się skończyło. I teraz...

Mela zaczęła chlipać cichutko, żałośnie.

- Nie płacz, Mela, mnie bardzo przykro to mówić... Zrozumcie, że mnie i Jance naprawdę jest bardzo trudno, nie utrudniajcie jeszcze więcej. Ja tak chciałabym was prawdziwie pokochać, chciałabym dopomóc w czym mogę, chciałabym...

Tutaj i ona nie wytrzymała. Wzruszenie tłumione przez tyle czasu musiało kiedyś znaleźć upust. Misia schyliła głowę, zagryzła mocno wargi, aż poczuła smak krwi. Nie wstrzymało to jednak łez, które dużymi kroplami spadały z jej niewidzących oczu. Zapadło milczenie.

- Misia, Misia, nie gniewaj się, ja cię bardzo lubię, Misia! - Mela przytuliła się do niej z gwałtownością małego dziecka. - Ja już nigdy nie pozwolę na coś takiego. Ja nie rozumiałam, mnie się to zdawało całkiem inaczej. Ale teraz...

A Misia znów musiała zacisnąć zęby. Coś ją dusiło w gardle. Opanowała jednak wzruszenie.

- Wiecie co, powtórzmy sobie teraz historię. Dużo nam zadał... Ja już to umiem...

- Umiesz? My jeszcze nie - zdumiały ssie.

- Tak, przed dwoma dniami nauczyłam się z notatek, nocą, jakeście spały.

Spojrzały na nią z podziwem.

Janka, zdawała sobie sprawę, że ma znacznie lepsze warunki nauki niż Misia. Mieszkała u ciotki, która, wzięwszy za punkt honoru „wyprowadzenie dziewczyny na ludzi”, czyniła wszystko, aby osłodzić jej kalectwo. W pierwszym tygodniu nauki licealnej dała siostrzenicy w prezencie maszynę do pisania. Przerabiała z nią każdą lekcję, poza lekturą obowiązkową czytała wiele książek. Odprowadzała ją do szkoły. Ponownie pojawiała się tam w momencie zakończenia lekcji. Na spacer, do Związku, do koleżanek - stale towarzyszyła dziewczynie. Pełną swobodę poruszania się Janka miała tylko na terenie mieszkania.

Ta opieka nie zawsze wychodziła dziewczynie na dobre. Już w Owińskach, lękliwa i przewrażliwiona, poruszała się mniej swobodnie niż inne dzieci. Dokładna znajomość budynku zakładowego łagodziła trochę jej obawy. Ale przy zabawach na wolnym powietrzu wychowawczynie miały z nią sporo kłopotu. Bała się sama zjeżdżać z górki na sankach, nie lubiła uczestniczyć w gonitwach, nie bawiła się w piłkę. Teraz z każdym dniem, zamiast wzrastać, samodzielność jej malała. Mimo to nie straciła nic z wrodzonej żywości. Zgrabna, smukła, miała w ruchach wiele lekkości i wdzięku. Na ćwiczeniach gimnastycznych w Owińskach stawiano ją za przykład. W domu często kręciła się po pokoju, nastawiała radio i tańczyła w takt muzyki, pilnując, aby nie przekroczyć płaszczyzny dywanu, gdzie była bezpieczna przed przykrym zderzeniem z meblami.

Wrażliwość, łatwość ulegania nastrojom nie pomagały Jance w walce z trudnościami, jakie spadały na nią obecnie. Kto wie, czy nie załamałaby się już po pierwszym tygodniu pobytu w szkole, gdyby nie obecność Kralówny. Jej hart dodawał otuchy i Jance.

Janka zdolniejsza była od Misi. Na wytypowanie Kralówny do liceum wpłynęła głównie jej postawa społeczna, chęć nauczania niewidomych, przyjscia im z pomocą, walki o ich sprawę. Bronowska wybijała się zdolnościami i gorącym pragnieniem wiedzy.

Mało kto jednak znał albo domyślał się prawdziwych pobudek, które kazały jej nie sypiać nocami i uczyć się uparcie, wytrwale, z głową obolałą czasem od nadmiaru pracy. Z półsłówek koleżanki wiele domyślała się Misia, była jednak dyskretna.

Bronowska bała się życia niewidomych. Ciągle miała wrażenie, że środowisko ludzi, którzy stracili wzrok, jest jakimś strasznym, ciemnym i ponurem gettem, w które i ją także pragną wciągnąć. Jeszcze w czterdziestym szóstym roku, gdy została skierowana do Owińsk, bała się tam jechać, płakała, prosiła o zostawienie w domu. Potem przyzwyczała się, polubiła zakład i jego atmosferę, dobrze się czuła w starych murach klasztoru pocysterskiego, w którym mieściła się szkoła, i w potężnym, starym parku z alejami kasztanowymi. Nigdy jednak nie rozstawała się z nadzieją, że przyjdzie czas, gdy dzięki pracy i energii wyrwie się

ze środowiska niewidomych, wejdzie pomiędzy widzących i zajmie tam równorzędne miejsce. Żywiła cichą, bezustannie podsycaną ambicję - wykładać w przyszłości w normalnej szkole. Dla zaspokojenia tej ambicji gotowa była zdobyć się na wiele poświęceń.

Nie zawsze jednak wrażliwa jej natura mogła znieść drobne, ale bolesne trudności. Wyolbrzymiała często przeszkody, przypisując je swemu kalectwu. Wtedy pogłębiało się zgorzknienie, smutek osiadał na ładnej twarzyczce.

Uczyły się obie intensywnie, zawsze były przygotowane, wiele przedmiotów opanowały lepiej niż koleżanki w ich klasie. Ale na pierwszej wywiadówce, poza historią, miały same dostateczne. Teraz, przed feriami zimowymi, zapowiadało się to samo. Źle pojęta litość i zupełne niezrozumienie sprawiały, że profesorowie, tolerując ich obecność w klasie jako zło konieczne, z góry stawiali im ocenę dostateczną, nie próbując nawet sprawdzić rzeczywistych wiadomości. Sytuacja stawała się upokarzająca.

Było to po lekcji przyrody, na której nauczyciel przepytывał uczennice przed zbliżającą się przerwą zimową. Do niewidomych nie zwrócił się z jednym nawet pytaniem. Czekały cierpliwie, z wzrastającym podenerwowaniem. Już przy pierwszej półokresówce, gdy powiedział, że stawia im dostateczne poniekąd z łaski, zaprotestowały stanowczo, na nic się to jednak nie zdało. Tym razem Bronowska była zdecydowana...

Z chwilą gdy zabrzmiał dzwonek, powstała szybko. Siedziały w pierwszej ławce. Wyczulonym uchem łatwo orientowała się, w którym miejscu szukać ma profesora.

- Proszę pana! - zawołała głośno, tarasując mu drogę. Odwróciła się, ujęła mocno dłoń Misi.

- Cóż to, dziewczęta, tak mnie atakujecie? - próbował potraktować to żartobliwie.

- Chcemy poprosić pana o krótką rozmowę... Ale bez świadków - dodała Bronowska ciszej.

Zgodził się. Czekał, dopóki nie opuściły klasy reszta uczennic. Gdy za ostatnią zamknęły się drzwi, rzekł łagodnie:

- Siadajcie, dziewczęta. Ja też usiądę. Skoro mamy rozmawiać, tak nam będzie wygodniej.

Z głębokim smutkiem w brzydkiej, rzeczywiście przypominającej nietoperza twarzy spoglądał na niewidome. Nie czuł się w porządku. On, tak dbały o to, aby zawsze postępować etycznie i zgodnie z obowiązkami pedagoga, nie umiał znaleźć właściwego podejścia do tych dziwnych uczennic. Nie sprawdzał ich wiadomości w obawie, że nie potrafią go zadowolić. Jakżeby wyglądał wobec klasy, gdyby niezasażenie wystawił im oceny dostateczne? Męczyła go ta sytuacja. Nie mógł jednak zdecydować się, aby ewentualną złą notą uczynić im

krzywdę. Uważał, że największą krzywdę wyrządziło im już samo życie. Nieporozumieniem zdawało mu się dopuszczenie niewidomych do liceum. Nie od niego jednak zależała decyzja, nie w jego mocy było coś zmienić. Zauważył, że większość profesorów stosowała tę samą taktykę. Ich postępowanie usprawiedliwiała i jego.

Teraz zaniepokoiły go te dwie twarze zwrócone w jego stronę. Milczenie przedłużało się. Czy dziewczętom zabrakło odwagi, czy może czekały na jego słowa? Nie wiedział. Rzekł tonem ciepłym, wcale nie tym suchym i bezbarwnym, jaki zawsze słyszały na lekcjach:

- Słucham was, proszę...

Janka tymczasem przestraszyła się swojej odwagi. A jeżeli nie zechce wysłuchać, jeżeli nie zrozumie, co gorsza, obrazi się i wyśmieje? Najbardziej bała się wyśmiania. Ciepły ton pytania natchnął ją od nowa otuchą.

- Wczoraj i dziś pytał pan wszystkie dziewczynki. Tylko nas nie... I... i nam jest bardzo przykro. My jesteśmy takie same uczennice jak tamte. Dlaczego pan nas omija?

- Dlaczego? - jak echo powtórzyła Misia.

- Macie dostateczną ocenę, o co więc chodzi? Widocznie tak oceniłem wasze umiejętności...

- Niesłusznie pan ocenił. Trzeba było raczej postawić nam niedostateczne! Przecież pan profesor jest przekonany, że my nic nie umiemy. Wszystkie nasze prośby od dwóch miesięcy zbywa pan, jakby nas w ogóle w klasie nie było. - Bronowska mówiła teraz śmiało, z wzrastającym podnieceniem.

- To, że jesteśmy niewidome, nie upoważnia pana do wyrządzania nam krzywdy - twardo jakoś, zaczepnie, ale ze spokojem dorzuciła Misia.

Czekały teraz na jego odpowiedź. Zaczęły batalię. Nie ustąpią. Niech odpowie. Tak dłużej nie może trwać. Były zdecydowane na wszystko.

Patrzył na ich szczere, wzburzone twarze. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może się mylił. Przecież pilnie wystukiwały swoimi rysikami notatki z jego lekcji, prosiły koleżanki o dokładne opisanie każdego eksponatu. Czyżby jednak opanowały przedmiot? Że pamięć mogły mieć dobrą, tego się domyślał. Słyszał coś o pamięci niewidomych. Ale czy ta wiedza nie będzie mechaniczna, wyłącznie pamięciowa, bez zrozumienia istoty zagadnienia?

Zabolało go, dotknęło niemal słowo: krzywda. Całe życie poświęcił walce z krzywdą.

Jednak w tym oskarżeniu musiała być przynajmniej jakaś część prawdy. Krzywdę wyrządza się czasem bezwiednie. Nie zmienia to faktu. Głos jego był cichy, nieśmiały, gdy w odpowiedzi rzucił pytanie:

- Więc czego byście chcieli?

- Aby traktowano nas tak samo jak wszystkie inne uczennice.

- Niech pan nas przepytaj przy całej klasie, nie chcemy otrzymywać stopni z łaski. To rodzaj filantropii, źle pojęta rekompensata za nasze kalectwo - uzupełniła Misie Bronowska. - My też jesteśmy ludźmi, nie tylko biedne niewidome - ironia zabrzmiała w słowach Janki.

Zbudził się w nim ogromny szacunek, podziw dla tych dwóch dziewcząt. Podniósł się z miejsca, na którym siedział. Słyszając ten ruch powstały i one, niepewne, wyczekujące odpowiedzi.

- Dobrze. Źle was oceniłem. Proszę mi wybaczyć... Zdumiały się, gdy poczuły, że bierze je za umorusane ręce i ściska serdecznie.

Cicho uchyliły się drzwi klasy, zajrzała jakaś głowa, ktoś rzucił ciekawskie spojrzenie.

VI

Mijały już cztery lata, jak po pierwszym kursie produktywizacyjnym niewidomych, zorganizowanym w Poznaniu, przyjęto piętnastu z nich do „Centry”. Czterech łądowało baterie, pozostali pracowali przy kubkach. Robota nie była przyjemna. Izolacja lepiała się, w połączeniu z cyną wydzielala zapach szkodliwy dla niektórych organizmów. Kupczyk, póki tu pracował, wciąż łąził z bólem głowy... Wchodzące w życie ulepszenia przestawiały całość procesu izolowania kubków na pracę maszyn. Lada tydzień miały zostać zainstalowane. Wypowiedzenie dostali już przed dwoma miesiącami, w październiku, ale nastąpiła jakaś zwłoka i tak przeciągało się to z dnia na dzień.

Ratajczak dziwił się towarzyszom, że przyjmują fakt ten z bierną rezygnacją i nie czynią żadnych starań o znalezienie nowej pracy. Gdy w odpowiedzi mówiono mu, że przecież zaopiekują się nimi, nie zostawią na bruku, kiwał potwierdzająco głową. Zaraz jednak dodawał:

- Wicie co? pierona? Wy to jak żebraki pod kościołem mruczące wciąż jedną i tę samą śpiewkę: da ktoś grosik czy nie da?... Tak i teraz: dadzą nam pracę, wyszukają - czy nie dadzą, nie wyszukają? - Śmiał się potężnym basem, aż echo się niosło po dusznej hali. - Takie czekanie, braćki, na wiele się nie zda. Opiekują się nami, ale nie cackają. Na pewno nikt was za rączkę nie zaprowadzi do nowej roboty, w garść nie wsunie narzędzia. Trzeba samemu głową pokręcić. Ot co! Rozejrzeć się, powąchać, czy nie znajdzie się gdzie dobra praca dla niewidomego.

- Może paru - wezmą do łądowania baterii - bąknął któryś.

- Ilu? Dwóch, może trzech, tam już kupa ludzi pracuje.

- Do spółdzielczości.

- W dziewiarni nie ma warsztatów, robią na dwie zmiany. Chyba przy szczotkach? Ale tam niech idą najslabsi, po co im chleb odbierać? Nam trzeba kręcić się koło przemysłu. Jest ustawa z pięćdziesiątego roku czy nie ma?

- Możesz ją sobie powiesić na ścianie. Spróbuj jakiego dyrektora przekonać, że ma przyjąć niewidomego.

- Może i spróbuję! - rzucił twardo, z pewnością siebie.

Ale tak było tylko pozornie. Naprawdę Ratajczak również odczuwał poważne obawy, czy potrafi znaleźć gdzieś odpowiednią pracę. W dziale metalurgicznym ZISPO pracowało kilku niewidomych, podobnie w przemyśle tytoniowym i w „Goplanie” przy owijaniu

cukierków. Do cukierków iść nie chciał, kobieca robota. Gdzie indziej nie było wolnych miejsc, przynajmniej dla niewidomych. W „Stomilu” przy kontroli dętek rowerowych i samochodowych wystarczała ta piątka, która pracowała od czterech lat, Na tym właściwie kończyły się dotychczasowe możliwości pracy niewidomych w poznańskim przemyśle. Miał więc nad czym kręcić głową. Córka co prawda dorastała, kończyła studia, ale zawsze to jeszcze parę lat. Żona w szwalni nie zarabiała zbyt wiele, zresztą nie przyszłoby mu nawet do głowy, aby usiąść na jej „fartusku”. Musiał sam sobie poradzić...

W domu słuchał teraz uważnie radia, córka musiała mu czytać od deski do deski miejscowe gazety - miał nadzieję, że uda się wynaleźć coś interesującego między wierszami. Każdy reportaż z życia fabrycznego był nicią przewodnią. Czy chodziło o opis pomysłu racjonalizatorskiego, czy o wizytę dziennikarza w zakładzie przemysłowym, Ratajczak szczególnie interesował się artykułem. Próbował zrozumieć istotę produkcji danego zakładu, szukał, czy między wymienionymi czynnościami nie znalazłaby się i taka, którą może wykonywać niewidomy. Po paru tygodniach miał już zanotowane w pamięci kilka przedsiębiorstw, w których zamierzał kołatać o pracę. W „Centrze” należało mu się jeszcze pięć dni nie wykorzystanego urlopu.

Była właśnie sobota. Z niecierpliwością oczekiwał Ratajczak na gwizdek oznajmiający koniec pracy. Uśmiechał się do kolegów, gdy życzyli mu przyjemnego urlopu.

Rad był ze swojej tajemnicy. Nawet żonie i córce nie powiedział ani słowa o swych zamiarach. Zaraz chciałyby iść razem, prowadzić go, przeszkadzałyby więcej, niż pomogły. A co, jeśli się nie powiedzie? Byłoby przykro, a tak sam jeden będzie o tym wiedział i koniec.

Jedna Ama mogłaby domyślić się prawdy, gdyby nie to, że była psem.

Ama wyczekiwała już na niego. Przez cały dzień leżała przy portierni w starej skrzyni od baterii. Było z tym wiele kłopotów, dyrekcja nie zgadzała się, aby pies pozostawał na terenie fabryki, w końcu jednak Ratajczak postawił na swoim. Teraz, widząc ludzi idących w stronę bramy, Ama wiedziała, że nastąpił koniec pracy. Przeciągnęła się kilkakrotnie, wstała z sienniczka, który służył jej za posłanie, tęsknie spoglądała w kierunku fabrycznego budynku.

Już z daleka powitało Ratajczaka radosne szczeknięcie. Pewnie poszedł w tym kierunku, laskę demonstracyjnie włożył sobie pod pachę. Wiedział, że Ama czuwa. Gdyby pojawiła się przed nim jakaś przeszkoda, zaraz szczekaniem dałaby o tym znać.

Nachylił się, pogładził wierną przyjaciółkę. Suka radośnie skakała. Przywiązał psu do obroży własnego pomysłu szelki. Z obu stron tułowia psa szły jakby lejce. Były krótkie, tak że każdy ruch łopatek psa niewidomy odczuwał natychmiast po stopniu napięcia smyczy. Ratajczak czytał wprawdzie w „Pochodni”, że specjalnie tresowane psy mają umieszczone na

grzbiecie pałaki, o które niewidomi opierają ręce i w ten sposób są prowadzeni. Nie wiedział jednak, jak podobny pałak wygląda i czy Ama, wychowana zupełnie inaczej, potrafiłaby się do niego dostosować.

- Hoop!

Suka momentalnie stanęła przy lewej nodze.

- Chodź!

Pies ruszył naprzód. W drzwiach portierni utworzył się zator, stało tam rozmawiając kilkoro ludzi. Ama szczeknęła ostrzegawczo.

Szli szybko chodnikiem, zręcznie omijając licznych przechodniów. Ama kroczyła przytulona do lewego boku niewidomego. Przechodnie oglądali się za nimi z podziwem. Sierść psa lśniła jak nasmarowana tłuszczem. Twarz niewidomego była pogodna. Barczysty, mocny, szedł pewnym krokiem, nawet nie używając laski.

Jakiś chłopak stojący u skraju chodnika wyciągnął rękę w kierunku psa. Ama warknęła groźnie, chłopak odskoczył na bok.

Do przystanku tramwajowego musieli przejść na drugą stronę ulicy. Ama zwolniła kroku, potem lejce nagle obwisły. Byli właśnie na brzegu chodnika. Nadjeżdżał widocznie jakiś pojazd. Ratajczak nie słyszał ani warkotu auta, ani skrzypu wozu czy dzwonków tramwaju. Szarpnął cugłami.

- Prowadź!

Ama szczeknęła nakazująco. W tej samej chwili usłyszał cichy szelest przesuwających się obok kół rowerowych.

Suka wstała, spokojnie, bez pośpiechu przeprowadziła teraz pana na drugą stronę jezdni.

- Cie, jakie to chytne! - cmoknął ktoś za nimi z podziwem.

Ratajczak uśmiechnął się z dumą.

Wracał zmarznięty, zmęczony, powłócząc nogami. Ama ledwo otrzymała z rąk niewidomego swą miskę z żarciem, zaraz się kładła na swoim pościu. Ratajczakowa nie mogła się nawydziać:

- Co się z tobą Stachu, dzieje? Pies zmęczony, ty zablocony, już drugi dzień przychodzisz później z pracy do domu, mruczysz coś w nocy pod nosem? Masz jakie przykrości w „Centrze”?

- Nie, gdzie tam, mamuśka! Ot, wczoraj i dziś przespacerowaliśmy się trochę z suką. Powietrza nam potrzeba świeżego. Wiesz, i mnie zaczynają już szkodzić te wyziewy

fabryczne...

Uwierzyła. Prawda, przecież Kupczyk specjalnie dlatego odszedł, mimo że w dziewiarni miał znacznie mniejsze zarobki.

- To dobrze, że już niedługo będziecie tam potrzebni. Damy radę z tego, co ja zarobię. Wezmę jeszcze jaką robotę do domu...

Nic odpowiedział. Zdjął go nagły lęk, że może naprawdę tak będzie, jeżeli nie znajdzie pracy. No, zostaje jeszcze dziewiarstwo. Ale to byłaby ostateczność. Uparł się. Nie po to przecież kończył kurs produktywizacji w przemyśle, aby miał rezygnować.

Leżał na łóżku, bolały go nogi od marszów z końca w koniec Poznania, od wędrówek po schodach i korytarzach. Wracał nieraz po kilka razy, gdy źle zrozumiał informacje, a najczęściej nie znalazł się nikt, kto by go odprowadził.

Gdzie to już nie próbował się dostać! Wyczekiwał najpierw w portierkach na przepustkę. Dopytywano się ze zdziwieniem: po co, na co, a dlaczego właśnie do dyrektora czy do personalnego? Nie zwierzał się, udzielał wymijających odpowiedzi. Potem wystawał w przedpokoju dyrektorskim. Sekretarki i urzędniczki były jakieś speszzone. Ściszały rozmowę, czuł, że przypatrywały mu się zdumionymi oczyma, Ama siedziała przykładnie przy jego boku, czasem warczała ostrzegawczo, gdy ktoś się do nich zanadto przybliżał.

A dalej prawie wszędzie było tak samo. Najpierw wielkie zdziwienie, potem trochę prawdziwa, i trochę udawana serdeczność, rozkładanie rąk. Bo albo brakowało wolnych etatów, albo żadna praca, ich zdaniem, nie nadawała się dla ociemniałego. Próżno mówił o kursie produktywizacyjnym, próżno wymieniał zawody, w których niewidomi osiągają doskonale wyniki. Słuchano tego sceptycznie, odpowiedź pozostawała niezmiennie ta sama, osłodzona niekiedy zapewnieniem pamięci i obietnicą zawiadomienia, gdyby się z czasem coś wyłoniło.

Nawet przypominanie uchwały Prezydium Rządu z 1950 roku w sprawie opieki nad inwalidami niewiele pomogło. Owszem, uznawali to, bardzo się nawet cieszyli, ale cóż, kiedy u nich nic nie można zrobić.

Wychodził przybity, gniewnie postukiwała jego laska po dywanach i chodnikach, którymi wyłożone były gabinety, Ama dzielając nastrój pana powarkiwała cicho, czasem szczyrzyła kły.

Zacinał się w sobie, utwierdzał w uporze, pragnął zagłuszyć niepokojące myśli. Czyż naprawdę ma nastąpić generalna kłapa? Nie postawi na swoim?

Całe życie potrafił sobie radzić. Było ciężko, czasem nawet bardzo ciężko, a jednak zwyciężył przeszkody... Przed wojną przeszedł przecież nie lada szkołę! Miał sześć lat, gdy

zaczął pasać gęsi, a potem i krowy na polach podligockich. Wtedy właśnie ojciec stracił pracę, zamknięto po prostu kopalnię i tyle. Kogo to obchodziło, że paręset ludzi zostało bez roboty, że nędza zagnieżdżyła się w wielu rodzinach? Pomagał trochę tym swoim pasaniem, zawsze wyżywienie za to dostawał. W parę lat potem poszedł na służbę, ale tam go wszy oblażyły z braku opieki, więc oburzona matka zabrała chłopca z powrotem do domu. Długo za piecem nie posiedział, przyjmowali takie dzieciaki do cynkowni, zgłosił się, dostawał te półtora złotego dziennie, chciał pomóc rodzinie. I znów matka zabrała go stamtąd, gdy zobaczyła, że pracują przy cynku bez masek. Wziął się więc za robotę przy odkrywkach, potem spiknęli się z kolegą przy biedaszybie.

Ratajczak uśmiechnął się, ułożył wygodniej nogi na łóżku. Lubił tak rozmyślać o przeszłości. Świadomość, że dawniej nie poddawał się losowi, dodawała mu bodźca i teraz. Miał szesnaście lat, gdy szczęśliwym trafem dostał się na kopalnię „Świętochłowice”. Niedługo przeszedł na chodnik za ładowacza, zarabiał do sześciu złotych na dniówkę. Polepszyło się w ich domu. Zaczynał oglądać się za żeniączką, gdy spadły ni stąd, ni zowąd „świętówki”: pracowali tylko po dwa, trzy dni w tygodniu. I tak przez parę lat. A poznał się już ze swoją Brońką; nie patrząc na nic ożenił się, myślał, że nie zawsze będzie miał jeno tych siedemdziesiąt złotych na miesiąc.

Meblowali się po jednym kawałku, ciężko szło. Pierwsze dziecko zmarło z tej biedy, Panie, świeć nad jego duszą...

Zasłuchał się w krzątanie żony w maleńkiej kuchence. Źle mieszkali. Gdzież, pokoik trzy metry na trzy, kuchenka, że dwojgu ani wejść do niej. A dziewczyna podраста, uczyć się trudno w takiej ciasnocie, pokręcił głową. Obiecywali im w „Centrze” mieszkania, i teraz, nici z tego. Pierona, zawsze nie tak wychodzi, jak trzeba... Tylko, tylko zaczął przed samą wojną lepiej zarabiać, myślał, z rok, dwa może się tak przeciągnie, nim nowa jaka redukcja czy „świętówki” wyskoczą, gdy „wyskoczyło” co innego - wojna! Zaczęły się ciężkie dni. Pracował tu i tam, wreszcie trafił znów na kopalnię, za rębacza. Wojna dochodziła końca, gdy zdarzył się ten wypadek z oczyma... Ech, dopiero bieda nadeszła... Zastanowił się, ileż to lat temu było? W październiku czterdziestego czwartego. Siedem minęło, na ósmy już podeszło.

Znów westchnął. To dopiero trzeba mieć pecha! Jak się wreszcie warunki życia zmieniły, jak pracy jest dosyć, a w kopalniach górnicy mogą zarobić majątek, byleby tylko chcieli pracować, to on, ślepiec, ma nadal kłopoty z robotą.

Spracowana, ale rześka jeszcze i dobrze wyglądająca kobieta zajrzała przez drzwi od kuchni.

- Stachu? Wzdychasz, jakbyś chciał chałupę rozwalić od tego wzdychania... Siadaj, co

cię naszło? Przykrość jaka na fabryce?

- Et, pierona, tak se myślę o wszystkim. Mówiłaś, że Kazek za przodownika jest w „Świętochłowicach”, samochód w premii dostał?

- A dostał. I co z tego?... Ja tam samochodu prowadzić nie będę.

- Nie będziesz, Bronka?! Nie będziesz? - uśmiechnął się po swoim. - No, skoro tak, to ja ani go kupować nie będę, ani się zgodzę, żeby mnie dali...

Zaśmiali się. Stojąc we drzwiach dorzuciła jeszcze:

- A pamiętasz, jemu szło kiedyś gorzej niż nam. Cztery lata przed wojną bez roboty chodził, z biedaszybów żył. Mało go nie zasypało...

Pokiwał głową, a jakże, pamięta,

- Myślę, mamuśka, jakby tu gdzie robotę dobrą podpatrzeć, pierona! I nie widzi mi się.

Prychnęła gniewnie:

- Myślałam, że Bóg wie co. Najdzie się, najdzie. A nie, to doma trochę posiedzisz, poczekasz na nią... - Zabrząkała garnkami, wróciła do swoich zajęć.

Wiele już razy w życiu znajdował oparcie w tej kobiecie. Przeżyli sporo dobrego i złego, ona była jeszcze dzielniejsza niż on. Nie załamała się po tym nieszczęściu z oczyma, a jemu mało przecie wtedy już brakowało... Chodził jak głupi, w pół zgięty, bo myślał, że mu się sufit wali na głowę.

Nie, nie da się. A właśnie, że znajdzie sobie robotę. Tylko inaczej będzie już gadał z tymi dyrektorami! Albo nie potrafi? O pracę przecież prosi, a nie o łaskę!

Zawołał na córkę:

- Krysia, przeczytałabyś gazetę, nim matka obiad zrobi, co?

Krysia czytała, słuchała uważnie. Zauważyła już, że najbardziej ciekawiły go artykuły dotyczące poznańskich zakładów przemysłowych. Domyślała się dlaczego, nic jednak nie mówiła. Bała się rozczarowań. Zbyt dobrze знаła położenie niewidomych by nie wiedzieć, że wiele jeszcze wody w Warcie upłynie, nim ludzie zaczną właściwie do tych spraw podchodzić.

- Czytaj jeszcze raz. Dokładnie, powoli! - Podniósł się raptem na łokciu.

Powtórzyła wzmianką z „Głosu Wielkopolskiego o wyodrębnieniu z Zakładów im. Stalina samodzielnej placówki - Wytwórni Piast Rowerowych w Żabikowie.

- Gdzież jest to Żabikowo? - zasmucił się.

- Tuż pod Poznaniem. Pamięta ojciec, jeździliśmy tam po owoce. Parę minut autobusem...

Od razu poweselał.

Przysunął się do radia, przekreślił galkę. Wyszukał skoczną, taneczną muzykę, przytupywał nogą do taktu. Kobiety śmiały się.

- Raz mało nie płacze, to znów tańczyć mu się zachciewa. Ech, Stachu, Stachu! - dziwiła się żona.

On zaś jak nagle włączył, tak raptownie ściszył radio. Przypomniawszy sobie, że ma wieczorem lekcję brajla. Tak był zmęczony przez ostatnie dwa dni, że wcale nie ćwiczył czytania.

Wstał z łóżka, podreptał do stolika w kącie pokoju, odnalazł elementarz, tabliczkę, rylec.

Po chwili w skupieniu, ze zmarszczonym od wysiłku czołem wodził grubymi pakami po literach znaczonej kropkami. Trudno szło, wcale nie łatwiej niż ze staraniem o pracę... I tak samo me ustępował.

- To jakżeście stracili oczy? - nalegał; oprócz współczucia w jego głosie wyczuwało się ogromną ciekawość.

- Potem wam powiem, bo zmyłę rachunek, pierona! - odburknął, znów szeptał: - osiemdziesiąt sześć, siedem, osiem...

- Przy śniadaniu siądziemy se razem, to powiecie - nie dawał za wygraną najbliższy towarzysz pracy Ratajczaka, mocno już posunięty w latach mężczyzna.

Kiwał potakująco głową. Ręce chwyciły leżące na stole złożone, gotowe już piasty, palce lewej dłoni zanurzały się w wazelinie.

Smarował piastę, wkładał do drewnianej skrzynki stojącej przy nogach. Liczył. Musiało być sto dwadzieścia sztuk. Nietrudno się było pomylić o jedną.

Uparł się, postawił na swoim. Tym razem poszło łatwiej, niż mógł się spodziewać. A wcale nie z lekkim sercem jechał do Żabikowa w ostatni dzień swego urlopu.

Fabryka dopiero ruszała. Większość spraw była jeszcze w stadium organizacji. Przyjmowano nowych pracowników, zakład bowiem rozszerzał znacznie produkcję. Stary budynek częściowo tylko przystosowany był do nowych celów. Dobudowywano magazyn, remontowano jakąś halę wybijając w niej dodatkowe okna, wszędzie panował hałas, wirował kurz, a przez otwarte drzwi wiatr miotał do środka dopiero co spadły śnieg.

Do dyrektora dostał się łatwiej niż gdziekolwiek indziej. Przywitał go, kazał usiąść, zaraz przeprosił, bo go wzywano gdzieś do produkcji. Wrócił za parę minut z kimś innym, klócili się zawzięcie. Wreszcie dyrektor postawił na swoim, tamten wyniósł się szybko.

Zadzwoił telefon, znów rozmowa, mocny, energiczny głos dyrektora. Przyjemny jakiś. Ratajczak zaszuchał się siedząc na brzezku krzesła. „Gada tak jakoś po robociarsku, klnie, ale rozum ma! Jak to sobie radzi ze wszystkimi; trzeba - opieprzy, jak tego, co tak szybko wyskoczył, aż wiatrem za nim furczało” - myślał, rosła w nim nadzieja.

- No i co, kolego? Ruch u nas jak wszyscy diabli... Papierosa zapalcie, proszę. - Podsunął pudełko pod samą dłoń niewidomego. Ratajczak zapalił. „Po swojsku podchodzi, nie wydziwia, że niewidomy, jak tamci.”

- To dobrze, że ruch, bo może i ja się w nim pomieszczę? - zaczął pewnie, przypominając postanowienie z ubiegłego dnia, żeby gadać mocno, śmiało.

- Tak i pomyślałem... Ja nie mam nic przeciwko temu. Widziałem, jak wasi pracują w ZISPO. Robota pali się im w rękę... Tylko, tylko... gdzie tu was wsadzić? Co możecie tu u nas robić?

- Na pewno niejedno, ale ni wiem, co tu się robi... Może jakie pakowanie, czyszczenie, liczenie, kontrola, coś się chyba znajdzie.

- Miejsca są. Przyjmujemy blisko stu ludzi. Zaraz zadzwonię po naczelnego inżyniera, niech on wykombinuje.

Ratajczakowi serce rosło. Pochylił się, pogłaskał Amę.

Wszedł inżynier. Po głosie Ratajczak od razu rozpoznał tego samego jegomościa, który przed chwilą sprzeczał się z dyrektorem i gniewnie wybiegł z gabinetu. „Oj, żeby tylko się nie zawaliło” - pomyślał.

Inżynier ze zdumieniem wysłuchał propozycji dyrektora. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie! Po pierwsze, nie widzę u nas roboty dla niewidomego. A po drugie, jako naczelną inżyniera fabryki w zadem sposób nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za bezpieczeństwo tego człowieka. Tu są maszyny, niech tylko jeden krok nieostrożny, trafi w tryby, na pas, bo ja wiem co? I kwasy mamy, w ogóle niebezpiecznie.

- W ZISPO to samo, a pracują i wszyscy są z nich zadowoleni. Inżynier trochę niepewnie spojrział na Ratajczaka, ale w końcu, nie przejmując się jego obecnością, wybuchnął:

- Trzeci raz już ścieramy się dzisiaj, kolego. Nie bądźcie dziecinni. Mamy olbrzymi plan. Robota ważna, nie ma miejsca na filantropię. To zabawa, i niebezpieczna zabawa, niewidomego pakować między maszyny.

- Są działy, gdzie nie ma maszyn.

- To będzie co innego. Powtarzam: raz - niebezpiecznie, nie mogę brać odpowiedzialności. Dwa - nie ma roboty. Trzy - są plany do wykonania i musimy zużytkować

produktywnie każdego pracownika.

- Za pozwoleniem! - Ratajczak podniósł się z krzesła, stanął naprzeciw inżyniera. Barczysty, rozrosły, spoglądał wyblakłymi, niewidzącymi oczyma.

- Proszę! - z sympatią rzekł dyrektor.

- Panie inżynierze, ma pan prawo nie przyjąć mnie do pracy, choć trochę inaczej mówią o tej sprawie ustawy państwa ludowego. Ale nie ma pan prawa obrażać inwalidy. Ja nie przyszedłem tu na zebranie, ale po to, aby uczciwie pracować. Nie chcę łaski, chcę pracy. I dam sobie z nią radę, pierona!

- Ja nie mam takiej pracy. A pan nie ma powodu się obrażać. Przecież nie wówmi mi pan, że potrafi pan pracować jak robotnik widzący.

- Setki tak pracują i lepiej jeszcze.

- Nie, ja swojej zgody nie daję, i koniec! Czy ma kolega coś jeszcze, dyrektorze? Bo tam na mnie czekają.

Po jego wyjściu dyrektor chwilą milczał. Potem rzekł do Ratajczaka:

- Świetny fachowiec. Ale w wielu rzeczach to cep, jak zdrowia pragnę, cep. Uparł się, nie przyjmie, psianyga! A ja przyjmę! - Uderzył dłonią w stół. - Wiecie co, idźcie spokojnie do domu. Pomyślę, jaką tu wam robotę przeznaczyć, obgadam z personalnym i radą zakładową. Przejdzie. Aha, macie papiery?

Ratajczak sięgnął do kieszeni, podał plik dokumentów. Dyrektor przeglądał je uważnie.

- Dobra... Ale co to? Wy pracujecie w „Centrze”.

- Pracuję, ale lada dzień nas zwalniają, bo ten dział przechodzi na mechanizację.

- Aha, no dobra, kolego Ratajczak. Głowa do góry! Będziecie u nas robić. Zawiadomię was w ciągu tygodnia...

Nie bardzo wierzył, czy dyrektor dotrzyma słowa. A jeżeli personalny i inni poprą stanowisko inżyniera? Trapił się mocno...

Tymczasem pismo nadeszło już po czterech dniach. Dyrektor donosił, że Ratajczak ma się stawić do Zakładów celem podjęcia pracy w pakowni wysyłkowej piast rowerowych. Żona po głośnym odczytaniu pisma zdumiona patrzyła na męża. A on zamiast tłumaczyć podskoczył do niej, objął mocno, ucałował wołając:

- Stara, daj gęby, pierona, takim rad! Już ja temu inżynierowi pokażę filantropię, zobaczy on...

- Jaki inżynier? I skąd to pismo? Kto ci załatwił? Stachu, co to wszystko znaczy?

Opowiedział jej wtedy historię swych starań, owych późnych powrotów, gdy oboje z

Amą ledwo dyszeli ze zmęczenia.

- Chłopie, a jakieś ty dojechał do Żabikowa?

- Trudno było. Ale mię jakiś chłopyszek doprowadził do autobusu. Tam znowuż robotnicy zawiedli aż do fabryki. Widzisz, potrafię sobie poradzić.

- Potrafisz, potrafisz...

Wspominał teraz chwilę sprzed trzech tygodni, szybko pakując piasty do skrzynek. Po tygodniu opanował robotę, wtedy oficjalnie zawiadomił Związek o swej nowej pracy. Maleszka aż się z nim wycalaował na tę nowinę. Powiedział też, że nawet gdyby dłuższy czas nie wykonywał normy, to i tak, według ustawy, państwo dopłacałoby mu przez trzy miesiące do zasadniczej stawki. Taki okres bowiem przewidziany jest jako kształceniowy dla inwalidów podejmujących się pracy w nowym zawodzie. Ratajczak wyśmiał go:

- Pakować żelaza do skrzynek - też mi sztuka. Na szósty dzień normą zrobiłem. Na początku nie szło, bo mi się wazelina kleiła, nie umiałem sobie jeszcze ułożyć wszystkiego koło siebie.

- A robota lepsza jak przy kubkach cynowych?

- Pewnie, że lepsza. Smrodu nie ma i ręce sobie jak panienka wydelikacę, przez osiem godzin co dnia smarując tłuszczem.

Nie był jednak zupełnie szczery. Praca nie odpowiadała mu, wydawała mu się za łatwa. Pracowały z nim cztery kobiety i dwóch starych, zdziesiątych już trochę mężczyzn. „W sam raz dla nich robota” - myślał smarując gorliwie piasty wazeliną. A on czuł się jeszcze młody i silny. Wiedział, że ręce ma zręczne i podolałby innemu, bardziej skomplikowanemu zajęciu. Tylko jakiemu? Słyszał o dziale montowania piast, tych samych, które teraz pakował do skrzynek. Każda sztuka składała się podobno z kilkudziesięciu części. Gdyby tak spróbować je składać?

Realizację tych projektów odkładał na potem. A nuż się znajdzie jeszcze ciekawsza i poręczniejsza praca? Teraz pragnął podwyższyć normę w pakowaniu. Dociągnął już do stu dwudziestu procent. Po trzech tygodniach. Ale wyżej szło trudno, może inaczej trzeba ustawić skrzynkę z piastami i bliżej przysunąć wazelinę? A może usiąść bokiem czy postarać się o niższe krzeselko? Nie wiedział, jak sobie dalej poradzi. Jeszcze ciągle był przedostatni w tym dziale. Wyprzedzał tylko ciekawskiego staruszka, który stale nagabywał go o różne szczegóły życia.

Ostry sygnał fabrycznej syreny oznajmił przerwę śniadaniową. Wcale już pewnie podszedł do kranu, starannie mył ługiem śliskie od wazeliny ręce. Pomyślał o Amie. Psa chętnie przyjął do swej portierki stary Marcin. Ama czuła się tam zupełnie dobrze leżąc nie

opodal żelaznego piecyka.

Rozpakował śniadanie, zaczął popijać zakładową herbatę.

Chcąc dotrzymać obietnicy jął opowiadać towarzyszowi pracy o swoim wypadku w kopalni:

- Dobrze mi poszło, odcinek był ładny. Odchodząc chciałem jeszcze odstrzelić kumplowi, żeby mógł od razu zaczynać. Karbidówka coś mi się źle paliła, karbid był taki pieroński... Wtedy tą ostatnią stugramową oselką materiału wybuchowego przełamałem na pół. Jak zawsze, tylko żem się schylił nisko nad karbidówką. Przy łamaniu odpryski strzeliły do oczu. Od razu nie poczułem, Dopiero po ośmiu dniach...

VII

Wiatr podrywał drobne, kłujące kryształki śniegu, sypał im w twarz. Kaczan wyżej podnosił kołnierz płaszcza, Wanda zasłaniała usta szalikiem.

Szli w milczeniu, przytuleni do siebie. W parku Solackim było o tej porze cicho i pusto. Od nielicznych latarni padały szerokie, spokojne plamy światła. Konary drzew rzucały długie cienie, gałązki krzewów zwisały przygięte śniegiem. Ulicą Małopolską przejeżdżał ze zgrzytem tramwaj, jak dalekie echo dochodziły głosy ludzkie.

Przechodzili właśnie koło ostatniej w tej alei latarni. W łagodnym świetle przyglądała się jego ściągniętej mrozem i wiatrem twarzy. Ostre rysy znamionowały silny charakter, wysokie czoło poryte było zmarszczkami. Te zmarszczki wzbudzały w niej jakąś czułość.

Nawracając do poprzednio prowadzonej rozmowy rzekł cicho:

- Wiesz, dużo można przeboleć. Ja przebolełem nawet utratę wzroku, choć to było okropne. A przecież jest taka drzazga, której ani przeboleć, ani zapomnieć, ani wyjąć z serca nie podobna... To mnie załamało! Wtedy tragizowałem, chłonałem Norwida, Wyspiańskiego, Kasprowicza, brałem z nich to, co najbardziej smutne... - Urwał, po chwili dopiero dokończył:
- Nie odszedłem jeszcze tak zupełnie od tamtych nastrojów. Tyle, że nauczyłem się kryć wiele rzeczy.

Stanęli. Dziewczyna drżała. Poczul to, zwrócił się do niej troskliwie:

- Nie zimno ci, Wanda?

- Nie, tylko tak nieswojo - szepnęła.

- Przepraszam, widzisz, taki jestem... Tu musi teraz być bardzo ładnie, prawda? Park zimą jest śliczny, jeszcze w noc księżycową. Czy teraz świeci księżyc?

- Trochę go przesłaniają chmury. Ale przez to może jest jeszcze ładniej...

- Twój głos płynie daleko, jakby nie znajdował odbicia? Gdzie my jesteśmy?

- Na skraju wielkiej polany, obok stoi wieża spadochronowa. Tu zawsze odbywają się latem zabawy, byłam na jednej...

- Powiedz mi jeszcze coś o tym parku. Ja tak kochałem drzewa. Czasem myślę, że właśnie drzew najwięcej mi brak...

- Tu są różne drzewa. Ja nawet nie znam ich nazw. Pamiętam z lata, że lipy ciągną się u skraju długim szeregiem. Są kasztany, topole, wiązy, bo ja wiem, co jeszcze. Teraz na wszystkich gałązkach osiadły czapy śniegu. Gdy wiatr mocniej powieje, osuwają się; w świetle drobinki śniegu wirują...

Westchnął.

- Pójdziemy chyba już? Zaraz zobaczę, która godzina... - Odgarnął poję płaszcz, macał dłonią w kieszonce. - Czas się zbierać, chociaż stąd niedaleko. Lubisz muzykę?

- Tak.

- Moglibyśmy chodzić na koncerty symfoniczne. W zeszłym roku często na nich bywałem.

- Sam chodziłeś? - w tonie pytania wyczuwało się lekkie niezadowolenie. Przewidywała odpowiedź.

Zaśmiał się.

- Skąd! O przewodniczki nie jest tak trudno... To jedna, to druga zabierały mnie z sobą... Ale zerwałem z nimi. To było kiedyś w teatrze. Poszliśmy w trójkę. Już nie pamiętam, co grano. Na każdą przerwę wychodziły niby na papierosa. A ja wiedziałem, że spotykały się tam ze swoimi chłopcami, widzącymi. Mnie się wstydziły.

- Paskudne były. Zaśmiał się znowu:

- To takie ludzkie... Przyzwyczailem się już do wielu rzeczy. Mało co mnie dziwi u kobiet.

Milczała nadaśana. Szli teraz aleją Litewską. Pykając przejechał samochód. Znow zrobiło się cicho.

- Jeżeli chcesz, to pójdziemy w ten piątek.

- Do Filharmonii?

- Tak. Nie będę taka jak tamte twoje... przewodniczki - dodała z przekąsem.

Skręcili w ulicę Kościelną. Szli wolno, nie śpiesząc się. Mieli jeszcze czas. W pewnej chwili usłyszeli za sobą charakterystyczne stukanie laski o krawężnik chodnika. Cicho o czymś rozmawiając przesunęła się koło nich ostrożnie para ludzi.

- Niewidomi? - zapytał Kaczan.

- Tak, obydwójce.

- To na pewno Kłafkowie. Niedaleko stąd mieszkają. On ma świetną orientację w przestrzeni. Ona zaś sama prawie że nie potrafi poruszać się na ulicy. Za to doskonale radzi sobie w domu. Samotnicy. Za muzyką przepadają, to jedno ich ciągnie do Związku.

Patrzyła za idącą przed nimi parą. Mężczyzna szedł z prawej strony, laskę ciągnął wzdłuż krawędzi chodnika. Kobieta dreptała niepewnie, kurczowo trzymając się ramienia męża.

- Byłem w Poznaniu przed samą wojną, ale już mało pamiętam. Wiem, że miasto bardzo mi się podobało. I teraz je lubię” tylko jakoś inaczej. Widzisz, wtedy park mogłem

oglądać, teraz go słucham, dodając to, co mi opowiesz...

Powiedziała niespodziewanie:

- Józek, wiesz, tak bardzo dobrze mi z tobą.

Mocniej przycisnął do boku jej ramię, ale nie odrzekł nic. Grymas smutku czy bólu przeleciał mu przez twarz, zaraz pokrył go z powrotem łagodny, lekki uśmiech.

Po wzmożonym ruchu tramwajów i aut można było poznać bliskość ulicy Dąbrowskiego, gdzie mieścił się Związek. Przyśpieszył kroku, pociągając towarzyszkę za sobą. Nagle zapragnął jak najszybciej znaleźć się w większej gromadzie ludzi.

Młynczak leżał na tapczanie słuchając radia. Nadawano jakąś skoczną muzykę. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak go denerwowała beztroska melodia. Marszczył czoło, łowił lekki zapach perfum siostry. Krzątała się po kuchni. Zauważył, że od czasu jego powrotu ze szpitala Zocha jakoś bardzo przycichła. Mówiła półszepem, starała się robić jak najmniej hałasu.

Tak jak i zaraz po operacji, pozostało mu zaledwie wycucie dziennego światła. Żarówka nie różniła się dla niego od zapamiętanego obrazu robaczka świętojańskiego. Świadomość własnej niezaradności podpływała falami lęku, wzmożonej depresji. Leżał godzinami na tapczanie, leniwie kręcąc gałką odbiornika, przeważnie nie słuchał nadawanych audycji. Znajdował się jakby w półśnie. Tym ostrzejsze były chwile przebudzenia, napady ostrego i bólu, rozpacz. Zrywał się wtedy, krążył nerwowo Wokoło stołu, potykał się o chodnik, tarł oczy dłońmi, aż czerwieniały i brzękły powieki, to znów chwytął się za głowę, potrząsał nią.

Siostra z lękiem obserwowała te stany, próby jej ingerencji nie uspokajały go, raczej zwiększały rozpacz.

Tragedią Czesława było to, że nie widział przed sobą żadnej przyszłości. Nie zapisał się do Związku Niewidomych, bo bał się tego środowiska pół-mar, pół-ludzi, jak sobie ach wyobrażał, i nie widział najmniejszego sensu w przyjmowaniu na siebie rygorów organizacyjnych. Manipulując przy radiu usłyszał pewnego razu apel do niewidomych, aby zgłaszali się na organizowany w Warszawie kurs masażystów. Uradował się w pierwszej chwili, zdawało mu się, że trafia się okazja znalezienia jakiegoś oparcia w życiu” ale zaraz przyszła niewiara we własne siły, wątpił, by mógł wykonywać jakikolwiek zawód.

Lubił słuchać głośnego czytania siostry. Czasem wyręczał ją narzeczoną, czytali na zmianę. Ale wizyty Karola jeszcze bardziej pogłębiały jego depresję. Zauważył, że siostra stara się ograniczyć swoje stosunki z narzeczoną. Przypadkowo był raz świadkiem

burzliwej rozmowy pomiędzy nimi.

To, czego się domyślał, stało się teraz pewnością. Zocha zdecydowała się na rozstanie z narzeczoną, wynajdywała po temu różne powody. O najważniejszym z nich nie mówiło się jednak. Postanowiła pozostać z bratem, poświęcić życie opiece nad nim. To go bolało najmocniej, to przyczyniało się do nawrotów myśli o samobójstwie. Ofiara siostry była za ciężka, nie był takim egoistą, aby się na to zgodzić.

Stasia nie przyjeżdżała od czasu ostatniej wizyty w szpitalu. Właściwie rad był z tego, niemniej doznawał uczucia gorzkiego zawodu. Czyżby tak łatwo zrezygnowała, przyjmując jego oświadczenie, że jej nie kocha, że ich miłość była nieporozumieniem?

Tak, sam tego pragnął, było to zgodne z jego życzeniem, a jednak... Jednak myśl, że dziewczyna uznała jego racje, zdawała się potwierdzać zdanie o zupełnej bezużyteczności. Czesława, pogłębiała depresję.

Chociaż... pewnego dnia pod nieobecność siostry sam otworzył drzwi listonoszowi. Wśród listów odnalazł kopertę... Poznał i gatunek, i format. To Stasia miała taki papier listowy. Z pewną niecierpliwością czekał na powrót Zochy z pracy. Chciał wiedzieć, czy rzeczywiście nie mylił się, że nadeszła wiadomość od Stasi. Ona tymczasem przejrzała listy i odłożyła je na boczny stolik, nie mówiąc ani słowa. Musiał zapytać, nie potrafił się pohamować.

- Coś ciekawego?

Zawahała się przez krótką chwilę.

- Nie. Rachunek za światło, dwa listy od koleżanek. Nie znasz ich...

Nie uwierzył. A więc Stasia pisuje, nie zapomniała. Tylko czemu Zocha nie chce o tym powiedzieć? Jakie tajemnice kryją pomiędzy sobą?

Świadomość, że dziewczyna utrzymuje z nim kontakt za pośrednictwem siostry, podziałała na niego uspokajająco. Gdy tego samego wieczora odwiedził go dawny kolega, był w lepszym nastroju, śmiał się, żartował. Nachmurzył się jedynie, gdy Maderek począł się zastanawiać, czyby nie znalazła się dla Czesława jakaś praca. Uciał wtedy krótko: „Nie łudź się i nie próbuj mnie łudzić. Wiem, że jestem zero, na nic nieprzydatny, zawalidroga. Ja już nigdy nie będę pracował. Jak? Po pokoju nie mogę się dobrze poruszać, do talerza łyżką nie trafiam...”

Dzwonek przy drzwiach zadźwięczał wesoło. Umiał już rozpoznać sposób dzwonienia narzeczonego siostry, innych znajomych i kolegów, którzy czasem go odwiedzali. Tym razem był to ktoś obcy. Nasłuchiwał ciekawie.

- Czy można widzieć się z Czesławem, proszę pani? Poznał głos wcześniej, nim

jeszcze Silnicki wymienił swoje nazwisko.

- Moja narzeczona. Panie przedstawiły się.

- Obiecałem Czesławowi, że go odwiedzę po wyjściu ze szpitala. Tydzień temu wróciłem do świata. Niestety, nie udało się.

Zbyt zastarzała historia, aby można było cośkolwiek zmienić. Lekarze dokazywali cudów, ale przecież... - urwał nagle, pomyślał, że Czesław może go słyszeć i poruszenie tego tematu sprawi mu przykrość.

Siostra wprowadziła gości do pokoju. Czesław stał przy tapczanie, zaskoczony, speszony trochę, a zarazem dziwnie rad. Dopiero teraz, uświadomił sobie, jak bardzo czekał na przybycie towarzysza z sali szpitalnej.

Ze zmieszaniem przyjmował uściski Silnickiego, nachylał się nad dłoń jego narzeczonej. Myśl o Stasi jakąś ostrą zadną szarpnęła mu serce. Wspomnienie znajomości z Silnickim, jego miłego głosu, jakiejś głębokiej wewnętrznej pogody i wiary w życie jedynym jasnym światłem w ostatnich miesiącach. Przy tym że Władysław zamąci szarą, ciężką, ale ustabilizowaną jednostajność jego życia. On zaś bał się wszelkich nowości.

Kobiety wyczuwały nastrój, rozmawiały cichutko. Niewidomi siedli blisko siebie, trzymali się jeszcze za ręce, jakby w ten sposób pragnęli lepiej odczytać wzajemne uczucia.

- Widzę, że ciężko ci, chłopie.

- Ciężko? Bo ja wiem, już się przyzwyczailem powoli.

- W Związku nie byłeś? Dlaczego?

- Nie, ale skąd ty wiesz?

- Pytałem o ciebie... To niedobrze, Związek ma wiele braków, nie wszystko tam idzie, jak należy, ale ogólna atmosfera jest dobra, zetknięcie się z nią wiele by ci mogło dopomóc. Gniesz pewnie na tym tapczanie? - Poglądził ręką plusz obicia.

- Trudno mi się poruszać, więcej leżę, niż chodzę.

- Trudno? A czy próbujesz przynajmniej? Chodzić bez oczu trzeba się uczyć. Tobie przyjdzie to łatwiej niż innym, przecież miałeś wzrok osłabiony od dawna.

- Ale widziałem - poderwał się Czesław z mocnym protestem.

- A teraz nie widzisz. Trzeba to przyjąć za fakt i odpowiednio do niego przestawić się samemu. I dla nas jest wiele w życiu... - A potem, jakby w ogóle nie mówili na inny temat, powiedział miękko: - Wybieramy się na wieczór muzyczny do Związku. Będzie grał profesor Czernijew i kolega Klimek, nauczyciel muzyki z Owińsk. Podobno ma być też jeden ze śpiewaków z Opery. Przyszliśmy, by cię zabrać. Musisz się trochę przewietrzyć. Popatrzysz, posłuchasz, zobaczysz, jak żyją niewidomi. Sporo ich będzie. Różni ludzie, ale na koncerty

wszyscy przychodzą chętnie. Widzisz, muzyka w naszym życiu odgrywa specjalną rolę...

- Nie, ja nie pójdę, dziękuję, naprawdę nie jestem w nastroju.

- Nie spodziewałem się entuzjazmu, więc mnie nie dziwi odmowa. Czas się wreszcie przełamać! Zabierzemy cię i odprowadzimy po koncercie. Ubieraj się, nie ma co!

- Ale... - zaczął niepewnie Czesław.

- Nie ma żadnego ale. Obiecałem w szpitalu, że cię trochę rozruszam. Jestem! Obietnicy muszę dotrzymać. Nie innym razem, tylko zaraz ubieraj się i idziemy. Czasu już mamy niewiele. Prawda, że mu się to przyda, proszę pani? - zwrócił się do Zochy.

- Tak, bardzo jestem rada, że pan pomyślał o Czešku. On tu rzeczywiście zakiśnie. Na spacerzy nie mogę go namówić. Związku waszego znać nie chce...

Czesław, który udał się już do drugiego pokoiku, by tam zmienić ubranie, zatrzymał się nagle.

- Ale ja do Związku nie będę się zapisywał. Chyba mnie, Władek, nie będziesz zmuszał?

- Związek nie jest instytucją przymusową, ma charakter społecznej organizacji. Zechcesz, zapiszesz się kiedyś, nie, to nie.

- Aha, Zocha, gdzie jest moja koszula?

Ubierał się gorączkowo, nerwowo. Nagle zapragnął znaleźć się poza ścianami tego mieszkania, odetchnąć innym powietrzem. Ubrał się szybciej niż zwykle. Siostra była tym mile zdziwiona. Wyczuwała, że przyście Silnickiego wniesie coś nowego w ich smutne i jednostajne życie.

Kobiety pożegnały się przyjaźnie. Zocha długo trzymała w swojej dłoni rękę narzeczonej niewidomego. Podobała jej się ta dziewczyna. Niebrzydka, młoda, miała w sobie wiele powagi, a przy tym serdeczności. Młyńczakówna pomyślała w tej chwili o Stasi, która tak gorąco pisała dziś o swym uczuciu do Czesława. Westchnęła.

Na gwarnej ulicy, wśród przechodniów, w zgiełku przejeżdżających samochodów i tramwajów, Czesław zupełnie stracił odwagę. Uczepił się kurczowo ramienia przewodniczki, laską ciągnął za sobą. Niezdarnie gramolił się na stopnie tramwaju, skulony stał w kącie wozu, mało uwagi zwracał na słowa przyjaciela. Miasto, nieznane teraz, niewidoczne zupełnie, przerażało go swym nieogarniętym ogromem, ruchem, jakąś obojętnością. Bardziej niż kiedykolwiek poczuł się niepotrzebny, wyrzucony za nawias bujnego, kipiącego życia, jakie toczyło się wokół niego.

Z ulgą przywitał moment wysiadania. Ale ogarnął go nowy lęk, gdy wchodząc do sali związkowej, usłyszał gwar wesołych głosów, zachłysnął się śmiechem kobiet.

Silnicki trzymał go silnie za rękę, prowadził w kierunku szatni. Narzeczona szła z tyłu za nimi.

Czesław czuł, jak serce mocno mu bije...

- To o zegarkach jeszcze nic nie wiadomo? Czemu to się tak ciągnie? Wielka tam sprawa sprowadzić tych trochę zegarków... - narzekał głośno niski, mały mężczyzna.

- Nie płaczcie, kolego, będą, będą, Warszawa zawiadomiła, że w pierwszym kwartale nadejdą ze Szwajcarii. Dostaniecie budzik, jak wam zatrafi, pieska niebieska, to aż szyby drzeć będą - perorował Maleszka przyzwyczajony do wyrzekań swoich kolegów.

- Luty się kończy, a nic nie ma...

- Wy też po zegarek, Majchrzak? Nie ma, ale będą. Co słyhać, jak dzieci?

- Chciałem podziękować za skierowanie do prewentorium. Jasia wróciła, ma już teraz płuca w porządku.

- Widzisz, łobuzie, pieska twoja niebieska, a wyrzekałeś na Związek, że ci nie chce dopomóc.

- No, bo z mieszkaniem to naprawdę, że nic...

- Ech, bracie, myślisz, talk łatwo? Na jedno mieszkanie w Poznaniu jest tysiąc amatorów. Skąd je wzdać tak od razu. Poczekaj, poczekaj, będzie i dla ciebie. Gdzie żonka?

- Tu jestem, panie prezesie.

- Pilnujcie, Majchrzakowa, żeby mąż tak nie stękał, bo nudno wam się zarobi. Zobaczysz, stary - poklepał Majchrzaka po ramieniu - jak będziesz tak jęczał, to żona cię rzuci, do mnie przyjdzie albo do kogo innego.

Zaśmiali się.

Sekretarka zachnęła się, omyliła się przy liczeniu pieniędzy. Korzystając z okazji przybycia do Związku niewidomi opłacali zaległe składki, wypytywali o tysiące spraw, składali różne pisma i podania.

Z kąta pokoju dochodziła czyjaś poważna perora:

- Nie znasz drogi? To ci wytłumaczę po brajlowsku. Cztery razy stukniesz się łbem w latarnię, wtedy musisz tą swoją głową poszukać muru i zaraz za nim skrócić na lewo. Tam będą drzewa kasztanowe, poznasz je po tym, że grube i twarde...

Powszechny śmiech. Wesolek z tego starego Koterby.

- Gdzie prezes?

- Tu, a kto mnie szuka?

- Silnicki. Tak jak mówiłem, przyszliśmy razem.

Maleszka powstał zza stołu, okrążył go, wyszukał dłoń Silnickiego, potem potrzęsął mocno ręką towarzyszącego mu mężczyzny.

- Maleszka Teodor - huknął, - Cieszę się, że pana widzę. Mieliśmy pana odwiedzić jeszcze w szpitalu, ale było wtedy tyle roboty, żeśmy rady nie dali...

- Mnie? W szpitalu? - zdumiał się Młyńczak.

- Was, kolego, was. Wiemy o was od dawna. Nie zawsze czekamy, aż niewidomy sarn do nas odnajdzie drogę. Wolimy oszczędzić im guzów i sami odszukujemy naszych kolegów. Myślę, że znajdziemy jeszcze okazję, aby sobie pogadać. Cieszę się, że was widzę. Koncert powinien być dobry, a wiary się zeszło jak rzadko... Poznajcie kolegę z naszymi dziewczętami! - wołał jeszcze do Silnickiego. - Niech nie siedzi na uboczu, od razu do galopu, trzeba mu żonkę wypatrzeć - rechotał zadowolony. Był dziś w doskonałym humorze. Umieścił w pracy prawie wszystkich pracowników zwolnionych z „Centry”. Cały tydzień ganiał po mieście, rozmawiał, wyklócał się w spółdzielniach, w „Gopłanie”, wreszcie jednak postawił na swoim.

Już rozmawiał z kimś innym.

- „Pochodnię” dostaliście, tak? Książki wydawać będziemy po koncercie. Po koncercie, sekretarka teraz się nie rozerwie. Słyszycie, jak ją opadli? - Od przyległego stołu rzeczywiście dochodził nieustanny gwar.

- Już, już zaczynamy. Dwadzieścia po szóstej. Kwadrans akademicki minął. Prezesie, przyszedł pan Ziółowski.

- Idę, idę... zaraz, zaraz, po koncercie, kochani, pieska niebieska. Muszę gościa powitać. Uff, co za ruch - Przeciskał się między interesantami, witał serdecznie śpiewaka z Opery. - Dziękujemy, że pan przyszedł, nasi członkowie hurmem przybyli, aby pana usłyszeć. Kolego Korycki, zajmijcie się naszym gościem, ja tu zrobię porządek.

Za chwilę brzmiał jego potężny głos:

- Koledzy, do świetlicy, do świetlicy! Zaczynamy, czego się jeszcze pętacie po wszystkich pokojach, pieska niebieska. Siadajcie, siadajcie.

- Dzień dobry, prezesie.

.- O, pani Kitliczowa, jakże się cieszę. No i co, namyśliła się pani?

- Potem porozmawiamy, teraz taki tu ruch. - Szczupła, drobna kobieta o młodej, miłej twarzy, okolonej siwiejącymi pasmami włosów, z uśmiechem usiłowała odłożyć rozmowę, której tak pragnął Maleszka.

- O, jest nasza pani! - zabrzmiał dziewczęcy głos. - Pani Kitliczowa?

- Tak. Znow do nas przyszła.

Zaroilo się koło niej od dziewcząt. Każda chciała uściskać jej rękę, palcami przebiegały po jej twarzy, gładziły włosy, śmiały się, pociągnęły wreszcie w kąt sali, tam posadziły między sobą. Wypytywały o recytacje, o chór, o sztukę sceniczną, którą obiecała im wyszukać do grania. Witała się z nimi, śmiała, rozglądała przy tym bacznie po sali, obserwowała nowe, nie znane jeszcze twarze. Zmarszczki na jej czole pogłębiały się czasami, jakby zdradzały wewnętrzną walkę o powzięcie ostatecznej decyzji.

Ktoś zaklaskał w dłonie. Powoli uciszyło się.

- Koledzy i koleżanki. Zaczynamy nasz comiesięczny koncert. Profesor Czernijew będzie grał na skrzypcach, przy fortepianie kolega Klimek, który na dzisiejszy wieczór specjalnie przyjechał z Owińsk.

- Brawo, brawo! - zadudniły oklaski, zatrzęsły salą, dołączyły się do nich entuzjastycznie okrzyki.

- Największą jednak niespodzianką jest przybycie naszego drogiego gościa, pierwszego tenora Opery Poznańskiej, pana Ziółowskiego.

Tym razem aż się kurz sypał z powały, a szyby drżały w oknach, głośząc hałas przejeżdżających ulicą Dąbrowskiego tramwajów.

Kitliczowa pomyślała, że tak żywiołowy entuzjazm nie łatwo zobaczyć gdzie indziej. „Wiele dobrego można tu zrobić, umiejętnie wykorzystując ten zapal! Żeby to nie był tylko słomiany ogień” - przyszła zaraz refleksja.

- Bardzo dziękuję za tak serdeczne przyjęcie, drodzy koledzy - kłaniał się Ziółowski. Nawet i on, przyzwyczajony do oklasków, poczuł się wzruszony okazaną mu serdecznością.

Brawa wzmogły się jeszcze.

- Zaczynamy od melodii cygańskich Sarasate'go w wykonaniu profesora Czernijewa - oznajmił Korycki.

Ucichło. Stary mężczyzna podniósł się z krzesła pierwszego rzędu. Prowadzony przez żonę, uśmiechniętą, rozpromienioną, niepewnie podreptał w stronę fortepianu. Zatrzymał - się trochę pochylony, niezdarne, spieszony.

Chwilkę tak stał, potem ujął mocniej skrzypce, miłośnie przytulił instrument. Próbował strun pociągając łagodnie smyczkiem. Po pierwszym tonie wyprostował się nagle, twarz jego nabrała wyrazu pewności.

Na sali było cicho, jak makiem zasiał. Nikt nie drgnął nawet, najbliżsi niemal wstrzymywali oddechy.

Kitliczowa napotkała płonące oczy narzeczonej Silnickiego. W spojrzeniu jej, wędrującym z postaci muzyka na skupione, uduchowione teraz twarze słuchaczy, na

niewidzące oczy skierowane w stronę, skąd głos dochodził, kryło się radosne zdumienie, prawie zachwyty. Kitliczowa skinęła jej głową w pełnym zrozumieniu. W tym momencie powzięła ostateczną decyzję.

Koncert trwał...

Czesław siedział w ostatnim rzędzie, drżał. Nie wiedział, czy to muzyka, czy śpiew, czy jakaś niezwykła atmosfera, czy towarzystwo kolegów niedoli wstrząsnęło nim do głębi, budziło chęć życia i czynu.

Silnicki jakby rozumiał jego nastrój, pogłaskał kolegę po drżącej ze wzruszenia ręce. Palce Czesława mocno zacisnęły się na jego dłoni. Zawiazywała się między nimi nawa nić, głębsza, serdeczniejsza.

Bronowska i Kralówna wracały do domu razem z Koryckim. Lubiły go, przy tym na samopoczucie ich świetnie działała świadomość, że mimo wszelkich trudności on, ociemniały, potrafił ukończyć studia, robi teraz pracę magisterską, dorównał widzącym kolegom.

Szedł w środku, mocno trzymając je pod ręce. Miał jeszcze, jak określali lekarze, około piętnastu procent widoczności. Czytać już nie mógł, nawet przez bardzo powiększającą lupę, ale na ulicy rozróżniał sylwetki ludzkie o kilka kroków, dzięki czemu poruszał się bez poważniejszych trudności.

Opowiadał o wrażeniach, jakie odniósł Ziółowski ze spotkania z niewidomymi.

- Był bardzo wzruszony, pytał nawet, czy nie wyczuwało się tego w jego głosie...

- Słyszałam go kiedyś w Halce, wydało mi się, że dzisiaj śpiewał z większym uczuciem - rzekła Misia.

Bronowska westchnęła głęboko. Wciąż jeszcze była pod urokiem tego śpiewu.

- Dobrze, że go uprzedziłam, co to jest brajlowanie. Zdziwiłby się, gdyby tak nagle dziesiątki rąk zaczęły go obmacywać po twarzy...

- Ma prosty nos, ale usta za duże - stanowczo zawyrokowała Misia. - Poza tym twarz ładna, taka, taka... męska - znalazła odpowiednie słowo.

- Aleście mu masaż zrobiły, musiał mieć twarz czerwoną jak burak, włosy w nieładzie... Ej, dziewczęta, dziewczęta!

- Włosy to mu zburzyła Maryla. Doroszevska lubi określać ludzi po ich włosach. Powiedziała, że jest blondynem, czy prawda?

- Tak, mówiła mi pani Kitliczowa. Jak Maryla to poznaje?

- Twierdzi, że zawsze rozróżni kolor włosów. Jasne są podobno bardziej jedwabiste i

delikatniejsze.

- Zaraz zobaczę. - Śmiał się, przeciągnął ręką po jasnych włosach Misi, potem ujął w palce grube warkocze Janki. - Może i prawda. Ale ja wiem, jaki macie kolor włosów, dlatego mi łatwo powiedzieć... Wracając do Ziółowskiego - bardzo się troszczył o kwiaty, które otrzymał. Zawijał je w gazety, żeby nie zmarzły...

- Maryla ładnie powiedziała wręczając mu wiązanekę. Tak prosto, ale naprawdę od serca.

- To wartościowa dziewczyna... Znam trochę jej życie. Inne załamałyby się dawno, ona jednak poradziła sobie jakoś.

Szli ulicą Kościelną, w dół do Wielkopolskiej. Korzystając z rzadkiej okazji chcieli przespacerować się. Luty był w tym roku ładny. Śnieg lekko skrzypiał pod nogami, powietrze było ostre, rzeźwiące. Głosy rozchodziły się ze szczególną ostrością.

Korycki myślał, jakby tu w najwłaściwszy sposób poruszyć zaprzatającą go sprawę. Wiedział, że dziewczęta mają wiele trudności w szkole, napomykały mu o nich idąc na koncert. Nauka zabiera im cały czas, a przecież tamte rzeczy były też bardzo ważne, nie można ich było zupełnie odsunąć. Tym lepiej to rozumiał, że popełniał podobne błędy.

- Kupczyk mi opowiadał, a Maleszka potem potwierdził... Na lekcji brajla prezes wspominał o trudnościach z papierem. I wtedy naskoczyli na niego, Wisus i jeszcze paru...

- Wisus? To ten mały, ordynus taki? Nie lubię go, kiedyś zwymyślał mnie od inteligentek - rzekła Misia.

- Zaraz, ja go nie bronię, choć on ma sporo racji, tylko nie umie jasno powiedzieć tego, co myśli, albo nie zdaje sobie sprawy, gdzie leży błąd. Ja to wszystko przemyślałem... Oni mają pretensję, że w Związku wiele się robi dla nas, że nas się jakoby faworyzuje z krzywdą dla innych. Zresztą nie w tym tkwi meritum zarzutów, dziewczynki... Tamci po prostu się boją, że po skończeniu studiów oddalimy się od niewidomych, wejdziemy w środowisko widzących. Oni zaś nadal zostaną sami, ze swymi kompleksami, urojeniami, z codziennymi trudnościami, z którymi nie potrafią sobie poradzić. Wyrzekali, że oddalamy się od Związku, że stronimy od nich, trzymamy się osobno... Dlatego też napisałem do was, żebyście koniecznie byli na dzisiejszym koncercie, dlatego po was przyszedłem. Z kolegą Zygałem też rozmawiałem. Zgadza się ze mną całkowicie... Musimy jakoś przełamać tę sztuczną izolację... Na Boga, czy ja bym się zdobył na tyle wysiłku, gdybym nie robił tego z myślą o nich wszystkich?

- Dobrze, ale czy oni nie rozumieją, że nam trudniej uczyć się niż widzącym, że czasu i tak brakuje, siedzimy po nocach, gdy inne dziewczęta dawno już śpią? - zbuntowała się

Bronowska.

- Nie w tym rzecz, Janko, nie w tym... Taki Wisus, rozrabiacz, intrygant, a przecież dobry chłop. Wyzywa od inteligentów. A wiesz dlaczego? To zdolny, bardzo zdolny człowiek. Całe życie marzył o nauce i nic z tego. Za wcześnie się urodził. Dziś ze swymi zdolnościami mógłby się uczyć, nareszcie miałby prawa i możliwości. Tymczasem ma już za wiele lat, nie potrafiłby zdobyć się na tyle hartu, by zdawać jako ekstern... Czuje to, przeżuwa jakąś gorycz. I ma do nas pretensje, że niejako ich kosztom windujemy się w górę. Boi się, że potem odsuniemy się od nich. Przeszłość zaszczepiła w nim wiele nieufności, nie tak łatwo jej się wyzbyć...

- Może i masz rację, ja też nieraz o tym myślę - rzekła Misia, która lepiej niż Janka zdawała sobie sprawę z istnienia wielu kompleksów i urazów wśród niewidomych. - Ale niech oni pozwolą nam się uczyć, żebyśmy z kolei mogli ich uczyć, im pomagać...

Zamyślili się. Śnieg skrzypiał pod butami, czasem przesuwali się ludzie, z zadziwieniem spoglądając na żółte opaski na rękawach całej trójki. Minął ich tramwaj, trząśnięcie się i skrzypienie na nierównych podkładach. Gdzieś opodał, szumiąc w ocembrowaniu brzegów, toczyła się maleńka, ale wartka w tym miejscu Bogdanka.

- Wy może nie wiecie tak dobrze jak ja, co się dzieje wśród naszych biedaków. Zaraz po wojnie, gdy bodaj pierwszy raz w życiu otwarły się przed nimi możliwości pracy, samodzielnego życia, rzucili się do fabryk i warsztatów jak szaleńcy, szaleni jakimś pięknym szaleństwem! Opanowali nowe zawody, pracowali nieraz ponad siły. Pamiętacie choćby te normy, jakie wyrabiali w wytwórni papierosów składając kartony? Po osiemset i dziewięćset procent. Aż doszło do starcia z resztą załogi, która psioczyła na naszych, że wpływają na ogólną podwyżkę norm... Albo jak pracowali w dziewiarni? Dlaczego nie żałowali siebie, nie oglądali się na zdrowie? Bo dopiero teraz, po wojnie, pierwszy raz w życiu mogli zarabiać. Nie mieli ubrań, mebli, żyli w biedzie. Chcieli nadrobić za wszystkie czasy...

Zasapał się. Słaby był, wytężana nauka w ciągu wielu lat zrobiła swoje. Dziewczęta milczały.

- Teraz już pracują, jako tako się urządzili. I okazało się, że sama praca nie wystarcza. Że mieć co zjeść, włożyć na siebie, umeblować mieszkanie, nawet założyć rodzinę - to jeszcze mało. Chcą czegoś więcej. Jedni zaczęli używać, rozpiłi się, złądaczyl, wytworzył się typ niewidomego chuligana. Praca kulturalno-oświatowa kulała u nas, nie dawała im tego, co powinna. Związek nastawiony był tylko na produktywizację, słusznym rozpędem pierwszego okresu, ale obecnie błędnym... I wtedy ujrzano pierwsze sukcesy tych kilku, którzy zaczęli się uczyć. Okazało się, że niewidomi mogą kończyć studia w normalnych

szkołach. Większość zateęskniła wtedy do wiedzy. Patrzcie, jaki jest olbrzymi udział niewidomych w kursach Wszechnicy Radiowej! Jak wielu zgłosiło się na projektowaną naukę w zakresie szkoły podstawowej... Inni też chcą się uczyć, chcą coś wiedzieć, przestać być pariasami. Nie wszyscy mogą, nie wszystkich ma to stać. Stąd płynie to gorzkie poczucie nie zawinionej krzywdy. Stąd urazy do nas. Tym bardziej, gdy im się zdaje, że my naprawdę chcemy się od nich oddalić, wyzwolić z tego...

- ... getta niewidomych - podszepnęła Jamka. Drgnął, zwrócił głowę w kierunku towarzyszek.

- Tak, getta, tak oni to rozumieją. Jeszcze jedno błędne pojęcie, fatalna spuścizna przeszłości. Bo nie ma getta, chyba że my sami je utworzymy. Tak myślałaś, Janka?

Skinęła głową trochę niechętnie. Niezupełnie tak myślała, ale nie chciała się sprzeczać, czuła zresztą, iż słuszność nie byłaby po jej stronie.

Korycki mówił dalej.

- Ja już niedługo wrócę do pracy związkowej. Jeszcze miesiąc, dwa, skończę magisterkę, będę znów żył dla nich... Ale wy macie jeszcze kawał drogi przed sobą. Chodzi o to, dziewczęta, żebyście się jednak naprawdę nie oddaliły od reszty niewidomych, żebyście nie zatraciły nici przyjaźni, wspólnego rozumienia i odczuwania wielu spraw. Musicie się czasem pokazać w Związku, w czymś dopomóc... Niech oni wadzą, że nawet już teraz procentuje się ten wysiłek, jaki kładą w wasze kształcenie, niech nie tracą wiary, że to będzie z korzyścią dla nich wszystkich. Rozumiecie?

- Tak, dobrze rozumiem. Masz rację, Janusz - Misia znalazła w jego wywodach uzupełnienie swoich myśli.

- Będziemy się starać - dorzuciła ciszej Janka.

- A wiecie, kto nas wtedy najbardziej bronił? Rozumski.

- Ten bankowiec?

- Tak, mówił, że na niego, na majora, na innych trudno liczyć, że dopiero my, którzy wiedzą zdobywamy już jako ociemniali... Że im trudno odmierzać wszystko nowymi kategoriami, że przeszkadza im wiele rzeczy z przeszłości, gdy jeszcze widzieli... I dlatego każda godzina wykładów, na której jesteśmy, staje się wspólną zdobyczą.

- To mądry człowiek, tylko taki zgaszony.

- Nawet nie zgaszony. Tylko ciągle jeszcze nie może oswoić się ze swoją nową dolą. Pracować musi fizycznie zamiast o wiele wydajniej umysłowo. Ale on się już nie przestawi, nie potrafi bez oczu wykorzystać tak swej wiedzy, jak wykorzystywał ją widząc normalnie. To jest tragedia, wielka tragedia człowieka...

- On się podobno interesuje bardzo Doroszewską? - zastanowiła się Bronowska.

- Podobno. Byłaby z nich dobra para. Ona złoto dziewczucha, on też człowiek porządny.

Poradzą sobie, dodadzą otuchy...

- W ogóle ten rok jakiś kochliwy. Józio Kaczan był na koncercie z sekretarką dziewiarskiej spółdzielni. Mówią, że bardzo w nim zakochana, ale on raczej obojętny...

- Kaczan wiele przeżył i ostrożny jest teraz w miłości - szepnął Korycki.

Na próżno dziewczęta domagały się, by powiedział im coś więcej o przejściach Kaczana. Nie dodał ani słowa, umiał być dyskretny.

Przesunęli się pod mostem kolejowym na ulicę Noskowskiego, szli lewą stroną wzdłuż parku Moniuszki. Korycki zamierzał najpierw odprowadzić Misie do internatu na niedaleką już Młyną, a potem dopiero Bronowską, która mieszkała na Ogrodowej.

Z ciemnej alejki parkowej dotarły do nich pijackie głosy. Ochryple śpiew budził niesmak. Korycki mocniej ujął dziewczęta pod ręce, przyspieszył kroku. Czuł się zawsze bardzo nieszczęśliwy w tych sytuacjach, kiedy brak wzroku czynił go zupełnie bezbronnym.

Było już jednak za późno. Dwie zataczające się postacie wyłoniły się z alejki. Jeden z pijaków zachichotał chrypliwie:

- Justyś, patrz, on sam, a one dwie... chi! chi! chi! Wyciągnął rękę w stronę Koryckiego. Ten wysunął się naprzód, zostawiając dziewczęta za sobą. Nasłuchiwał, czy nie rozlegną się w pobliżu kroki jakiegoś przechodnia. Ale wszędzie panowała głucha cisza.

Poczuł rękę pijaka chwytającego go za lewą ramię. Szarpnął się.

- Wstydzilibyś się pan! - zawołał.

- Wstydzil? A czego? Może ty wiesz, Justyś, hę?

Palce trzymające kurczowo rękaw jesionki Koryckiego drgnęły nagle. Pijak jakby otrzeźwiał, dostrzegł opaskę niewidomego, puścił go coś tam mrużąc, zawołał do kolegi:

- Nie rusz go, ślepek!

- Neeee, ale czemu aż dwie go prowadzą? Jedna niechaj zostanie z nami...

Pijani ze śmiechem nachylili się ku dziewczętom. W wyrazie twarzy Janki coś ich musiało uderzyć, bo cofnęły się gwałtownie.

- Wiesz ty, same ślepaki! Skąd ich tutaj przyniosło? Chodź, niechaj se idą... A może państwa przeprowadzić? - Uchylił czapki. - Myśmy nie wiedzieli, przepraszam bardzo, przepraszam...

Drugi podbiegł, szarpnął kolegę za ramię.

- Ty, bo w mordę...

Odsunęli się ma bok, nie poszli jednak, wytrzeszczonymi oczyma przypatrywali się

trójce niewidomych.

A gdy Korycki ruszył ująwszy znowu swe towarzyski pod ręce, dobiegły ich nagle bełkotliwe słowa wypowiedziane jakby ze wstydem:

- Przepraszam, przepraszam, myśmy ludzie, a nie, eee, tego, świnie...

- To się wi, że nie świnie - wtórował mu drugi.

Szli prędko, zwolnili dopiero wyszedłszy na większą ulicę, gdzie rojno już było od ludzi, szumiały auta i dzwoniły tramwaje.

Janka wciąż drżała. Misia prędeej wróciła do równowagi.

- A jednak to nie byli źli ludzie - rzekła cicho. - Tak jak i naszych łobuzów nie trzeba zawsze najgorzej oceniać. Człowiek jest taki, jakim się go wychowa...

Janka nie zabierała głosu, była jeszcze wystraszona. Korycki też był zgnębiony,

Odprowadził swe towarzyski, zamyślony wracał do domu. Poczł głód. Przypomniał sobie, że nie ma żadnych zapasów.

Resztkę chleba zjadł na śniadanie, a potem zapomniał kupić. Pomacał zegarek. Już po dziewiątej. Machnął ręką. A bo to pierwszy raz pójdzie spać bez kolacji?

VIII

- Tak, na pewno!

Powiesiła słuchawkę, nasłuchiwała przez chwilę, czy telefon nie zabrzączy od nowa. Przeciągnęła drobną dłonią po włosach nad czołem, spojrzała na sekretarkę:

- Ależ ruch dzisiaj od samego rana. Zrobiła już pani wykaz reflektantów na odbiorniki?

- Przed chwilą. Trzydzieści osiem nazwisk... Ale czy to pewne?

- Powiedziano mi, że dwadzieścia aparatów uzyskamy bez kwestii. O dalsze trzeba wojować. Kupczyk nie starał się o więcej, bo nie przypuszczał, że będzie tylu amatorów. A tu podwójnie... Prezes się ucieszy, powie zaraz, że się podnosi stopa życiowa niewidomych. Trochę to i prawda, kto z nich kiedykolwiek mógł sobie pozwolić na radio? Paru najwyżej...

Sekretarka słuchała uważnie. Pracowała w Związku dopiero 'od miesiąca, młoda była, niedoświadczona, bez potrzeby nie zabierała głosu. Nastraszo ją losem poprzedniczki, którą prezes Maleszka zwolnił z hałasem za lekceważenie roboty.

Kitliczowa szybkimi ruchami przerzucała terminarz, notowała coś na skrawku papieru. Westchnęła:

- Ojej, jeszcze dziewiarnia. Pojutrze mają wybory, pewnie nic nie przygotowane...

Z kieszeni zakietu wyjęła pęk kluczy zamierzając udać się do biblioteki, gdy na korytarzu rozległ się tupot nóg. Przed drzwiami kroki ma chwilę się zatrzymały, jakby przybyły nie wiedział, dokąd się udać, potem rozległo się pukanie, nie czekając odpowiedzi do wnętrza wpadł młody, dobrze ubrany mężczyzna.

- Jak wy pracujecie w tym Związku! - krzyczał. - Tuż obok, omal że nie przed waszym Związkiem, zebrze jakiś niewidomy, a tutaj sielanka! Gdzie porządek, przecież to niedopuszczalne!

Patrzyła na przybyłego. Zmieszał się nieco pod spojrzeniem jej piwnych oczu.

- Nie tak głośno, proszę pana, nie tak głośno! Kto zebrze i gdzie?

- Tutaj, na Dąbrowskiego! W bramie przy Rynku. Gra na skrzypcach i śpiewa...

Wzięła do ręki torebkę.

- Może mnie pan zaprowadzić?

- Nie mam czasu, ale pokażę pani.

Poszła szybkim krokiem.

Dźwięki fałszowanej melodii skrzypcowej wybiegały aż na ulicę. W bramie tłoczyło

się sporo osób. Na środku podwórza stał mężczyzna o chudej, wyniszczonej twarzy. Rysował się na niej trudny do określenia grymas, jakby bezmiernego smutku i goryczy. Biała laska leżała na ziemi u jego stóp. Stał skurczony, ubranie zwisało na nim, poplamione i wystrzępione przy kieszeniach i klapach marynarki. Śpiewał znaną piosenkę o Warszawie, rzępoląc przy tym nieudolnie na skrzypcach.

Kitliczowa zawahała się, jak ma postąpić, aby nie wywołać publicznego skandalu. Biedak wyglądał nędznie, niemało się musiał w życiu wycierpieć. Pomyślała o tych licznych niewidomych, nie objętych jeszcze ewidencją, zastraszonych i zahukanych, wyzyskiwanych nieraz przez rodziny, każące im żebraniem zarabiać na życie.

Niewidomy skończył. Rozległo się kilka wymuszonych oklasków. On tymczasem schylił się, podniósł laskę, stał przygarbiony jeszcze bardziej, nasłuchiwał. Ktoś podszedł, wetknął mu w dłoń drobną monetę, przysadkowata jejmość wrzuciła dziesiątkę prosto w kieszeń, chlipnęła współczująco:

- Takie to mizeractwo...

Z kilku okien spadły na bruk podwórza pieniądze zawinięte w papierki. Wtedy dopiero Kitliczowa ujrzała pretensjonalnie ubranego chłopca, lat może piętnastu, o wyzywającym spojrzeniu. Podnosił jałmużnę, rozwijał, papierki rzucał na ziemię. Obejrzał się jeszcze po oknach kamienicy, zerknął na ludzi otaczających niewidomego.

- Idziemy, Kazek - powiedział biorąc go pod ramię. Niewidomy zdjął kapelusz, skłonił się. Trzymając skrzypce mocno przyciśnięte do boku poszedł za przewodnikiem. Chudy był, lewe ramię miał opuszczone znacznie niżej niż prawe, szedł powłócząc nogami.

Gapie już się rozeszli, wsiąkli w tłum snujący się po wrzaskliwym Rynku Jeżyckim. Kitliczowa przystąpiła do niewidomego, ujęła go za rękę.

- Co? Kto to?

- Chciałabym z panem porozmawiać. Tylko tu strasznie gwarno, pełno ludzi. Przejdźmy troszeczkę dalej - mówiła łagodnie.

Głos jej widocznie dobrze go usposobił, bo trochę zawahawszy się poszedł za nią. Pretensjonalnie ubrany wyrostek odsunął się na bok nie spuszczać z nich oczu. Nie orientował się jeszcze, myślał, że jakaś dobra kobieta pragnie szczerzej wspomóc niewidomego.

Kitliczowa mocniej ujęła ramię żebraka. Przeszli na drugą stronę ulicy, zbliżali się już do drzwi Związku, gdy nagle rozległ się ostrzegawczy krzyk:

- Wiejmy, Kazek, bo to Związek Niewidomych!

Ślepiec drgnął, szarpnął się. Nie puściła go.

- Związek nie straszny, porozmawiamy sobie szczerze, znajdzie się jakaś rada, żeby nie potrzebował pan zebrać... Niechże się pan nie boi...

Tym razem z niespodziewaną siłą strzepnął z ramienia jej rękę, stanął, twarz mu zadrgała złością, wykrzywiła się jeszcze bardziej. Krzyczał:

- Puść mnie, do jasnej cholery, piekielna babo, puść! Nie chcę twojego Związku, mam gdzieś was wszystkich, razem z tym durniem Maleszką! Nie pójdę, nie pójdę...

Zrobiło się zbiegowisko. Przechodnie, którzy w pierwszej chwili stanęli po stronie niewidomego, z oburzeniem słuchali teraz jego wyklinań i pogróżek. Ktoś chciał zawezwać milicjanta, inni doradzali Kitliczowej, by zostawiła ordynusa w spokoju.

Próbowała przemówić mu do rozsądku. W odpowiedzi bluznął tak jadowitym i plugawym stekiem wymysłów, że zaczerwieniła się i rezygnując z jakiegoś działania zawróciła do Związku. W drzwiach zetknęła się z obserwującą to wszystko sekretarką.

Kitliczowa była wzburzona. Na jej bladą twarz wystąpiły wypieki, ręce drżały, zagryzała wargi do krwi. Najbardziej złościła ją własna bezradność. Nie należało zostawiać sprawy jej biegowi trzeba było coś przedsięwziąć. Tak, ale co? Miała się bić z niewidomym i tym bikiniarskim wyrostkiem? Przecież w żaden sposób nie udałoby się zatrzymać ich do nadejścia milicjanta.

Zamyśliła się. Milicjanta? Czy to jednak nie ostateczność? W sprawy niewidomych wołała nie mieszać nikogo z zewnątrz, chyba że nie będzie innych możliwości.

- Nie znam go, pierwszy raz widziałam... Szkoda, gdyby tak znać przynajmniej nazwisko...

- To członek Związku, proszę pani... Był tu może ze trzy tygodnie temu. Prezes długo z nam radził, ale potem był zły i chciał tego Kowalczyka przekazać milicji, aby przymusowo odstawiła go do zakładu opiekuńczego... Nie wiem, co z tego wyszło...

- Kowalczyk? Nasz członek, powiada pani?

- Tak mówił pan Maleszka.

Potrząsnęła głową. Szepnęła bardziej do siebie niż do sekretarki:

- Myślę, że trzeba spróbować porozmawiać z nim jeszcze. Czasem perswazją wiele się da zrobić. Może nie umiano odpowiednio do niego podejść, dlatego się włóczy samopas i nie ma odwagi zabrać się do pracy? Spróbuję...

Właśnie w tej chwili wszedł Maleszka. Witał się z pracowniczkami. Podając rękę Kitliczowej zastanowił się, potem zapytał bezpośrednio, jak to on zawsze:

- Czego pani się denerwuje? Stało się coś przykrego?

- Bo to, panie prezesie, znowu historia z tym Kowalczykiem i pani Kitlicz bardzo się...

Kitliczowa ostrzegawczym ruchem położyła palec na ustach. Za późno. Maleszka usłyszał już, zachnął się gniewnie:

- Kowalczyk, pieska niebieska! Zawsze z tym dziadem! Słucham, jakże to było? Tu przyszedł? Znowu po zapomogę?

- Nie, nic takiego, prezesie, właściwie to drobiazg. Ja w ogóle dziś jestem zdenerwowana od rana... Głowa mnie boli.

- Dam pani proszek. - Sięgnął do kieszeni. - Niech pani się uspokoi, a panna Lunia wszystko mi opowie.

Po wysłuchaniu całej historii powiedział:

- Trzeba było łobuza oddać milicji. Jego nic nie przerobi. Chyba, że się go odseparuje od tej cholernej baby i całej rodzinki...

Ja się zaraz połączę z Wydziałem Opieki, miech go przytrzymają za włóczęgostwo, a my tymczasem uzyskamy skierowanie do zakładu. Dobrze mu to zrobi, oduczy żebractwa. Tam go i pracy nauczą... W Jarogniewicach jeszcze są miejsca. Przy starcach paru młodszych także się przyda, będą pomagali...

- Panie prezesie. Może jeszcze spróbować inaczej? Ja bym się chętnie tego podjęła. Na rodzinę też by chyba dało się wpłynąć - zaproponowała Kitliczowa.

Maleszka oparł się o biurko, mocno zabębnił palcami.

- Nie ma potrzeby. Przecie to nie żadne więzienie ani zakład poprawczy. Normalny ośrodek opieki. Była pani w Jarogniewicach. Starcy czują się tam doskonale, są szczęśliwi mając zapewnioną opiekę. Wielu ubiega się o przyjęcie.

- Nie o to chodzi. Wiem, jak jest w Jarogniewicach. Ale sam fakt, że trafi tam przez milicję, za włóczęgostwo, może się na nim źle odbić, załamać go...

- Załamać? Dla niego włóczęgostwo nie jest niczym złym. To jego chleb... Za dobre ma pani serce.

- Pozwoli pan, że jednak spróbuję porozumieć się z Kowalczykiem. Pójdę do niego do domu.

- Proszę" proszę, ale to daremne. Wiem z góry. - Był wyraźnie urażony niewiarą w jego znajomość ludzi.

Kitliczowa zabrała się do przygotowania paczek z książkami brajlowskimi dla kół ma prowincji podległych Oddziałowi oraz dla niewidomych pozostających na wsi czy w małych miasteczkach, poza Związkiem.

Naciągała sznury, aż się odbijały czerwonymi pręgami na drobnych dłoniach. Myślała o Maleszce. Przez pięć tygodni pracy w Związku zdążyła go już poznać na wylot. Dawny

murarz nie był człowiekiem skomplikowanym wewnątrz. Myślał uczciwie, prosto, a co myślał, to i mówił. Nieraz z pasją wyklinał na przedwojenne stosunki, kiedy tacy jak on nie mogli nawet marzyć o nauce. Brak wykształcenia., jak sądził, przeszkadzał mu właściwie wykonywać swoją robotę. Zaniedbał mocno sprawy kulturalno-oświatowe. A przecież miał dobrą wolę, stale coś organizował. Angażował ludzi do prowadzenia świetlicy, próbował montować chóry, zespoły recytatorskie, urządzać odczyty i koncerty. Prowadził szkolenie ideologiczne, uruchamiał kursy pisania i czytania brajlem. A jednak wszystko to było jakies nie przemyślane, nie uporządkowane.

Podobnie stało się ze sprawą wychowania fizycznego. Zarząd Główny zalecił, więc bez namysłu przyjęto instruktora, który zaczął prowadzić lekcje gimnastyki. Początkowo bractwo runęło hurmem, jak na każdą nową imprezę. Ale potem występowali jeden za drugim, zniechęceni, znudzeni. Gimnastyk nie umiał zainteresować niewidomych, odbębniał robotę; gdy mu wreszcie zostało zaledwie pięć czy sześć osób, podziękował za posadę. Waliło się wszystko, prezes rozkładał ręce. Zarząd Główny słał nowe instrukcje, robota tymczasem nie ruszała z miejsca.

Rzuciła ostatnią gotową paczkę ma stos w kącie pokoju. Teraz tylko nakleić adresy, odesłać na pocztę.

Do biblioteki wszedł Maleszka. Był zawstydzony.

- Ja myślę, koleżanko, że nie mamy się o co gniewać...

- My? A od kiedyż to my się gniewamy? - zaśmiała się zupełnie szczerze.

- Z tym Kowalczykiem to naprawdę trudna sprawa.. Próbowaliśmy nieraz, nie udawało się. A przecie musimy dbać o dobre imię niewidomych teraz, gdy otrzymaliśmy równe prawa, gdy możemy wykazać, na co nas stać w życiu... Kowalczyk nie pierwszy. Zaraz po wojnie musieliśmy walczyć z plagą żebractwa. Ba, ci ludzie, pieska niebieska, za żadną cenę nie chcieli iść do pracy. Albo się bali, że ich wydalą, albo żebranina lepiej im się opłacała, przy tym dawała większą swobodę. Teraz większość pracuje, jeden taki jest przodownikiem pracy, a był z niego ochłopus, że równego nie znaleźć...

Patrząc ma kanciastą, silną postać Maleszki wyobrażała go sobie na terenie budowy. Musiał być doskonałym majstrem. Pragnęła go trochę rozruszać, wiedziała, jak lubił rozprawiać o swym dawnym fachu.

- Wie pan, rozpoczęto budowę nowej części osiedla robotniczego na Chociszewskiego. Są wykopy pod fundamenty, w dwu budynkach mury podciągnięte już na wysokość piętra.

- Słyszałem, wybieram się tam. - Wymacał za sobą stół, usiadł na brzegu, zahuścił

nogami.

„Aha, zaczyna się dłuższa rozmowa.” Wiedziała już, jak skłonni są niewidomi do zwierzeń, gdy poczują do kogoś zaufanie. Przysunęła krzesło.

- Bo widzi pani, ja nie mogę zapomnieć... I czasem, a szczególnie w sezonie, jak teraz, lubię zaglądać na budowę. Odganiają, niby że może być jaki wypadek... Ale poradziłem sobie, chodzę wieczorami, już po fajerancie. Mnie przede wszystkim jedno - uśmiechnął się. - Podejdę, dotykani muru, zaprawa jeszcze mokra, w kasztach pusto. Stosy cegły. Wie pani, ja zawsze rozpoznam białą od czerwonej. Może to glina inna, nie wiem... Raz wpadłem do dołu, ale jakoś wygrzebałem się sam. I cuduję się nieraz. Na Ogrodowej, wie pani, tam taki blok wykańczają. We dwa miesiące stanął. Aż mi się wierzyć nie chciało, trzy piętra, pieska niebieska! Za moich czasów to rok, dwa robiło się takie gmaszysko. Teraz tynkują. Mądry pomysł, widziała pani? Zamiast desek rusztowania z rur żelaznych na śrubach, w parę godzin i na trzy piętra wyciągną.

Blask słoneczny padał na jego rzadkie włosy i prześwitującą między nimi łysinę. Zawsze doradzał kolegom, aby przejrzeni się w niej jak w lusterku. „Bo ja od tyłu zajrzeć nie mogę”... - dodawał jeszcze. Ciemne okulary postarzały go. Przy wypadku jedno oko mu wypłynęło, oczodół został pusty, nawet skóra twarzy była z tej strony ściągnięta. Ciągle zamierzał wstawić sobie protezę, ale i ciągle brakowało mu czasu.

- Przez radio słuchałem, jak opowiadali o tych nowych sposobach, o tych trójkach murarskich. To naprawdę musi być dobre... A wie pani, jak pięknie pachnie młoda budowa? Można nie patrzeć, nie dotykać, a tylko stanąć sobie gdzieś z dala i wachać. Bo to każda rzecz ma inny zapach. I wapno, i cement, i cegła, zależy, wilgotna czy sucha. Drzewo stolarskie pachnie inaczej, a inaczej podłógówka czy zwyczajny budulec pod rusztowania. Myślałem kiedyś, czy nie można by wynaleźć sposobu, aby niewidomy mógł prowadzić murarkę pod sznur. Przecie pion dałoby się wyczuć, cegły podręczny musiałby sprytnie podawać, zawsze tak samo... Z poziomicą jeno byłoby gorzej. Tu już nie namacasz niczego... - Westchnął. - Czego mi żal, to nie tyle murarki, oczu, ile że nie dojrzę Warszawy, jakbym tam kiedy pojechał.

- Pan całą wojnę był w Warszawie?

- A gdzieżby indziej? Tylko tam. Różnie bywało. Raz minie Szwaby mało że nie złapały, dostałbym gdzieś kulą pod zebro, bo oni niewidomych za nic mieli. Słomianki robiłem, maty dla ogrodników. Pod matami umieszczono radio w mojej piwniczce, odbierałem dla Ałowców nasłuchy z Moskwy. Pamięć wtedy miałem, słowa nie uroniłem. Żydek tam jeden razem się chował, dyktowałem mu potem, w try miga i mieliśmy wszystko

gotowe. Powstanie przeszedłem na Żoliborzu. Co można było, tom robił. Szarpie z babami darłem, gazetkę pomagałem drukować, układać, potem z rannymi gadałem, żeby im łatwiej było. Com się tedy nazłościł, że oczu nie mam. Chłopaki prały się z Hitlerem, a ja szarpie, pieska niebieska! - głos jego zmatowiał, zadrgał. - Innych zabito, ślebaka ani drzazga nie tknęła. Tak i wyżyłem. A potem ministerstwo skierowało mnie do Poznania na kurs produktywizacji, siedzę po dziś. To ładne miasto, porządek jest. Można się przyzwyczaić. Do Warszawy jednak w tym roku na jesień pojedę, ot, pochodzić, obejrzyć, co się da, tymi gracami - wyciągnął rękę.

Milczeli oboje. Wreszcie Maleszka zaśmiał się trochę nienaturalnie.

- Etle petle, pieska niebieska! Czasem najdzie tak na człowieka,. Com to chciał rzec? Niech pani spróbuje z tym Kowalczykiem, może się uda, kobieta zawsze inaczej... Choć ja nie wierzę. Dalibyśmy go do Jarogniewic, tam jest szczotkarnia. Poduczy się fachu” wywietrzeje mu żebranina, skierujemy chłopca do Wrocławia czy Lublina, zacnie żyć odł nowa. To ta zdzira takie nic z niego zrobiła.

Nagle, nim zdążyła coś odrzec, przeszedł do innego tematu.

- Bombardowali z Warszawy o to wychowanie fizyczne... Niech tam! Tylko człowieka odpowiedniego nie było. Wczoraj doktor Mińczykowa dzwoniła, że ma kandydata, dobrego podobno... Zobaczymy. Mógłby zostać także kierownikiem organizacyjnym. Jak pani się zdaje? Prawda, nie był jeszcze. Niech go pani obejrzy, potem mi powie. Nada się czy nie nada? Książki pani pakuje? Mało czytają, mało. Choć to trudna rzecz. Minie samemu powoli idzie. Te kropeczki to nie cegła, mniejsze krzyne, pieska niebieska!

Odwrócił się, podszedł do drzwi. Tam szepnął, chyba już tylko do siebie:

- Ej, Warszawa, piękna być musi, jak to o nią dziś dbają...

Spoglądała za nim wzruszona. Jeszcze raz stwierdziła, że, lepsi czy gorsi, warto dla nich pracować. Nie, ani trochę nie żałowała swojej decyzji.

Dom przy placu Wielkopolskim, w którym na parterze i pierwszym piętrze mieściła się dziewiarnia, na drugim zaś uruchomiony przed kilku miesiącami internat inwalidzki, głównie dla niewidomych, nie wyglądał na zewnątrz zbyt zachęcająco. Obskurny, obdrapany, z brudnymi oknami, robił ponure wrażenie. Nawet słońce nie mogło dodać uroku starej ruderze.

Budynek jazgotał nieustannym hałasem. Na dole kręciły się szpule, na które widzące pracownice namotywały bawełnę. Obok terkotały maszyny do szycia: zszywano zniesioną z góry tkaninę. Na podłodze wały się strzępy bawełny, resztki materiałów, panował zaduch

oliwy i smarowidła, którym zapuszczano podłogę.

Drewniane, zużyte schody skrzypiały głucho pod krokami Kitliczowej. Wbiegła szybko na górę, nie lubiła tego skrzypu i panującej na klatce schodowej ciemności. Wołała widne sale dziewiarni.

Na korytarzu dwóch niewidomych paliło papierosy. Chciała ich minąć niepostrzeżenie, ale już przerwali rozmowę, nasłuchiwali kroków.

- Pani Kitliczowa, tak?

Zdumiewała ją zawsze ich łatwość rozróżniania kroków każdej osoby. Poznała Skulskiego, wiecznego malkontenta. Parę już razy próbowała się z nim dogadać, zawsze stawał okoniem. Drugiego nie znała.

- Dzień dobry. No i co słyhać, kolego Skulski? Słyszałam, że zamierzacie wstąpić do naszego chóru? - Wiedziała, że miał przyjemny głos, lubił wyśpiewywać w internacie mało wybredne piosenki, W żaden jednak sposób nie chciał zapisać się do chóru.

- Co to, to niii - przeciągał. - Masz pani innych, których to cieszy. Ja nie głupi, a bo to mi zapłaca za śpiewanie? Wolę poleżeć, a jak pośpiewać, to sobie.

- Ani razu nie byliście, skąd wiecie, jak to u nas jest? Czasem taki śpiew więcej daje dochodu, niżby się mogło zdawać...

- Dochodu? Jakiego dochodu?

- Dla samego siebie. Weselej się robi człowiekowi, kiedy ma zajęcie, nie potrzebuje suszyć głowy różnymi myślami. No jak, Skulski, a może raz spróbujemy?

- Niii, schowaj pani takie bajdy dla siebie. Już w tej dziewiarni soki wyciągną z człowieka” jeszcze się będę śpiewaniem męczył.

Niegrzecznie odwrócił się od niej, naumyślnie głośno ją mówić coś do kolegi.

Nie zraziła się, oswojona już z różnymi ich dziwactwami.

Pchnęła drzwi do pierwszej z brzegu sali. Tę salę właśnie lubiła najbardziej.

- Dzień dobry, kochani.

- O, pani Kitlicz. Dzień dobry, jak zdrowie? Co słyhać nowego?

- Co słyhać? Dostaniecie niedługo aparaty radiowe, na które składaliście zapotrzebowania. Są „Agi” i „Pioniery”.

Doroszewska zaklaskała w ręce. Siedziała przy pierwszej na prawo maszynie, tuż koło ściany. Wskoczyła teraz na środek sali, mrużąc oczy wypatrywała cienia sylwetki Kitliczowej. Uściskała ją mocno.

- Strasznie się cieszę, strasznie! Od razu zapiszę się na kurs Wszechnicy Radiowej...

Kitliczowa podchodziła do każdego z nich, witała się. Każdemu miała coś do

powiedzenia, to głośno, żartem, to znów na ucho, poufnie. Do Kaczana szepnęła wesoło:

- Ej, kolego, kolego, takiej ładnej dziewczusze głowę zakręcić, że świata za wami nie widzi...

Młody chłopaczek, czarniawy, ze znamieniem na prawym policzku, wodził głową za każdym jej poruszeniem. Jakiś żal rozlewał się na jego twarzy, gdy witała się z innymi. Spostrzegła to, przypomniała sobie:

- Och, Minio, zapomniałam, że przecież z tobą najpierw trzeba się zawsze witać! - potrząsnęła małymi jego dłońmi.

Rozjaśnił się. Szepnął tajemniczo:

- Proszę pani, ja już nauczyłem się tych „Much”. Chce pani, to zaraz mogę powiedzieć... - Uczył się fragmentu z Pana Tadeusza.

Strzepnęła dłońmi.

- Ależ nie, nie! Będzie czas na to pojutrze, w świetlicy. Powtórz sobie dobrze, żebyś potem nie stanął nagle z otwartą buzią, jak ostatnim razem, kiedy skończyło się tylko na tytule...

- A wie pani, że Warpechowskiego chciano wylać z internatu? - rzekł Gwizdalski.

- Który to?

- Ziuk, ten, co to mieszkał razem z Czerpakiem.

- Aha, aha, za cóż to?

- Za pijaństwo. Co drugi dzień pijany, nie wiadomo skąd ma na to pieniądze. Upił się i ściągnął do sypialni Małgośkę, córkę tego kulawego, co robi na dole przy nawijaniu. Zaczęli się tam całować, lichy wie co... A właśnie wszedł kierownik, zobaczył. Wyrzucił ich oboje za kołnierz, cała sala dostała rугanie, że lepiej nie wspominać... a Warpechowskiemu zapowiedział, że go wyrzucą z internatu od jutra - opowiadał Gwizdalski z przejęciem. Lubił takie historyjki.

- Podobno Przybylski za nim się wstawił. A Przybylskiego wszyscy szanują - wtrącił Kaczan.

Czekaj, ja opowiem! Ale może pani gdzie siądzie. - Podeszedł do stołu, za którym siedziała normalnie pracownica pomagająca niewidomym w razie jakichś defektów w maszynie, nieobecna w tej chwili. Wynalazł krzesło, klepnął w nie parę razy zachęcająco. Podnieconym głosem mówił teraz dalej:

- Pani wie, że Warpechowski, jak robiono internat, przeniesiony został do tej sali, gdzie i ja jestem. Tamci zostali na starym miejscu. Nasz pokój większy, to w siedmiu leżymy. Otóż ktoś im dał znać, co się z Ziukiem stało. I wtedy Przybylski i ten drugi, wielki, aha,

Dzitko, poszli do kierownika, wstawiali się, prosili, w końcu kierownik darował mu na ten raz. Potem Dzitko nam doradził po cichu, żebyśmy po swojemu pogadali z Ziukiem, że to on nam psuje opinię sali i takie różności...

- I co? Pewnie daliście mu koca?

- Taaak. A skąd pani wie? Już ktoś pani powiedział?

- Nie, ale w takich okazjach zawsze daje się koca. Pomogło? - Wyklina nas od trzech dni, ale od tego czasu nie pił jeszcze.

- Nie pił, za to nocą pozawiazywał im nogawki u spodni i rękawy koszul na takie supły, jeszcze zamoczył w wodzie, że się potem pół dnia biedzili z rozwiązywaniem - zaśmiała się Doroszevska.

- Nie wiadoma, czy on. Za ręce nie złapaliśmy. U niego też koszula była związana... - Gwizdalski nie chciał się przyznać do porażki.

- Uszanowanie... a bo on głupi, żeby zapomnieć o sobie. Wtedy by się od razu wydało.

- Przybylski to dobry człowiek. Ten Warpechowski mu dokuczał, a on wstawia się za nim. Ja bym tak nie potrafił. - Kaczan z podziwem pokręcił głową.

- No, a co z wyborami? - ta sprawa najwięcej ją teraz interesowała. Od tego zależała także dalsza jej praca. Chciała zorganizować koło kulturalno-oświatowe przy dziewiarni, tak jak w szcnotkami, może jeszcze przy internacie. Byłaby wtedy okazja do rozwinięcia współzawodnictwa. Ożywiłoby to robotę...

- Tak. We czwartek. My tutaj stawiamy na Kupczyka! Jego dawno trzeba było zrobić przewodniczącym koła.

- Nic się u nas nie działo, dopóki był Hieronim. Popijać tylko lubił jak za przedwojennych czasów, gdy kiosk prowadził... Tyle było jego roboty.

- Kiosk miał?

- A miał, tutaj w Poznaniu, na Półwiejskiej. Bo on jest ociemniałym żołnierzem z pierwszej wojny; paruset takich było. Swojego czasu zrobili raban że uszanowanie, wtedy rząd dał im duże renty, prawo koncesji na kioski i jeszcze różne dodatki. Mieli pieniądze, pili, hulali, kioski wydzierżawiali. A reszta, cywilni, których było pięćdziesiąt razy tyle, żyli w nędzy jak psy... Pyskuje teraz, bo renta nie taka duża, a pracować nie lubi. Chciałby żyć ze swego kalectwa - opowiadała Doroszevska ze zwykłą sobie żywością.

- No dobra, ale nie zapomnijcie, żeby wybrać odpowiedniego „k-o” przy waszym kole.

Nie odpowiedzieli, chrząkali tylko porozumiewawczo.

- Trzymajcie się - znów ceremonia żegnania się ze wszystkimi. Obraziliby się, gdyby

tego nie zrobiła.

„Cały dzień stale szarpać rączkę w tym hałasie, a jeszcze przy ich słuchu specjalnie wrażliwym” - myślała stając w otwartych drzwiach drugiej sali. Tutaj było dziewięć warsztatów, hałas ogłuszał w pierwszej chwili zupełnie. Pamiętała wrażenie, jakie za pierwszym razem zrobił na niej widok dziewiarni i pracujących przy warsztatach niewidomych. Teraz już reagowała inaczej.

Warsztaty, takiej wysokości jak normalny warsztat stolarski, tyle że o pół krótsze, z lanego żelaza, jazgotały w trakcie przesuwania żelaznego hebla ciągnącego za sobą bawełnianą nić. Tam i z powrotem, tam i z powrotem przesuwały się rączki, tam i z powrotem chwiały się tułowia robotników. Czasem zatrzymywali się, drewnianym kijkiem odmierzali długość zwisającej pod warsztatem utkanej materii. Jeżeli osiągnęła właściwą długość, spuszczali osnowę o kilkanaście oczek niżej, zaczynali od nowa. Produkowali teraz męskie kapielówki.

Wysoki mężczyzna uważnie wsłuchiwał się w odmienny szmer maszyny. Sprawdził dłonią. Tak, nić się przerwała. Zaklął ordynarnie, zawołał:

- Józia, prędko tutaj!

Widząca dziewczyna za stołem odrzuciła obrębianie materii, porwała się z miejsca. Niewidomy już niecierpliwił się, krzychał:

- Józia, do cholery, gdzie się biesisz po kątach?!

- Uspokoilbyś się, panie Lipski, obcy na nas patrzą.

- Obcy? Mam ich gdzieś, jak się nie przedstawiają.

- Nie może być, kolego Lipski? Czy naprawdę? - zaśmiała się podchodząc bliżej Kitliczowa.

- A, pani? Kto to mógł wiedzieć? - speszył się trochę, zbyt głęboko nie wziął sobie tego jednak do serca. - Choroba, nić się wie, pieski surowiec trafił się nam tym razem. Związek mógłby dopilnować tych spraw.

- Nie taki znów zły, nie gadaj! - odezwał się nagi do pasa, barczysty, starszy już mężczyzna. Całe ciało pokryte miał tatuażem. Dawny marynarz, wzrok stracił w czasie wojny. Charakter mu się niewiele zmienił od tego czasu. Zawsze rwie się do awantur, ale pracownik z niego doskonały. Obok Doroszewskiej on jeden był przodownikiem pracy w dziewiarstwie.

- Ty chwalisz, Antkowiak, bo ja nie chwale! Mnie nie przekonasz - burknął Lipski, ale dalej nie podejmował już dyskusji.

Witała się podchodząc do każdego, jak i w poprzedniej sali. Mało który przerywał

robotę, gdy ujmowała go za ramię.

Znowu będziesz nam pani bajdy mówić o śpiewie i innych duperelach? - zadrwił młody, ładny chłopak z gładko zaczesanymi włosami.

- Warpechowski, widać, że o kocu już zapomniałeś! Kto wie, może by ci się jeszcze i przydał? - odpaliła.

To im się podobało. Cała sala wybuchła śmiechem.

- On jeszcze po tamtym nie usiedzi na tyłku. Mieli chłopaki mocne ręce, mocne...

- Pani to taka, taka... swojska. Nie sztywna i krzykliwa, jak Maleszka - z niespodziewaną wylewnością odezwał się nagle Antkowiak.

- Taka równa baba, co? - spytała śmiejąc się.

- O to, to!

- Dobrzy oni wszyscy, z naszej forsy żyją, pętają się z miejsca na miejsce, a w Związku niczego załatwić nie można! - Warpechowski był wściekły, szukał zaczepki.

- Z twojej złotówki miesięcznie duża byłaby pociecha! A i tak masz pewnie zaległe, boś wszystko przepił - zawołał ktoś z sali.

- Zamknij jadaczkę, bo ci pomogę!

- Zostawcie, chłopcy, to po tym kocu źle mu się myśli. Postanowiła pobić Warpechowskiego jego własną bronią.

Wszelkie próby porozumienia się z nim nie powiodły się dotąd. Szukała nowych sposobów.

- Dostaniecie w tych dniach aparaty radiowe. Ci, co zamówili... - oznajmiła,

I tutaj wiadomość wywołała uciechę. Zaczęli dopytywać się o zegarki. Nic bliższego jeszcze nie było wiadome. Lada miesiąc powinny nadejść ze Szwajcarii, większy transport, oczekiwano go w Warszawie z niecierpliwością.

Nastrój ożywił się. Rozgadali się. Któryś zapytał nawet, czy naprawdę będzie próbowała zmontować u nich zespół teatralny.

- Bo ja to grałem sporo, jak jeszcze widziałem - pochwalił się.

- Michaś artysta, patrzcie go! Cha! cha! cha!

- A żebyście wiedzieli! - upierał się. Pomyślała, że teraz pora wspomnieć coś o wyborach.

- Jak tam, macie upatrzonego prezesa na czwartkowe wybory? Ktoś mi mówił, że o Warpechowskim myślicie... - spróbowała z tej beczki.

Obruszyli się. Warpechowski zamruczał, że łaski nie potrzebuje i gwizdże na cały Związek i koło. To ich jeszcze bardziej ubodło. Przed chwilą sami krytykowali Związek, teraz

zaczęli go bronić. Marynarz zamruczał pochylając się nad warsztatem:

- Niedoczekanie, żebyśmy znowu wybierali takich Hieronimów czy Warpechowskich! Dość było jednego pijaka... Musi być któryś z głową.

Ucieszyła się. I tu zapowiadało się niezłe. Ech, można się z nimi dogadać, trzeba tylko znaleźć sposób! Oprócz Warpechowskiego i Skulskiego, który nie odezwał się teraz ani słowem, wszyscy pożegnali ją naprawdę serdecznie.

- Taką bym wziął za żonkę! - usłyszała jeszcze za sobą, nie mogła rozpoznać po głosie.

Na korytarzu spostrzegła Kaczana rozmawiającego z sekretarką spółdzielni. Dziewczyna stała odwrócona do niej tyłem. Przez ułamek sekundy Kitliczowa miała ochotę posłuchać fragmentu ich rozmowy, poczuła jednak zaraz, że byłaby to największa niedelikatność, jaką można wyrządzać niewidomemu. Słyszała już, że na przykład w Owińskach młodzi nie mają przekonania do widzących wychowawców czy profesorów, jeśli przyłapią ich na podsłuchiwanie.

Umyślnie mocniej stąpała idąc teraz w ich stronę. Kaczan obrócił się nagle.

- Pani Kitlicz! Miała pani przed chwilą moment wahania, prawda? Dlatego teraz szła pani nienaturalnie... - Uśmiechnął się jakoś szczególnie miło.

Dziewczyna była naprawdę bardzo ładna: wysoka, szatynka, o włosach krótko uciętych, miała w twarzy jeszcze coś bardzo dzieciennego. Przy uśmiechu tworzyły jej się w policzkach małe, okrągłe dołeczki. Kitliczowa z przyjemnością patrzyła na tę twarz, zastanawiała się nad szczerością uczuć dziewczyny dla niewidomego. Już na koncercie, który przypieczętował jej decyzję podjęcia pracy w Związku, zwróciła na tę parę szczególną uwagę.

Widziała ją wtedy po raz pierwszy, dotąd znała jedynie ze słyszenia. Wanda zrobiła maturę w pięćdziesiątym pierwszym roku. Zaraz potem zaczęła pracować pragnąc dopomóc chorującemu ojcu. Od tej chwili minął już rok. Była sekretarką spółdzielni dziewiarskiej, tutaj poznała Kaczana. Nie było przesady w tym, co mówiono, że ona bardziej się nim zajmuje. I teraz, gdy patrzyła Józka, w wyrazie twarzy miała tyle niekłamane go uczucia, że Kitliczowa pozbyła się ostatnich wątpliwości.

- Pani do nas rzadko zagląda. Proszę przychodzić z kolegą Kaczanem. Byłabym wdzięczna, gdyby czasem zechciała mi pani trochę dopomóc. - Ostatniego argumentu użyła ze względu na Kaczana. Wiedziała, że to skłoni go do zapraszania Wandy do Związku.

- Dziękuję, chętnie skorzystam. Prawda, Józku, będziesz mnie zabierał ze sobą? Zaśmiał się.

- Nec Hercules contra plures - powiedział.

„Skąd on ma tyle wiedzy i odczytania” - zdziwiła się. Postanowiła zajrzeć do kartoteki oddziału, sprawdzić, jakie Kaczan ma wykształcenie.

- No, na mnie czas. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia... Do trzeciej izby warsztatowej nie zaglądała. Pracował tam Kupczyk, atmosfera była raczej przyjemna. Kupczyk umiał zjednywać sobie ludzi. Ale bo też, mimo pozorów ostrości, posiadał więcej poczucia serdecznej koleżeńskości niż inni.

Kitliczowa od pierwszego dnia poczuła do Kupczyka szczególną sympatię. Dotąd jednak niewiele się dowiedziała o nim. Skryty był, nieufny, jak większość niewidomych od urodzenia. Taką szkołę dostali od życia... Długo trwało, nim nabrali do kogoś zaufania. Ale od tej chwili gotowi byli dać się za niego zabić.

Idąc do „ósemki” rozmyślała nad tymi sprawami. Stanowczo wielu rzeczy jeszcze nie rozumiała. Częściej pomagała jej intuicja niż doświadczenie. Postanowiła jak najwięcej obserwować i uczyć się.

Tramwaj stał na przystanku. Podbiegła, wskoczyła w ostatniej chwili.

Co chwila spoglądała na zegar. O siódmej miała próbę z chórem dziewcząt ze szczotkami, nie mogła się spóźnić. Bardzo były na tym punkcie wrażliwe. W ogóle moc było z nimi kłopotów, chociaż i wiele scen naprawdę rozczulających...

Omial nie przegapiła przystanku. Wskoczyła, gdy tramwaj już ruszał.

Wielką przebiegła niemal pędem, aż parę osób obejrzało się za nią. Jakiś rowerzysta ostrzegawczo zadzwonił. Trolejbus stał właśnie, zwolniła kroku widząc, że kierowcy nie ma w szoferce.

Zastanawiała się, jak Kowalczyk jeździ do miasta. Też chyba trolejbusem? Mieszkał aż na Komandorii, przy Bnińskiej...

Właśnie dojechała do tej ulicy. Teraz szła wolniej. Powinna zdążyć jeszcze na czas z powrotem. Mijała małe, podniszczone domki i nagle wyrosłe pośród nich wille.

- To tutaj - mruknęła do siebie.

Tak chciała wygrać tę sprawę, udowodnić prezesowi, że perswazją też można wiele zdziałać. Wcale jednak nie była pewna, czy jej się to uda. Maleszka wspominał o kochance niewidomego, który ją bezgranicznie kochał. Tolerował nawet fakt, iż przyjęła do ich mieszkania innego mężczyznę, jakiegoś wydrwigrosza. Czy w takiej sytuacji da się coś zdziałać?

Weszła w bramę, jakiś psiak szczeknął raz, drugi, potem podkulił ogon i schował się za domem. Na płocie suszyła się bielizna. Dokoła walały się śmiecie, odłamki szkła, brudne gałgany.

W sionce znalazła nagryzmołone ołówkiem na drzwiach nazwisko Kowalczyka. Cicho było za tymi drzwiami, nie dobiegał żaden szmer z zewnątrz. Zapukała.

- Proszę - drgnęła poznając głos, który wyzywał ją dziś rano.

Nacisnęła klamkę. Drzwi prowadziły od razu do kuchni, brudnej, zagraconej do ostatniego miejsca. Pośrodku stała balia z namoczoną bielizną, dalej piętrzyły się jakieś paczki. Na stole leżał stos marchwi.

- Kto tam? - w drzwiach wiodących do przyległego pomieszczenia stał Kowalczyk, rozchełstana koszula wylaziła mu spod paska. Był bosy. Czujnie nasłuchiwał, jeszcze bardziej przekrzywił do dołu lewą ramię. Nie wyglądało na to, by w mieszkaniu znajdował się ktoś drugi. Była to okoliczność nad wyraz pomyślna.

- Kitliczowa... Przyszłam pana przeprosić za to, co się stało dziś rano... - Przyszła jej nagła myśl, aby w ten sposób rozpocząć.

Niewidomy skrzywił się, grymas na jego twarzy przeraził ją. Jakby w obronie wyciągnął ręce przed siebie, zrobił krok naprzód.

- Czego? - głos miał ochryply, poczuła zapach wódki.

- Mówię, że chciałam pana przeprosić.

- I po to trzeba było aż tutaj przyjeżdżać, na ten koniec świata? - Nie wierzył ani przez chwilę.

- Tak, po to! Ale może byłby pan tak grzeczny i pozwolił kobiecie gdzieś usiąść.

- Nie mam z panią nic do gadania - trochę jakby spuścił z tonu.

- Naprawdę zmęczyłam się bardzo. A przecież przyszłam z najlepszą wolą.

Cofnął się, zrobił niby zapraszający ruch ręką.

- Niech pani wejdzie. Tu są krzesła.

Pokój wyglądał dosyć przyzwoicie. Było tu względnie czysto, stały meble ciemnego koloru. Wszędzie tłoczyły się jakieś figurki, kryształ, fajansowe naczynia, krzyżące kolorami. „Jak on nie potłucze tego wszystkiego” - dziwiła się.

Kowalczyk usunął się trochę w głąb, przysiadł na wąskim tapczanie. Dopiero teraz zauważyła jeszcze jedne drzwi. „No tak, muszą przecież gdzieś spać.”

Niewidomy miał twarz zwróconą w jej stronę. Na twarzy tej malowała się napięta uwaga. Czoło było zmarszczone. Nawet w mięśniach wychudzonych, zapadłych policzków wyczuwało się napięcie.

- Ubranie się panu porwało, panie Kowalczyk. Szkoda, że nie mam igły i nitki, zaraz bym panu zaszyla.

Zamruczał coś.

- Ten chłopak, co rano był z panem, niepotrzebnie pana nastraszył...

Milczał, poruszył się niespokojnie.

- ...Przecież ja nie po to chciałam pana prosić do Związku, żeby uczynić panu jakąś krzywdę, ale dlatego, że tam było najlepsze miejsce do pogadania.

- Ja nie mam z panią nic do gadania! Czego pani przyczepiła się do mnie? - podniósł głos.

Przysunęła się bliżej, pogładziła chude, znędzniałe dłonie. Cofnął je nagłym ruchem.

- Jestem bibliotekarką Związku. Inne sprawy mało mnie obchodzą. Pan nie korzysta z biblioteki, chciałam pana zachęcić, pożyczyć książkę.

- Nie znam brajla.

- O, to szkoda - zdziwiła się. - Warto by się nauczyć. Może by się pan zapisał na kurs, co?

Wstał gwałtownie. Twarz mu wykrzywił okropny grymas.

- Niech pani idzie, pókim dobry, niech pani idzie precz... Bo ludzi zawołam! Nie chcę żadnego Związku, chcę mieć spokój! Dajcie mi żyć, jak ja chcę. Źle czy dobrze, moja rzecz!

Powstała także.

- Pana wyzyskuje ta kobieta, jej kochanek i ten młody smarkacz, który dziś rano zbierał pieniądze...

Zbladł gwałtownie, aż przestraszyła się, czy nie stało się mu coś złego.

- Skąd pani wie? - zacharczał. - To moja rzecz!

- Niech pan się opamięta. Marnuje pan życie... Zamkną pana za włóczęgostwo.

- To Związek będzie winien. Związek mnie ściga jak psa, milicję nasyla... Ja wiem, wiem...

Nagle minął ją, skoczył ku drzwiom, zaczął wołać:

- Truda, Truda, chodź tutaj, Truda!...

Przegrała. Nie było już nic do zrobienia. Szybko przeszła z powrotem do kuchni. Gdy mijiała Kowalczyka, złapał ją za zakiet. Szarpnęła się. Prawie biegiem puściła się przez podwórko. Słyszała głos niewidomego za sobą. Po chwili dołączył się do niego ostry dyszkant kobiety.

Jadąc trolejbusem trawiła gorycz przegranej. Tak, Maleszka miał w tym wypadku rację.

IX

Dochodziła godzina siódma. Pod biura „Orbisu” na placu Wolności podjechał autobus przewożący pasażerów na lotnisko. Zajęto miejsca, obsługa załadowała bagaże. Zegar umieszczony nad wejściem wskazywał przepisana rozkładem godzinę odjazdu. Przysadkowaty, o rumianej, trochę łobuzerskiej twarzy szofer marudził jednak. Zajrzał do biura, sprawdzał coś powtórnie w listach ekspedycyjnych, potem podniósł maskę motoru, grzebał w nim, co chwila oglądając się w stronę alei Marcinkowskiego. Wskazówki zegarka przesunęły się o pięć minut. Szofer westchnął, wgramolił się na swoje miejsce. Autobus zawarczał, drgnął, raptem gwałtownie przystanął. Uśmiechnięty kierowca skinął ręką do siedzącego z tyłu bagażowego.

Macając laską drogę szedł w kierunku „Orbisu” wysoki, postawny mężczyzna. Miał ciemne okulary, na ramieniu opaskę niewidomego, żółtą z czarnymi kołami.

- Dzień dobry, panie majorze. Stefaniak czeka na pana od kilku minut...

- Przepraszam. Zepsuł mi się zegarek.

Stefaniak nacisnął sprzęgło, włączył bieg dodając jednocześnie gazu. Po chwili rwał już ulicami Poznania z wcale nieprzepisową szybkością. Musiał zdążyć na czas.

Kilku pasażerów ciekawie oglądało się za niewidomym. Jeden z nich szepnął do sąsiada:

- Podobno to były lotnik. Często jeździ na lotnisko, ciekawym, co on tam robi...

- Lotnik, pan mówi? Co mu dziś z tego? Ech, panie, bez oczu to chyba nie może być nic gorszego.

Autobus przystanął na chwilę, weszło doń kilku ludzi w mundurach lotniczych. Najstarszy potrząsnął dłonią niewidomego.

- Serwus, Mietek! Dobry dzień wybrałeś, wygrzejesz się na słońcu. Maj, a pali jak diabli! - Ocierał pot chusteczką.

Niewidomy uśmiechnął się.

- Choroba, mówię wam, trąba jakaś czy inny diabeł? Rzucalo nami od Kutna, aż się połowa pasażerów rozchorowała. Od lewej dał wiatr, znosił z kursu. Pogoda ładna, nagle się to zaczęło.

- Ja miałem na Szczecin podobną tańcówkę.

- Stoi teraz kilku skrzatów na placu. Szkolą się młodzi, dobrze latają, patrzyłem wczoraj - z powagą oświadczył młody, najwyżej dwudziestokilkuletni pilot.

Major Kijak słuchał uważnie.

- Wczoraj próbowali akrobacji. Z tym było różnie. Ale jeden z nich to naprawdę nieprzeciętny talent - powiedział spokojnie.

- Jak pan to wyczuwa tak świetnie? - zdziwił się któryś z lotników. - Słuchem rozpoznać, co się dzieje w powietrzu?!

- Ech, przyjacielu, mając taką praktykę, jak nasz Mietek to samym słuchem się czuje, co maszyna wyprawia w górze...

Major westchnął głęboko. Od tygodnia szkolono na lotnisku grupę młodzieży. Odbywali loty na lekkich maszynach sportowych i małych myśliwcach. Ten tydzień przyniósł mu wiele przeżyć, radosnych i bardzo smutnych...

Oстрыm, śmiałym wirażem Stefaniak wziął zakręt, wjechał z impetem w bramę portu lotniczego. Przesunęli się zaledwie o cal od masywnej żelaznej bramy. Młody pilot z uśmiechem potrząsnął głową.

- Ten diabeł robi na ziemi lepsze łamańce niż my w powietrzu.

Autobus stanął, pasażerowie stłoczyli się w drzwiach poczekalni. Lotnicy spieszenie przeszli wejściem służbowym.

Mieczysław Kijak powoli wysiadł, nasłuchiwał, gdzie znajduje się w tej chwili Stefaniak. Pomagał właśnie wyładowywać bagaże.

Major wyciągnął w jego stronę długą, chudą dłoń.

- Chciałem wam podziękować i przeprosić za spóźnienie. Tak się niefortunnie złożyło.

- Nic, nic.

Spojrzał uważnie, na jego łobuzerskiej twarzy pojawiło się lekkie wzruszenie.

- Spóźnienie to bagatela. Nadrobiłem te sześć minut, trochę szybciej jechałem. - Wbrew przepisom gnał pełną sześćdziesiątką. - Bałem się tylko o pana. Bo wiem, jak pan zawsze jest punktualny i słowny.

- Widzicie, u ślepcy różnie bywa. Zegarek mi się popsuł, dlatego to wszystko. Zorientowałem się dopiero, gdy radio podało dokładny czas.

- Dobra już, dobra, wszystko w porządku - kierowca gderliwym tonem usiłował pokryć wzruszenie.

Przywiązał się do byłego lotnika, który często przyjeżdżał na lotnisko, gdzie za cichą umową dawni koledzy pozwalali mu przesiadywać przed wejściem na płytę startową i słuchać tego, co się dzieje w powietrzu. Stefaniak miał serce szczególnie czułe na ludzika niedolę. Gbur, trochę obwieś i arogant, gdy stykał się z jakimś nieszczęściem, zmieniał się w innego człowieka. Na próżno usiłował ukryć swoje uczucia, wyłaziły orne na wierzch wszystkimi

szwami.

Stojąc przy swojej niebieskiej maszynie patrzył teraz za swobodnie idącym majorem. Pokiwał głową, potem z rozmachem zatrzasnął otwarte drzwi. Zaraz, jakby dla pokazania, że nic go to nie obchodzi, fałszywie zagwizdał ulubioną piosenką o Warszawie. A potem z pasją zabrał się do czyszczenia zakurzonego autobusu.

Ubiegłego wieczora Kijak po prostu zapomniał nakręcić zegarek. Pierwszy raz mu się to zdarzyło. Ale też od dawna nie miał tak ciężkiego dnia jak poprzedni.

Wrócił z lotniska wczesnym popołudniem. Komendant portu, przyjaciel jeszcze z młodości, zaprosił go na obiad do kantyny pilotów. Nie potrzebował więc już iść do gospody, gdzie zawsze jadał. I od tego się wszystko zaczęło! Gdyby wrócił do domu tak jak zwykle, Lila byłaby już spakowana i nie doszłoby może do tej przykrew scysji.

Mieszkał u brata, zajmował mały pokój. Brata nigdy prawie nie było w domu. Gospodarstwem opiekowała się gosposia, stara Balbisia. Żonę stracił inżynier w czasie wojny. Pozostała po niej córka, dziś siedemnastoletnia już panna. Dziewczyna była bardzo zdolna, zdała maturę, na studia wyższe nie śpieszyła się. Sytuacja materialna sprawiała, że mogła sobie pozwolić na beztroskie, próżniacze życie.

Major starał się w życiu rodziny zajmować jak najmniej miejsca. Przesiadywał przeważnie w swym pokoiku, czytał książki brailowskie, a gdy ich zabrakło, nastawiał cichutko odbiornik albo spędzał całe godziny w milczącej zadumie. Od pewnego jednak czasu bratanicę drażniła obecność nieporadnego stryja. Traktowała go jak piąte koło u wozu, jak balast, mimo że major żył bardzo skromnie, wyłącznie ze swojej inwalidzkiej renty wojskowej i ściśle przestrzegał, aby w niczym nie uzależniać się od brata. Inżynier długi czas nie chciał się z tym zgodzić, natrafiwszy jednak na nieprzejednany opór niewidomego musiał zrezygnować.

Od roku major coraz częściej gratulował sobie takiej właśnie decyzji. To nic, że przestał palić papierosy, że oszczędzać musiał na każdym groszu, gdyż renta była skromna i tylko z trudem starczała na życie. Cenniejsza od tego była świadomość własnej niezależności. Szczególnie wobec zmiany zachowania się Lili w stosunku do niego.

Już dawno zauważył, że dziewczyna wstydzi się towarzyszyć mu na ulicy. Nie dawała tego wyraźnie do poznania, ale wszelkimi sposobami wymawiała się od chodzenia z nim po mieście. Co najwyżej wieczorami zgadzała się wyjść na spacer, ale zauważył, że i wtedy wybierała mniej oświetlone, bardziej odludne ulice, gdzie nie mógł jej spotkać nikt ze znajomych. Skończyło się i to przed paroma miesiącami, gdy major poprosił ją, aby

odprowadziła go do Związku, ponieważ chciał od Kupczyka dostać kilka przypadkowo zabłąkanych tam książek francuskich w piśmie brajlowskim. Poszła, ale była niesłychanie rozdrażniona, jakiś czas opanowywała się jeszcze, aż w końcu powiedziała mu wprost:

- Słuchaj, stryжку! Ja dłużej nie mogę pełnić roli twej niańki. Nie moja wina, że nie widzisz. Jestem młoda, mam swoje towarzystwo, swoich znajomych i nie mogę ograniczać się do zupełnie obcego dla mnie i przykrego twojego Związku...

- Bój się Boga, dziewczyno! Przecież byłeś tam zaledwie parę razy. Gdzież ja ciebie ograniczam? - Tak był zdumiony, że w pierwszej chwili próbował z nią dyskutować.

- Wystarczy, żeby sobie na długo życie obrzydzić. Jakby się człowiek znalazł wśród kretów czy nietoperzy. Brr - wstrząsnęła się. - Jak na lotnisko, to stryj może sam trafić. Trzeba i gdzie indziej nauczyć się chodzić samemu! - krzyczała, a on stał zdumiony boleśnie.

Od tego dnia zamknął się w swym pokoiku, starał się jak najmniej zawadzać. Rozrastał się w nim jakiś żal, nie do niej, ale do losu, który go skazał na życie w ciemnościach. Nie mógł odżałować, że nie zginął, że wygrzebano go spod płonącej maszyny i przywrócono do życia... Bo jakież było to życie?

Odizolowanie się od reszty domowników nie uchroniło go jednak od kilku coraz to przykrzejszych starć. Któregoś dnia Lila zostawiła w korytarzu przez zapomnienie piękny kryształ kupiony koleżance na imieniny. Nic o tym nie wiedział, kładąc czapkę na stoliku koło wieszaków stracił kryształ na ziemię. Zaczęła wtedy histerycznie płakać, zrezygnowała z imienin, zamknęła się w swoim pokoju. Następnego dnia odkupił kryształ z resztek swoich pieniędzy. Nawet nie oglądając trzasnęła nim o ziemię.

Dziś wybierała się ze znajomymi na wycieczkę. Gdy major wrócił do domu, wpychała właśnie gwałtownie rzeczy do walizki.

Aby trafić do swego pokoju, musiał przesunąć się obok niej. Przechodząc potknął się o walizkę i rozdarł nogą japońską apaszkę. Podskoczyła wtedy i rozwścieczona uderzyła go pięścią w plecy. Oślupiał, stanął jak wryty, obrzuciła go jeszcze szeregiem dosadnych słów, wyzywając od pasożytów, niemal że od żebraków. Potykając się o krzesła, uderzając o framugę drzwi - w zdenerwowaniu bowiem stracił zupełnie orientację - wpadł wreszcie do siebie i nieprzytomny z upokorzenia rzucił się, tak jak stał, ma łóżko. Do uszu jego docierały odgłosy jakichś gwałtownych hałasów, potem trzasnęły drzwi. Bratanica wyszła z domu.

Poczucie krzywdy przesłoniło w nim wszystko. Złamany tym, co się stało, leżał na pół przytomny na łóżku, powtarzał cicho:

- Uderzyła mnie, uderzyła... Za to, że jestem ślepy...

W pewnej chwili do uszu wdarł się natrętny terkot dzwonka u drzwi. Słuchał przez

chwilę człapania kroków starej Balbisi, chciał znów położyć głowę na poduszkę, gdy zastanowił go głos dochodzący z przedpokoju. Wiedział już, to ktoś do niego.

- Proszę - niechętnie odpowiedział na pukanie. Tak daleki był teraz od chęci przebywania z ludźmi.

Weszła Balbisia.

- Dwaj panowie ze Związku Niewidomych... - W głosie staruszki łatwo uchwycił ton współczucia. Domyślił się, że musiała słyszeć awanturę z Lilą. Zrobiło mu się tym bardziej przykro.

- Dobrze, może Balbisia poprosi ich tutaj. Niewidomi?

- Jeden jakby tak. Drugi nie. „Któż by to mógł być?”

- Dzień dobry panu. Poznaje mnie pan?

- Pan Korycki? - nie był zupełnie pewien. Ujął dłoń szukającą jego ręki. - Proszę siadać, tu, na łóżku, bo krzesło mam w tej ciasnocie tylko jedno. Panów jest dwóch?

- Twardosz Adam, od niedawna pracownik Polskiego Związku Niewidomych. Bardzo się cieszę z poznania pana majora. Wiele już o panu słyszałem.

- Kolega Twardosz jest obecnie naszym kierownikiem organizacyjnym a zarazem instruktorem wychowania fizycznego - objaśnił Korycki.

Przyjemność zrobił mu uścisk dłoni Twardosza. Lata w ciemności wyrobiły w nim, jak w większości niewidomych, pewną zdolność do określania charakteru człowieka z kształtu dłoni czy rodzaju uścisku.

- Cieszę się z wizyty panów. Przypuszczam, że tnie jest ona bez celu?

Zaniepokoił się ich przybyciem. Znał Koryckiego, wiedział, że krzątał się on gorliwie koło spraw niewidomych. Jeżeli towarzyszył mu jeszcze kierownik organizacyjny, pewno będą czegoś chcieli od niego...

Korycki usiadł wygodniej. W świetle zapalanej przez Balbisę lampy widział teraz niewyraźną, zamazaną sylwetkę majora. Zawahał się, jakby tu zacząć. Wiedział, że sprawa nie była łatwa. Major uchylał się od jakichkolwiek prac w Związku.

- Panie majorze, będę szczery. Mamy do pana wielką prośbę... Ale o niej za chwilę. Może przedtem naświetle panu niektóre sprawy, one uczynią moją prośbę jaśniejszą. Naszą prośbę! - poprawił się zaraz.

- Proszę, słuchani pana,

- Pan major pali? - spytał Twardosz szeleszcząc pudełkiem papierosów.

- Nie, dawno już zaprzestałem, ale proszę bardzo, niech panowie palą.

- Panie majorze, niewidomi mają żal, że nie chce pan swojej wiedzy, swoich zdolności

i talentu organizacyjnego zużytkować choć w części dla naszego Związku. Pan wie, jak wielkie zadania stanęły teraz przed nami. Wykonaliśmy tylko część wyzyskując otwierające się przed nami możliwości... - wyczuł szarpnięcie się majora, łagodnie położył mu rękę na kolanie. - Proszę mnie wysłuchać do końca.

Zadyszał się, mówił z przejęciem. Wydało mu się jednak, że słowa nie trafiają do słuchacza. Wyrzekł ciszej, z pewnym zawstydzaniem:

- Przepraszam, jeżeli mówię może zbyt sucho. Niech pan jednak weźmie pod uwagę, że treść jest ważna... Otóż główny krok został dokonany. Niewidomi uzyskali prawo do pracy i sarną pracę. Rozszerza się ilość dostępnych dla nas zawodów, przełamujemy ostatnie opory...

Major poruszył się niecierpliwie.

- Już kończę. Widzi pan, trzeba nauczyć niewidomych, żeby wykorzystywali czas pożytecznie i przyjemnie. Trzeba do reszty zniszczyć kompleks niższości, dodać im odwagi. Do tego trzeba ludzi mądrych, ofiarnych i z talentem organizacyjnym. Przyszliśmy prosić pana majora o pomoc. Zaczynamy wielką robotę. Wprowadzamy w Związku na wielką skalę wychowanie fizyczne i pracę kulturalną. Rozszerzył się zespół pracowników. Ja też nareszcie wróciłem, do pracy związkowej, ponieważ skończyłem studia; będę zastępcą kolegi Twardosza. Na pana, majorze, niewidomi bardzo liczą. Pan nie może odmówić!

Umilkł. Twardosz dorzucił krótko od siebie:

- Jestem tu od niedawna... Zdaje mi się, że rozumiem cel sprawy. Ale chciałbym uzyskać pomoc właśnie od samych niewidomych. Przecież to panowie będziecie wszystko prowadzić, ja tylko będę wykonawcą tam, gdzie bez wzroku jest trudniej...

Kijak był zakłopotany. Jeszcze i to! Gdybyż oni wiedzieli, w jak nieodpowiednim momencie przybyli! On ma być solny, twardy, mądry... On, którego dopiero co uderzyła własna bratanica... Uśmiechnął się lekko.

- Proszę panów, dziękuję za zaufanie. Ale prawdą odpowiem na prawdę. Ja sam nie potrafiłem przełamać się, spokojnie podejść do mojego kalectwa. Jak panowie wiecie, nie umiałem znaleźć dla siebie pracy, więcej, nie chcę jej szukać. Żyję z renty, nic mnie nie pociąga. Jestem odrzucony na boczny, zarośnięty zielskiem tor. Cóż ja mógłbym z siebie dać? Sztuczny zapal, fikcję roboty? A tutaj nie można się do niczego zabierać, jeżeli nie będzie się miało do tej roboty serca. Ja zaś go nie mam! Wiem, że to źle, ale za słaby jestem, aby pokonać ten nastrój. Trzydziesty dziewiąty rok przekreślił moje życie. Wegetuję i koniec...

Mówił z trudem dobierając wyrazy. Przyznawał się przed obcymi do własnej słabości. Nie widział jednak innego wyjścia. Pragnął być uczciwy wobec ich zapalu i dobrej woli.

- Ja, moi panowie, żyję tylko lotnictwem, jego wspomnieniem... Widocznie urodziłem się nie do chodzenia po ziemi... Tymczasem los mnie strącił na ziemię... Został smutek i rozczarowanie, które czas jeszcze pogłębia.

- Panie majorze. Pan powinien zerwać z dotychczasowym trybem życia! Pan może wyszukać dla siebie odpowiednią robotę w Związku, znaleźć zadowolenie, a zarazem pracować dla tego państwa, o które pan walczył...

- Trzydzieści lat temu, mój panie...

- Ja wiem, że i później pan walczył! Później zasłużył pan na stopień majora, później zdobył wysokie odznaczenia. Przecież to i szkolił pilotów, był kierownikiem tajnych kursów lotniczych. Dlaczego więc mówi pan o swojej nieprzydatności? Udowodnił pan, że może być inaczej - Korycki mówił z przejęciem.

- Pan ma wiele entuzjazmu. Zazdroszczę panu - ostatnie słowa wypowiedział Kijak zupełnie cicho. - Sprawy, o których pan mówi, też się wiązały z lotnictwem. Dziś mnie łączy z nim najwyżej możliwość przebywania w pobliżu maszyn, które tak kocham...

- Na pewno znajdzie się dla pana jakaś praca, która da panu zadowolenie. Ja będę szukał... Ale niech pan nie odmawia, niech pan nie odmawia! - wołał Korycki. - My na pana bardzo liczymy, nie można sprawiać ludziom zawodu...

Coś stopniało w sercu majora. Nie chciał odprawić z niczym tego zapaleńca. Powiedział ostrożnie:

- Nic panu przyrzec nie mogę, prócz jednego, że naprawdę uczciwie będę się starał przemyśleć pańskie słowa... Niech pan więcej ode mnie nie żąda. Dostyc mi już ciężko, że tylko tym mogę odplacić panu za jego zapał i szlachetny entuzjazm... - Przypomniał coś sobie. - Przepraszana, pan wspominał o pracy magisterskiej? Czy już po wszystkim?

- Tak, praca została przedstawiona i przyjęta.

Kijak powstał, serdecznie ujął w ramiona o połowę niemal niższego od siebie Koryckiego i uściskał mocno.

- Gratuluję z całego serca. I naprawdę, głęboko podziwiam pana! Czy można zapytać o temat pracy? Coś zdaje się o niewidomych?

- Tak, zagadnienie produktywizacji niewidomych w związku z budową nowego ustroju w Polsce... Myślę, że powinno trochę dopomóc sprawie, przyczynić się do tego, aby nasz wkład w tę budowę był możliwie największy. Prawda?

- Niech mi pan wierzy, chciałbym z pańskim zapałem mówić to samo! Ja to uznaję, tak samo myślę, ale brak mi siły i woli, żeby działać.

- Jestem przekonany, że jednak będzie pan działał! Na pewno!

Po ich wyjściu major nie potrafił już usnąć tej nocy. Nad ranem o mało nie spóźnił się ma autobus zdążający na lotnisko.

Małym samochodzikiem podciągnięto pasażerską maszyną w pobliże budynku portowego. Silny wiatr, który zerwał się nagle kręcił po cementowych płytach drobne kruszyny pyłu. Przerażliwie łopotał rękaw wskazujący kierunek wiatru. Skończono przetaczać benzynę, mały tankowiec odjechał, przystanął poza barierą oddzielającą teren portu od płyty startowej.

Niewidomy stał w otwartym oknie kapitanatu, słuchał tych wszystkich odgłosów, rozpoznawał każdą czynność mechaników i pomocniczej obsługi. Powonieniem chwycił lekki zapach czystej lotniczej benzyny. Z poczekalni docierało do niego nerwowe dreptanie pasażerów czekających na hasło odlotu. W bufecie szczękały filiżanki, szeleściły gazety.

Odszedł od okna, przysiadł nie opodal telegrafisty, nawiązującego łączność z załogą samolotu lecącego ze Szczecina. Brzęczał mały dzwoneczek kontrolny, umieszczony przy skrzynce rozdzielczej.

- Tu Poznań Port... przyjęte.

Zazgrzytał klucz wsadzany w gniazdko. Młody człowiek obrócił się w kierunku majora.

- Będą za dziesięć minut. Trafili na tę samą falę burzową, która kosiła trawę tu u nas...

- Rozpiął bluzę. - Ależ ciepło. Jeszcze tyle godzin trzeba będzie wysiedzieć! Znudzila mii się już ta robota.

Zabrzęczał dzwonek w centralce.

- Tu Poznań Port. Tak, słucham... Przyjęte. - Odwrócił się, zawołał przez otwarte drzwi do kapitanatu: - Łódź wolna!

Za chwilę megafony obwieściły:

- Pasażerowie odlatujący do Łodzi i Krakowa proszeni są do samolotu.

Zadreptały liczne nogi na cementowej płycie. Major znów słuchał. Rozróżniał poszczególne kroki, próbował według nich określać charakter lub wygląd osób. Ten drobny, szybki chód musi należeć do młodej kobiety. Pantofle ma na wysokimi obcasie. Stąpa lekko, żywo, ale z pewną dystynkcją. Może jakaś aktorka... Nie opodal też idzie kobieta, ta krok ma ciężki, prawie że męski - jest w obuwiu na niskich obcasach, wyraźnie czuje się, że jest podenerwowana. Może pierwszy raz w życiu podróżuje samolotem, boi się. Niesie ciężką teczkę albo jakąś paczkę, bo przechylona na lewą stronę, mocniej stąpa lewą nogą. Inny krok rozbawił go, śmiejąc się spytał radiotelegrafistę:

- Wśród pasażerów musi być jeden potężnie gruby, nieprawda?

Nie zdejmując słuchawek z uszu radiotelegrafista wyjrzał, pokręcił głową ze zdumieniem.

- Po czym to poznaliście, kolego Mieczysławie? Rzeczywiście, aż sapie przewalając się z nogi na nogę...

- Właśnie po chodzie. To łatwo odróżnić.

- O, jest i Kwiecińska, to zdolna aktorka, ostatnio doskonale grała w Teatrze Polskim...

- Tak też myślałem, że właścicielka butów na wysokim obcasie musi mieć coś wspólnego ze sceną - rzekł Kijak.

Radiotelegrafista spojrzał na niego z podziwem. Samolot ze Szczecina zataczał krąg nad lotniskiem, szykował się do lądowania.

Wszedł kapitan portu, serdeczny przyjaciel majora. Kijak miał głowę zwróconą w kierunku stacji krótkofalowej, nasłuchiwał uważnie. Kapitan zaśmiał się:

- Wiesz, stary, nauczyłybyś się obsługi, miałbyś robotę. Słyszałem, że w Związku Radzieckim niewidomi obsługują wiele stacji lotniczych.

Major niechętnie zaprzeczył ruchem głowy.

- To chyba przesada... Próbowałem kiedyś zorientować się w konstrukcji. Dziesiątki gniazdek, gmatwanina sznurów, ech, nie takie to proste bez oczu.

Samolot opadł na płytę, powoli zatraczał rozpęd, zawrócił, podjeżdżał pod sam. nieomal port. Znowu podróżni zarobili się w poczekalni. Dwóch pasażerów skierowano do samolotu mającego odlecieć na Łódź. Po chwili odjechał autobus do miasta. Jednocześnie samolot do Warszawy nabierał rozpędu na płycie. Warkot silników wzmógł się, aż pod budynek portu dobiegła fala wiatru. Samolot poderwał się, major śledził go czujnie słuchem, tak, teraz się kładzie na prawe skrzydło, jeszcze bierze wysokość, cichnie, oddala się... Westchnął. Bez słowa, cicho, dyskretnie przesunął się przez wąskie drzwi.

Nigdy nie bywał na lotnisku tak częstym gościem jak w ostatnim tygodniu. Przedtem przyjeżdżał tutaj raz, najwyżej dwa razy w miesiącu, to mu wystarczało, by z warkotu motorów, z nawoływań mechaników, z kroków pasażerów i sygnałów łączności radiowej przywołać dawne wspomnienia, by znaleźć materiał do tęsknych dumań na długie, ciemne godziny. Teraz nie opuszczał żadnego dnia. Od tygodnia grupa młodych sportowców przeprowadzała pierwsze próbne loty na małych maszynach. Były to motory starszego typu, przyjemne, niewielkie aparaty dwuosobowe, jakie pamiętał ze swoich młodych lat. Zwinne, lekkie, zwrotne, pozwalające na złożone akrobacje, dające pilotowi świadomość, że jest

ptakiem swobodnie szybującym w powietrzu. Na podobnej maszynie ćwiczył swego czasu słynne korkociągi, loopingi, becзки i inne akrobacje.

Ciężkie aparaty wojskowe czy pasażerskie nigdy nie wzbudzały w nim równie serdecznych uczuć.

Żałował swych oczu jak jeszcze nigdy dotąd. Z radością a jednocześnie z cierpieniem wsłuchiwał się w głosy młodych pilotów, przejętych ważnością tych decydujących lotów, marzył o rozmowie z nimi, w myślach widział się ich wykładowcą, instruktorem i przyjacielem. Całą duszą i sercem pragnął szkolić tę młodzież, wylatywać razem z nią na próbne loty, uczyć, wskazywać, przykładem własnym pomnażać odwagę... Ale zdawał sobie sprawę z zupełnej nierealności swych pragnień. W czasie okupacji, gdy brak było fachowych instruktorów i wykładowców, mógł prowadzić kursy teoretyczne w okupowanej Warszawie. Po wojnie postęp techniczny był tak wielki, że nie wystarczała już dawna wiedza majora. Teraz był zupełnie bezużyteczny, śmieć, jak sam siebie nazywał.

Usiadł na ławce, wystawił twarz na słońce, zasłuchał się w tak bliskie, a tak dalekie odgłosy. Tuż za barierką stał samolot, mechanicy poprawiali podwozie. Poznał głos jednego z nich starego fachowca. Był kiedyś podkomendnym majora, naówczas jeszcze porucznika. Szczerze przywiązany do dawnego dowódcy, serdecznie współczuł mu w nieszczęściu.

Kijak podszedł bliżej do bariery, wychylił się. Łagodny wiatr muskał opaloną twarz o ostrych rysach. Mechanik dostrzegł go od razu, pozdrowił. Kijak poczuł nieodpartą chęć dotknięcia samolotu, pogładzenia jego gładkiej powierzchni. Kapitanat udzielił mu cichego zezwolenia na przebywanie w obrębie portu. W żadnym jednak razie nie miał major wstępu na płytę startową. To byłoby pogwałceniem surowych przepisów. Ale w tej chwili pragnienie dotknięcia maszyny było silniejsze niż wszystko inne. Czuł, że mu to pomoże zapomnieć chociaż na chwilę o bolesnych przejściach poprzedniego dnia.

- Stepa! - zawołał półgłosem.

- Tak jest, panie majorze - służbiście odkrzyknął mechanik. Dojrzał przywołującą go do siebie dłoń dawnego dowódcy. Podszedł szybko, uściskał mocno rękę Kijaka.

- Co nowego, panie Stepa?

- Nic, robi się, panie majorze! Łożyska zmieniam, tamte się już przetarły, luz był... Pan major zdrowy? Wszystko w porządku?

- Wszystko, wszystko, Stepa - uśmiechnął się smutno. - Co u mnie może być w porządku lub nie w porządku? Zawsze tak samo ciemno i tyle...

- Et, nie gadałby pan major. Bo niewidomy to już nie człowiek? Brat mój robi w ZISPO, opowiadał, że jest z nim jeden całkiem ślepy, a przodownikiem został. Na lipca

szykują mu odznaczenie... Taki człowiek jak pan major nie znalazłby dla siebie zajęcia, żeby markotność z głowy wypędzić? - Obejrzał się dokoła, czy nikt nie słyszy, potem nachylił się konfidencyjnie do ucha byłemu zwierzchnikowi. - To powiem panu majorowi, że, moim rozumem, niedobrze tak ciągle u nas przesiadywać, w niebo się wsłuchiwać i myśleć. Od takiego myślenia nic zdrowego nie zrodzi się, nie...

„Sprzysięgli się wszyscy, każdy ma coś do powiedzenia. A to sam sobie radź chodząc po mieście, a to pracuj dla niewidomych, szukaj roboty, bądź radiotelegrafistą, nie myśl za wiele, przestań przychodzić na lotnisko...”

W głosie jego pogłębił się smutek, ale dołączyła i nuta tłumionego gniewu:

- Stepa, nie wiecie, to lepiej nie mówcie! Jednemu może być nieźle nawet i ze ślepotą, ale nie mnie... Lotnik byłem, cóż ja teraz bez oczu? - Odszukał ramię mechanika. Od kombinezonu niosła się przyjemna, jakże dobrze znana woń smarów, oliwy, benzyny. - A gdybyś ty, bracie, oczy stracił, kto wie, czy nie byłbyś taki jak ja...

- Oczy? Ja? Nie, taki bym nie był. Bo albo w łeb sobie bym trzasnął, albo próbował znaleźć sposób, by żyć, pracować, czuć, że jestem potrzebny, przestać się martwić - mechanik mówił z zastanowieniem, ale i z jakąś pasją.

Kijak westchnął. „I ten jest silniejszy ode mnie.” Pogładził mechanika po zatłuszczonym kombinezonie.

- Może i macie rację, panie Stepa, może... Pomyślę nad tym wszystkim,. - Zawahał się. - Słuchajcie, maszyna stoi tu teraz, tak?

- Piętnaście metrów...

- Stepa, podprowadźcie mnie do niej na chwilę. Chciałbym chociaż dotknąć skrzydeł, wspomnieć... Dobra?

- Hm, kiedy bo, panie majorze... - popatrzył na smutną, proszącą twarz, bacznie rozejrzał się, czy nie ma w pobliżu nikogo z władzy, machnął ręką zrezygnowany. - Nie można niby, ale mam miętkie serce, chodźmy, majorze...

Kijak gwałtownie oddychał idąc obok Stepy. Kroki nabrały dawnej prężności. Mechanik zerkał na strony, potem jednak uspokoił się. Przecież za to, że podprowadził niewidomego do samolotu, nikt mu nie zrobi nic złego. Kijaka znali i lubili wszyscy, komendant portu przyjaźnił się z nim.

- Ostrożnie, głowa, tu już skrzydło...

- Panie Stepa, chodźcie, bo sam nie poradzą! - wołał drugi mechanik.

- Weź lewar o jakie dwa zęby wyżej! Czekać, ja ci potrzynam. - Stepa znów zajął się robotą pozostawiając majora.

Kijak stał wciąż w tym samym miejscu. Potem, powoli, powoli podniósł rękę do góry, dotknął śliskiego brzegu skrzydła. Poglądził je pieszczotliwie, wolniutko, krok za krokiem posuwał się do przodu. Dłoń jego nie puszczała na chwilę rozgrzanej powierzchni skrzydła. Wyciągnął rękę przed siebie, posunął się jeszcze o krok.

Był przy kadłubie. Przytulił się mocno do maszyny, stał drżąc całym ciałem...

Długo trwało, nim wreszcie oderwał się, spokojnie już obmacywał palcami każde załamanie, każde wgłębienie. Myślał, jaką to rozkosz musi sprawiać pilotowane podobnego kolosa. Zdało mu się, że słyszy równomierny, silny warkot motorów, patrzy na licznik, zwiększa wysokość...

Mechanicy mocowali się z wyjęciem zatartego łożyska, słyszał, jak kleli, sapali - ale było to dalekie i nierealne. Realny był tylko samolot i on, Kijak, przy nim.

Stępa obejrzał się, zobaczył majora przytulonego do maszyny, westchnął. Znał przywiązanie byłego dowódcy do lotnictwa, rozumiał, co się musi dziać w jego sercu. Zerknął jeszcze do tyłu, na port. Tam było spokojnie. „A niechże sobie stoi tu i czuli się z maszyną” - pomyślał serdecznie.

Nie widział, jak twarz Kijaka zmieniła się nagle, odbiło się na niej największe napięcie, ruchy stały się czujne. Myślał intensywnie. „Samolot stoi bokiem do wyjścia z portu. Trzeba więc przejść jakieś trzydzieści kroków, potem skrócić w prawo. Tam tują szkoleniowe maszyny. Nie dalej jak o dwieście metrów...”

Sięgnął do kieszonki, namacał punkty zegarka. Dochodziła dziewiąta. Ćwiczenia zaczynali młodzi piloci dopiero około dziesiątej. Zatem przy samolotach nie powinno być nikogo. Chyba mechanicy.

Słuchał. Wiatr dął właśnie od tamtej strony. Ucieszył się, to ułatwi mu drogę... Nie dochodzi stamtąd żaden dźwięk. Nie ma nikogo!

Rysy twarzy zaostrzyły mu się. Zrobił kilka kroków cicho stąpając. Żałował, że nie ma laski ze sobą, zostawił ją w kapitanacie. Nic, musi sobie i tak poradzić. Nasłuchując na wszystkie strony, skupiając uwagę, liczył teraz kroki.

- Dwadzieścia dziewięć... trzydzieści - szepnął cichutko. Znow stanął, słuchał. Od samolotu, przy którym znajdował się przed chwilą, dochodziło stukanie, brzęk narzędzi. Gdzieś z dalekiej ulicy dobiegały okrzyki bawiących się dzieci.

Skręcił w prawo wzdłuż spójnię płyt. Stąpając jak najciszej, niemal że bezszelestnie, przyspieszał wciąż kroku. Liczył. Obracał na chwilę głowę słuchając, czy odbite powietrze nie wskaże mu znajdującej się w pobliżu przeszkody. Łagodny wiatr dmący prosto w twarz utrudniał teraz rozpoznanie miejsca. Przeszedł jeszcze ponad sto kroków. Zaczął się

niecierpliwie. Musiał odszukać samoloty szkoleniowe, dotrzeć do nich. Zastanowił się. Może są bardziej w lewo? Skręcił. Znowu nie trafił. I nagle uderzył się dłonią w czoło. Przecież maszyny nie stoją na płycie, ale tuż obok niej.

Zszedł na trawę, było mu trudniej orientować się. Wiatr uderzał teraz o prawy policzek. Tak trzeba, dobrze.

I nagle aż drgnął z radości. Na twarzy poczuł lekkie, łagodne muśnięcie odbitego powietrza, dowód obecności przeszkody tuż przed nim. Zrobił jeszcze krok naprzód, wyciągnął dłoń. Napotkał skrzydło samolotu.

Dobrnął do kadłuba, przystanął. Serce tłukło się nierównym, zwariowanym rytmem. Znowu wyteżył słuch. Nic, tylko wiatr łagodnie obijał się o kadłuby maszyn stojących równym, wyciągniętym szeregiem.

Ciało nabrało dawnej, od lat już nie znanej sprężystości. Szybko macał dłońmi, wyczuł wreszcie zaokrągloną obudowę kabiny. Zabębnił palcem po szkło ochronnym. Wysoko było. Jakże się tam dostanie bez drabinki? Chwycił obiema dłońmi za burzę, podciągnął się, chwilę zawisł, zamachał w próżni nogami, przerzucił ciężar ciała do wnętrza. Szybko wgramolił się do środka, głową uderzył o coś boleśnie, aż go oszołomiło w pierwszej chwili. Odetchnął, potem zajął miejsce na siedzeniu pilota.

Opanowała go szalona myśl, która zapłonęła nagle, wiodła jego krokami, zwiększała orientację. Ręce szybko manipulowały przy sterach, dźwawkach, starterze. Wszystko w porządku.

Odetchnął. Dla uspokojenia się i uciszenia serca walącego z przeraźliwą siłą w piersiach, pragnął wypocząć przez moment. Teraz już ma czas, już zdąży. Nikt się nie spostrzeże, gdzie jest. Stepie przecież przez głowę nie przejdzie, że mógł pójść w tym kierunku, trafić bez przewodnika.

Puścił wodze marzeniom. Nie będzie go poniewierać okrutna, nielitościwa dziewczyna. Nie będzie słuchał wymówek, że nie pracuje, że nie umie sobie urządzić życia i znaleźć w nim celu, do którego warto by dążyć. Nie zginął wtedy, w trzydziestym dziewiątym, to w trzynastym lat później sam sobie przygotowuje śmierć lotnika. Wyzwoli się z ciemności, z okrutnej, wiecznej, nieprzeniknionej ciemności. Wyzwoli się, nawiąże przerwana nić dawnego życia w powietrzu... Nie umrze śmiercią byle cywila.

Nagle dobiegło go ciche tykanie zegarka. Wstrząsnął się. Zapomniał o czasie. Pomacał palcami, dochodziło trzy kwadransy na dziesiątą. Lada chwila przyjdzie grupa sportowców. Wtedy będzie za późno.

Dłonie wróciły do przyrządów, jeszcze raz sprawdzał ster, dźwawkę, zegary. Rozpiął

guziki przy kołnierzu, zrobiło mu się duszno. Westchnął, już chciał zapalić motor... Nagle przyszło mu na myśl: oto przybędą tu zaraz młodzi piloci, którzy tak go cieszyli, gdy nasłuchiwał ich wyczynów w powietrzu... I on im chce odebrać samolot. Tak dumnie wspominał swoją przeszłość. Była czysta i uczciwa. A teraz chce przekreślić to wszystko. Kimże się stanie, jak go nazwą? Tchórzem? Mało! Zdrajcą? Chyba tak. Słabym, małym, człowiekiem, który dla wyrównania rachunku z życiem zdradził... Tak, zdradził, bo czymże będzie ta kradzież i zniszczenie samolotu, jak nie zdradą? Splami honor munduru, honor odznaczeń, które mu dano, z których czuł się tak dumny...

Ręce mu opadły. Ogarnął go strach, paniczny strach przed sobą, przed własnymi myślami, przed własną wyobraźnią, która go pchała do zbrodni. Zaczął gramolić się szybko z kabiny, w trwodze, aby złe myśli nie wróciły znowu, nie kusiły go do spełnienia hańbiącego czynu... Przerzucił jedną nogę, a potem, powodowany tym strachem, aby szybciej na ziemię, aby dalej od kuszącej maszyny, byłby spadł głową na dół... W tej samej chwili usłyszał czyjś struchlały głos, czyjeś mocne dłonie chwyciły go, ściągnęły z samolotu, postawiły na ziemię. Stał jak nieprzytomny. Dopiero powtórzone kilkakrotnie dotarły do niego słowa mechanika:

- Majorze, na Boga, co się stało? Co major tu robi? Majorze, majorze!

Porwał go wpół, prowadził szybko.

Kijak posłyszał śpieszące naprzeciw nich kroki. Był jednak talk wytrącony z równowagi, że nie zadawał sobie trudu myślenia, kto to biegnie i po co.

- Co się stało? Kijak, co tu robicie? - w głosie komendanta czał się gniew.

Mechanik zasalutował.

- Panie komendancie! To moja wina. Pozwoliłem majorowi podejść do samolotu pasażerskiego, któryśmy naprawiali... Zapomniałem o nim, a on idąc do portu zabłądził i doszedł aż tutaj...

Kijak drgnął, wróciła mu przytomność. Co za chłop z tego Stepy, jak on wszystko bierze na siebie, jak się go stara usprawiedliwić! Gdyby Stepa wiedział, jak się rzecz miała naprawdę...

- Otrzymacie nagane, Stepa! Możecie odejść. - Teraz komendant zwrócił się do Kijaka: - Mietek, przyjaźń przy jaźnią. Wiesz, że uzyskałem w Warszawie nieoficjalne zezwolenie na twój pobyt w porcie... Ale surowo ci zakazałem wychodzić na płytę startową. Zawiodłeś mnie...

Kijak smutno zwiesił głowę, nie odpowiedział. Czuł, że twarz mu płonie.

- Nigdy nie byłem pewien, czy dobrze robimy pozwalając ci beczynn timerze przebywać na terenie portu. To mogło tylko źle wpływać na twoje usposobienie - ciągnął dalej komendant.

A potem poklepał przyjaciela po ramieniu. - Mietek, nie gniewaj się, ale ja bym ci radził, przestań tutaj przyjeżdżać. To cię tylko rozdrażnia...

- Dobrze. Posłucham.

- Nie gniewaj się, wiesz, jak cię lubię. Siądź sobie na ławce. Za godzinę odjedzie autobus do Poznania. Daruj, mam teraz pilną robotę... - Odszedł, niewidomy nasłuchiwał jego energicznych, mocnych kroków.

- Panie majorze! - poznał głos Stepy.

- Co, panie Stepa. Dziękuję panu.

Mechanik zbliżył się. Szepnął nachylając się do samego ucha majora:

- Na Boga, dlaczego pan chciał to zrobić, majorze? Dlaczego? Na twarzy Kijaka odmalowały się lęk, wstyd, zdumienie.

- Ty wiesz? Ty wiesz? Skąd, jak?

- Wiem. Dlatego tak łągałem, żeby się nie wydała ta tajemnica... Niech ona zostanie tylko przy panu i przy mnie, majorze. - Głos Stepy brzmiał bardzo smutnie.

- Stepa, dziękuję. I co ci powiem: ja już więcej nie przyjadę na lotnisko.

Mechanik pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Tak, to dobrze. To bardzo dobrze, panie majorze.

X

- No widzisz, dobrze ci poszło... Wieczorem powtórzysz mi jeszcze raz. Teraz pisz wypracowanie, ja mam robotę w kuchni. - Ciotka nachyliła się nad Janką, ucałowała ją serdecznie. - Czy ty dzisiaj wychodzisz ma tę swoją gimnastykę? Bo widzisz, dziecko, nie wiem, czy nie warto by zrezygnować tymczasem, gdy przed końcem roku tyle masz roboty?

- Przyjdzie tu Doroszevska, umówiliśmy się... Z gimnastyki nie chciałabym rezygnować, to mi daje wiele energii, ciociu.

- Jak uważasz, jak uważasz. - Ciotka zdawała się być lekko urażona.

Gdy już zatrzasnęły się drzwi, Janka uśmiechnęła się do siebie. Ciotka była zazdrosna. Pragnęła w zupełności wystarczyć siostrzenicy, tak jak sama bez reszty oddała się jej wychowaniu. Dlatego ze źle maskowaną niechęcią, jakby z lekką osobistą urazą spoglądała na rzadkie zresztą kontakty Bronowskiej ze Związką, szczególnie zaś na zajęcia wychowania fizycznego, zapoczątkowane przed dwoma miesiącami.

Janka zaś zrezygnowałaby raczej z wielu innych rzeczy, byle tylko nie opuścić lekcji gimnastyki. Nie bardzo zdawała sobie sprawę dlaczego. Bo właściwie w samych ćwiczeniach nie znajdowała aż tyle satysfakcji, czasem nawet nużyły ją.

Z przyływem fali rzeńskiego, ciepłego powietrza pierwszych dni czerwcowych zapachniały mocniej stojące we flakonie goździki. Przypomniał jej się głos Twardosza: mocny, a jednocześnie miękki, silny, a przy tym niezmiernie delikatny.

W rozmarzeniu wyciągnęła rękę, ujęła w palce goździk, pieszczotliwie głaskała każdy płatek. Lubiała kwiaty, a zwłaszcza goździka. Może łączyło się to ze wspomnieniami dzieciństwa, gdy jeszcze widziała i lubiała patrzeć na grządkę różnokolorowych goździków pod oknami domu rodziców?

Nie zapytała ciotki o kolor kwiatów. Przesunęła dłonią po całym pęku. Bujne były, mięsiste, jakieś bardzo radosne. „Muszą być czerwone, teraz na pewno mienią się w słońcu, drżą lekko na wietrze...”

Wczoraj mówiły z Misią o kolorach. Kralówna nigdy ich nie знаła, nie mogła więc zachować w pamięci tej wielkiej radości jaką daje barwa. Ale może dzięki temu było jej łatwiej, nie potrzebowała wracać pamięcią do dawnych doznań. Miała swój własny świat wyobrażeń barwnych. Biały był dla niej synonimem czegoś bardzo gładkiego i śliskiego, zielony czegoś włochatego, lepiałego się do palców. A czerwony? Czerwony wyobrażała sobie jako coś ciężkiego, a przy tym pieszczotliwego w dotyku jak aksamit... Może to racja.

Ona, Janka, też nie widzi koloru goździków. I nikt jej nie powiedział, czy są one różowe, białe, czy może czerwone. Ale naprawdę robią wrażenie czegoś ciężkiego, aksamitnego, budzą dziwne uczucia...

Wiatr wpadł mocniejszą falą, wepchnął firankę do środka, potracił goździki, które łagodnie otarły się o dłoń dziewczyny. Drgnęła, rumieniec oblał jej twarz, pierś podniosła się westchnieniem. Jeszcze chwilę trwała w oszołomieniu, upojona wonią i dotykiem kwiatów. Potem wolno cofnęła rękę, wyprostowała się. Twarz jej spoważniała. Całą siłą woli nakazać sobie musiała skupienie.

Coraz trudniej było jej się uczyć. Z każdym dniem czuła potęgujące się rozleniwienie. Często budziła się w nocy, stawała w oknie słuchając śpiewu słowików, gnieźdzących się w starych drzewach niewielkiego placu. Zbladła w ostatnich czasach, cera jej nabrała delikatnych odcieni, bardziej jeszcze podkreślając przez to kontrast z ciemnymi, w grube warkocze splecionymi włosami. Stała się nerwowa, łatwo rozdrażniał ją byle drobiazg. Misia niejednokrotnie musiała ją uspokajać. Rozumiała dobrze stan przyjaciółki, była także przemęczona całorocznym wysiłkiem. Sama jednak mniej się poddawała zarówno zmęczeniu, jak wpływowi parnych, pachnących nocy wczesnego lata.

Obie myślały czasami, że już teraz nie znalazłyby w sobie dość sił na stoczenie od nowa walki. Właściwie dopiero od marca wszyscy nauczyciele zaczęli je traktować jak normalne uczennice. Bardzo wiele dopomógł tu historyk, potem Gacek. Skończyło się stawianie z łaski ocen dostatecznych. Były pytane tak jak inne, często wprowadzały w podziw zasobem swych wiadomości. To je podniecało do jeszcze większych wysiłków. Przesiadywały nad swoimi notatkami do późna w noc, rankami z wysiłkiem podnosiły się z łóżek, walczyły z sennością. Przygotowane jednak były zawsze, koleżanki często szukały u nich pomocy.

Przetarła dłonią czoło. Najlepiej przecież wiedziała, jak szalonego wysiłku wymagało utrzymanie się na takim poziomie. A to był dopiero pierwszy rok... Z każdym dniem jednak wzmagał się w niej upór wytrwania. W Owińskach pięć dziewcząt i dwóch chłopców szykowało się z nowym rokiem szkolnym do pójścia w ich ślady.

Powiew wiatru rzucił jej w twarz mocniejszy zapach goździków. Bezwiednie wyciągnęła dłoń, aby popieścić kwiaty, cofnęła ją jednak. Czoło dziewczyny zmarszczyło się. Potrząsnęła głową.

Sprawdziła, czy papier jest założony w maszynie, potem ujęła leżący na brzegu stolika plik grubych arkuszy brajlowskiego papieru. Było to gotowe już wypracowanie z polskiego, jutro mijał termin złożenia go nauczycielce.

Z szatni dziewczęcej dochodził gwar. Mieszały się z sobą głosy, śmiech, pisk i tupotanie.

- Ale gęsi - z powagą zauważył maleńki Siejek. Zaśmieli się hałaśliwie.

- Gęsiarkiem to chętnie byś został, co?

Rozbierała się szybko. Latem nie była to czynność skomplikowana. Kaczan pierwszy wpadł z rozpędem na salę. Licząc kroki starał się odnaleźć miejsce, w którym zwisały kółka do ćwiczeń gimnastycznych. Trafił dobrze, już huśtał się, odbijając nogami nabierał rozmachu.

Zatupotały inne kroki, Kaczan krzyknął w obawie, aby nie uderzyć kolegi:

- Ostrożnie, idź w lewo, w lewo!

Powoli wstrzymywał rozmach ciała, wyciągnięte nogi dotknęły ziemi. Ćwiczył podciąganie na rękach, liczył cicho.

Dookoła robiło się gwarno. Z piskiem wbiegły dziewczęta, Prowadziła je Doroszevska, zawsze pełna niepożytej energii. Ryś Siejek zasiadł do stojącego na podwyższeniu pianina, grał jakiegoś walca. Doroszevska porwała Jankę Bronowską, zakręciły się w koło.

- Dzień dobry, wiara, dzień dobry!

Poznali głos Koryckiego.

Skupiali się w grupkach, gwarzyli, śmiechy huczały po wielkiej sali gimnastycznej. Twardosz załatwił z dyrekcją gimnazjum sprawą wypożyczania sali dwa razy w tygodniu na trzy godziny. Punkt był dobry, przy Słowackiego, prawie w śródmieściu.

- Dzitko! Patrzcie, Dzitko przyszedł! - rozległy się głosy dziewcząt.

- No i co za dziw taki? - zdumiał się dobrotliwie olbrzym. Nasłuchując szedł do najbliższej grupy.

Dziewczęta zaraz go zbrajlowały, ciekawe, jak się też ubrał ten niedźwiedź. Dało to powód do nowej radości. Dzitko zdobył spodenki gimnastyczne sięgające znacznie poniżej kolan; przeszkadzały mu w ruchach. Czuł się teraz speszony, burczał na Czerpaka i Marcińczyka, którzy po długich namowach zdołali go nakłonić do spróbowania sił także i na tym polu:

- No i po czorta wy mnie tutaj przywiedli? Śmiech ze mnie robią dziewczaki...

Pierwsze ożywienie minęło, zasiedli teraz na niskich, długich ławkach, rozprawiali ma różne tematy. Dziewczęta trzymały się osobno. Jeden tylko Gwizdalski z dziwiarni spacerował po sali z Werą Mitkówną o dużej głowie. Od dawna już widać było, że się lubią,

szukali każdej okazji, aby przebywać ze sobą. Gwizdalski od pół roku intensywnie zabiegał w Związku o poparcie starań w sprawie przydziału mieszkania. Przeczuwano, co się święci, podzartowywano, na ogół jednak cieszyli się obydwój sympatią.

Janka Bronowska odsunęła się trochę, stanęła cicho przy gimnastycznych drabinkach, nasłuchiwała zwrócona w kierunku drzwi wejściowych. Twardosza nie było. Inna sprawa, że wszyscy przyszli znacznie przed piątą. Pomyślała, że punktualność jest jeszcze jedną dobrą cechą niewidomych. Przybycie na czas uważają sobie za punkt honoru, za dowód równorzędności społecznej.

Zdażyła przepisać wypracowanie, mimo że zrobiła w nim kilka zmian. Stawiała niemal że ostatnią kropkę, gdy wpadła Maryla Doroszevska ze swoim „uszanowaniem”. Zagadała ją, zakrzyczała zupełnie. Opowiedziała o stu sprawach w Związku, w dzielni, o pogłosce, że Maleszka chce się zrzec prezesury i przejść na kierownika szcztokami, gdzie ciągle nie wszystko idzie, jak należy. Śmiejąc się i kręcąc po pokoju pomagała Jance nałożyć strój gimnastyczny pod bluzkę i spódniczkę.

- Wiesz, kochana, trochę późno wyszłam dziś z domu, bałam się, że nie zdążę. Pędzę do przystanku, jak mogę, właśnie słyszę, że nadjeżdża „ósemka”. Jeszcze kawałek drogi. Zaczynam biec, wreszcie dostrzegam sylwetkę tramwaju. To znaczy, że już jest blisko, bo ja najwyżej z odległości dziesięciu metrów zobaczę tramwaj, i to w mocnym słońcu, jak dziś. Myślę sobie, no, aby tylko nie odjechał. Przede mną jakiś wysoki cień, mijam go, a w tej chwili walę się na ziemię jak długa. Mówię ci, z metr przejechałam się na kolanach i łokciach. Ale zdążyłam, w ostatniej chwili, tramwaj już ruszał...

- Jesteś nieostrożna, Maryla. Nie widzisz, i tak szarżujesz...

- Ech, głupstwo! A wiesz, co to było? Walizka! Ten jegomość postawił ją obok siebie, ja nie zauważyłam, rymnęłam, że moje uszanowanie... Słyszę, jak krzyczy ze złością: „Kobieto, czyś ślepa?” Odkrzyknęłam mu już z pomostu: „Chłopie, jakbyś zgadł.” To ci musiał mieć głupią minę!

Śmiała się, pocierała stłuczone kolana. Janka też zawtórowała jej śmiechem tak radosnym, że aż ciotka zdumiona wyjrzała z sąsiedniego pokoju.

Wychodziły już, gdy Maryla, jakby teraz dopiero przyszło jej to na myśl, rzekła cicho:

- Wiesz, Janka, wychodzę za męża... Zaręczyliśmy się przedwczoraj. Gonię teraz z robotą, chciałabym premię jaką dostać na lipca...

- Z kim? - Bronowska aż przystanęła, w głosie jej było zdumienie, ciekawość i lekka jak gdyby zazdrość.

- No, z kimże jak nie z Rozmuskim! On mi się dawno podobał, ale myślałam, że taki

dawny bankowiec, człowiek wykształcony, nie pomyśli o mnie... Dziwiłam się tylko, że zawsze był tam, gdzie przychodziłam. Nawet na gimnastyce się pojawiał, choć sam nie ćwiczy...

- Na pewno chciał poznać cię bliżej - zauważyła Janka. Pomyślała ze smutkiem, czy też ona kiedy wyjdzie za mąż. Wiedziała, jak rzadko się to zdarza wśród niewidomych dziewcząt.

- Tak, powiedział mi to później. A ja nie bardzo się domyślałam. - Uścisnęła nagle Janke, choć szły właśnie po ulicy. - Wiesz, taka jestem szczęśliwa, że, że...

- ...moje uszanowanie! - parsknęła śmiechem Janka.

I teraz, oparta o drabinki, z dala od gwaru płynącego od rozgadanej gromadki, słyszała śmiech Maryli, jej głośnie pokrzykiwania, przekomarzanie się. Ciekawa była, czy Rozmuski dzisiaj też przyszedł na gimnastykę.

Usłyszała otwieranie drzwi, Drgnęła, serce zabiło jej mocniej, aż przestraszona musiała przycisnąć je dłonią. Ale nie, to jacyś dwaj niewidomi weszli na salę. Szli razem, jeden z nich miał krok bardzo niepewny, drugi szedł znacznie swobodniej, ale też przy każdym kroku w charakterystyczny sposób macał teren czubkiem pantofla. Usłyszała nazwisko Silnickiego. Wiedziała już teraz, z kim przyszedł. To na pewno ten technik, którym Silnicki się opiekuje.

Zaniepokoiła się, czemu Twardosza nie ma tak długo. Już jest chyba po piątej, niemożliwe przecież, aby czas tak się dłużył. Ktoś niedaleko pytał o godzinę.

- Punkt piąta - usłyszała odpowiedź.

Mocniej zacisnęła dłoń na drabince. Zawsze tak z drzeniem w sercu oczekiwała nadejścia instruktora. Potem, w jego obecności, nastrój ten mijał, czuła się swobodna.

Drobnym, szybkim kroczeniem minął ją mężczyzna w butach na gumowej podeszwie. Był to pianista, którego Twardosz zaprosił na lekcje gimnastyki,

- Dzień dobry, moja panno! - Uczuła mocną, szczupłą dłoń Twardosza na swoim ramieniu.

- Dzień dobry! - witał się z nią z kolei drugi gimnastyk, pomagający instruktorowi.

- Myślałam, że już pan nie przyjdzie - szepnęła, zawstydzona się zaraz swoich słów, spuściła głowę.

- A to czemu? Na ogół jestem punktualny, chyba poznałyście mnie?

Zagwizdał trzykrotnie. Wszyscy poderwali się z miejsc. Ucichło.

- Zbiórka w dwuszeregu!

Zatupotało, ustawiali się, co wprawniejsi starali się wyrównać wykrzywiony,

załamujący się dwuszereg. Gimnastyk podszedł, pomógł, kłopot miał z Dzitką, który nie rozumiał, czego właściwie chcą od niego.

- Czołem, koledzy! - krzyknął teraz Twardosz.

- Czołem, czołem, czołem! - ryknęli, aż ściany zadrżały. Dzitko dołączył się dopiero przy trzecim okrzyku. Podobało mu się to przywitanie, huknął więc z całego serca. Oczywiście zagłuszył wszystkich. Rozległy się przytłumione, z trudem hamowane śmiechy.

- Kolejno odlicz!

Nieskładnie to szło. Cztery razy powtarzać musieli od początku. Szczególnie nowi peszyli się, plątali liczby, wyskakiwali za wcześnie albo milczeli uporczywie.

Twardosz zadowolony szepnął do kolegi stojącego obok:

- Patrz, co lekcja, to ich więcej przychodzi. A miałem poważne obawy... Dzisiaj dwudziestu dziewięciu!

Głośno zapytał, kto jest dziś pierwszy raz. Podnieśli ręce Dzitko i... Pomorska. Twardosz nie dostrzegł jej dotąd, stała bowiem w tylnym rzędzie za wyższą od niej Doroszewską, teraz omal nie gwizdnął z podziwu. Wymownie popatrzył na towarzysza, ten z uznaniem pokiwał głową. Pomorska garnęła się do wszystkich prac w Związku. A przecież miała dwoje dzieci i całe gospodarstwo na głowie. Ba, jeszcze pomagała mężowi robiąc swetry na drutach. Przy jej czterdziestu kilku latach można by wcale nie mieć pretensji, że nie uczestniczy w gimnastyce...

Tę nierówną parę - Dzitko bowiem dwa razy wyższy i szerszy był od Pomorskiej - ustawił Twardosz nieco z boku.

Liczyli teraz do dwu. Odmierzonymi, sztywnymi trochę krokami rozstawiali się na komendę do ćwiczeń podstawowych.

- Ramiona w bok!

- Ramiona w górę!

- Przenoszenie ramion! Dołem w przód! w górę! w bok! opuścić!

Liczył głośno, miarowo, wraz z kolegą podchodzili do ćwiczących, poprawiali ruchy. Niektórym trudno jeszcze szło. Szczególnie niewidomi od urodzenia nie mieli pojęcia, co to znaczy: w górę, w przód, w bok. Choćby Pomorska, która na komendę: „ramiona w górę” - podniosła barki; „ramiona w bok” - podniosła prawe ramię wysoko nad głowę, lewe opuściła. Dzitko lepiej to pojmował, ale też karykaturalnie wyglądał.

Twardosz obserwował uważnie. Po dziesiątym powtórzeniu ruchów zauważył u niektórych znużenie. Ledwie podnosili ramiona, niektórzy w ogóle zrezygnowali, stali skrzywieni, wyczekujący.

- Muzyka! - zawołał.

Od razu ruchy stały się bardziej rytmiczne i miękkie. Instruktor zachwycał się skutecznością swego pomysłu. Umówił się pewnego razu z kolegą. Lekcja szła niemrawo, była to zresztą jedna z pierwszych. Twardosz z lękiem dostrzegał zniechęcenie, obawiał się, aby grupa nie rozsypała się, jak przy próbach jego poprzednika. Zaproponował koledze, aby uderzył kilka taktów. Jakby prąd przebiegł przez ciała uczestników. Z nową energią przystąpili do ćwiczeń. Kilku przyznało się potem, że mieli już zamiar zrezygnować, muzyka ich zatrzymała.

- Tak, postawa! Jedyński, dwa kroki w przód! dwójki, dwa kroki w tył! Kralówna, Mitkówna, przecież jesteście dwójki, a nie jedynki. Wyrównać dwuszereg. Tak, dobrze. W prawo zwrot! Naprzód marsz!

Znów pianino, mocny rytm marsza. Dudniła podłoga. Chłopcy specjalnie mocno wybijali każdy krok.

- Stóóój!

Nie wszyscy zatrzymali się od razu, wpadali jedni na drugich. Bardziej wyćwiczeni sarkali, na pozostałych.

- W prawo zwrot! Spocznij! Teraz będziemy ćwiczyć grupami. Przybylak, Młyńczak, Kaczan i Korycki przyniosą materace i ustawią kozły. Dziewczęta odejdą na prawo, do ćwiczeń przy drabinkach. Już!

Z każdą godziną Twardosz nabierał więcej otuchy. Gdy za pierwszym razem spostrzegł brak jakiegokolwiek pojęcia o podstawowych ruchach, gdy rozpoczęły się pokraczne próby, stracił nadzieję, czy uda mu się czegokolwiek dokonać. Teraz jest już zupełnie inaczej. W umyśle instruktora zrodziły się nowe pomysły i dalekosiężne projekty, takie nawet, z którymi bał się tymczasem zdradzić przed kimkolwiek, A jednak chciał spróbować i coraz mocniej wierzył, że są realne. Tyle że wymagają olbrzymiej pracy. On się zdecydował ją podjąć. A oni? Musiał ich do tego zachęcić, przemówić tak, aby zrozumieli sens i potrzebę wychowania fizycznego.

W końcu maja wprowadził dodatkowo ćwiczenia lekkoatletyczne. W poniedziałki zbierali się na dużym boisku szkolnym.

Ćwiczyli skok z miejsca, rzut kulą, bieg na krótkie dystanse. Do ostatniej konkurencji stawać mogli tylko ci, którzy posiadali dobrze wyrobiony słuch. Z chwilą startu kierowali się bowiem w strome nieustannych gwizdów instruktora stojącego na mecie.

Dziś miał im obwieścić nową wiadomość. Sam był trochę przerażony swoim projektem.

Największą trudność sprawiał nierówny poziom. Jedni zaczęli od pierwszej lekcji, ciągle jednak przybywali nowi, jak na przykład Pomorska i Dzitko. Niektórzy wycofywali się, przeważnie łobuzeria, taki Warpechowski, który skończył gimnastykę ordynarną awanturą, jeszcze się w dodatku obraził.

Młynczak potknął się o materac i wywrócił. Kaczan podniósł go sarkając dobrotliwie. Technik skrzywił się, było mu przykro. Nie opanował jeszcze swobody poruszania się. Natomiast w gimnastyce był jednym z lepszych, mimo że na lekcje zaczął chodzić ze znacznym opóźnieniem.

Mężczyźni ćwiczyli skok przez kozioł. Niektórym w ostatniej chwili zbrakło odwagi i jak dłudzy rozkładali się na miękkim obiciu przyrządu albo uskakiwali w bok. Dzitko z wyraźną trwogą próbował tej nowej sztuki. Kilka razy musiał przećwiczyć rozbieg ściśle odmierzonymi krokami. Wreszcie schylił się, pognął naprzód, wparł dłonie w kant kozła i... razem z kozłem i materacem przejechał kilka metrów po gładkiej posadzce. Gdy zorientowali się, co się stało, buchnęli potężnym śmiechem.

- Cicho, sysuny, zaraz będzie inaczej! - Dzitko nie ustępował. Zagrała w nim ambicja.

Rozpędził się znowu, tym razem nogi uniósł trochę w górę, Wszystko zakotłowało, kozioł przewrócił się. Nie pomogły odpędzania zniecierpliwionych kolegów. Dzitko mruczał groźnie, spocony, zziązany, z obitymi nogami, znowu próbował. Tym razem przesadził wadził kozioł, ba, wylądował dobry metr za nim, całym ciałem padając na materac, aż zajęczała podłoga. Teraz był już zadowolony, dopiął swego.

- To dobra zabawa - mówił uśmiechnięty, rozcierając rozbite udo. - Tylko człowiek zmęczy się więcej niż przy maszynie w dziewiarni. Uff!

Młynczak znał skok przez kozioł z dawnych czasów. Wiele jednak wysiłku kosztowało go zdobycie się na odwagę skoku po ciemku. Poszło nadszpiewanie łatwo. To mu dodało otuchy. A jeszcze gdy usłyszał przyjazny, zachęcający szept Silnickiego:

- Widzisz, a tak się bałeś? Jeszcze zabiorą cię na mistrzostwa!

Zarząd Główny ogłosił ogólnopolskie mistrzostwa gimnastyczne niewidomych na wiosnę przyszłego roku. Miały się odbyć w Krakowie. Grupa poznańska marzyła o laurach, ale Twardosz mówił, że będą musieli jeszcze, bardzo podciągnąć swój poziom.

Instruktor chwilę patrzył na zgrabny, elastyczny skok Kaczana i niemniej udany Silnickiego, będących podporą całej grupy, wreszcie zostawił ich koledze, a sam poszedł do dziewcząt.

Przerwały rozmowę. Dostrzegł nagły uśmiech na twarzy Bronowskiej. Czuł sympatię do tej spokojnej, ładnej dziewczyny. Zauważył szybko, że zainteresowanie się dziewcząt

gimnastyką przede wszystkim zależy od ich sympatii dla instruktora. Przy poprzedniej próbie na drugiej lekcji nie było już ani jednej kobiety, jak mu opowiadano. Teraz ucześnie wytrwałej od mężczyzn. Cieszył się, że zdobył ich przyjaźń. A że Janka Ignęła do niego bardziej niż inne, przypisywał to jej wrażliwości, potrzebie opieki.

Ćwiczenia przy drabinkach szły z każdą lekcją sprawniej. Tylko gruba Dziadówna nie mogła sobie poradzić i Motylska, ta z powodu jakichś łupań w głowie przy silniejszym przechylaniu. Już zawiadomił o tym doktor Mińczykowa, miała zbadać dziewczynę w tych dniach. Nawet Pomorska usiłowała czegoś dokonać, nie szło jej jednak. Nie przejmował się, przecież to pierwsza lekcja dopiero.

Ze szczególną satysfakcją patrzył na Doroszewską. Nie słuchając jego zakazów sama ćwiczyła stójkę przy drabinkach; chciała nauczyć się chodzić na rękach, bo pamiętała, że taką sztukę pokazywał jeden z jej znajomych chłopaków. Innym stójka jeszcze nie wychodziła. Podchodził po kolei do każdej, pomagał, chwycił trzepoczące nogi, unosił w górę, opierał o drabinki. Niektóre trwały w tej pozycji bojąc się samodzielnie powrócić do postawy wyjściowej.

Bronowskiej także stójka się nie udawała. Chwycił jej pięty, dopomógł. Zeskoczyła szybko.

- Może raz jeszcze spróbuję?

Z kolei zajął się Pomorską. Zaciskała wargi, krew uderzała jej do twarzy, niezdarnie przewracała się na bok. Podnosił, podtrzymywał, wyjaśniał. Kiwała potakująco głową, wciąż jej nie szło. Szepnęła wreszcie, jakby się tłumacząc:

- Mnie tak wszystko trudno idzie z początku...

- Nic, dobrze będzie, pani Pomorska!

- Z czytaniem też myślałam, że nie dam rady... A teraz co dnia godzinę czytam w domu memu staremu. Dobrze już idzie. Matkę Gorkiego dostaliśmy... To bardzo ciekawe, aż popłakałam się... - opowiadała odpoczywając.

- Może już? - prosiły Doroszewska i Kralówna.

- Przedtem Bronowska, Lewińska, Dziadówna i Mitkówna przyniosą materac. Będziecie ćwiczyły kozły, my zaś gimnastykę rytmiczną...

- A kiedy ja zacznę, proszę pana? - zapiszczała Motylska.

- Najpierw trzeba lepiej opanować harmonię ruchów. Nie byłoby sensu teraz zaczynać - odpowiedział.

Kaczan podsunął myśl, aby każdy opracował jakąś grupę ćwiczeń. Każda z tych kompozycji indywidualnych składała się z trzydziestu ruchów wykonywanych ściśle pod takt

muzyki. Znamienne, że bez muzyki szło im źle, gubili się, mylili kolejność ćwiczeń. Przy akompaniamencie było zupełnie inaczej.

Widząc ich wrażliwość na muzykę Twardosz powziął zamiar, aby z początkiem nowego sezonu regularnie, co piątek, chodzić całą grupą na koncerty symfoniczne do Filharmonii. Porozumiewał się już nawet w sprawie stałych abonamentów. Uśmiechnął się teraz do tej myśli. Rzeczywiście, kroi zamiary na wielką skalę... Z dziewcząt własne układy ćwiczyły Doroszevska, Bronowska i wiotka, niesłychanie wdzięczna w ruchach Chrzanowska. Ta ostatnia w rytmice prześcignęła wszystkich. Jeszcze zanim zaczęła lekcje, umiała już szpagat, jaskółkę. Chrzanowska reprezentowała od razu wysoki poziom, nieosiągalny tymczasem dla pozostałych. Tylko w gimnastyce przy drabinkach przewyższała ją Doroszevska. Niemniej i pozostałe podciągały się powoli, miał nadzieję, że za kilka miesięcy stworzy zespół, którym naprawdę można się będzie popisać.

Kończyli lekcję. Następował jeszcze marsz pożegnalny.

- A teraz usiądźcie wszyscy, chcę wam coś powiedzieć. Zrobił się ruch. Jedni siadali na ławeczkach, inni na podłodze.

Dzitko, zaspany i zgrzany, rozłożył się na podłodze. Twardosz uśmiechnął się, zabawny był ten niedźwiedź poleski.

- Chciałem was o coś zapytać. Kto z was potrafi pływać tak, aby jakiś czas utrzymać się na wodzie?

Podniosło się osiem rąk, z kobiecych tylko Doroszevskiej. Przebiegł wzrokiem po twarzach. Niewidomy od urodzenia był wśród nich jeden. Reszta zatem nauczyła się pływać prawdopodobnie w czasie, gdy jeszcze posługiwała się wzrokiem.

- Chciałbym, aby w terenie, wśród drzew, na rzece czy jeziorze, w marszu, wyrabiała się w was lepsza orientacja, odwaga, poczucie kierunku, żebyście się stali zręczniejsi, żeby ruchy wasze były zupełnie swobodne. Sama gimnastyka tego nie zapewni, nawet łącznie z lekkoatletyką. Co powiedzielibyście na turystykę wodną i lądową?

Widział zaskoczenie, ale radosne, pełne oczekiwania. Kaczan zapytał wahająco:

- Wodna to znaczy jak?

- Na łodziach i kajakach.

- I to my sami będziemy wiosłować? - Doroszevska porwała się z miejsca.

- O tym właśnie myślę. Będziemy robili piesze wycieczki, kilkudniowe, z biwakowaniem. Opanujemy wiosłarkę, kajakarstwo, pływanie. Myślę, że się nam to uda, Zgoda?

- Zgoda! - zagrzmiały oklaski.

- Pytałem już zarządzie pływalni, znalazły się dla nas dwie godziny tygodniowo. W poniedziałki i piątki o czternastej piętnaście.

- Ojej, a my o drugiej kończymy robotę, nie zdążymy... - jęknął któryś.

- Wiem, ale chwilowo nie da się nic zrobić. Może w przyszłym miesiącu zmienimy rozkład godzin. Z dziewiarni zdążylibyście, gorzej będzie ze szczotkarnią.

- Można w te dni przyjść wcześniej do pracy.

Wstał, gwizdnął. Porwali się na równe nogi. Ktoś nadeptał na leżącego Dzitkę. Olbrzym leniwie poruszył ręką, jakby odganiał natrętną muchę.

- W dwuszeregu zbiórka! Wyrównać!

Ustawili się tym razem szybciej aniżeli poprzednio. Byli podochoceni, weseli. Oni wioślarzami! Ech, co za chłop ten kierownik organizacyjny, takiego im było trzeba!

- Dziękuję. Dość na dziś. Czołem!

- Czołem! Czołem! Czołem!

- Spocznij, rozejść się.

Zdziwił się, że stali nadal w miejscu, chciał już spytać o przyczynę, gdy ujrzał Kaczana występującego przed szereg.

- Na moją komendę baczność! - krzyknął. A gdy stanęli sztywno wyprostowani, zawołał: - Na cześć kolegi Twardosza trzy razy hura!

- Hura! hura! hura!

Instruktor przełknął ślinę, coś zaswędziało go w oku, bo je szybko przetarł dłonią. Kolega gimnastyk widząc to uśmiechnął się wyrozumiale.

XI

- Dzień dobry, pani Halino! Odwróciła się.

- Kaczan! O, jak dobrze. Właśnie myślałam o panu. Stoczyliśmy przed chwilą batalię z kolegą Twardoszem, chciałby cały czas poświęcić tylko na wychowanie fizyczne.

- Słusznie, trzeba bronić kultury, trzeba... - Zastanowił się. - Wie pani, to niebywałe. Jestem w Poznaniu od czterech lat, zakładałem przecie razem z innymi spółdzielnię dziwiarską i nigdy Jeszcze w Związku nie zdarzyła się taka sytuacja, aby pracownicy liczyli spory o czas niewidomych. W ogóle, niech no pani spojrzy jaką subwencję otrzymaliśmy teraz na sprawy wychowania fizycznego! Twardosz kroi ogromne plany, myślę, że mu się uda.

- A mnie brakuje pieniędzy - nadała się. - Chciałam kupić stroje krakowskie dla tanecznego zespołu i nie mam na to.

- Bo zakupiła pani nowe pianino - zawołał śmiejąc się.

- Ech, z wami nie ma co nawet i gadać. Pan stoi po stronie Twardosza. I to ma być wzorowy delegat od spraw kulturalno-oświatowych w spółdzielni?

- Ale jakoś nam idzie, prawda?

- Idzie, idzie. I musi pójść jeszcze lepiej. W przyszłym roku zostanie ogłoszony ogólnopolski konkurs recytatorski. Postanowiłam, że kilkoro z was musi uzyskać dobrą lokatę przynajmniej na szczeblu wojewódzkim.

- Nisko pani mierzy.

- Naprawdę?! Mnie nie chodzi nawet o wasze realne możliwości, ale o ten rozmach, wiarę w swoje siły...

- Umówiłem się tutaj z Kupczykiem. Omawialiśmy sprawę otwarcia kursu brajlowskiego dla ostatnich analfabetów w naszej spółdzielni. Mamy ich jeszcze dwunastu.

- Tylko? To naprawdę już niewiele.

- I tych nie będzie. Gorzej w szczotkami. Tam jest sporo takich, których i kijem nie zagonisz. W ogóle niedobrze w tej szczotkami, ludzie narzekają.

- Maleszka przecie ciągle tam siedzi.

- Nic Maleszka nie zwojuje. W zarządzie spółdzielni robią mu na złość. Boli ich perspektywa utraty ciepłych miejsc kierowniczych. Tam jest słaba organizacja partyjna. Sekretarz mięczak, a jeszcze pijus... U nas za to coraz lepiej. Kupczyk jest przewodniczącym koła związkowego, wszedł też do egzekutywy. Marcińczyk zajął się młodzieżą, dawny

zetempowiec, ma praktykę jeszcze z Wrocławia... Główna sprawa to znaleźć ludzi, pani Halino.

Przytakiwała, robiła pośpiesznie jakieś notatki.

- Muszę jechać w tych dniach do Kalisza, Jarogniewic i Nowej Soli. Tamte koła źle pracują. Trzy paczki książek zwrócili nie rozpakowane. Nawet się na to nie wysilili.

- Szczerzy są, po co pani pozory?

Nie odpowiedziała. Patrzyła teraz długo, uważnie na jego szczupłą twarz. Gdy zdejmował okulary, na pierwszy rzut oka trudno było w nim poznać niewidomego.

- Czemu pani mi się przygląda? - zapytał.

- Kaczan, albo ty, chłopie, widzisz, albo masz niebywałą wprawę w odgadywaniu czyichś myśli. Tak, myślałam o pańskim uśmiechu. Bo pan zawsze jest uśmiechnięty. Jakby pan nie miał zmartwień, kłopotów. A ja wiem, że jest inaczej... Ja naprawdę nie umiem z wami postępować... - Chwyła go mocno za ramię. - Mam dzisiaj iść do kliniki okulistycznej. Dzwoniła doktor Mińczykowa, jest tam dziewczyna ze wsi. Jakies babsko leczyło jej oczy przykładając różne paskudztwa, oślepla zupełnie. Skąd się jeszcze taka głupota bierze po zapadłych kątach, dziś, gdy i na wsi jest opieka lekarska? Dziewczyna jest w strasznej depresji. Co ja mam jej powiedzieć? Jak podejść? Jak jej pomóc? - Prawdziwie zatroskana ujęła głowę w obie dłonie.

Nagle poczuła, że Kaczan podniósł jej rękę do ust i ucałował gorąco.

- Niewidomi dobrze umieją poznawać charakter ludzi. Panią wszyscy lubią i cenią. Często bywa tak, że coś robią wyłącznie po to, aby pani zrobić przyjemność... Do szpitala miech pani pójdzie z jakąś niewidomą. Może z Doroszewską, chociaż ona za żywa, raczej z Bronowską, niegłupia dziewczyna. Ale nie, ta znów jest czulostkowa, przewrażliwiona, zaszkodzi więcej niż pomoże. O, mam! - wykrzyknął. - Kasię Kupczykównę niech pani weźmie. To wspaniały człowiek.

- Ona przecież jest tu niedawno. Jeszcze taka nieswoja.

- Tak, przyszła z tej wsi zahukana zupełnie, zapomniała prawie wszystko, co wyniosła z Owińsk. Ale odżywa z każdym dniem. W szczotkami robi już ponad normę, dziewczęta za nią przepadają, chcą ją tam wybrać na k-o. Ona ma wiele rozsądku, a tyle przeszła, że niełatwo się rozmazgai.

- Co za hymn pochwalny, panie Józku? Oj, oj! Potrzęsnał głową.

- Nie, tylko bardzo ją cenię. Ona wiele zrobi dobrego w swym życiu. Dobrze, że Kupczyk przywiózł ją ze wsi.

- Kupczyk właśnie pojechał do matki. Zabrał lekarstwa. Będzie jutro telefonować, jak

tam wygląda. Nie łatwo mu borykać się z życiem. A tyle ma w sobie pogody.

- Ma, i to naprawdę, bez udawania.

- A pan?

- Ciekawa pani? Chodźmy na kawę, opowiem pani parę drobiazgów. To prawda, że trzeba dobrze znać niewidomych, aby wśród nich z pożytkiem pracować.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta. Mieli czas. Mała cukierenka przy Kraszewskiego, najbliżej Związku, była pusta przed południem.

Schronili się w kącie. Zamówiła kawę. Kaczan milczał, nie chciała przerywać mu zadumy. Dopiero gdy kelnerka odeszła, Odszukał rękę towarzyszki, uściśnął ją mocno.

- Ja rzadko jestem naprawdę szczery, pani Halino. Nie to, żebym kłamał, ale po prostu wielu rzeczy nie mówię... To nie jest konieczne. Tę historię ze szczegółami zna kilka osób zaledwie.

Wrzuciła mu swój cukier do szklanki. Sama pijała gorzką, a wiedziała, że Kaczan lubił słodczyce. Kiwnął głową zamiast podziękowania.

- O dzieciństwie nie będę mówił. Więcej tam było wszy, głodu i poniewierki, hańbiących upokorzeń niż jasnych chwil. Los mnie jakoś nie szczędził... Zaczniemy od wojny. W czterdziestym roku trafiłem do Warszawy, pierwszy raz w życiu. Niedługo wzięli mnie w łapance, pojechałem na roboty do Niemiec. Tam mnie bauer skatował, uciekałem, gonił, w drwalce leżała siekiera, machnąłem przez łeb. Nie wiem, wyżył czy nie, nie czekałem na wiadomość. Dotarłem do Krakowa, znów do Warszawy, przez zieloną granicę wróciłem do Stanisławowa. Gnało mnie z miejsca na miejsce, ciągnęło w świat. Chciałem się bić. Kombinowałem na Węgry, przez Sambor. Blisko granicy zachodzę do ukraińskiej chaty, proszę mleka. Piję. Gospodarz był banderowiec, posłał po milicję, wzięli mnie, oberwałem mocno, wreszcie trafiłem do obozu. Czwartego dnia uciekłem z dwoma innymi. Znów przedarłem się do Warszawy. Nęciła mnie. Mieszkałem potem koło Garwolina, należałem do organizacji. Byli tam dawni koledzy, u nich też początkowo zatrzymałem się w Warszawie. Awansowałem do grupy szturmowej, brałem udział w różnych akcjach. Dwa razy wysadzaliśmy transporty.

Popijał kawę drobnymi łykami. Mówił spokojnie, jakby opowiadał fragmenty życia kogoś zupełnie obcego. Zastanowiła ją zwięzłość zdań. Wyglądało na to, że albo pragnie wszystko w ten sposób wyrzucić z siebie, albo że to dopiero wstęp do istotnych wydarzeń. Nie przerywała słowem, czekała dalej.

- Kiedyś przeprowadzaliśmy akcję karną w Izabelinie. Był tam Niemiec sklepikarz, dostaliśmy nakaz zrobienia u niego rewizji. Wchodzimy, coś wyczuł, pędzi do drugiego

pokoju z flaszką w ręce. Krzyczę: „stój”, a szedłem pierwszy, celuję do niego, wtedy chlusnął mi w oczy z tej flaszki. Krzyknąłem z bólu, słyszałem jeszcze strzał, bo go ukatrupili na miejscu, straciłem przytomność... - Przeciągnął dłonią po czole. Zauważyła, że przybladł, na twarz wystąpiły mu krople potu.

- Z początku, gdy się ocknąłem, trzymałem się mocno. Twardy już byłem. Załamała minie dopiero operacja, na Smolnej mi ją robili. Dwa tygodnie wycie chciałam z bólu. Byłem tak zwanym lewym pacjentem, w obawie, abym nie krzyczał, karmiono mnie morfiną. Miałem lekkie poczucie światła, łudziłem się, że będę coś widział... Po miesiącu wezwała mnie doktor, anioł to był, nie człowiek, zaczyna płakać, mówi, że nigdy nie odzyskam wzroku. Roześmiałem jej się w nos, powiedziałem, że głupstwo.

Przechylił się do Kitliczowej.

- Wie pani, sam się zdumiewam, skąd mnie stać było na takie opanowanie. Naprawdę musiałem być twardy... Od razu postanowiłem zabić się. Wprawdzie nie miałem broni, ale było okno, inne sposoby. Nie mogłem się jednak zdecydować. Bałem się wyskoczyć, bałem się skombinować truciznę, myślałem też, że to nie żołnierska śmierć. Tak przesiedziałem w szpitalu blisko pięć miesięcy. Trzymano mnie tam, bo co było robić innego? Przychodzili zresztą koledzy z partyzantki, przynosili forszę...

Oddychał ciężko. Teraz dopiero znać było po nim, jak jest wzruszony. Ujęła jego dłoń w swoje ręce, gładziła. Zwrócił twarz w jej kierunku, uśmiechnął się.

- Był właśnie czerwiec, dokładnie dziewięć lat temu. Zdecydowałem się. Ubranie w szpitalu nosiłem własne. Zdobyłem rykszę, kazałem się wieźć do restauracji. Rykszarz, przyjemny chłopak, młody, rozczulał się nade mną. Tym minie ostatecznie przybił, nie znosiłem i nie znoszę litości. To jakieś bardzo podłe uczucie, pogwałcenie zupełnie tego, do kogo się odnosi. Nie uważa pani? - Nie czekał na odpowiedź. - Zjedliśmy solidnie, wypiliśmy bardzo dużo. Mówię do chłopaka, Kazio mu było, jak dziś pamiętam: „Jedźmy na plażę wykapać się”. Do kieszeni wziąłem jeszcze pół litra wody. Droga była daleka. Żegnałem Warszawę. Dokoła mich jak diabli, ludzie gdzieś śpieszą, coś załatwiają, myślę, między nimi pełno naszych chłopaków, szykują może jakąś robotę, tylko ja do niczego... Piekły mnie oczy, tarłem je, aby nie płakać. Jedziemy przez most Poniatowskiego, w stronę Łachy Grochowskiej. Ten Kazio miał zdrowie, pijany, ale gnał jak wariat. Jakby czuł, że mnie się śpieszy.

Wypił resztkę kawy, zapytał ją nagle innym zupełnie już tonem:

- Okupację spędziła pani w Warszawie?

- Nie, w Poznaniu i w Oświęcimiu. Numer został mi na pamiątkę...

- No, widzi pani, Warszawa miała specjalny charakter... Mniejsza z tym. Dosyć, że chłopak przywiózł mnie na tę plażę, prosiłem jeszcze, aby wybrał miejsce, gdzie mało ludzi. Myślał, że ze względu na ślepotę nie chcę być w tłoku. Rozebrałem się, leżę, słońce grzeje, myślę, już czas, bo po tej wódce na sen mi się zbiera. Zupełnie niesamobójczy nastrój. Mówię: „Kaziu, smyrgaj po piwo, weź z pięć flaszek”. Poleciał w te pędy. Wtedy zmówiłem krótką modlitwę, a potem duszkiem wychyliłem pół litra, które przywiozłem ze sobą. Posiedziałem jeszcze chwilę, podumałem, że dosyć już takiego życia... Skaczę do Wisły. A od małego pływałem świetnie. Nie tonę, ciągle wypływam na powierzchnię. Wydostaję się na środek, prąd już wartki niesie mnie, sam nie bardzo wiem, co zrobić, żeby raz wreszcie skończyć ze sobą. Tymczasem wódka zaczyna rozmarzać, jestem pijany jak nigdy. Tak mi przyjemnie, woda chłodzi, prawie nie poruszam rękami, prąd niesie i niesie. Wyrzuciło mnie na jakąś piaszczystą łachę. Leżę, czuję, że od słońca już skóra mnie piecze, sen też odleciał. Słyszę jakieś wołanie, to mi przypomina ludzi, świat, życie, od którego chcę odejść. Włazę znowu do wody, płynę, ani rusz nie ciągnie do dna. Ktoś minie chwytając za kark, za rękę, wciąga do kajaka, dowozi do brzegu. A tam Kazio, ten rykszarz, płacze wniebogłosy. Ubranie miał ze sobą. Nie wiedział, gdzie się podziałem, jechał brzegiem, trafił na tych, którzy mnie wyciągnęli. Ubrali mnie, znów siedziałem w rykszy, szumiało gdzieś miasto, głowa bolała... ocknąłem się w szpitalu. Tutaj nie było drugiej okazji. Pilnowali minie tak, że sam kroku nie mogłem zrobić... I wtedy dopiero załamałem się straszliwie. Pamiętałem niewidomych sprzed wojny, wynędzniałych, białych, obdartych, smutnych. Bałem się takiej doli dla siebie. Chciałem żyć, widzieć, walczyć, tylko nie tonać w tej przeklętej ciemności - cichy jęk wydarł mu się z piersi.

Drgnęła, ujęła go za rękę. Kaczan znowu się uśmiechnął.

- Pani Halino, to nic. To było, dziś jest inaczej... Dosyć, że jeszcze trzy miesiące przebywałem w szpitalu. Stałem się religijny, to mi wróciło równowagę, jakoś przestałem się przejmować swoim kalectwem. Postanowiłem nauczyć się poruszać bez pomocy oczu. Dowiedziałem się z praktyki, jak wyczuć bramę po innym odbiciu kroków przez echo, jak posługiwać się laską. Nauczyłem się wyczuwać przeszkody. Chodnikiem szedłem prawie normalnie. Pamiętam, ktoś miał skrzypiące buty. Szedłem za nim chyba z pięć kilometrów tak szybko jak on. To dobry znak rozpoznawczy dla niewidomego - zaśmiał się cicho. Głos jego zmatowiał, nie drżał już, opanował się zupełnie. - Ulokowano mnie jakimś sposobem w przytulisku dla ociemniałych żołnierzy. Przejęty świętym Franciszkiem, myślałem wtedy, że na świecie można działać samą tylko dobrocią... Ładny to zresztą był okres, miałem dużo spokoju... Powstanie przeżyłem na Pradze. Schronisko wojskowe ewakuowano do Michalina.

Stamtąd już na własną rękę, zaraz po wojnie, dostałem się do ośrodka niewidomych w Głuchowie. Urwał, po chwili zaczął już cichszym głosem:

- Wie pani, tam zakochałem się... Piękna była podobno... Inaczej skończyło się, niż myślałem, ale nie żałuję, choć wycierpiałem potem więcej może niż po utracie wzroku... I wtedy runęło we mnie wszystko, cały franciszkanyzm, wiara w Boga, w ludzi, w cokolwiek... - mówił teraz urywając, przeskakiwał przez ten moment swojego życia. Zauważyła to, ani słówkiem nie próbowała go zachęcić do szczegółowego opowiadania. - Wtedy rzuciłem się do czytania. Lektorów miałem, ich tylko chciałem. Kasprówic, Wyspiański, Norwid, Słowacki - to z tamtego okresu. Wybierałem co bardziej smutne, bardziej tragiczne. To kłamałem, to znów wracałem do religii, przewalało się we mnie wszystko. Gnębiło mnie poczucie strasznej samotności. Piłem wódkę, nie pomagała, jeszcze gorsza chandra przytłaczała mi duszę... - Zmienił nagle ton głosu, uśmiechnął się szeroko. - A dookoła byli ludzie, którzy mnie znali i którzy znali ją. Nie chciałem pokazać, co we mnie się dzieje. Nauczyłem się uśmiechać, może tak jak dziś... Po ukończeniu szkoły dla niewidomych w Głuchowie przyjechałem do Poznania. To było cztery lata temu. Założyliśmy wtedy spółdzielnię.

Gdy długo milczał, jakby już skończył swoją opowieść, szepnęła z niepokojem:

- Czy dzisiaj ten uśmiech też taki udany?... Czy nie znalazł pan drogi, celu, radości? - Wargi jej drżały. Wzruszyła ją ta historia.

- Nie, nie ma już we mnie tamtej rozpaczki. Mam cel, wiem że żyję, gdy o coś walczę, gdy coś zdobywam. Dlatego z taką pasją pracuję w spółdzielni, zostałem przodownikiem, teraz wciągnęła mnie pani w robotę kulturalną. Czytam bardzo wiele, sam i przy pomocy lektorów. Ale smutku, spokojnego już, jest we mnie trochę, tak chyba zrastanie... Jednak często śmieję się naprawdę szczerze, a jeżeli nawet jestem nie w nastroju, zgorzkniały, czy nie lepiej, że się lekko uśmiecham, jak to pani nazywa?

- Może i lepiej...

- Jedno się we mnie załamało. Wadzi pani, nie wierzę, żeby niewidomy mógł znaleźć kobietę, która by wyszła za niego z prawdziwej miłości... Mówię o kobietach widzących. Przed trzema laty zacząłem się uczyć. Przychodziły do mnie lektorki, młode, ładne. Niektóre ciekawe były, jaki jest niewidomy jako mężczyzna,

- A pan?...

- Ja? Powiedziałem przecież, że straciłem wiarę w uczciwość uczuć kobiety widzącej w stosunku do ociemniałego. Odplącałem tą samą monetą. Aż przyszedł dzień, że mi zbrzydło to wszystko...

W kawiarni zaczęło robić się tłoczno. Dochodziło wpół do pierwszej. Kitliczowa zawahała się chwilę, potem szepnęła:

- A Wanda?

- Chciałbym wierzyć. Bardzo chciałbym wierzyć... Wtedy chyba potrafiłbym być szczęśliwy...

Podniosła oczy. Uśmiech Kaczana znowu był pogodny, dobrotliwy jak zawsze. Nasłuchiwał, zawołał na przebiegającą kelnerkę:

- Płacimy, proszę pani!

Zmęczeni, prychający wodą, dopłynęli wreszcie na płytsze miejsce. Słońce paliło mocno, skóra wysychała niemal natychmiast. Baraszkowali, oblewali się wodą, on nurkował, próbował przewrócić ją łapiąc w wodzie za nogi. Uciekała, nie mogła nadziwić się zwinności, z jaką wyczuwał kierunek jej zwrotów. Wynurzył się wreszcie zziąjamy, sapał ciężko, zaśmiewał się.

- No co, idziemy na brzeg?

- Idziemy - zgodziła się.

Trzymając się za ręce brnęli ku brzegowi. Dziewczyna patrzyła z boku na towarzysza. Opalił się mocno, zbrązowiała twarz wydawała się jeszcze bardziej męska. Głowę trzymał wysoko wzniesioną do góry, jakby patrzył gdzieś daleko na brzeg Rusalki. Pomyślała, że Józek naprawdę jest ładny. A jak zbudowany! Niech się koleżanka nie śmieją, że niewidomy. Oby ich widzący chłopcy byli choć trochę podobni do niego! Rosły, silny, zwinny. Pływa doskonale, co dnia przychodzili tutaj, przepływali przez całe jezioro, spacerowali w lesie po przeciwległej stronie, znowu wracali wpław. Krawlem wyprzedzał ją po pierwszych metrach, a przecież w gimnazjum należała do najlepszych pływaczek. Najchętniej jednak płynęli żabką, mogli wtedy rozmawiać ze sobą. Ona wytyczała kierunek, orientował się według jej głosu.

Upały jak na początek czerwca były niezwykle, żar sypał się z nieba. Każdego dnia zaraz po pracy i prędko spożytym obiedzie jechali dziewiątką do Małopolskiej, stamtąd parkiem, obok basenu pływackiego, szli daleko brzegiem Rusalki. Z żalem myślała, że w przyszłym tygodniu Józek będzie pracował na wieczornej zmianie, skończą się ich rozkoszne popołudnia.

Blżej miasta kłębiło się na jeziorze od ludzi. Tutaj mało kto już docierał. Byli sami, cieszyli się tą samotnością, swobodą rozmowy, słońcem.

Wanda westchnęła, ze spuszczoną głową poczłapała na brzeg, rozbryzgując stopami

wodę. Ostatnio Kaczan gniewał ją. Chyba nie czeka, aż mu sama wszystko powie? I tak już napomykała całkiem wyraźnie. Dalsze zwlekanie nie ma sensu. Kochają się, to jasne. Więc co? Nie, stanowczo musi się to dzisiaj rozstrzygnąć. Z tym postanowieniem raźnie już podniosła głowę, jej dziecinna twarz rozjaśniła się uśmiechem.

- Józek!

Siedział na brzegu objąwszy rękami kolana, wygrzewał się. Zwrócił teraz głowę w jej stronę. Szła szybko, dłońmi wyciskała wodę z pociemniałych od kąpieli włosów.

- Idziemy na piasek, poleżymy. Ależ pali...

- Lubię słońce - powiedział.

- A mnie czy lubisz? - zaśmiała się.

Westchnął lekko, ramieniem objął ją w pół, drgnęła z radości. Tak lubiła uścisk jego mocnych ramion...

- Ej, Wanda, Wanda... - Szybko nachylił się, ucałował ją w świeży, pachnący wodą i słońcem policzek. Przytuleni szli w jasnym słońcu i żywicznej woni rozgrzanych sosen.

Na małym wzniesieniu obok bujnych krzewów wybrali miejsce na opalanie się. Przychodzili tu jeszcze wiosną, gdy zamiast żywicy ostro pachniała czeremcha i jaśminy, ulubiony kwiat Józka. Z serdeczną tęsknotą wspominał zawsze ich intensywną, mocną biel, zanurzał twarz w kwiatach, potem ze śmiechem wycierała z niej żółty pyłek.

Położyli się na wyschniętej trawie. Wanda wyciągnęła ramiona, przegarniała rękami trawę. Gdzieś nie opodal z zapalem cykał konik polny. Nie było najmniejszego powiewu wiatru, upalna, rozżarzona cisza stała w powietrzu. Pogoda rozleniwiała. W rozleniwieniu tym było zarazem coś podniecającego. Czuli to obydwójce. Józek w pewnej chwali wyciągnął ramię w stronę dziewczyny, chciał odszukać jej dłoń, ale zaraz cofnął się, jakby z lękiem. Widziała to, nie pierwszy raz dostrzegła podobne wahanie.

- Józek!

Obrócił głowę w jej stronę, nie odpowiedział.

- Czemu ty jesteś taki dziwny czasami? Chciałeś teraz mnie objąć, cofnąłeś rękę... Jakbyś się bał. Czego? - Zaczerwieniła się. - Ja nie wiem, co się w tobie dzieje. I wiesz, wtedy robi mi się bardzo ciężko.

- Słońce mnie rozleniwia, Wandeczko... Daj łapkę - kilkakrotnie ucałował smukłe palce. - Wydaje ci się, zawsze jestem taki sam, znasz mnie już od dawna. Pamiętam, przyszedłem do biura, bodaj upomnieć się o premię, usłyszałem twój głos. Bardzo mi się podobał. Byłaś taka uczynna, że na drugi dzień specjalnie przyszedłem ci podziękować...

- A potem poprosiłeś mnie, czybym nie poszła z tobą do teatru.

- Wahalaś się - uśmiechnął się.

Kiwała głową, radował ją ten jego uśmiech. Kto wie, czy nie uśmiech był pierwszą więzią pomiędzy nimi.

- Tak, nie wiedziałam, jak mani postąpić. Ale poszłam. Było to moje pierwsze pójście do teatru po ukończeniu szkoły. Potem chodziliśmy często... Józek! - spostrzegła się - ale ty zmieniasz temat. Ja cię pytałam o co innego.

- Wydaje ci się, wydaje, Wandeczko... Zawsze jestem taki sam. Wiesz, że mi bardzo dobrze jest z tobą, chciałbym, aby zawsze tak było. Nie lubię rozczarowań, odmiany, żalu. Czasem boję się, aby coś nie uległo zmianie, pewnie dostrzegasz ten lęk i zdaje ci się, że jestem „inny”.

- Ale czego ty możesz się bać? - głos jej drżał zdziwieniem, przysunęła się bliżej do niego, chwyciła za ramię. - Czego się boisz we mnie? Jakiego rozczarowania czekasz? - mówiła gorączkowo. - Ja się nie zmieniam. Jeżeli coś się we mnie budzi, rozwija się bardzo powoli, ale jest potem stałe, niezmiennie. Myślisz o naszym uczuciu? Z mojej strony nie będzie niespodzianek. Przemyślałam wszystko dokładnie. Józek, głuptasie drogi - nachyliła się, ucałowała go namiętnie. Zadrżał, mocno ją objął ramieniem.

Całował ją teraz raz po raz, upajali się obydwójce tymi pocałunkami w jasnym, palącym słońcu, w żywicznej woni sosen, w cichutkim szmerze płynącym od jeziora. W pewnej chwili, między jednym pocałunkiem a drugim, zachwycona, oczarowana tą chwilą, szepnęła przekornie:

- A widzisz, a widzisz?

Zamknął jej usta nowym pocałunkiem. Było mu w tej chwili tak dobrze. Wargi Wandy były świeże, pocałunki namiętne, ale nie mające ani cienia tej rutyny i perwersji, jaką miały wargi innych kobiet, które całował i które go całowały. Jedna tylko całowała go kiedyś tak samo niewinnie... - Wstrząsnął się na wspomnienie, dziewczyna drgnęła zdziwiona.

- Co ci się stało?

- Nic, nic - przytulił ją jeszcze mocniej, długo i gorąco całował znów usta, oczy, policzki z rozkosznymi dołeczkami, czoło, nawet mały, trochę zadarty do góry nosek. Dyszała ciężko. A gdy ją wreszcie puścił, sam bez tchu, osunęła się na trawę, leżała długo z przymkniętymi oczami. Potem ujęła jego rękę, ucisnęła ją mocno.

- Józku, musisz mi dzisiaj powiedzieć to wszystko, co pragnę, abys powiedział... Pamiętaj... - Potrząsnęła głową, palcami jak grzebieniem przemknęła po wyschłych już dawno włosach. - Mój Boże, jak mi jest dobrze...

A nim od nowa targnął straszny lęk. Czy wspomnienie tamtej będzie go zawsze

nachodzić, przy każdym pocałunku, przy każdym czulszym słowie? Czy ciągle stawać będzie jak zmora, jak uparte ostrzeżenie, przestroga? Czego się tutaj lęka? Wanda go kocha naprawdę. Pierwszą, szczerą dziewczęcą miłością. Czeką przecież, aby zaczął wreszcie mówić o ich wspólnej przyszłości. To, że wyznali już sobie miłość tyle razy, nie kończy wszystkiego. Zaczyna dopiero...

I znowu zjawiła się przed nim jak żywa postać Oli. Usłyszał jej miękki głos mówiący o kochaniu, o przyszłości... Twarz jego ściągnęła się bolesnym skurczem. Przestraszył się, czy Wanda nie dostrzegła tego odruchu. Zaczęłyby się pytania, a kłamać w tej sytuacji nie chciał... Słuchał uważnie, oddech jej był równy, swobodny. Domyślił się, że rozmarzona pocałunkami, wodą i słońcem, leży w półśnie, nie zwracając uwagi na niego. Odetchnął z ulgą...

Kitliczowa, gdy rozmawiał z nią przed tygodniem w kawiarni, rzuciła pytanie o Wandę. Powiedział, że chciałby wierzyć w szczerą uczucie dziewczyny, wtedy byłby szczęśliwy... Może skrzywdził Wandę? Tu przecież nie chodziło o szczerą. Ona go kocha na pewno szczerze. Rzecz w tym, czy to jest już prawdziwa miłość? Bo dlaczego wybrała właśnie jego, niewidomego? Może dlatego, że nie znała ludzi, stała w domu, przy rodzicach, a po śmierci matki zajęta pielęgnacją chorego ojca... Zaraz po maturze musiała zacząć pracować, trafiła do biura spółdzielni. Zbliżyli się do siebie. Czy jednak nie cofnie się albo nie zacznie kiedyś żałować?

W dziewczętach bywają takie nagłe odmiany. Przychodzą nie wiedzieć skąd. Nieprzemyślana rada jakichś starych przyjaciół, opór rodziny... Tak przecie było z Olą...

Nasłuchiwał oddechu Wandy. Serce ścisnęło mu się. Czemu on tak się boi, czyżby i tu miała go czekać klęska?

Dziewczyna drgnęła, przeciągnęła się. Usłyszał jej cichy głos:

- Józek.

- Tak, mała.

Podniosła się, usiadła, spojrzała na mego bacznie. Przestraszyła się wyrazu jego twarzy. Nie było na niej uśmiechu, tylko gorycz i zwątpienie. Wargi zacisnął mocno, ręce mu drżały.

- Co ci się stało? Chory jesteś?

- Nie, nie, tak sobie myślałem o wielu rzeczach...

- O mnie też?

- Teraz będę myślał o tobie - opanowywał się, przywoływał swój zwykły uśmiech.

Zdecydowała się. Dostyc niedomówień. Obejrzała się. Wciąż byli sami. Zrywał się

lekki wiatr, zakołysał wierzchołkami drzew, szmerem przeleciał przez krzewy, zmarszczył powierzchnię Rusalki.

- Józek, kochasz mnie naprawdę? Tak mocno jak ja ciebie? tak samo mocno?

- Wiesz przecież...

- Powiedz wyraźnie. Ja muszę wiedzieć.

Przygarnął ją ramieniem, ucisnął. Gwałtownymi, rozpaczliwymi jakimiś pocałunkami począł okrywać jej twarz, szyję, włosy.

- Kocham, kocham, Wando. Tylko się boję tej naszej miłości... A jeśli ona zawiedzie, jeżeli ty się spostrzeżesz, żeś się omyliła, co wtedy? Ja drugi raz tego nie zniosę, nie znajdę w sobie tyle siły...

- Nie, ja się nie mylę, Józku. A o tamtym zapomnij, ja nie chcę nic wiedzieć. Chodź, pocałuję cię, a potem będziesz mówił, dobrze?

Wzruszyła go jej szlachetność. Tak, nie ma co zwlekać, czas na decyzję.

- Pobierzemy się? - i nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej: - Jeżeli się zgodzisz, to zrobimy to zaraz po powrocie z Krynicy... albo, albo nawet jeszcze przedtem, pojedziemy wtedy na wczasy już jako małżeństwo. Ale chcę, żebyś się jeszcze zastanowiła nad tym, co ci powiem. Jestem niewidomy, są ze mną dodatkowe kłopoty, życie jest trudniejsze. Pracuję jako robotnik w dziewiarni, nie wiem, czy znalazłbym lepszą pracę, ilość zawodów dostępnych dla nas jeszcze jest ograniczona... Dalej, czyś naprawdę przemyślała dokładnie, pewna jesteś, że tu nie ma omyłki? Czy nie będziesz kiedyś żałowała zbyt pośpiesznej decyzji? Jesteś jeszcze bardzo młoda, Wando.

- Józek, dosyć! Wiem dobrze, czego pragnę. Powiedz lepiej, jak bardzo mnie kochasz...

Westchnął, potem zaśmiał się, chwycił mocno w objęcia.

- Bardzo, bardzo.

Zmierzchało już, gdy wracali do domu. Wanda była uszczęśliwiona, snuła głośno marzenia, jak to będzie, gdy się pobiorą. Józek dostanie mieszkanie, urzędzą się, musi być u nich bardzo ładnie. Ojca jej wezmą do siebie, to przecież Józkowi nie będzie przeszkadzać, prawda? A z czasem może Józek dostanie inną pracę, w przemyśle, wyjdą obydwójce z tej brzydkiej dziewiarni, będą sobie żyć sami, daleko od ludzi, tak się najwięcej szczęścia wyciągnie z życia... I muszą mieć ogródek. On też lubi kwiaty.

Cieszył się, słuchając tego paplania. Nie chciał przerywać tych marzeń, mówić o ich nierealności. Zdaży jej to jeszcze powiedzieć, po co teraz psuć radość.

Czasem jednak serce ścisnęło mu się nagłym bólem. Nie umiał sobie wytłumaczyć

dlaczego.

Do kierownika wydziału kwaterunkowego nawet się nie dostali. Miał już widocznie dosyć ich wizyty sprzed trzech dni. Zasłonił się teraz brakiem czasu, jakąś ważną konferencją, polecił, aby ich przyjął referent. Ten oświadczył, że ich wnioski będą uwzględnione przy najbliższej okazji...

- He, kiedy, proszę? - Antkowiak, zapalczywy marynarz, przyłożył sobie pięść jak bochen do ucha.

- No, jak tylko znajdą się wolne mieszkania... - pośpiesznie tłumaczył zaniepokojony referent.

- A mój wniosek od kiedy tu leży? Ja tak liczę, że już prawie dwa lata. Co miesiąc przychodzę i zawsze ta sama odpowiedź...

- Naczelnik sam się tą sprawą interesuje, panowie. - Cofnął się za biurko przed napierającą na niego trójką niewidomych.

- Zostaw, Antkowiak, tu się nie dogadamy! Pójdziemy gdzie indziej - rzekł nagle Hulka, powstrzymując krewkiego marynarza.

I tak się zaczęła cztery dni już trwająca wędrówka ich po urzędach. Kołatali do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, uzyskali poparcie wojskowego dowódcy okręgu, Twardosz z ramienia Związku także robił, co mógł. Nie pomagało. Wszędzie powtarzano to samo, że przy najbliższej okazji...

Antkowiak kłął we wszystkich językach, proponował zajmowanie mieszkań na własną rękę, chciał nawet zastraszyć kierownika wydziału kwaterunkowego. Ledwie mu to Kaczan i Hulka odradzili.

Sytuacja rzeczywiście była trudna. Mieszkań w Poznaniu brakowało, ludność miasta rosła z dnia na dzień. Tego im nie trzeba było tłumaczyć, to rozumieli sami aż nadto dobrze. Ale wnioski Antkowiaka i Hulki leżały już od dwóch lat, Kaczana od roku i nic się w tej sprawie nawet nie ruszyło.

- Żeby przynajmniej jeden z nas dostał, powiedziałbym, że powoli, ale starają się o nas. A tak, to zwykła granda! Jakby niewidomy był czymś gorszym - oburzał się Paweł Hulka, były sierżant, który utracił wzrok w kampanii 39 roku w walkach pod Kutnem.

- Ja mówię, nałożyć temu kierownikowi po uszach, to i mieszkania się znajdą - huczał Antkowiak. - Co za życie, dwa lata już tak. Ja tu, baba tam, trzeba spotykać się ze sobą jak za narzeczeńskich czasów. Carramba!

- Nałożysz po uszach, to cię za te uszy do kryminału wsadzą. Tam i randki z żoną już

nie będziesz miał - śmiali się.

- To co, mam się powiesić? - krzyczał. - Zaraz, zaraz, rada musi być.

Siedzieli na ławce przy skwerze ma placu Wolności. Kaczan medytował. Wyciągnął zegarek, sprawdził godzinę. Dochodziła dwunasta. Zdecydował się.

- Wiecie co, chłopaki? Pójdziemy do przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej. Przecież pisaliśmy do niego odwołanie. Musi nas przyjąć.

- A jak nie zechce?

- To się wderzemy do jego gabinetu. Sekretarki nic nam nie zrobią. Musi nam załatwić przydziały, słyszałem, że teraz jest pula mieszkaniowa do rozdziału...

- Dobra, idziemy, ja zawsze, jeszcze jak siłą, to tylko dla mnie - huczał Antkowiak klepiąc się po piersiach.

Roześmieli się. Marynarz wprowadzał zawsze dobry humor.

Całą sprawę ruszył od nowa Kaczan. Mieszkał dotąd w maleńkim pokoiku, wynajmowanym prywatnie. Pokój ten, raz, że słono kosztował, dwa, że wścibska gospodyni nieproszona robiła w nim często porządek, trzy, że w żadnym wypadku nie odpowiadał jego małżeńskim projektom. Jeszcze przed rokiem złożył wniosek do wydziału kwaterunkowego o przydział pokoju z kuchnią. Lubił sam sobie gotować, szło mu to wcale zręcznie, kalkulowało się o wiele taniej. Obecnie sprawa dotyczyła już przyszłej rodziny. Tymczasem wniosku nie załatwiono, nie pomogły pieczęcie spółdzielni i Związku ani fakt, że był inwalidą wojskowym. Postano-

wił wtedy rozpocząć energiczne starania. Dobrał Antkowiaka i Hulkę, też bezskutecznie kołaczących o przydział mieszkań.

W Prezydium było cicho, spokojnie. Poranny natłok interesantów już minął. Woźny sam zaprowadził ich na piętro, wskazał drzwi sekretariatu.

Weszli, wszyscy z białymi laskami i opaskami na rękawach, Antkowiak z przypiętym do piersi odznaczeniem. Dwie urzędniczki spojrzały na nich ze zdziwieniem.

- Chcielibyśmy mówić z obywatelem przewodniczącym - rzekł twardo Kaczan.

- Nie ma, jest na konferencji. Dzisiaj nie będzie już nikogo przyjmował.

- Paniusiu złota, ale my tylko dzisiaj mamy czas. Robota czeka - Antkowiak mówił to słodkim głosem, dźwięczała w nim jednak nutka gniewu.

- Proszę panów, nic nie poradzę. Jest posiedzenie prezydium.

- Gdzie?

- Właśnie w gabinecie przewodniczącego... - nieopatrznie wygadała się sekretarka.

- To proszę nas zameldować - rzekł Kaczan. - Niewidomi żołnierze jesteśmy. Dużo

czasu przewodniczącemu nie zajmiemy.

- Niech panowie przyjdą jutro - odburknęła już zniecierpliwiona, zaszeleściła papierami.

Kaczan schylił się do swych towarzyszy.

- Tu na lewo, zdaje się, są drzwi do gabinetu. Idziemy, chłopcy?

- Jak w dym! - huknął Antkowiak, urzędniczki spojrzały strwożone.

Ruszyli. Hulka potknął się o jakieś krzesło, gniewnie odtrącił je na bok.

Kaczan trafił na drzwi, ujął za klamkę.

Sekretarka zerwała się z miejsca, zagroziła mu drogę, chwyciła za ramię.

- Nie można, nie można...

- Przepraszam panią! - spokojnie, ale stanowczo zdjął jej rękę.

- Antkowiak, tylko bez żadnej grandy. Pamiętaj, do kogo idziemy! - rzucił szeptem, otarł się o bezradną sekretarkę, otwierał jedne drzwi, potem drugie.

Usłyszeli gwar wielu głosów. Nagle ucichły. Spojrzenia członków prezydium skierowały się na dziwnych przybyszów.

- Przepraszam, obywatele, jest posiedzenie! - Kaczan rozpoznał głos przewodniczącego.

- Kto panów tu wpuścił, przecież zakazałem? - zdziwił się ktoś inny.

- Jesteśmy inwalidzi wojskowi. Zwolniliśmy się z pracy, aby dostać się do was, towarzyszu... Przepraszamy, że przeszkodziliśmy...

- Dzisiaj was przyjąć nie mogę, towarzysze.

- To zajmie pięć minut.

- Uhuuu! - potwierdził basem Antkowiak.

Przewodniczący z desperacją spojrzał na członków zebrania, skinął niechętnie głową.

- Słucham.

- Towarzyszu, nam chodzi o mieszkania. Od dwóch lat staramy się o przydział i bezskutecznie. Zbywają nas obietnicami, ale my w ten sposób dalej żyć nie możemy. Obaj koledzy mają rodziny, ja zakładam swoją w najbliższym czasie. Kolega Hulka mieszka w maleńkim pokoiku w sześć osób. Kolega Antkowiak mieszka osobno, żona osobno...

- Uhuuu.

- Towarzysze, nie do mnie z tymi sprawami...

- A właśnie, że do was. Złożyliśmy odwołania na wasze ręce. Chcemy znać odpowiedź.

- Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie otrzymamy zapewnienia przydziału mieszkań -

chrapliwie rzekł Hulka.

- Towarzysze, tylko proszę nie używać gróźb!

- Przepraszamy, ale kolega bardzo się przejmuję tą sprawą. Może ja wytłumaczę. - Kaczan zły był na Hulkę za jego wyskok.

- Ach, prawda, siadajcie... - Podsuwano im fotele.

- Towarzyszu, wy macie na to wpływ. Wiem, że do waszej dyspozycji został przydzielony szereg mieszkań w odbudowanych domach. Prosimy o uwzględnienie nas w przydziałach.

- Mam już dziesiątki reflektantów, wszystkim mieszkania przysługują w pierwszej kolejności.

- O, przepraszam. Towarzysz zna uchwałę Prezydium Rządu z listopada 1950 roku w sprawie opieki nad inwalidami wojennymi i wojskowymi? Artykuł IX mówi wyraźnie o potrzebie zapewnienia mieszkań zatrudnionym inwalidom. Tymczasem prawie od roku żaden z niewidomych nie otrzymał mieszkania poza służbowymi przy fabrykach. A należy nam się. Przyszliśmy się o nie upomnieć. Jesteśmy wszyscy żołnierzami, wzrok straciliśmy w walce. Nie żądamy niczego więcej, tylko tego, co się nam jako obywatelom należy.

- Ja was rozumiem, ale ja mieszkań nie przydzielam. Poza tym, towarzysze, nie załatwia się niczego tak szybko.

- My możemy poczekać - rzekł Antkowiak i rozsiadł się wygodniej w fotelu.

Przewodniczący szeptał coś z sekretarzem prezydium. Pozostali również przyłączyli się do tej rozmowy. Niewidomi siedzieli w milczeniu, nasłuchiwali oderwanych słów, dobiegających od biurka przewodniczącego.

- Niestety, tak łatwo nie da się nic zrobić - przewodniczący rozkładał ręce.

- A z tej puli mieszkaniowej, którą, towarzyszu, wy zarządzacie?

- To inna sprawa.

- Może. Mniejsza z tym. Nam chodzi o mieszkania. Zrozumcie, towarzyszu, że nie zebrzemy. Upominamy się o to, co się nam słusznie należy. Pracujemy wszyscy, koledzy obaj są przodownikami pracy. Wszystkie możliwości już wyczerpaliśmy, dlatego przychodzimy do was.

- Uhuuu - bas Antkowiaka, bawiącego się niby od niechcenia swym odznaczeniem bojowym, brzmiał ponuro.

- Kolego sekretarzu, może byście polecali przynieść te odwołania, Nazwiska wasze, towarzysze?

Sekretarz wyszedł. Zapadło milczenie. Zakłopotany przewodniczący przebierał w

papierach na biurku z wyrazem powagi w ciemnych oczach. Podniósł je właśnie na niewidomych. Jakiś uśmiech przeleciał mu po twarzy. Zaczął znowu szybko przeglądać papiery, czegoś szukał. Widocznie znalazł, bo odsapnął zadowolony, zakręcił młynka palcami, zwrócił się nagle do marynarza.

- A wy, towarzyszu Antkowiak, w marynarce byliście w czasie wojny?

- Tylko pierwszego września do południa. Nasz ślizgacz został zbombardowany w porcie na Helu... Potem brałem udział w obronie półwyspu. Tam mnie odłamkiem rąbnęło w oczy. - Antkowiak nie lubił mówić o swoim wypadku.

- A mieszkacie gdzie?

- W internacie. Jutro dwadzieścia dwa miesiące, jak się ożeniłem i złożyłem wniosek o mieszkanie. Bo w internacie z żonami nie można mieszkać... Dlatego mam żonę na dochodzącą, to bardzo niewygodnie.

Roześmieli się wszyscy. Od razu rozładował się niemiły nastrój w gabinecie. Zaczęła się ogólna rozmowa. Przewodniczący szeptał z pozostałymi członkami prezydium. Któryś oponował, potem jakby się zgodził.

Kaczan nasłuchiwał uważnie, niestety nie mógł nie pojąć, bo co chwila zwracano się do niego z jakimś pytaniem. Czuł tylko, że sprawa jest na dobrej drodze.

- A wy, towarzyszu Kaczan? Chcecie się żenić?

- Wedle rozkazu, towarzyszu przewodniczący.

Wszedł sekretarz.

- Tu są wasze odwołania, towarzysze... Widzicie, opatrzone zostały adnotacją o przychylnie załatwienie.

- Lepiej mniej przychylnie, a konkretne - sapnął Antkowiak Przewodniczący zaśmiał się.

- No cóż, gwałtem zdobyliście, rzeczywiście po żołniersku! Dobrze, przyrzekam wam, że w przeciągu tygodnia prześlemy wam przydziały. Właśnie otrzymaliśmy dom, w którym są jedno i dwupokojowe mieszkania. Przy ulicy Nowowiejskiego. Odpowiada to wam?

- Ja mogę i na końcu Poznania, byle z babą - rozradował się Antkowiak.

Gdy już wychodzili oszołomieni swoim sukcesem, przestrzeżeni przez przewodniczącego, aby na przyszłość nie szukali podobnych sposobów załatwienia spraw, Antkowiak zahuczał w drzwiach:

- Józek, aleś ty dobrze radził, żeby tu przyjść. To swój chłop ten przewodniczący!

Zaraz po wyjściu niewidomych zaprotokołowano uchwałę prezydium o przyznaniu mieszkań trzem niewidomym inwalidom wojskowym.

Kitliczowa wróciła do Związku po dłuższym objeździe kół prowincjonalnych. W terenie praca kulturalno-oświatowa była zaniedbana, prawie że się nie rozwijała, czytelnictwo słabe, liczba analfabetów poważna. Zależało to zresztą od spraw organizacyjnych, od warunków pracy, od ludzi w zarządach kół. W kilku punktach, na przykład w Kaliszu i w Jarogniewicach, zdołała pchnąć sprawę naprzód. Znalazła odpowiednich ludzi, potrafiła ich zachęcić i przekonać do pracy. W Nowej Soli zorganizowała kurs czytania i pisania w brajlu. Dowiedziała się, że jeden z członków koła jest byłym nauczycielem, który po utracie wzroku sam doskonale nauczył się czytać i pisać brajlem, pracuje zaś jako masażysta w pobliskim sanatorium. Człowieka tego nie wykorzystano dotąd właściwie. Po dwóch rozmowach rozochocił się, znaleziono dziewięciu chętnych, jeszcze przy niej odbyła się pierwsza lekcja. Nauczyciel prosił ją tylko o regularne i częste nadsyłanie książek brajlowskich. Bo właściwie dotąd otrzymywali tu tylko „Pochodnię”.

Teraz chciała się dowiedzieć, jak posuwa się praca w Poznaniu. Zespół artystyczny pracował już dobrze, wyniki były coraz lepsze. Za trzy dni mieli wystąpić w Owińskach na zakończenie roku szkolnego, w dzień wyjazdu dzieci na obóz do Międzyzdrojów nad morzem. Sama była podniecona, czuła treść.

Korycki zdawał jej relacje ze wszystkiego.

- Janki skończyły już lekcje. Obie zdały, Kralówna z wyróżnieniem... Jeszcze tydzień tu będzie, pomoże nam trochę, potem pojedzie do rodziców, pod Ostrów... Bronowska zostaje... A wie pani, ten największy skecz omal się nie rozleciał, w ostatniej chwili Przybylak zgodził się nauczyć roli. Słabo to idzie...

Zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem... To przecież Kaczan grał w tym skeczu?

- Kaczana nie ma. Przed pięciu dniami wziął nagle urlop i wyjechał, nawet nie wiadomo gdzie, bo z wczasów zrezygnował.

- Razem z Wandą mieli jechać we wrześniu do Krynicy...

- Ona wypowiedziała pracę w biurze spółdzielni. Coś tam się stało, ale nikt nie wie co...

Zasepiła się. Czyżby Józek miał wtedy rację, przypomniała sobie rozmowę. Czy i tutaj nie powinien był wierzyć?

Postanowiła wybadać całą historię. Może Kaczanowi będzie teraz szczególnie potrzebna życzliwość i serdeczność?

XII

- No co, Ama, sześć psów przysyłają z Warszawy! To ci, pierona, będzie uciecha! Jeno że tamte bardziej od ciebie uczone. Nic, nic... - Poklepał sukę po szyi.

Ama zachwycona merdała ogonem.

- No idź, idź, tylko nie czekaj, jak do mnie goście przyjdą... To swoi, brajlaki wszystko, musisz mieć dla nich uszanowanie.

Nastawił radio. Położył się, lubił podrzemać przy cichej muzyce przynajmniej godzinę, dwie po obiedzie.

Obiło mu się dziś w fabryce o uszy, że ma otrzymać nagrodę z okazji 22 Lipca. Pomyślał o mieszkaniu, westchnął. Wytwórnia Piast Rowerowych własnych bloków nie posiadała, na uzyskanie przydziału z kwaterunku nie miał wielkich nadziei.

Przypomniał sobie historię Kaczana, Antkowiaka i Hulki, uśmiechnął się. Teraz już nie wypadało, że też mu wcześniej nie przyszedł taki pomysł do głowy! Oni żołnierze, on górnik, też zawód szlachetny, co tu gadać...

Może podniecała go usłyszana dzisiaj wiadomość, może niepokój o córkę zdającą ostatni egzamin w tym roku, dosyć że sen nie nadchodził. Słuchał muzyki, wydawała się monotonna i mdła. Przypomniał sobie rozmowę z dyrektorem.

Z rozczeniem i głęboką wdzięcznością myślał o nim. Przedwojenny robotnik, od pierwszego dnia z sympatią odnosił się do niewidomego, przeciwstawił się naczelnemu inżynierowi, na własną odpowiedzialność przyjął Ratajczaka do pracy.

Kiedyż to było? Pół roku temu, a ileż zmieniło się od tego czasu. Nawet inżynier począł przyjaźnie zwracać się do byłego górnika, choć nigdy nie omieszkał dodać, że to jeden wyjątek na tysiąc, rodzynek, jak mówił... Zaprzyjaźnił się też Ratajczak z sekretarzem organizacji partyjnej przy fabryce.

W montażowni miał samych przyjaciół. Jedyne dwóch z załogi krzywiło się na niego, bumelanci, złościło ich, że Ratajczak przekracza normy, gdy oni wciąż wyrzekali, że są za duże.

Tak, inaczej już dziś! Ale ma początku było trudno. Żeby nie dyrektor, kto wie, czy zostałby w Zakładach. Zarobek przy pakowaniu piast był niewielki, normy nie można było zbyt podwyższyć, ręce po prostu nie nadażały...

Pakując do skrzyń wytarzane w gęstej wazelinie piasty, zastanawiał się ciągle nad lepszą dla siebie robotą w tej samej fabryce. Drażniła go świadomość, że obaj mężczyźni

pracujący z nim razem byli to niedołążni staruszkowie. A on przecież czuł się młody mimo siwych włosów.

Przy obrabiarkach i innych maszynach nie dałby rady. W kontroli też byłoby trudno, nie wszystko da się wymacać pakami... Ale gdyby tak w montażowni?

To go prześladowało. Nosił się z tą myślą tydzień, dwa, wreszcie któregoś dnia zwrócił się do żony po powrocie do domu:

- Mamuśka, jest tu gdzieś nasz stary rower, co go przywieźlim jeszcze ze Śląska?

Prąła właśnie, zmęczona była. Odburknęła tylko:

- Pewnie jest, ale gdzie go teraz odnajdziesz, jak natłoczone wszystko jedno na drugim i w domu, i w drwalce... Co tobie znowu strzeliło do głowy? Na rowerze chcesz jeździć?

- Bronka, ale może wyszukałabyś którego dnia?

- Na co ci trzeba?

- Piastę chciałbym sobie obejrzeć... - mruknął ciszej. Nie chciał zdradzać się ze swymi projektami przed żoną. A jak nie poradzi, to co?

- Ty masz zawsze pomysły! - zawołała.

Ale po dwóch dniach przyniosła mu części roweru i skrzyneczkę z narzędziami. Pamiętał wprawdzie budowę roweru, długo się jednak mozolił, nim odłączył piastę od reszty. Niełatwo bowiem po omacku dopasowywać klucze, odkręcać śruby i mutry.

Gdy już miał piastę w rękę, z nabożeństwem nieomal przeniósł ją na stolik. Długo trzymał ręce złożone na narzędziach i piastie. Ociągał się z rozpoczęciem roboty. Talk go prześladowała ta myśl, tyle nadziei snuł w związku z swym projektem, że bał się rozczarowania. Wiedział, że sprawa nie należy do prostych.

Cały wieczór przemordował się przy robocie. Żona była w dobrym, humorze, wydziwiała trochę, ale przyglądała się z ciekawością, pomagała nawet, dobierała klucze, przytrzymywała.

Nie wszystko dobrze poszło. Niektóre części w ogóle nie dały się odkręcić, inne były tak małe, że ledwie mógł je uchwycić grubymi palcami. Posmutniał, zdesperowany zsywał wszystko do skrzyneczki, zamyślił się oparty o stół obu łokciami.

- Stare to, zardzewiałe, co chcesz z tym zrobić - pytała. Drgnął. Zwrócił głowę w jej stronę.

- Zardzewiałe, mówisz? Daj, mamuńka, trochę oliwy. Posmarujemy na noc...

- A powiesz, o co chodzi? Odsapną! niechętnie.

- Chcę nauczyć się piasty składać.

Wzruszyła ramionami. Ciągłe nowe dziwactwa. Nigdy nie usiedzi na miejscu. Co

prawda, zawsze był taki, ślepotą nie zmieniła wiele jego usposobienia. Przerwała jednak szycie, przyniosła oliwę, razem namaścili zardzewiałą piastę.

Następnego dnia omal nie wpadł pod auto. Ama siłą go zatrzymała chwytając zębami za połę płaszcza, gdy przebiegał ulicę. Obiad zjadł pośpiesznie, zaraz wyciągnął pudełko z na pół rozmontowaną piastą. Tłuszcz rzeczywiście pomógł. Puściły zatarte, przeżarte rdzą części. Po dwu godzinach siedział dumnie przed rozłożonymi na stole nakrętkami, oškami, pierścieniami, całą masą różnorodnych kawałków metalu.

Przy składaniu pojawiły się nowe trudności. Mimo że przy rozmontowywaniu starał się dokładnie zapamiętać, do czego która część należy, jak jest umocowana i gdzie, teraz zatracił orientację. Wszystko mu się poplątało. Zaciskał usta, pocił się, brzękał kluczami, gubił poszczególne wianuszki czy nakrętki, gmerał po stole szukając ich, dopasowywał od nowa, usiłował przypomnieć sobie obraz piasty, nic jednak nie wychodziło.

Po tygodniu prób także nie wyszło. Niby zmontował coś podobnego do piasty, ale cztery części zostały na stole, nie miał pojęcia, gdzie je należało umieścić. Reszta brzękała, rozsypywała się.

Rozgoryczony, zawiedziony, cisnął wszystko do pudełka, odstawił na szafę. Chodził ponury, w pakowni przestał żartować, siedział milczący, jakby go giez ugryzł. W głowie mu ciągle przewalały się piasty, setki, tysiące piast, wokoło słyszał brzęk części, niesfornych, umykających spod rąk. Nawet we śnie go prześladowały, budził się zlany potem. W domu był burkliwy, Amy nie pieścił. Suka siedziała osowiała, zdziwiona wodziła oczyma za swoim panem.

Ratajczak był jednak uparty. Któregoś wieczora zdjął z szafy pudełko, znów zaczął brząkać kluczami, rozmontowywać, przymierzać, składać. Tym razem zostały na stole tylko dwie części. Całość nadal nie trzymała się kupy. Tego wieczoru jednak kładł się spać z nadzieją, że sobie poradzi.

Długo w noc myślał intensywnie, wreszcie się zdecydował. Zaraz po przyjsciu do pracy zameldował się u dyrektora. Ten przyjął go bez czekania.

- No co, Ratajczak, jak idzie? - Serdecznie potrząsnął dłonią niewidomego.

- Idzie, ale mogłoby lepiej. Ja z prośbą do was, dyrektorze...

- No słucham, słucham, walcie śmiało, czego wam trzeba!

- Ja, wiecie, tale umyśliłem, żeby nauczyć się piasty składać. Więcej bym zarobił, a i robota ciekawsza. Składaczy przecież będzie potrzeba, jak ruszą nowe maszyny...

Dyrektor zamyślił się.

- Że potrzeba, to fakt. Ale to skomplikowana robota, nie każdy widzący poradzi sobie

z nią. Wam naprawdę może być trudno... I co wtedy, wykpią nas, inżynier i inni. To ryzyko, chłopie kochany. Ale cóż... - nie dokończył, bo Ratajczak przerwał mu szybko.

- Nie, ryzyka nie ma! Ja nie myślę prosić o przydzielenie od razu do montażowni. Chcę z początku spróbować. Chciałem prosić, żebyście mi pożyczyci do domu jakieś trzy piasty. Jeden komplet częściami, a dwie złożone. Składałbym sobie. Poradzę, wprawię się, przeniesiecie mnie... Nie, zostanę na swoim miejscu, nie będę się pchał, gdzie nie potrzeba...

- Dobry pomysł, psianyga - roześmiał się zadowolony dyrektor. - Dzisiaj to jeszcze załatwię. Ale piasty tylko na pożyczenie, pamiętajcie. Zapiszę je na siebie, sam do was przywiozę. Zobaczę od razu wasze mieszkanie, ciasne podobno?

- Skąd wy o tym wiecie, dyrektorze?

- Wróble na fabryce gadały, podsłuchałem.

Wieczorem rzeczywiście przyjechał przywożąc ze sobą piasty i klucz ze specjalną rączką. Zapalił się do pomysłu Ratajczaka.

- Magazynier dziwił się, po co mi piasty, powiedziałem, że do prób wytrzymałości technicznej. Zabrałem do teczki... Żeby tylko wam dobrze poszło, psianyga! To bym naśmiał się z inżyniera! Dobry chłop do roboty, ale cep przy tym, że daj Boże wytrzymać.

Posiedział z pół godziny, pośmiał się, obejrzał mieszkanie.

Po tej wizycie Ratajczakowa nabrała respektu do mężowskich pomysłów. Więcej, zapaliła się do nich, razem zasiadali teraz przy stole, do późnej nocy składali, dopasowywali części. Ciągle jednak szło im jeszcze niesporo, nie tak jak trzeba.

Zaczęli się zastanawiać, jak temu zaradzić.

- Nic my tu sami nie zrobim - postanowiła Ratajczakowa. - Trzeba poprosić jakiego fachowca, niech pokaże. Za długo u nas trwa. Jaka to, mówiłeś, norma dzienna w fabryce?

- Osiemdziesiąt sztuk na dniówkę...

- A my we dwójkę przez pół godziny z trzema ledwie możemy się uporać. Szukaj kogoś, kto ci pomoże. Bez tego ani rusz dalej.

Długo drapał się w głowę zastanawiając się, kto byłby najporęczniejszy do takiej rady. Mało kogo znał w montażowni. Był tam taki jeden, co zatrzymywał się czasem przy pakowni w czasie przerwy śniadaniowej, wypytywał Ratajczaka o to i owo. Niewidomy postanowił zwrócić się właśnie do niego. Czas mijał, chciał jak najprędzej opanować nowy fach. Nabral pewności, że już sobie poradzi. Byle tylko dowiedzieć się o te szczegóły.

Trzy dni potem przyszedł składacz do Ratajczaków. Podjęli go serdecznie, nawet flaszka wódki znalazła się na stole. Przychodził przez parę dni z rzędu, wystarał się o dalsze trzy piasty, robiło to już wrażenie małego warsztatu. Okazało się, że Ratajczakowie składali

poprzednio w złej kolejności, mylili niektóre nakrętki. Szło im teraz coraz lepiej. Ćwiczyli uparcie jeszcze przez dwa tygodnie, mieli już w domu dziesięć piast. Ratajczak chciał od razu opanować szybkość i precyzję roboty.

Nauczył się świetnie rozpoznawać każdą z trzydziestu dwóch części. Znał ich kształt, wagę. Już się nie mylił, rozróżniał zabierak od sprzęgła, jarzemka czy ośki. Wyczuwał każdy rowek, najmniejsze nacięcie. Umiał sprawdzić każdą część, czy nie brakuje w niej czegoś, czy rowki nie są zatarte albo niedowiercone, czy nie zacierają się kulki szeleszczące w maleńkich łożyskach. Rozróżniał już podzespoły, składał je coraz bardziej automatycznie. Wprawiał się z każdym dniem. Wreszcie przystąpili z żoną do generalnej próby. On składał jedną sztukę po drugiej, sięgając do posegregowanych na grupy części, ona szybko rozmontowywała gotowe już piasty. Okazało się, że złożył w ten sposób dwadzieścia pięć sztuk w ciągu dwóch godzin.

Obliczali potem w skupieniu: na osiem godzin sto sztuk, czyli nawet powyżej normy. No, pewnie przy końcu dniówki ręce będą zmęczone, nie pójdzie tak szybko. W każdym razie z normą nie będzie kłopotów. Podobała mu się ta praca. Żonie też, bąknęła nawet raz i drugi, że lepsze to niż dłubanina w szwalni, nie zwrócił jednak na jej słowa większej uwagi.

Dyrektor był cierpliwy, nie dopytywał się, ostatnio jakby unikał Ratajczaka. Przekonany był, że próba się nie powiodła, nie chciał zrobić niewidomemu przykrości.

Tym bardziej się ucieszył, gdy któregoś dnia z samego rana Ratajczak pojawił się w gabinecie odnosząc z podziękowaniem pożyczone trzy piasty.

- Już jestem składaczem, dyrektorze. Dziękuję wam. - Wyciągał przez stół grubą, spracowaną rękę.

- Nie może być! A ja, psianyga, myślałem, że nie daliście rady.

Wypytywał dokładnie, zapalił się. Aż mu głos drgał śmiechem, gdy myślał, jaką sobie zrobi uciechę patrząc na minę zadzierzystego inżyniera. Przewodniczący rady zakładowej chętnie się zgodził na doświadczenie. Wtedy dopiero wezwano inżyniera.

- Słucham was, dyrektorze?

- Myślimy z kolegą Kupciem - wskazał na przewodniczącego rady zakładowej - aby przenieść Ratajczaka na dział montażu. A wy co na to, inżynierze?

- Na montaż? To precyzyjna robota, tam nie każdy widzący poradzi... Dajcie pokój, dyrektorze.

- Ratajczak mówi, że potrafi... Dlaczego nie mamy pozwolić na próbę?

- Jak chcecie, ja umywam ręce.

Jakież było zdumienie inżyniera, gdy po trzech dniach zajrzał do montażowni. Przy jednym ze stołów okutych blachą siedział Ratajczak. Dookoła niego stały skrzynki

podzespołów, szeroka bańka z towotem, osobno nakrętki różnego formatu. Niewidomy swobodnie sięgał do jednej lub do drugiej puszki, brał w ręce poszczególne części, smarował je, montował, sprawdzał, czy dobrze pasują, braki odrzucał do pudła stojącego na ziemi. Gotowe piasty układał równiutkim rzędem w płaskich skrzynkach drewnianych, skąd chłopcy podręczni zabierali je do kontroli.

Inżynier kręcił głową z podziwem, wyjął zegarek, sprawdzał czas, w ciągu którego Ratajczak składa jedną piastę. Wyszedł nie mówiąc ani słowa.

Pracownicy wybuchnęli śmiechem.

- Ależ ci się przyglądał, Ratajczak, jakby mu kto jeża na nos posadził.

Inżynier sprawdził jeszcze liczbę piast złożonych przez Ratajczaka w poprzednich dwóch dniach. Na karcie kontrolnej zapisane były wyraźnie cyfry 90 i 92, a więc przewyższające normę.

- Fenomen, fenomen - mruknął, a potem uśmiechnął się. Bo nawet rad był ze swojej porażki. Przecież nie życzył źle Ratajczakowi... Nie oponował też, gdy na opróżnione przez Ratajczaka miejsce w pakowni przyjęto niewidomego, starszego już człowieka ze schorowanymi nogami...

W kuchni zabrzczały w tej chwili jakieś naczynia. Myśl Ratajczaka oderwała się na chwilę od wspomnień, nasłuchiwał. Uśmiechnął się myśląc o żonie.

Tym razem bowiem niespodzianka spotkała jego samego. Zdziwił się, gdy pewnego dnia dyrektor zachichotał serdecznie na jego widok, nie domyślał się jednak przyczyny. Po dwóch tygodniach, gdy już zadomowiony był w montażowni, wszedł majster zapowiadając, że przyprowadza do pracy kobietę, pierwszą w tym dziale. Gdy wymienił nazwisko Ratajczakowa, niewidomy powstał myśląc przez chwilę, że kpią z niego; nagle usłyszał głos żony. Długo potem wspominano jego okrzyk:

- Bronka, pierona, ty tutaj, babo?!

- A tutaj, tutaj, po próżnicy miałam się uczyć składania tych piast?

Był to koniec lutego. W marcu Ratajczak wyrobił sto trzydzieści procent normy. W kwietniu doszedł prawie do dwustu. Tylko jeden z robotników wyprzedzał go jeszcze. W maju miał już dwieście trzydzieści. Obliczenie czerwcowe wypisane na tablicy przed fabryką stwierdzało dwieście sześćdziesiąt procent. Nawet gazety o tym pisały. Ratajczak szczerze żałował, że nie może zobaczyć swojej fotografii.

Teraz gadali coś o nagrodzie na 22 Lipca... Przejęty był.

Ama zaszczekała gwałtownie. Rozległo się mocne pukanie do drzwi. Podniósł się z

łóżka, nasłuchiwał. Tak, to przyszli jego uczniowie.

W związku ze zwiększoną produkcją fabryki od sierpnia miano zatrudnić dziesięciu nowych składaczy. Maleszka podsunął projekt, aby skorzystać z okazji i zatrudnić niewidomych. Twardosz udał się w tej sprawie razem z Ratajczakiem do dyrektora, który chętnie się zgodził, zaproponował tylko, czy nie można przeszkolić przedtem nowych kandydatów? Było to pite do Ratajczaka. Zgodził się. Od tygodnia co drugi dzień przychodzili do niego trzej młodzi chłopcy, którzy dopiero ukończyli szkołę dla niewidomych w O wińkach, oraz jeden starszy niewidomy, dotąd nie zatrudniony. Maleszka zacierał ręce.

Ratajczakowi także rosło serce z radości. Nie tylko sobie poradził, ale jeszcze innym pomaga. Nie żałował czasu ani fadygi, by towarzyszy swych jak najlepiej zapoznać z montażem. Zaniechał nawet chodzenia do Związku na próby chóru.

- Dzień dobry! Dzień dobry! - mówili głośno, wchodzili do pokoju szurając nogami.

- Dzień dobry! - w głosie jego brzmiała radosna nuta. Pomyślał jeszcze o Kazku, przyjacielu z „Świętochłowic”, głośnym przodowniku pracy w górnictwie, uczącym młodych swojej metody pracy na przodku. Trzeba napisać do niego, że on, Staszek, też przoduje, ba, także, ma swoich uczniów...

W przeddzień ósmej rocznicy ogłoszenia Manifestu załoga zebrała się na podwórzu fabryki w Żabikowie. Front gmachu udekorowano flagami i portretami. Słońce przygrzewało mocno. W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonych zbóż.

Dyrektor wysunął się przed zebranych. Mówił krótko i prosto o rocznicy, o ich fabryce, którą tutaj budują, o załodze, o wykonanym planie...

Podobało im się to przemówienie.

Ratajczak stał w tłumie obok żony i towarzyszy z montażowni. I on cieszył się słońcem, z przyjemnością słuchał słów dyrektora.

Wielu pracowników dostało odznaczenia. Dyrektor odczytywał ich listę. Ratajczak słuchał uważnie. Zamyślił się nad swoim przywiązaniem do Zakładów. Przecie jest tutaj dopiero pół roku, a czuje się już jak w domu, cieszy każdym sukcesem, zżyma na najdrobniejszą przeszkodę. Dziwnie jakoś się dzieje w człowieku, ni stąd, ni zowąd chwyci go coś za serce i trzyma, ani popuści.

Drgnął, wydało mu się, że usłyszał swoje nazwisko. Któryś z kolegów szturchnął go w bok.

- ...pracuje dwóch niewidomych, inwalidów - usłyszał głos dyrektora. - Towarzysze! Ratajczak własną pracą doszedł do pięknych wyników. Stał się najlepszym pracownikiem w

tak ważnym dla nas dziale montażu. Dzisiaj dostaje tytuł przodownika pracy!...

Dyrektor pierwszy zaczął bić brawo. Za nim poszli najbliżsi, a potem cała załoga. Walili w dłonie, wreszcie zaczęli skandować:

- Ra-taj-czak! Ra-taj-czak!

Niepewnie poruszył rękami. Co on ma robić? Twarz mu zadrgała, powieki zwilgotniały, stał jak przymurowany do miejsca.

- Ra-taj-czak! Ra-taj-czak! - nie ustawało.

Ktoś go popchnął łagodnie do przodu.

- Wyjdźże, stary, wołają cię!

Jeden z najmłodszych kolegów z działu montażu ujął go za ramię, prowadził wśród rozstępującego się tłumu robotników. Podeszli do dyrektora. Ten mu uścisnął rękę.

Ratajczak słyszał jego słowa, ale nie bardzo rozumiał.

Dyrektor uniósł rękę do góry, pragnąc uciszyć okrzyki i brawa. Załoga dumna ze swego „ślebaka”, jak go zwali, nie chciała się uspokoić.

- Towarzysze! Widząc wyniki pracy Ratajczaka i znając jego trudną sytuację mieszkaniową, Zakłady nasze wystarały się dla niego o przydział mieszkania w nowych blokach osiedla na Chociszewskiego.

Szmer zadowolenia podniósł się wśród załogi. A potem nowa fala braw, okrzyków. Ratajczakową również wyprowadzono przed załogę do męża. Stała zaczerwieniona, przejęta, przecierała oczy.

- Niech żyją, hura!

- Ratajczak, przemówcie, powiedzcie coś! Widzicie, jak was lubi cała załoga... - prosił dyrektor, serdecznie ściskając mu rękę.

Ucichło, tylko w oddali jednostajnie terkotał traktor. Nie wiedział, jak ma im odpowiedzieć. Coś go ścisnęło za gardło. Wreszcie otworzył usta.

- Braćki kochane! Ja wam bardzo dziękuję i bardzo jestem wzruszony, pierona!... Ja to chcę rzec, że my niewidomi też, jak się to mówi, swoją cegłę razem z wami... I stać nas na dobrą cegłę, nie na jakąś fuszerkę, pierona!

Zagrzmiały brawa. Od portierki dobiegało ciche ujadanie zaniepokojonej Amy. Poznała głos swego pana, zrozumiała, że dzieje się tutaj coś niezwykłego.

XIII

Dużą grupą stali przed wejściem do Związku, nasłuchiwali z niepokojem i zniecierpliwieniem.

- A może nam kajaków nie dali?

- Nie gadałybyś, Michcik! Twardosz już przed tygodniem mówił, że załatwione. „Gwardia” bardzo nam idzie na rękę, bąkają nawet o przejęciu patronatu nad naszym kołem sportowym - wyjaśniał Silnicki.

Dwie duże ciężarówki zatrzymały się z jazgotem hamulców.

- Cześć, chłopaki! - poznali głos Koryckiego.

- Hura, jedziemy, hura! - darł się mały Siejek. Pierwszy był przy ciężarówce, podskakiwał, dotknął ręką kajaka. - Są kajaki, są!...

- Wszyscy obecni? Sprawdziliście? Wejźmy lepiej do Związku, bo tu na ulicy gwar i robi się zbiegowisko koło nas - komenderował Twardosz.

W świetlicy wyjął z kieszeni listę uczestników, czytał nazwiska:

- Rozmuska, Bronowska, Chrzanowska, Kralówna, Młyńczak, Dzitko, Przybylak, Siejek, Marcińczyk, Michcik, Korycki, Silnicki.

Wywoływani odpowiadali gromkim: „Jest!”

- Ładnie, jeszcze córka kolegi Ratajczaka, jako nasza dzielna pomoc lekarska, i ja. Czternaście osób. Do pierwszego samochodu wsiadają pod kierownictwem Ratajczakówny Silnicki, Młyńczak, Dzitko, Siejek, Rozmuska i Kralówna, Do drugiego wszyscy pozostali razem ze mną.

Janka odetchnęła z radosną ulgą. Tak się bała, żeby nie zostać w grupie Ratajczakówny.

Za chwilę wpakowali się do samochodów. Ciężarówki z warkotem ruszyły w stronę mostu Marchlewskiego, potem skręciły w lewo od szosy warszawskiej, drogą na Czerwonak i Owińska. Początkowo stali dosyć niepewnie, szeroko rozstawiając nogi, chwiejąc się przy każdym mocniejszym wstrząsie, kurczowo trzymając się zawieszonych na pasach kajaków. Wkrótce jednak pierwsze wrażenie wywołane jazdą minęło. Oswoili się już z warkotem motoru i trzęsieniem wozu. Zaczęli pokrzykiwać, aby zagłuszyć warkot ciężkich ZISów, o które wystarał się Twardosz za pośrednictwem Wydziału Opieki Społecznej przy Wojewódzkiej Radzie Narodowej. Początkowo wytrzeszczono na niego oczy, gdy wspomniał o celu podróży, potem naczelnik rozechocił się, poruszył niebo i ziemię, dzwonił nawet do

przewodniczącego prezydium. To poskutkowało. Przewodniczący nabrał respektu dla niewidomych od czasu zwycięskiego ich ataku w sprawie mieszkań.

- A dajcie im, dajcie, bo znowu wedrą się do mojego gabinetu i będę zmuszony ustąpić! - śmiał się w słuchawkę.

Największa przeszkoda została zatem usunięta. Z przewozem sprzętu koleją byłoby wiele kłopotów.

- To ci jazda, że moje uszanowanie! - pokrzykiwała Maryla Rozumska, świeżo upieczona mężatka.

- A co, mileńka? - olbrzym przejęty był dzisiejszą eskapadą. Całą noc nie mógł zasnąć z wrażenia.

Śmieli się, ktoś zanucił marsza, nie bardzo łączyło się to z podrzutami ciężarówki, ale śpiewali raźnie, wesoło, z werwą.

- Długo będziemy jechali?

- Dwadzieścia minut, przecież to tylko piętnaście kilometrów.

- Eee, mało. A wodą?

- Blisko dwa razy tyle, Warta na tym odcinku jest kręta.

- To dobrze, to bardzo dobrze! - zawołał Siejek.

- Cieszysz się, Czesław? - zagadnął Silnicki milczącego przyjaciela.

- Dawno nie odczuwałem takiej radości. Pomyśleć, znowu na kajaku... Ileż to dni spędziliśmy na Warcie razem ze Stasią. Ja ten odcinek dobrze znam... - urwał, spochmurniał na wspomnienie narzeczonej.

Z jadącego za nimi wozu dobiegł głośny śpiew.

- Słuchajcie, wiara, zaśpiewajmy i my, żeby tamtych zagłuszyć! - komenderowała Maryla.

Obie grupy rozśpiewały się na dobre. Aż ludzie przystawali na szosie, oglądali się zdziwieni.

Tak wjechali na obszerny, otoczony starym murem klasztornym dziedziniec zakładu dla ociemniałych w Owińskach.

Ledwie zdążyli zeskoczyć na ziemię, rozprostować ramiona, już usłyszeli komendę Twardosza:

- W dwuszeregu zbiórka!

Przepykali się trochę niezgrabnie, jak zawsze na nieznanym miejscu. Szybko wyrównywali szereg.

- Bacność!

I wtedy nagle zabrzmiały naprzeciw nich słowa:

- Dzieci, na cześć naszych gości, niewidomych sportowców z Poznania...

- Hura, hura, hura! - poniósł się echem świeży, dziecięcy okrzyk.

Odpowiedzieli również okrzykiem. Potem należało jeszcze pomóc przy wyładowywaniu kajaków. Złożyli je na ziemi równo jeden przy drugim. Oszołomieni byli, przejęci dzisiejszym dniem. Niektórzy pierwszy raz byli w Owińskach. Innym wizyta ta przyniosła szereg wspomnień z minionych lat. Z radością powitali pozwolenie rozejścia się.

Kralównę i Bronowską otoczyło zaraz grono dawnych kolegów i koleżanek. Przecież dopiero rok minął od chwili, gdy stąd wyszły. Młodzież garnęła się do nich, wypytywała, co porabiają, jak im się wiedzie, najwięcej pytano o naukę w liceum.

- Bo u nas znowu w tym roku typowali... Bardzo się starałam, żeby trafić na listę - przytulona mocno do Kralówny zwierzała się jej dawna ulubienica, Zitka. Kralówna ścisnęła ją serdecznie. Pamiętała, jak Zitka przyszła do zakładu, podobna bardziej do małego zwierzątka niż do człowieka. Nie umiała zupełnie poruszać się sama, trzeba ją było ubierać, karmić, nie nauczono jej nawet trzymania łyżki w ręku. Zitka mieszkała przedtem z rodzicami na głuchej wsi białostockiej. Terenu byłego zaboru rosyjskiego nie obowiązywała stara ustawa pruska o przymusie szkolnym dla dzieci niewidomych. Ciemni rodzice trzymali dziecko w kącie izby jak prosię, rosła dzika, zastraszona, zatrzymana w rozwoju. Dopiero po wojnie, w ramach akcji osiedleńczej przenieśli się na teren powiatu sulechowskiego, nie pomogły opory ojca, musiał oddać córkę do zakładu. Misia strasznie się wtedy rozżaliła nad małym zwierzątkiem, roztoczyła nad nim specjalną opiekę. Pobyt w Owińskach zrobił swoje. W pierwszym roku Zitka wydawała się dzieckiem niedorozwiniętym, nie mogła sobie poradzić z nauką, potem zaczęła się nadspodziewanie szybko rozwijać. Dzisiaj należała do najlepszych uczennic, marzyła o dalszych studiach.

- Jest tu Bronowska? Bronowska!

- To Jerzy? - spytała Kralówna uśmiechając się na wspomnienie Komyszki, zakochanego w Jance.

- Ja - podszedł, kilku krótkimi ruchami rozpoznał ją, ucieszył się. - To ty, Miśka? Zmienił ci się głos. Cieszę się, że przyjechałyście. Gdzie Janka?

- Pewnie poszła do internatu, chciała przywitać się z Klimkiem.

- Stary się rozczuli, zaraz zacznie jej grać Szopena... On tak zawsze, jak jest wzruszony - przyjaźnie mówił o niewidomym nauczycielu muzyki i śpiewu. - Muszę ją odszukać, bo znowu gdzieś mi się zawieruszy.

- Czekaj, Jerzy, zdążysz. Mów, co u ciebie? Rzeźbisz?

- O, żebyś wiedziała! Ma tu przyjechać ktoś z ministerstwa obejrzeć. Mówią, że jeżeli dobrze oceni, to może będę się uczył rzeźbiarstwa odkrzykiwał oddalając się szybko.

Szła z Zitką aleją starych, rozrosłych kasztanów. Misia uśmiechnęła się, przypomniała sobie, jak razem z chłopcami lubiła wlaźić na te drzewa. Wychowawcy niemało mieli kłopotu ściągając ich potem gdzieś z samego wierzchołka.

Spotkały Młynczaka, Dzitkę i Silnickiego. Trzymając się pod rękę, ostrożnie kroczyli nie znanym im parkiem.

- Kralówna? - uśmiechnął się Silnicki. - Misia, oprowadź nas po tych Owińskach. Chyba można?

- O, można, można! - zawołała Zitka. - Ja oprowadzę, bo od tego czasu, jak Misi nie ma, wiele się u nas zmieniło... Idziemy... - Ujęła olbrzymią dłoń Dzitki. Stanęła. - Ale ja panów nie znam, można pobrajlować?

Nachylali się nad nią. Dzitko również w ten sposób zawierał bliższą znajomość.

- Strasznie pan duży. A kajak się nie załamie pod panem? - spytała wreszcie.

Gruchnęli śmiechem.

- Przyjemnie tu u was - rzekł nagle Młynczak, rozprostował ramiona.

- Pewnie! - z przekonaniem odparła Zitka.

Po drodze dołączyła się do nich gromadka dzieci z pierwszej klasy, siedmio - i ośmioletnich. Przejęte były rolą gospodarzy, starały się być bardzo poważne, szczebiotały z ożywieniem. Dzitko nagle zatrzymał się, wziął na rękę małego chłopaka. Ten przytulił się do niego, z zapalem brajlował wielką, włochatą głowę.

- Ot, miły dzieciak, ot, miły - rechotał zachwycony Dzitko. Silnicki aż drgnął z radosnego zdziwienia. Młynczak, otoczony dziećmi, śmiał się wesoło. Pierwszy raz, odkąd się znali.

- Pójdziemy do naszej klasy, do naszej... - napraszały się pierwszaki.

- Ja wczoraj najlepiej zrobiłem ptaszka z szyszek. Pani postawiła mi piątkę, aha! - z dumą odezwał się nagle mały chłopak siedzący na ramieniu Dzitki.

- Nie może być, mileńki. To już musowo pokażesz.

Przez otwarte okna wielkiej sali zakładu w Owińskach napływała świeża, rześka woń wieczoru. Gałęzie rozrosłych topoli złoto-czerwonymi liśćmi ciekawie zaglądały do wnętrza.

Kitliczowa czuła się w swoim żywiole. Powiodła spojrzeniem po gęsto zatłoczonych ławkach, gdzie wśród dzieciarni owińskiej rozsiedli się poznańscy sportowcy. Omal nie parsknęła śmiechem widząc Dzitkę z trojgiem małych bąków na kolanach. Chłopcy z

zachwytem obmacywali mu twarz zostawiając na niej lepkie ślady powideł. Olbrzym promieniał, jakby był najszczęśliwszym z ludzi.

Koło niej zebrała się grupa członków zespołu artystycznego. Na zebraniu zarządu postanowiono uczcić pierwszy spływ kajakowy niewidomych. Jednocześnie ze sportowcami przyjechała do Owińsk grupa artystyczna.

Mały Siejek siedział przy fortepianie. Kitliczowa dostrzegła, że był blady i drżał. Szybko wyjęła z kieszeni torebkę czekoladek, wetknęła jedną z nich w usta pianisty.

- Dobrze, co? - szepnęła.

Z uznaniem i największą aprobatą pokiwał głową. Lubił łakocie.

Przemówiła krótko, żywo, z tą niekłamana serdecznością, która tak zjednywała jej ludzi. Rozległy się brawa. Dzieciaki gwałtownie objawiały swą radość. Dzisiejszy dzień był dla nich wielkim przeżyciem. Rzadko spotykały się z ludźmi z zewnątrz. Aż tu nagle tylu gości... Starsi wychowankowie starali się utrzymać powagę, nie zawsze z pomyślnym skutkiem. Dziewczeta skupiły się koło roześmianej Kralówny.

- Chór pod kierunkiem kolegi Gasperskiego odśpiewa Kukułeczkę, a potem wiązanek pieśni ludowych - zapowiedziała Kitliczowa.

- Zaczynamy! Już, już...

Chwila była decydująca. Jeżeli ogarnie ich trema, zapomną słów pieśni, Siejek będzie brzdąkał sobie, oni będą śpiewali sobie, Gasperski nie opanuje sytuacji. A przecież był to ich pierwszy publiczny występ.

No, nareszcie... Głosy z początku lekko drżały, ale już po kilku pierwszych tonach uspokoiły się, nabrały mocy i wdzięku. Siejek z zapalem uderzał w klawisze. Gasperski wyglądał jak odmieniony. Bezszelestnie i szybko przesuwał się koło śpiewających, dotykał pałeczką. Rozumieli, ściszały głos albo wzmacniali, że aż ciasno robiło się w przestronnej sali.

Naprawdę, wypadło to lepiej niż na próbach w Związku. Widocznie podniecała ich widownia.

Kitliczowa pogładziła po włosach dużą głowę Mitkówny. Dziewczyna promieniała. Śpiew, w ogóle żywy udział w pracach zespołu bardzo dobrze na nią wpływał. Wyładniała po prostu. „No, no, nie tylko twoja w tym zasługa, ale i Gwizdalskiego, w którym się zakochała po uszy...” - Kitliczowa strofowała samą siebie.

Odśpiewali już trzy utwory. Sala nagradzała ich szczerymi brawami. Rozochocili się, gotowi byli śpiewać tak w nieskończoność. Niechętnie zajmowali miejsca na ławce przeznaczonej dla grupy artystów. Gasperski niespokojnie szeptał niemal że w same ucho Kitliczowej:

- Jak wyszło, paniusiu, jak wyszło?

- Świetnie! Gasperski, naprawdę ładnie! Tylko znów ta „panusia”.

Mocno uściskała jej dłoń.

- To bardzo dobrze... A za „paniusię” proszę się nie gniewać. Samo tak jakoś wylazi.

Stare nawyki.

Rozumiała. Gasperski był przecież przedwojennym grajkiem podwórzowym, żył, a właściwie wegetował z żebractwa. Teraz zatrudniony w szczotkami, pysznił się jak paw swoją samodzielnością, tym, że nie zależy już od czyjejs upokarzającej łaski, ale pracą zarabia na własne utrzymanie...

Podsłoczyła szybko ku środkowi improwizowanej estrady. Zamyśliła się nad tym Gasperskim, omal nie przegapiła programu.

- A teraz recytacja zbiorowa. Koledzy Kaszak, Ciszewski i Kupczykówna. Prosimy. - Ustawiła ich, Kasię pośrodku.

Kupczyk zaafierowany szeptał z następnej ławki:

- No, jak, pani Halino? No jak? Zrozumiała jego niepokój o siostrę.

- Dobrze, dobrze, tylko siedźcie raz wreszcie cicho! Skończyli. Pomogła im zająć miejsca, wyprowadzała teraz Ciszewskiego z bikiniarską fryzurą. Przystojny, pełen tupetu wyrostek zmienił się bardzo ostatnio. Na ćwiczenia chóru, recytacji czy zespołu teatralnego chodził już nie tylko dla spotkań i popisów przed dziewczętami, ale z prawdziwej wewnętrznej potrzeby.

Ciszewski był popularny. Już z góry rozległy się brawa, popłynęły wesołe szepty i zachęcania:

- Ciszek, trzymaj się! Patrzcie, Ciszek mówi... Obejrzała się zaciekawiona. Oczywiście dziewczęta! I te starsze

z Owińsk, pamiętające chłopca z czasów jego tutaj pobytu i z zespołu z Poznania. „Ma chłopak powodzenie” - pomyślała. Spojrzała znów na Ciszewskiego. Miała wiele kłopotu, nim nauczyła go naturalnych, swobodnych ruchów. Krygował się, wyginał, wykrzywił wargi, jakby myślał, że doda to uroku jego głosowa. Tłumaczyła mu, pokazywała, jak okropnie brzydko wtedy wygląda. Poskutkowało. Chciał być piękny. Zaczął pracować nad sobą i proszę, jaki przyjemny uśmiech! Zacerwienił się trochę, ręce mu lekko drgały, też był speszony. Długo milczał, już chciała podbiec, dopomóc w przełamaniu tremy, ale nie, zapowiadał wyraźnie, spokojnie, z dobrym akcentem:

- Komuna Paryska Władysława Broniewskiego, fragment.

Uspokoila się. Ten typ poezji dobrze deklamował, tak samo jak Majakowskiego Lewą

marsz, Słonimskiego Alarm, i jeszcze kilka utworów.

Słuchała uważnie, patrzyła na pełną napięcia twarz chłopca. Przejmował się treścią deklamowanego utworu. Miała wiele kłopotu z jego dykcją. Bo jakże to tłumaczyć? Jak wyjaśnić sposób ułożenia języka? A jednak dopięła swego. Wymawiał wyraźnie, interpretował dobrze, głos miał mocny, przyjemny:

Walcz, barykado! Giń, nieugięta!
Będzie zwycięstwo, Będzie zapłata.

Usłyszała z tyłu głębokie, pełne przejęcia westchnienie. Obejrzała się. To matematyk Słuszny, nauczyciel z Owińsk. Stracił wzrok w czasie okupacji, ale choroba zaczęła się wcześniej, wtedy, gdy jako uczestnik strajku nauczycielskiego stracił pracę. Złe warunki życia, awitaminoza niedługo kazały czekać na rezultaty.

Ciszewski skłonił się zgrabnie, sam powrócił ma miejsce. Chciwie słuchał oklasków, których mu dziewczęta nie żałowały.

- Mitkówna.

No, ta jak zawsze z Konopnicką. Jaś nie doczekał. Wkładała zresztą w słowa tekstu wiele niekłamane uczucia...

Dziwna rzecz, ale najwięcej radości przeżyła Kitliczowa słuchając starego Kaszaka. Niecodzienny był to widok - tein siwiutki, przygięty mocno do ziemi sześćdziesięcioletni recytator. Kochał się w utworach satyrycznych. Przecież to on wprowadził do repertuaru zespołu Dialog z pluskwą Kerna, ba, lansował nawet parę rzeczy lekko nieprzyzwoitych... Początkowo nie chciał słyszeć o Mickiewiczu. Aż raz, nie podając autora, przeczytała Golono, strzyżono. Strasznie się uradował, zapalił, aby recytować właśnie ten utwór. Wtedy powiedziała mu, że to także Mickiewicz. Odtąd przeprosił się z poetą, uznał, że jest wcale, wcale...

I teraz popisywał się tym Golono, strzyżono, chciwie łowiąc śmiech i radosne chichoty dzieciarni. Górował nad nimi, gruby, basowy rechot Dzitki, trzęsącego całą furą najmłodszych wychowanków Owińsk, które rozsiadły mu się na kolanach.

Potem śpiewała solo Dziadówna. Miała przyjemny, niski alt. Nad rozwojem jej głosu miał pieczę profesor Czernijew. Staruszek polubił swą uczennicę, z zapalem udzielał jej lekcji. Kitliczowa zajęła się inną sprawą, znacznie trudniejszą. Dziadówna robiła okropne miny. Oczy przy śpiewie zwracała gdzieś w bok, wykrzywiała twarz, stopy stawiała do środka, tułów przechylała w lewą stronę.

Niewidoma od urodzenia, nie miała pojęcia o symetrii i równowadze. Do tego dołączał się grymas twarzy, ponure wrażenie potęgowały czarne okulary ze srebrnym okuciem. Zastosowała sposób wypróbowany już przedtem, na Ciszewskim. Mówiła bezceremonialnie: „Krysiu, na nic twój głos! Robisz okropne, obrzydliwe miny, nigdy nie będzie można pokazać cię publiczności. Powinnaś przejmować się tym, co śpiewasz. Wtedy twarz wyładnieje, będzie przyjemniejsza. I to krzywienie ust. Spójrz, pobrajluj, jaką robisz minę.” Poskutkowało. Zdjęła również niepotrzebne jej czarne okulary. Dziewczyna miała źrenice czyste, bez żadnych skaz czy uszkodzeń, które należałoby kryć przed ludźmi.

Była to metoda dosyć okrutna, ale skutek doskonały. Przekonała się, że mówienie prawdy, choćby bardzo przykrej, daje najlepsze rezultaty. Stosunek niewidomych do ludzi widzących zależy od okazywanej im szczeroci.

Występ poznańskiego zespołu dobiegał końca. Teraz recytowały i tańczyły dzieci, na zakończenie zaś trzyosobowy zespół skrzypcowy odegrał kilka utworów. Niewidomy muzyk, Klimek, potrzasał do taktu swą dobroduszną, okrągłą głową, czasem zwracał głowę w kierunku publiczności.

Kitliczowa uśmiechnęła się znowu. Ten dzień miał dla niej szczególną wagę. Dawno już nie przeżywała podobnych wzruszeń. Przeświadczona była o słuszności wyboru. Bywały przecież jeszcze nawet niedawno chwile, gdy się zastanawiała, czy słusznie zrobiła obejmując tę pracę? Teraz wiedziała, że nic nie mogłoby jej dać większej radości...

Na dworze zrywał się mocniejszy wiatr. Z hałasem spadały na ziemię kasztany.

Bronowska przytuliła się do Kralówny. Lewą jej dłoń trzymał wzruszony spotkaniem mały rzeźbiarz Jurek Komyszko.

Młyńczak uporczywie rozmyślał o Stasi...

Silnicki odnalazł wreszcie Ratajczakównę. Roześmiana, z rozwianym włosiem, dyszała zmęczona walcem, w jaki ją porwał Tadzio Karpieluk, najlepszy tancerz wśród owińskiej młodzieży.

- Panno Krysiu, szukam pani... Gdyby tak pani zechciała zatańczyć z Młyńczakiem. Zaszył się gdzieś w kącie, trzeba chłopca rozruszać.

- Dobrze, poproszę go. Boję się jednak, że też dostanę kosza - zaśmiała się.

Zapadał już zmrok. Światło żarówek kłóciło się z ostatnimi odblaskami dnia. Po części artystycznej nastąpiła zabawa taneczna. Starsza młodzież uwielbiała tańce. W zakładzie kładziono zresztą specjalny nacisk na naukę tańca; łącznie z gimnastyką był to najlepszy sposób wyrobienia w wychowankach pewności siebie i swobody poruszania się.

Przy fortepianie zasiadł Klimek i przejęty ważnością swej funkcji mały Siejek. Dawno już minęły czasy, gdy poza dwoma czy trzema utworami nie umiał zagrać nic więcej. Uczył się przecież u profesora Czernijewa...

Potem zastąpił ich niezmordowany już adapter.

W głośniku zaskrzypiało, popłynęła melodia tanga. Chłopcy porywali swoje tancerki, przesuwali się szybko koło ścian, nasłuchując głosów kobiecych.

Przed Kitliczową stanął piętnastoletni chłopczyna. Uśmiechnęła się ubawiona.

- Co, tańczymy?

- No oczywiście - odpowiedział z powagą.

Tańczył nad podziw dobrze. Miętko sunął przez salę, wyczuwał przesuujące się obok pary, okrążał je płynnie. Poważnym głosem zaczął niespodziewanie opowiadać jej o warsztacie stolarskim:

- Trzydzieści osiem narzędzi, proszę pani... Ale jeszcze brakuje niektórych. Parę sam sobie zrobiłem, inne myślę dokupić, gdy zarobię jakieś pieniądze. Po obozie nad morzem, gdy inne dzieci pojechały do domu, ja, ponieważ jestem sierotą, wróciłem do zakładu. I wie pani, co zrobiłem, przez trzy tygodnie? - opowiadał z przejęciem. - Dwa dni temu przekazałem do naszej pracowni specjalny stół, taki niski, na nim się ułoży plastyczną mapę Polski. Bo dotychczas najmniejsze dzieci musiały wchodzić na krzesła, żeby oglądać mapę. A tak przecież nie można, prawda? I jeszcze zrobiłem dwie miary metrowe, z dokładną podziałką na decymetry, bo stare się już połamały... Dyrektor bardzo chwalił... A wszystko dlatego, że zakład dał mi ten warsztat w nagrodę za dobre postępy...

- Ale ja nie potrafię tańczyć, proszę pani, niech się pani nie gniewa - usłyszała w tej chwili znajomy głos. „Prawda, to Młyńczak, któż go zachęca do tańca?” - pomyślała zaciekawiona. Dostrzegła Ratajczakównę, uśmiechnęła się do niej.

Krystyna z humorem usiłowała przekonać Młyńczaka, że potrafi, na pewno potrafi. Z uporem potrząsał głową, cofał się zalękniony, na twarzy znać było wyraźną trwogę. Jeżeli teraz nie przełamie w nim obaw, nikt go już nie zdoła namówić do tańca. Podobnie było z gimnastyką, opowiadał jej przecież Twardosz. A teraz wspaniale się wprawił, należy do czołowej grupy.

- Ja pana poprowadzę z początku. - Krystyna ujęła go sama za rękę, pociągnęła.

Dłonie Czesława były wilgotne. Od paru godzin stał tutaj, wciśnięty w kąt sali, nie mógł zapanować nad zdumieniem. Że kilka dziewcząt w Związku umiało tańczyć, że nawet jedna para w zespole miała w swoim programie taniec popisowy, temu się nie dziwił. Pojedynczy niewidomi mogli mieć specjalne uzdolnienia, lepszą od innych orientację... Ale

żeby tak powszechnie, ochoczo, z werwą rzucali się do tańca i starsi, i młodszy, żeby tak mogło być tutaj szumnie i gwarno, tego nie oczekiwał! Zaskoczyło go to, wzbudziło smutek i żal, że on sam stanowczo jest mniej od innych zaradny. A przecież tańczył świetnie, kochał taniec, ileż to wieczorów przetańczył ze Stasią.

Kroki jego stały się chwiejne, niezgrabne i niezaradne, tak jak w pierwszym okresie po utracie wzroku. Krysia prowadziła umiejętnie, zręcznie, łagodnie kierowała, żeby nie zawadzić o przesuwające się obok pary. Młynczak uległ czarowi muzyki, i tańca. Już nie pozwolił kierować sobą, sam prowadził ją śmiało, jakby nie przeżywał przed chwilą obaw i wzdragań. Było to tak niespodziewane, że nie umiała znaleźć wytłumaczenia dla tego faktu. Czyżby umyślnie udawał niezaradność? Nie, o ile go znała, nie leżało to w jego zwyczaju...

Dosyć gwałtownie skręciła w bok. Omal nie zderzył się z nimi niezgrabny, sapiący Dzitko, nie mający zresztą zielonego pojęcia o tańcu, ale odważnie puszczający się w płasy, podochocony ogólnym nastrojem.

I teraz znowu musiała się zdumieć. Młynczak od nowa stał się nieporadny, niezgrabny, niemrawo przebierał nogami.

- Co się stało? Przecież pan świetnie tańczył przed chwilą? Nie chciał wierzyć.

- Ja cały czas tak samo... Nie, bez oczu już nie potrafię.. To nie dla mnie. Może ci młodzi to jeszcze... Ja kiedyś, to prawda, bardzo dużo tańczyłem... - urwał, nie przemówił już więcej ani słowa. A potem podziękował prosząc jednocześnie, czy nie byłaby uprzejma wyprowadzić go na dwór, chciałby usiąść na ławce. Lubił zawsze wieczory, posłucha, jak wiatr szumi od pól.

Zrobiło się jej go bardzo żal. Przystanąła w drzwiach, spoglądała na skurczoną sylwetkę mającą na ławce w cieniu potężnego kasztana. Wiatr łagodnie szeleścił liśćmi. Było bardzo ciepło...

Twardosza zaskoczyły słowa Janki. Zaprosił ją do tańca, uważał bowiem za stosowne przetańczyć przynajmniej raz z każdą ze swych pupilek. Bronowska tańczyła świetnie, rzadko spotykał w życiu tak doskonale danserki. Odprowadził ją w pobliże okna, gdzie stały już Kralówna z Rozmuską. Chciał odejść, gdy zatrzymując jego rękę w swej dłoni szepnęła bardzo cicho:

- Zatańczmy jeszcze raz, dobrze?

- Bardzo chętnie, wspaniale tańczysz - zgodził się. Spojrzał na zegarek. Było już po dziewiątej. Czas szykować się powoli do spania; jutro skoro świt zacznie się decydująca przeprawa. Zespół artystyczny, który przybył pociągiem, za godzinę miał odjazd.

Zabrzmiała muzyka. Tańczyli już, gdy usłyszał natrętne, niecierpliwe nawoływanie:

- Bronowska, Bronowska, gdzie jest Bronowska?

To Jurek z wyciągniętą dłonią przesuwał się szybko dookoła sali szukając swej sympatii. Janka mocniej ścisnęła rękę instruktora.

- Szuka tu ktoś Bronowskiej - zażartował. Wiedział, że słyszała wołanie Jurka równie dobrze jak on.

- Nie znoszę go. Jest taki natrętny i nudny - rzekła z pasją.

Nie odpowiedział. Pomyślał, że pewnie dlatego poprosiła go o następny taniec, aby nie tańczyć z chłopcem. „Ech, dziecinada” - roześmiał się w duchu. Lubił tańczyć. A z Bronowską tańczyło się świetnie. Nie przemówili już ani słowa. Jemu to nie było potrzebne. A jej? Jej trudno było mówić cośkolwiek. Jakieś dziwne uczucia, z których niezupełnie jeszcze zdawała sobie sprawę, kołatały w sercu, ogarniały ją całą.

Koniec tańca. I koniec zabawy. Słysząc już donośny głos Kitliczowej:

- Pięknie dziękujemy za wspaniałe przyjęcie. Na nas już czas. Chłopcy i dziewczęta! Zespół artystyczny odjeżdża! Zbiórka przy wejściu do sali, szybko, szybko...

Wszczął się ruch. Pożegnania, uściski, niektóre serdeczniejsze - już się zdążyły zawiązać nowe sympatie - okrzyki, zapowiedzi ponownego przyjazdu.

XIV

Świtało, gdy Twardosz zrywał ze snu członków sportowej ekipy. Przeciągali się leniwie, niechętnie, dopiero przypomnienie wielkiej przygody sprawiło, że trzeźwili momentalnie, ochoczo słuchali poleceń instruktora. Głos Twardosza był ostry, stanowczy:

- Pół godziny na ubranie się i umycie. Na gwizdek zbiórka.

Znający drogę prowadzili kolegów do umywalni. Za przepierzeniem przyskały się wodą dziewczęta. Michcik chciał wsunąć się do żeńskiej łazienki, Korycki wstrzymał go surowym ostrzeżeniem:

- Jedno przekroczenie i koniec ze splywem, Michcik! Obowiązuje nas rygor sportowy.

Ktoś sprawdził godzinę, podniósł gwałt, że nie zdążą. Z tupotem wracali przez długi korytarz, szybko wciągali zakupione ostatnio przez Związek treningowe ubrania. Mocowali się jeszcze ze sznurowadłami, gdy się wypełnił ostry gwizd. Pędzili, jak kto stał. Przybylak ściał w biegu założoną odwrotną stroną wiatrówkę, wyrznął głową o ścianę, stęknął tylko, nie zważając pędził dalej.

Zdziwili się, że dziewczęta były już gotowe, od dobrej chwili podnosiły gwar na placu przed budynkiem zakładu. - W dwuszeregu zbiórka!

Wyrównywali. Odliczyli bezbłędnie, wykrzykiwali jak można najgłośniejszy. Mieli już wprawę, to nie to samo, co przed pół rokiem, gdy mylili się raz po raz.

- Bacność!

- Czołem, sportowcy!

- Czołem, kolego instruktore!

- Od tej chwili stanowicie zwartą grupę sportową. Obowiązuje was ścisła dyscyplina. Należy jej bezwzględnie przestrzegać. Jest to pierwszy w Polsce splyw kajakowy niewidomych. Rozumiecie, jaka ciężka na was odpowiedzialność. Przypominam, że złamanie dyscypliny wyklucza na przyszłość udział w jakichkolwiek naszych imprezach. Zastępcą moim jest kolega Korycki. Sanitariuszką grupy koleżanka Ratajczakówna. Spoczniej!

Serce mu rosło. Wyglądali rzeczywiście na żywą, doskonałą drużynę.

- Bacność! Śpiewamy hymn.

Wyprężyli się, stali sztywni. Popłynęła pod stare kasztany pieśń młodzieży wszystkich krajów:

Naprzód, młodzieży świata...

Z notatki brajłowskiej Korycki odczytał skład poszczególnych załóg. Do tej chwili

było to tajemnicą, słuchali z zaciekawieniem. Jance serce zabiło mocniej. Jest ich czternaścioro, ktoś więc będzie jechał razem z Twardoszem... O, gdyby ona! Słuchała z zapartym tchem.

Instruktor spoglądał na grupkę powierzającą mu się z całym zaufaniem. Czy nie ryzykuje za wiele? Tylko dwie osoby. Widzące na taki zespół to stanowczo za mało! Zasadą było, aby obok stuprocentowego niewidomego znalazł się w kajaku drugi ze szczątkową chociażby zdolnością widzenia. Wzrok normalny miał on i Ratajczakówna. Wśród pozostałych spokojnym można być o Koryckiego i Marylę, którzy o kilka kroków rozeznawali zarysy sylwetek. Michcik, Kralówna i Silnicki posiadali zaledwie wycucie światła. O osady, w których oni właśnie odgrywać będą rolę sterników, żywił największe obawy. Tym bardziej że Silnicki stosunkowo słabo jeszcze pływał. No, ale nie było rady, wybrało się najlepszych.

- Twardosz - Bronowska! - usłyszała Janka jednostajny głos Koryckiego.

Jakaś fala ciepła oblała jej twarz. Poczła się bardzo szczęśliwa, spełniło się jej marzenie. Jedzie z nim razem. Czy on specjalnie tak dobierał osady, czy to jedynie przypadek?

Poczła się dumna, radosna. Wyprostowała się, stała smukła, zgrabna, nawet w tych dresach sportowych, z głową podniesioną do góry.

Poprzedniego wieczora instruktor długo się wahał, czy ma jechać z małym Siejkiem, czy też z Bronowską. Musiał zabrać ze sobą kogoś z tych właśnie najbardziej nieporadnych. Po namyśle Siejka zostawił Ratajczakównie. Bronowskiej zdarzały się chwile zupełnej dezorientacji, wolał być o nią spokojny... Ani mu przez myśl nie przeszło, jaką radość sprawi dziewczynie.

Załogi ustawiły się przy leżących na ziemi kajakach. Do Warty nie było daleko. Przeniesienie łodzi i wodowanie miało być jeszcze jednym ćwiczeniem sprawności.

Dzień wstawał piękny, słoneczny. Pierwsze promienie wyłaniające się zza drzew uśmiechały się do niewidomych, kładły się na ich twarzach szerokimi plamami światła.

Powietrze było jeszcze zimne po nocy.

Ruszyli. Twardosz szedł na samym końcu. Patrzył na prowadzony przez Ratajczakównę długi sznur sylwetek pracownic dzwigających kajaki. Czasem tylko ktoś zmylił krok, ale w zasadzie szli równo i pewnie, jak po poznańskim chodniku.

Dziwił się skupieniu, jakie panowało w gromadzie. Może to powodowała siła przeżycia, radość i jednocześnie obawa przed czymś nieznanym, chęć wykazania własnej sprawności i trwoga przed niespodziewanymi przeszkodami, których nie będzie można pokonać? Może nastrój poranka snującego się jeszcze mgłami od rzeki i stawów? Nie

wiedział.

Droga zwąziła się w ścieżkę wydeptaną wśród łąki. Powiało chłodem od bliskiej już Warty. Ale niewidomym sportowcom było ciepło, rozgrzali się przy dźwiganiu kajaków.

- Stóóój!

Zatrzymali się. Złożyli kajaki na ziemi, Rzeka wdzierła się tutaj w nadbrzeżne łąki szerokim zakosem. Woda w zatoce była cicha, spokojna, płytka, przeświecał piasek ciągnący się długą ławicą. Znosili kajaki do prowizorycznego pomostu, potem para za parą z przejściem lokowali się w kajakach. Chygotały się, Twardosz przytrzymał je. Ostatnia usiadła Bronowska, ujęła wiosło. Drżała z przejęcia.

Pierwsza miała płynąć Ratajczakówna, zamykał flotyllę kajak Koryckiego. Twardosz zostawał w rezerwie: on musiał być wszędzie.

Ostatnia komenda, kajaki jeden za drugim wypływały na błękitny szlak rozsrebrzonej Warty. Nitki babiego lata snuły się nad rzeką. Po drugiej stronie wiatr z szumem przelatywał po wierzchołkach sosen.

Spokojnie, równomiernie zagarniali wodę wiosłami. Twarze mieli skupione, poważne.

- Śpiewamy: Wesoła marynarska wiara!... - rozległ się raźny głos Koryckiego.

Silniej uderzyli wiosłami, naprężyły się mięśnie. Wiatr owionął twarze. Zacerpnęli go w płuca i nagle wyzwolili się z resztek lęku. Poczuli przestrzeń, bez drzew, przechodniów, tramwajów i aut, bez mrocznych ścian domów i dusznych, ciasno stłoczonych pomieszczeń. Zachłysnęli się rześkim zapachem lesistych brzegów, wesoło zaszumiła rozgarniana wiosłami woda, rozbijały się na twarzach i dłoniach drobne kropelki. Ogarnęła ich radość. Huknęła pieśń, aż zadrżały silniej furkoczące u dziobów żółte chorągiewki z czarnymi kołami, a echo pobiegło daleko, daleko.

Twardosza zapiekły nagle oczy, mrugnął kilkakrotnie powiekami. Wiedział, że zwyciężył, udowodnił słuszność swojej koncepcji, wniósł trochę radości w ich życie.

Pełną piersią zacerpnął powietrza.

Uderzył mocniej wiosłami, liczył: „raz-dwa!”, nadając tempo Bronowskiej.

- Michcik, Kralówna, bardziej na lewo, mocniej prawym, prawym i tylko prawym...

Tak, wyrównać. Dobrze.

Słońce zaczęło przygrzewać. Zdejmowali wiatróvky, pozostając jedynie w bluzach i koszulkach. Dzitko zupełnie obnażył swą potężną, włochatą pierś.

Maryla, jadąca z nim razem drgnęła nagle, odwróciła głowę. Wśród rozgwaru płynącego ze wszystkich kajaków usłyszała coś jakby ciche chlipanie.

- Bolek, co ci? Czego ty płaczesz?

- Cicho, cicho... To tak ze szczęścia... Ja rosnę przecież na wodzie... I nawet w dumce mnie nie postąpiło, że kiedykolwiek na nią powrócę...

Marcińczyk szczerze był rad, że jedzie z Kralówną. Mało wprowadzi się znali, ale czuł dużo sympatii do tej dzielnej dziewczyny. Przed tygodniem prosił ją o przyście na zebranie aktywu młodzieżowego przy dziewiarni. Zapalił się do pracy, chciał pokazać, co umie. A nie było to łatwe. Zetempowców mieli tylko trzech, zresztą z Michalskiego niewielka pociecha: porządny chłop, ale ostatnia fujara, ślamazarny, tyle że dobry szachista. Z Falińskim pracowało się lepiej, ale ten znowu dojeżdżał codziennie z Puszczykowa, gdzie mieszkał z rodziną. I on więc był nieuchwytny. A tymczasem młodzieży przybywało.

Marcińczyk postanowił obudzić ambicje kolegów, ukazać możliwości niewidomych. Dlatego prosił Kralównę, aby opowiedziała o nauce swojej i Janki w liceum. Dobrze to zrobiło, przez parę dni gadali na ten temat, Marcińczyk miał nadzieję, że wyda to później także dojrzałe owoce.

Powiewające na wietrze włosy dziewczyn przyjemnie pachniały. W ogóle zresztą przyjemnie tutaj było. W powietrzu nie czuło się jeszcze butwiejącej wilgoci późnej jesieni, zapachu gnijących liści i rozkiszzonej deszczami ziemi, a tylko jakaś dojrzała krzepkość płynęła z każdym mocniejszym powiewem wiatru. Wdychał ją chciwie, napełniał płuca znużone ciężkim powietrzem warsztatów...

Misia zanurzyła ręce w wodzie, złożyła wiosło na burtę kajaka. Słyszał, jak woda przelewa się między jej palcami.

- Prąd szybko niesie... Na zmianę będziemy wiosłować - zaproponowała.

- Misia, fajno jest, co? Taka jazda, że moje uszanowanie! - krzyczała na całe gardło Maryla.

- Fajno! - śmiała się z Maryli, która naprawdę bała się, że kajak zatoni, jak wsiądzie do niego Dzitko.

- Misia, jedziemy szybciej. Tak mi się chce pędzić, nie ma przecież żadnej przeszkody!...

- Jest! Twardosz.

- Coś tu knujecie, słyszę? - tuż obok rozległ się właśnie głos Twardosza.

- Chcemy szybciej pojechać, ale jest przeszkoda: w panu - śmiała się. - Janka, jak się czujesz? Czemu nie krzyczysz jak Maryla?

- Tak mi dobrze, że nie mam siły krzyczeć...

- Chcielibyście szybciej płynąć? Dobrze, możemy jakiś kilometr przejść ostrym

tempem. Słuchać uważnie komendy!

Wydał kilka instrukcji. A potem rozległ się już tylko jego mocny głos: - Raz - dwa, raz - dwa, raz - dwa...

Przyjemny, rzeźwiący chłód szedł od wody rozbijanej szybkimi zagarnięciami wiosel. Słońce paliło jak w najlepsze dni lata. Wiatr owiewał twarze, płuca zachłannie chwytały powietrze. Plusk przypominał brzęk pogodnego dzwonka, kajaki szumiały przy każdym podrywie. Jakiś ptak zakwilił przeciągle nad niecodzienną flotyllą. - HUUU - haa! - zapiął nagle cieniutko, pełnymi piersiami malutki Siejek, zawtórował mu z innej strony bas Dzitki.

- Stoooooop! - wołał Twardosz. - Na cześć kajakerskiej drużyny trzykrotne hip-hip-hura!

- Hip-hip-hura! Hi-hip-hura! Hip-hip-hura!

Z brzegu rozległo się niespokojne szczekanie psów. Pokładali się ze śmiechu. Kajak Maryli zachybotał niebezpiecznie, Dzitko bowiem śmiejąc się trząsł całym swym ciałem.

Janka śmiała się ciszej od innych, bardzo szczęśliwa. Czują za sobą silne ramiona Twardosza, słuchała jego głosu, w którym pod zewnętrzną chropowatością krył się ton pieśczośliwy. Pod jego opieką nie doznawała żadnego lęku. Tak samo przy pływaniu. Z odwagą skakała przecież z brzegu basenu do niewidocznej wody, nurkowała, przyswajała sobie z łatwością właściwe ruchy. Gdy raz Twardosz nie przyszedł, zastępstwo zaś objął inny instruktor, za nic nie dała się namówić. Bała się, panicznie się bała. Tylko do Twardosza czuła całkowite zaufanie. Tylko dzięki niemu osiągnęła takie postępy w gimnastyce. Tylko...

Odpoczywała teraz po szybkiej jeździe. Słuchała łagodnego zanurzania wiosel Twardosza. Ciekawa była, jak mu się prężą mięśnie przy każdym ruchu. „Misia zaraz by zbrajlowała, ja nie mam odwagi” - przemknęło jej przez głowę.

Słońce przypiekało coraz mocniej. Dochodziło południe. Dziewczyna rozmarzyła się. Było tak błogo. Dookoła ogromna przestrzeń pewna i spokojna. A tuż obok zabezpieczenie w mocnych, czujnych ramionach Twardosza. Wiedziała, że cały czas bacznie obserwuje wszystkie załogi, krótkimi ostrzeżeniami prostuje kierunek. Pomyślała, że nie wie dotąd, jakie Twardosz ma oczy. Niebieskie, brązowe? Bo włosy ciemnoblond... Więc chyba błękitne, to piękny kolor, pamiętała wodę i niebo. W słońcu zawsze było najpiękniej. Tak jest pewnie i teraz... A w jego oczach odbija się cały blask wody, przeglądają się w nich wszystkie promienie słoneczne...

- Jaki pan ma kolor oczu?

- Podobno buro-szary - zaśmiał się.

- Ale naprawdę.

- Jasnoniebieskie, takie wypłowie... Nikomu się nie podobają.

- Mnie by się podobały na pewno - rzuciła z całym przekonaniem, zawstydzona się nagle swoich słów, czuła, jak rumieńce ogarniają jej twarz, opuściła głowę, potem szybko ujęła wiosło, zaczęła pilnie zagarniać wodę.

Twardosz spojrzął na nią z ukosa. Lubił Bronowską, tak jak i małą Chrzanowską. Te dwie chyba najbardziej z całego zespołu. Wiedział, że Janka jest przywiązana do niego. Ale przywiązane były wszystkie dziewczęta, każda na swój sposób, jak też i większość chłopców. Czasem jednak niepokoił go sposób zachowania się Bronowskiej, wyczułone nasłuchiwanie jego kroków i słów, rumieńce nagle przewijające się przez ładną twarz dziewczyny.

Jak zawsze tak i teraz wyśmiał te myśli, nazwał je pogardliwie urojeniami. Podniósł gwałt, że Silnicki z Młyńczakiem zjechali nazbyt na lewo, zapomniał o swych refleksjach.

Janka żyła wspomnieniem wczorajszego tańca. Ten Jurek przez cały wieczór nie dawał jej spokoju! Może Twardosz zatańczyłby z nią i trzeci raz, gdyby nie tamten... Ale co on winien, przyjemny chłopiec, marzyciel, wiecznie zamyślony. Pisywał do niej regularnie dwa razy na miesiąc. Odpisywała rzadko, miała przecież tyle pracy.

Poderwał ją ostry gwizd za plecami.

- Stoop! - pobiegł w ślad za nim głos Twardosza. Wiosła znieruchomiały, ale kajaki sunęły jeszcze cicho.

- Skręcamy w prawo. Łądujemy. Powoli, powooooo! Kolejno, Ratajczakówna zaczyna. Słuchać moich poleceń.

- Tu las czy łąka? - pytał ciekawy Siejek.

Łąka, wznosi się łagodnie w górę, gdzieś tam rosną krzaki dzikiego głogu...

Jeden za drugim przybijały kajaki do brzegu. Ratajczakówna chwyciła je i przymocowywała w jednym miejscu. Wyskakiwali, rozprostowywali zdrtwiałe nogi, przeciągali się w słońcu. Maryla z uciechy fikała kozły, nagle poderwała się z wraskiem. Trafiła na krzak ostu, drobne szpileczki powbijały się w ciało. Śmiejąc się i stękając wyjmowała je teraz starannie.

Obiad składał się z przygotowanych w Owińskich kanapek i pomidorów. Śniadanie w Zakładzie było szczególnie syte, ponieważ ciepła strawa oczekiwać ich miała dopiero na miejscu noclegu. Ale na wodzie wzrosły apetyty, zjedli wszystko.

- Teraz pół godziny odpoczynku. Można spacerować, tylko w żadnym wypadku nie wchodzić do wody.

- A nie będziemy się kąpać? - zapytał Michcik.

- Stanowczo nie. Tu wartki prąd.

Szkoda - wydłużyły im się miny.

Pokładli się, gwarzyli cicho, kilka osób zdrzemnęło się. Upajało ich świeże powietrze, słońce rozleniwiało.

- Nie myślałam nigdy, że może być aż tak cudnie, chociaż bez oczu! - rzekła zamyślona Maryla.

Odpowiedziało jej głębokie westchnienie. - Kto tak wzdycha?

- Ja, Młyńczak.

- Co ci, niedobrze od słońca? Bo chyba nie ma innych powodów do wzdychania?

- Może i są - odpowiedział niechętnie.

W czasie jazdy i on poddał się ogólnej beztrosce, cieszył się wycieczką, rosła w nim świadomość własnej siły, jakieś przekonanie o możliwości odnalezienia sensu życia. Silnicki opowiadał przeróżne dykteryjki, zaśmiewał się, potem śpiewali ze wszystkimi, odkrzykiwali innym kajakom. I dopiero tu, na brzegu, znów opadła go jakaś niemoc duchowa. Stracił orientację, wydało mu się nagle, że głosy kolegów rozbrzmiewają z innej zupełnie strony, kurczowo uczeplił się przyjaciela, ponury jadł obiad, leżał zamyślony.

- Ej, drogi mój! Ja też kiedyś widziałam. I co? Teraz nie widzę, ale wzięłam się w garść i umiem cieszyć się życiem. Biorę je takim, jakim mogę je brać. Biję się o to, aby i dla mnie stawało się coraz lepsze... - Spoważniała, ściszyła głos. - Ty, kolego, zgnuśniejesz, sam się zadławisz w tej nudzie i bezpłodnym rozmyślaniu. Trzeba coś robić, trzeba żyć. Ja się chwili nie nudzę, zawsze mam robotę, czasu mi brak... Raz wziąć się mocno za łeb i pójdzie dobrze, że moje uszanowanie! Tylko się nie indyczyć, nie roztkliwiać nad sobą. Przyjdź do dziwiarni, pomogę ci nauczyć się fachu. Lżej będzie. To brak pracy cię gnębi.

- Ja jestem technik, z budowy... Cóż dla mnie innego? - bronił się z jakąś rozpaczą.

Kilka osób przysunęło się bliżej. Twardosz skinął na Ratajczakównę, słuchali uważnie.

- Mój mąż był świetnym fachowcem w skarbowości. Dziś kontroluje dętki. Umiał się pogodzić z losem, pobraliśmy się, jesteśmy szczęśliwi. Radzimy sobie nie gorzej niż inni. Wiele w naszym domu pogody i śmiechu.

- Są różne usposobienia.

- Tak, zgoda. Ale postawa człowieka w życiu powinna być zawsze jedna, niezależnie od charakteru - zdobywca! Czytałeś Polewoja? Też kaleka! A Pawka Korczagin! Jemu gorzej było i trudniej niż nam... Ba, po co mam daleko sięgać. A nasz Michał Kazinek, ten z Zielonogórskiego? Mina wypaliła mu oczy, urwała obie ręce. Młody, zdolny, cóż mu zostało.

Sam nie potrafi nawet wyjść z pokoju, bo jakże klamkę otworzy? I co, czytaliście jego korespondencję w ostatniej „Pochodni”? Dyktuje ją ojcu, ten pisze... Kazinek (nauczył się czytać. Próbował kikutami, palcami nóg, językiem, nosem, nie szło. Spróbował górną wargą. Dwa lata dniami i nocami się zmagał. I postawił na swoim. Czyta, że moje uszanowanie! Wolno to idzie, wargą nie palce, ale skończył Latarnika, skończył Matkę Gorkiego. Zdał egzamin Wszechnicy Radiowej. I chce się uczyć, chce być wykładowcą w szkole dla niewidomych. Zamierza ukończyć liceum. Jak przyjeżdża czasami do Związku, to wszystkie śmiejemy się do upadłego, tyle ma w sobie pogody i wiary. A ty, kolego? Mazgaisz się, mazesz, aż czasami słuchać przykro...

Czesław zacisnął wargi. Dłonie drżały mu z podenerwowania. Wściekły był na Rozmuską. Jakim prawem śmie tak mówić do niego? Kto ją upoważnił? Każdy tak układa swoje życie, jak chce. Nie potrafi inaczej pracować tylko jako technik i nie będzie. Jego rzecz! A co, może ma nie żałować, że stracił oczy? Też pomysły... Zżymał się, a jednak gdzieś najgłębiej czuł, że Maryla ma rację. On ucieka od życia, boi się wziąć z nim za bary... Czasem się coś w nim przełamie na chwilę, ale zaraz wraca dawna apatia... „Masz ci los, sarn sobie jeszcze robię wyrzuty!” Wstał szybko, chciał stąd odejść. Zawahał się. Gdzież pójdzie? Ogarnął go lęk przed tą łąką, tymi ostami i krzakami głogu, o których mówiła Siejkowi Ratajczakówna.

Nagle Twardosz krzyknął, skoczył na równe nogi, zrzucił spodnie treningowe, biegł pędem do rzeki. Ratajczakówna z trudem wstrzymała Marcińczyka i Koryckiego, którzy również zerwali się, chcieli biec, pomagać, ratować...

- Spokój, stać wszyscy na miejscu! - krzyknęła ostro. - Michcik płynie, ale prąd go znosi do środka. Twardosz bieganie brzegiem, wyprzedza go...

- Michcik nie woła? - nasłuchując spytał Korycki.

- Nie. Płynie, widocznie boi się, żebyśmy nie zauważyli. Próbuje walczyć z prądem, kieruje się ku brzegowi. Ma dobre wyczucie, gdzie trzeba płynąć. Nic z tego, za słaby jest, znosi go coraz bardziej, a tam wartki kawałek... Twardosz szybko płynie.

Wskoczył do wody jakieś trzydzieści metrów przed Michcikiem... Oj, żeby dobrze wymierzył - westchnęła, umilkła, z napiętą uwagą śledziła zmagania instruktora.

- Co z nimi, co z nimi? - płaczliwie tarł ją za rękaw zgrabniutka Luscia.

- Panno Krysiu, na Boga, niech pani mówi, co się tam dzieje? Czemu pani milczy? - krzyczał nieomal Korycki.

- Jest już blisko! Szybko płynie... - powiedziała Krystyna z wysiłkiem.

Wydało się jej, że Michcik zaczął już tracić siły. Jakby słabiej pracowały ramiona,

rozpaczliwie walczył ze znoszącym go prądem.

- Teraz krzyczy, słyszę! - sapnął rozgorączkowany Siejek.

Znad wody dobiegło słabe wołanie. Wiatr dał zresztą w przeciwną stronę, unosił z sobą głos. Niewidomi na brzegu skupili się w ciasną gromadkę. Zniknęła nagle cała ich wesołość, ujrzeni, jak bardzo jednak zależni są od swych przewodników i opiekunów.

- Już go chwycił, zawraca teraz ukosem, już, już... - z ogromną ulgą w głosie zbladłymi wargami wyszeptała Ratajczakówna.

- Czy da radę dopłynąć razem z Michcikiem?

- Przez chwilę prąd znosił ich, ale już są na spokojniejszej wodzie. Teraz nie ma chyba żadnej obawy - uspokajała Ratajczakówna. - Idziemy w ich stronę! Tylko trzymajcie się blisko mnie - ostrzegła.

Janka pomyślała, że chciałaby się teraz znaleźć na miejscu Michcika.

- No, już są na płytkim.

- Hooop, hooop! - Poznali głos Twardosza,

- Hoop, hoop! Brawo, hura! - rozległy się okrzyki. Młyńczak nagle zawstydził się swojego sporu z Marylą. Tu ludzie poświęcają się jedni dla drugich. Jedni drugim pragną nieść pomoc, ulgę, a on ciągle tylko myśli o sobie, oczekuje pomocy, rady, otuchy. Upiera się przy swoich kapryсах.

Gdy Michcik wrócił już do siebie, Twardosz załatwił sprawę krótko. Powiedział tylko:

- Kolego Michcik! W życiu sportowym obowiązuje żelazna dyscyplina. Tym bardziej u nas. Omal nie zdarzył się tragiczny wypadek. Tu już nie tylko o was chodziło, ale o sprawę sportu niewidomych. Nie mogę was odesłać w tej chwali do domu. Niemniej za karę nie weźmiecie przez rok udziału w żadnych naszych wycieczkach, obozach czy innych imprezach aportowych. Was wszystkich natomiast przestrzegam na przyszłość przed podobnymi wykroczeniami.

Głos drgał mu smutkiem. Michcik podważył zaufanie do nich wszystkich.

Gdy z pewnym opóźnieniem wsiadali znów do kajaków, Twardosz wołał już innym głosem:

- Teraz wracamy do naszej sportowej beztroski. O tamtym zapomnijmy. Śpiewajmy! Może Miliony rąk, co?

Nie od razu pewnie zabrzmiały ich głosy. Ale gdy znaleźli się znowu na rzece, gdy poniosł ich bystry, wartki prąd, a ręce mocno zaczęły rozgarniać wiosłami wodę, humor powracał.

„Ostatecznie - myślał Twardosz - wszystko skończyło się dobrze. Samowola Michcika

będzie najlepszą szkołą dyscypliny dla pozostałych. Lepiej, że zdarzyło się to teraz niż później.”

I ku zdumieniu Janki zaczął gwizdać melodię modnej piosenki.

Przybylak długo słuchał cichego, pełnego dziwnego uroku plusku wody. Słyszalność była teraz, w nocy, znacznie lepsza, niewidzialna płaszczyzna wody pociągała tajemniczością.

- Tak bym chciał nocą pojechać kajakiem... - szepnął do stojącej obok Ratajczakówny.

Zdziwiła się:

- A bo to ci nie wszystko jedno?

- Nie, bo widzisz, w nocy jakoś inaczej... Woda szumi nie tak, cisza jakaś inna. Jak byłem w domu, to bardzo lubiłem wychodzić nocą do sadu. Wszyscy spali, gdzieś daleko szczekały psy, czasem ktoś się roześmiał, zachichotała dziewczyna, głucho pacnęła o ziemię gruszka lub jabłko, sowa zatrzepotała skrzydłami... Tego we dnie nie słysząc albo się nie czuje. Noc jest zupełnie inna.

- Może masz rację... - zastanowiła się. - Ojciec mówi, że także lubi nocę. Przypominają mu ciszę w kopalni, jak się jest gdzieś samemu na przodku... Chodź, wracajmy do ogniska, tu zimno.

- Prawda, zimno, dopiero teraz zauważyłem chłód - postawił kołnierz wiatrówki.

Nad Wartę spadały pierwsze wieczorne mgły.

Gdy przybili do brzegu, kolacja była już przygotowana. Dymiła kasza na mleku, pachniały pajdy świeżego chleba.

Kilkanaście metrów od brzegu leżały już przygotowane smolne szczapy, sterczały dwa duże stopy porąbanych gałęzi.

Zapłonął ogień. Iskry sypały się z trzaskiem. Leżeli albo siedzieli na kocach słuchając gry rozradowanego Siejka. Chłopak nie spodziewał się takiej niespodzianki, żeby na noclegu miał czekać związkowy akordeon, jego ulubiony instrument.

Grał teraz popularne Gołębie warszawskie. Dziewczęta nuciły cichutko.

- Tam, w Warszawie, buduje się Dom Niewidomego. Ogromny ma być, sześciopiętrowy, cały parter zajmie drukarnia brajlowska, nadejdą nowe maszyny... - rzekł Korycki, gdy ucichła warszawska melodia.

- A ja bym chciał być na MDM i Starym Mieście. Nigdy nie byłem w Warszawie. To musi być miasto ogromne, większe pewnie od Pińska - rzekł nagle Dzitko.

- Czemu nie od Poznania, ale od Pińska? - zaśmiali się.

- E, bo to wy wiecie, jaki ten Pińsk! Miałem pięć lat i oczy, jak raz jeden w nim

byłem... - umilkł urażony.

- Może w przyszłym roku uda się zorganizować wycieczkę do Warszawy. W budżecie związkowym zatwierdzono nam fundusze i na te cele - informował Korycki.

- Naprawdę? To wszystko będziemy mogli oglądać? - Palce Siejka wykonały szereg ruchów, jakby już widział nimi nowe domy, muzea, kawiarnie.

Zamyślili się, zapadło milczenie. Ogień trząsał. Czuło się zapach rozgrzanej żywicy. Gdzieś daleko, daleko odezwały się dzikie kaczki. Szemrała Warta, czasem doleciał mocniejszy plusk, potem znów wszystko cichło. Na szosie warczał samochód, w opłotkach rozszczekał się jakiś pies.

- Tak dobrze - rzekła Maryla.

Nie odpowiedzieli. Po cóż słowa. Jasne, że dobrze.

- Rysiu, zagrałbyś coś na dobranoc. Pora spać - rzekł Twardosz spoglądając na zegarek.

- Nie, jeszcze trochę - zaprotestowali.

- A dyscyplina? Obowiązują nas godziny - przypomniał. Siejek chwilę zastanawiał się, potem zagrał skoczną, ochoczą polkę. Mało brakowało, a byliby się poderwali do tańca, jak wczoraj w Owińskach. Malec, jakby odgadywał życzenie wszystkich, przeciągał grę jak najdłużej.

- No, chyba dosyć, zmęczysz się, Rysiu - uśmiechnął się Twardosz.

Czekał, nim się podnieśli.

- Drużyna, w dwuszeregu zbiórka!

Krysia krótkimi gwizdkami wskazywała miejsce, gdzie się mieli ustawić.

Nad wody Warty, na domy Czerwonaka popłynęła pieśń o braterstwie młodzieży wszystkich narodów.

- Spocznij! Rozejść się!

Ratajczakówna zabrała dziewczęta. Posłania dla nich przygotowano w domu. Chłopcy mieli spać w stodole.

- Kolego Silnicki, znacie już drogę, zaopiekujcie się waszą grupą. I jeszcze raz przypominam. - podniósł głos - żeby w żadnym wypadku nie palić.

- Tak jest - odkrzyknęli.

Siejek grał triumfalnego marsza. Aż się ugiął pod ciężarem akordeonu.

Twardosz długo spoglądał za nimi. Znikli w cieniu nocy. Potem ujawszy w pół Koryckiego rzekł:

- To jednak kawał piękniej roboty...

XV

- Ach, nie ma prezesa?... Bardzo żałuję, kolego Korycki. To chyba już pójdę...

Młodego magistra zastanowił oswiały, przygasły głos majora. Pamiętał, że Kijak zawsze mówił energicznie. Podszedł bliżej, położył mu dłoń na ramieniu.

- Niechże pan spocznie, majorze. Tak rzadkim jest pan u nas gościem. A my tu wiele robimy. Tylko że ciągle jest nas za mało do pracy... - westchnął. Wyczuł zaniepokojony ruch majora. - Nie, nie mówię tego do pana!

Zapadło milczenie. Korycki przypomniał sobie rozmowę, jaką dawno już temu przeprowadził z Kijakiem. Twardosza dziś nie było; może znalazłby temat. Koryckiemu jakoś nie kleiło się zupełnie.

Do sekretariatu weszła Kitliczowa.

- Cześć, Korycki! Witam, majorze, rzadkiego gościa... Jakby pan wyczuł, że mam do niego sprawę.

- Do mnie? - Znów tan niepokój w głosie, obawa przed czymkolwiek, co by mogło wytrącić z obranego trybu życia.

- Tak. Niech się pan nie obawia, nie będę namawiała pana do chóru. Inna sprawa, że chętnie zabrałabym pana do teatru, wybieramy się pojutrze. Magazyn mód Bryłowa, można się pośmiać... Ale do rzeczy! Mam dla pana kilka nowych powieści przepisanych ręcznie, w tym Cichy Don, dwadzieścia tomów. Kraków nam wypożyczył ze swoich zbiorów. Sprowadziłam z myślą o panu.

Ożywił się.

- Bardzo dziękuję, bardzo... Na pewno będę mógł coś zabrać, prawda? - I niespodziewanie z rezygnacją machnął dłonią. - Albo nie, może za jakiś czas. Mam teraz inne kłopoty, właśnie przyszedłem do prezesa Maleszki, ale go nie ma...

- Mogę je panu przesłać pocztą, jak zawsze. - Wydało jej się, że Kijak schudł bardzo od czasu, gdy go widziała p raz ostatni. Policzki mu zapadły, spod ciemnych okularów znać było cienie pod oczyma. Szpakowate włosy stały się całkiem już siwe. Cóż go tak przygnębiło?

- Nie, nie, dziękuję. Sam zawiadomię, zgłoszę się do pani, teraz proszę nie przysyłać... I poczty też żadnej. Zmienię adres w najbliższym czasie.

- Dobrze, że mi pan to mówi... No, a z teatrem? Jutro mamy pogadankę przygotowawczą. Dać panu bilet?

- O nie, nie...

Korycki słuchał uważnie, nie wtrącając się do rozmowy. Wydało mu się, że major znajduje się w stanie ciężkiej depresji.

- Panie majorze, miałbym do pana pewną prośbę. Nie ma ona nic wspólnego z sprawami Związku. Przejdźmy może do pokoju prezesa, żeby naszym paniom nie przeszkadzać w pracy.

Podniósł się niechętnie.

Kitliczowa patrzyła za nimi uważnie. I w niej się zbudziły jakieś podejrzenia. Zafrasowana kręciła głową.

Zasiedli za stołem w maleńkim pokoju prezesa, Korycki pragnął nadać rozmowie ton swobodny.

- Ciasno tu u nas, ale wkrótce zmienimy lokal. Będzie przestrzenniejsze... Panie majorze, przyszedł pan do prezesa z jakąś sprawą. Może pan mnie ją przedłożyć? Jestem zastępcą organizacyjnym, kolega Twardosz też nieobecny, wezwano go do Warszawy.

Kijak zmarszczył się. Nie miał ochoty zwierzać się Koryckiemu ze swoich kłopotów. Zamierzał grzecznie wymówić się od rozmowy, wynieść się stąd jak najprędzej. Było mu nawet trochę przykro, bo w słowach Koryckiego wyczuwał szczerą życzliwość. Westchnął.

Wreszcie przemógł się, podniósł głowę, powiedział krótko:

- Przyszedłem do prezesa z prośbą o pomoc w wynalezieniu mieszkania. Zmuszony jestem ze względów, hm, rodzimych, przenieść się gdziekolwiek indziej... - I zaraz, jakby pragnąc się usprawiedliwić, dorzucił: - Ja nie wymagam żadnych wygód. Jakaś maleńka klitka, żeby można było zasnąć i czasem poczytać. Nie mam wymagań, w wojsku nie nauczyłem się tego. Jak pan sądzi, byłyby jakieś możliwości?

- Dobrze, że mi pan to mówi, majorze. Jeżeli sprawa, jak wnioskuję, jest pilna, trzeba zacząć działać od razu. - Mówił ostrożnie, nie chciał zniechęcić Kijaka. Jeżeli major zwraca się teraz o pomoc, nie można go zostawić samego. Trzeba się dowiedzieć, jak wyglądają sprawy mieszkaniowe. Może to właśnie jedyna okazja przyciągnięcia człowieka, znalezienia dla niego oparcia w życiu, dla organizacji zaś wartościowej jednostki.

- Tak, spieszno mi.

- Sprawa nie jest prosta. Zna pan przecież powojennie trudności mieszkaniowe... - Korycki myślał intensywnie, nie znajdował rozwiązania. - Internaty są przepelnione. Poza tym obejmują one pracujących, a pan major, zdaje mi się, żyje jedynie z renty?

- Tak, mam inwalidzką i wojskową. Żyję skromnie, więc jakoś mi wystarcza.

- Z internatem nie byłoby łatwo. W dodatku tam jest specjalna atmosfera, nie wiem,

czy dobrze działałaby na pana.

- Polubiłem samotność...

- Tak. Internat zdecydowanie odpada z różnych powodów. Co dalej? O szybkim uzyskaniu przydziału na jakakolwiek pokój nie ma co marzyć. Tym bardziej że przed miesiącem przydzielono nam dwa mieszkania rodzinne po interwencji Kaczana i Hulki u przewodniczącego WRN. Sobie załatwili i przypomnieli naszą sprawę z korzyścią dla innych... Co by panu poradzić. - Tarł czoło zgnębiony. Bo naprawdę, jakaż tu była rada?

- Więc nie ma nadziei? Przyznam się, że znając trudności Związku niewiele miałem złudzeń... Przykro mi, że czas panu zająłem.

- Będziemy myśleli, jakby panu dopomóc... Może Maleszka coś znajdzie albo Twardosz. Spytamy panią Kitliczową.

- Dziękuję - bąknął. Zgarbił się, pochylił głowę. W zachowaniu jego łatwo było wyczuć cierpienie. Widział, że szansę na konkretną pomoc Związku były prawie żadne. Zatarł zziębnięte dłonie. Dzień był chłodny, ostry, przenikliwy, wiatr podwiewał poły ubrania, mroził twarz.

- Cała trudność polega na tym, że panu zależy na pośpiechu, bo przecież za jakiś czas...

- Każdy dzień dla mnie to męka - szepnął Kijak. A potem, z nagłym odruchem szczerości, chwytając Koryckiego za rękę szeptał dalej: - Kolego, czy pan to zna? Gdy każde spojrzenie pali i smaga niezasłużoną krzywdą? Gdy się czuje, że każdy krok, każde słowo wywołuje pasję, może wynikającą z głupoty, ale nabrzmiałą nienawiścią? W takich warunkach mieszkam, panie kolego. Mniejsza o szczegóły... Za bardzo mnie to boli.

Urwał, bo przejeżdżający za oknem tramwaj zagłuszał słowa.

- Nie zależę od nikogo. Za swoją klitkę też płacę. Nie przyjąłem ani żdźbła łaski. A mimo to ciągle słyszę wymawiania. Kolego, ja mam pięćdziesiąt pięć lat, siwe włosy. Miałem nerwy z żelaza, a dzisiaj? Ruina ze mnie została. Jeszcze mam siły, aby żyć... Nie mam tylko sił, żeby znosić czyjąś głupotę i podłość...

Korycki musiał schylić się, aby dosłyszeć ostatnie słowa. Skulił się na krześle. Żałował, że nie ma Maleszki, że nie ma Twardosza. Ale cóż oni poradzą? Mniejsza o przyczyny kłopotów Kijaka. Faktem jest, że ten człowiek cierpi, że trzeba mu pomóc, aby się nie załamał. Gdzieby go tymczasem umieścić? Może prywatnie u jakiegoś małżeństwa niewidomych? Tylko że wszędzie ciasnota... Kaczan? No nie, u niego zmieniło się teraz zupełnie... I nagle aż poderwał się z krzesła, głos jego zabrzmiał radością:

- Majorze, znalazłem! Nie ma kłopotu! Może pan mieszkać miesiąc, dwa, choćby rok.

Przez ten czas wyszuka się coś innego. Dobra jest! - Z radości aż klepnął Kijaka po ramieniu.

- Gdzie, gdzie?

- Gdzie? U mnie, kolego majorze! Że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy. Mam pokoik, niewielki co prawda, ale się zmieścimy w nim świetnie... Tylko o łóżko musimy się wystarać.

- Gdzie? U pana? - słowa Kijaka zabrzmiały radością. Wdzięczność wypełniała mu serce.

- U mnie.

Kijak porwał magistra w ramiona.

Awantura wybuchła niespodziewanie. To, że Warpechowski kilka razy nocował poza internatem, że raz nie zjawił się przez trzy dni, a często zamiast iść do pracy wylegiwał się gdzieś po kątach udając chorego - nie było niczym nowym. Rozsądniejsi, starsi sarkali często na kierownictwo internatu inwalidzkiego, że nie roztacza właściwej opieki nad wychowankami, co sprzyja rozwijaniu się pijaństwa i awanturnictwa, w końcu jednak dali spokój.

Marcińczyk pierwszy postanowił wystąpić energicznie. Nie chciał jednak sam zabierać się do sprawy. Musiał przedtem skupić koło siebie garść najlepszych. Poznał teraz, jak trudno jest odrobić stracone zaufanie. Często śmiano mu się w oczy, przypominając burdy w pokoju „piątki”, jeszcze przed powstaniem internatu. Zaciskał zęby, milczał, cóż mógł powiedzieć na swoją obronę? Powoli jednak sytuacja zaczynała się zmieniać. Energia, z jaką pracował w kole związkowym spółdzielni, zapal, z jakim organizował stałe lektoraty, ciekawe wieczory artystyczne - wszystko to wpłynęło na zwiększenie się zaufania i młodzi garnęli się do niego.

Najtrudniejszy orzech do zgryzienia stanowiła grupka rozwydrzonych chuliganów. Między nimi pierwsze skrzypce grał Warpechowski. Z nim nie umiał sobie Marcińczyk poradzić. Próbował na różne sposoby, wezwał Kitliczową na pomoc, potem Koryckiego. Nic, jak przez dziurawy przetak przesiąkały wszystkie perswazje, Ziuk stawał się jeszcze bardziej ordynarny i pełen tupetu. Związkowa praca nie pociągała go. Zainteresowała go początkowo gimnastyka, rychło jednak znudził się, wywołał awanturę i nie przyszedł więcej, ku ogólnej zresztą radości. Podobno raz jeden zjawił się na próbie chóru. Głos miał przyjemny. Zaczął podszczypywać dziewczęta i wygadywać różne świństwa, musiała go Kitliczowa wyprosić... Ziuk pił, łajdaczył się, stosunki z Pypciówną, która puszczała się na prawo i lewo, stały się głośne. Skąd brał pieniądze, za co pił, nikt tego nie wiedział.

Wysokie czoło Marcińczyka marszczyło się, gdy rozmyślał o dawnym koledze, z którym drogi jego rozeszły się teraz zupełnie. On jeden nie rezygnował z nadziei zmienienia Ziuka. Tym bardziej że czuł się za niego poniekąd odpowiedzialnym. We Wrocławiu na kursie Warpechowski nie był jeszcze taki. Tutaj dopiero ten pierwszy okres wspólnego życia rozluźnił w nim resztki rygorów moralnych. Niczego nie cenił, nie szanował, drwił z siebie, ze swojej ślepoty i z innych. Gdyby od początku potoczyło się wszystko inaczej, gdyby usłuchali Przybylskiego, może i Ziuk wzdałby się w karby, nie wciągnęłoby go pijaństwo...

Warpechowski raz już nocował w komisariacie milicji. Zaprowadzono go tam w stanie zupełnego zamroczenia. Następnego dnia drwił sobie z nocnej przygody. Gdy kierownik internatu, uwiadomiony o tym przez komisariat, przyszedł go przestrzec, kazał mu się pocałować w tyłek. Nie liczył się z nikim. Bał się tylko siły, ale skoro musiał przed nią ulec, szukał potem długo perfidnych sposobów zemsty. Każdy go omijał z daleka.

Tym razem jednak sprawa zatoczyła szersze kręgi. Warpechowski przez dwie doby nie wracał do internatu, nie pokazał się w dziewiarni, zginął nie wiadomo gdzie. Wrócił wylekniony. Głowę miał rozbitą, owiazaną bandażem. Nikomu nie zwierzał się z tajemniczej eskapady. Zresztą nie było potrzeby, i tak wkrótce zaszumiało w dziewiarni i internacie. Po trzech dniach przyszło bowiem do Warpechowskiego wezwanie Prezydium MRN miasta Poznania. Siedział zafrasowany, trzymał zaciśnięty kurczowo w dłoni świstek papieru. Potem zerwał się nagle, zeszedł na dół, do białego rama dochodziły pijane ryki z mieszkania kulawego Pypcia. Na wezwanie Warpechowski się nie stawił. Kilka dni chodził zgaszony, nasłuchiwał każdego szmeru, potem rozzuchwalił się, wygrażał głośno:

- Nie poszedłem, i guzik! I tak miałem zamiar opieprzyć ich, że aniby się nie pozbierali...

Zrzedła mu mina, gdy następnego dnia rano zjawił się milicjami, zabierając go z sobą na rozprawę. Tego samego dnia w dziewiarni, a potem w całym internacie ogłoszono wyrok: za pijaństwo i wywoływanie gorszących awantur w stanie nietrzeźwym skazano Warpechowskiego na dwa tygodnie pracy poprawczej. Miał nadal pracować w dziewiarni, ale dwadzieścia procent zarobku potrącano na cele kulturalno-oświatowe.

Wszystkim było przykro. Ale najgorsze, że gazety wymieniły nazwisko Ziuka. Zawrzało.

- Na całe szczęście nie podali, że niewidomy. To nam, cholera, gówniarz, reklamę robi! - ciskał się Antkowiak.

- Niech no spróbuje jeszcze raz, odechce mu się - wygrażał pięściami Skulski, który zresztą sam lubił wypić, ale zaraz potem kładł się spać.

Warpechowski początkowo próbował się odcinać, ale umilkł szybko. Wieczorem kierownik zapowiedział mu, że po następnej awanturze bezwzględnie usunie go z internatu.

Wtedy Marcińczyk postanowił działać. Właśnie nadarzała się okazja...

Długo trwała rozmowa z Maleszką, Twardoszem i Koryckim.

Kitliczowej wtedy w Związku nie było, wyjechała na inspekcję koła w Rogoźnie. Żałował, przypuszczał bowiem, że poparłaby jego stanowisko. Maleszką początkowo nie chciał nawet słyszeć o tym projekcie. Warpechowskiego na kurs obsługi central telefonicznych?! Gdzie tylko sześć miejsc udało się z takim trudem wywalczyć, pieska niebieska?! Nie, nawet szkoda gadania! Drani nam nie trzeba. Muszą pójść tylko ci, co do których można mieć pewność, że nie zawiodą. Wyłaniają się duże możliwości pracy. Nie można ryzykować. Negatywnie odniósł się też do sprawy Korycki. Nie miał nadziei, aby Warpechowskiego udało się zmienić. Wahał się tylko Twardosz. A że głównie jego zasługą było przyjęcie niewidomych na kurs, musieli się liczyć ze zdaniem instruktora.

Marcińczyk gorąco tłumaczył, przekonywał:

- Tylko wzbudzenie w Ziuku ambicji może tu coś zdziałać! Okazja jak wymarzona. Zdolny przecież. Brajła opanował pierwszy i najlepiej. Musimy mu dopomóc!

- To jasne! Ale na ten kurs go nie damy - przerwał Korycki.

- Gdzie indziej nam się nie uda... Tutaj można działać na jego dumę. Jest ambitny. Zebranie aktywu tak poprowadzimy, że sam wyrazi chęć pójścia na kurs... A jeżeli się uda? Tu chodzi o człowieka. Gorszych miał Makarenko u siebie, a przecież poradził. - Od dwóch tygodni zwerbowane przez Koryckiego lektorki czytały im Poemat pedagogiczny.

- Ja bym popierał Marcińczyka. Nie uda się, to tamtych pięciu będzie ratować opinię. Dajmy tego Warpechowskiego! - rzekł Twardosz,

Wtedy zmiękł i Maleszka.

- A niechże idzie, pieska jego niebieska!

Korycki do ostatka nie ustępował. Przegłosowali go. Marcińczyk wrócił uradowany, zebrał jeszcze tego samego wieczora swoich najbliższych, naradzali się długo, w jaki sposób ujarzmić Warpechowskiego. Wreszcie wszystko zostało przygotowane. Postanowili przeprowadzić to zaraz następnego dnia, na specjalnym zebraniu. Nie wszyscy mile powstali projekt Marcińczyka, ulegli jednak przez respekt dla niego.

Na zebranie młodzieży ściągnęli Warpechowskiego stosunkowo łatwo. Zdziwił się trochę, że tak go namawiają, bo swymi żarcikami i drwinami przeszkadzał zawsze, zamiast pomagać. Z tym samym zamiarem poszedł i dzisiaj.

Początkowo nudził się. Przeczesał po dziesięć razy długie włosy, poprawiał krawat,

który nauczył się nosić dopiero od niedawna, rzucał raz po raz złośliwe uwagi. Oni mówili tymczasem o potrzebie założenia głośników, nie we wszystkich bowiem sypialniach było radio, potem o dalszej lekturze, o zakupie szachów i potrzebie założenia koła zetempowskiego!

Dopiero jako ostatni punkt porządku dziennego poruszył Marcińczyk sprawę zaczynającego się wkrótce kursu obsługi central telefonicznych. Podkreślił małą liczbę miejsc, wyjaśnił, że Zarząd żądał, aby sami wybrali jednego spośród nich. Musi to być ktoś, kto będzie godnie reprezentował niewidomych. Powinien dobrze znać brajla i mieć ochotę do pracy.

Zastanawiali się długo. Wysunięto kilka nazwisk. Marcińczyk notował. Proponowano jego samego, Falińskiego, małego Siejka

Wtedy nagle padło z kąta przywitane ogólnym śmiechem nazwisko Ziuka.

Warpechowski drgnął. Podobała mu się ta praca, Siedzieć tak sobie, łączyć, tu mówi Warszawa, tam Jelenia Góra czy Rzeszów. Ciekawe. I pewnie wesoło tam, przecież przy telefonach pracują przeważnie dziewczęta. Gdy usłyszał własne nazwisko, zapragnął dostać się na ten kurs. Śmiech kolegów uświadomił mu, jak dalece jest to nierealne. Gdzież tam, nie mieliby kogo typować, tylko właśnie jego, jeszcze teraz, gdy został skazany na tę pracę poprawczą?

- I czego rehoczecie jak baba do chłopa? - odezwał się sarkastycznie.

- Ziuk, z Pypciówną by was obok siebie posadzić, to by dopiero ładnie poszło... - śmiał się Maliński.

- Zamknij się, bo trzasnę cię w klawiaturę!

- Bo co, może maisz ochotę tam iść?

- Nie wasza rzecz, zechcę, to pójdę bez łaski. A nie, też się obejdę. Wielka mi emicyja, telefonistą być!

- Podpije i będzie awantury wyczyniał. Znów do gazety trafi.

- Każdego, tylko nie Ziuka!

- On i tak nie potrafi, za głupi na to. Tam trzeba rozumu i cierpliwości.

- To całujcie mnie w tyłek, o nic was nie proszę. A takim dobry jak wy! Skoczyli na jednego, jak psy na jeża, i cieszą się. Wybierajcie sobie sami.

- Spokój, spokój. Tu są formalne wybory, a nie krzyki - wołał Marcińczyk. - Przecież ty, Warpechowski, nie poradziłbyś sobie, nawet gdybyśmy cię wybrali? Tu trzeba obliczać według możliwości. Patrz, trzeba znać brajla, bo jak inaczej zanotujesz treść depechy, która nadeszła albo którą trzeba będzie nadawać...

- Nie słyszałeś, jak czytam? Piszę też nieźle, a mógłbym się wprawić - niespodziewanie dla siebie samego bronił Ziuk własnej kandydatury.

- Po drugie, trzeba mieć sporo cierpliwości. Kurs trwa dwa miesiące, co drugi dzień, doborze przyjdzie się napracować...

- Jak zechcę, to i cierpliwość się znajdzie.

- Po trzecie, chcąc być telefonistą trzeba zrezygnować z picia, a ty przecież wódcę ślubowałeś, Ziuk?

- Sameś ślubował! Matka mi wóda czy co? Z nudów i żalości się pije - nie po swojemu zniżył głos Warpechowski.

Stał ciągle przy drzwiach z ręką na klamce. Oho, on by im pokazał, co potrafi. Zdałby lepiej od wszystkich!

- Widzicie, ja mówiłem, żeby Warpechowskiego wybrać - odezwał się Dzitko.

Ziuk poczuł szczerą wdzięczność do olbrzyma, zapomniał nawet, że Dzitko wyrzucił go kiedyś z pokoju.

- No dobra! Głosujemy zatem na wszystkich podanych. Jest czterech kandydatów. Ach, prawda, ja się zrzekam. Mam teraz inną robotę w Związku, nie dałbym rady... Zostaje trzech. Faliński, Siejek i Warpechowski. Czy wszyscy proponowani zgadzają się?

Faliński i Siejek od razu odpowiedzieli potakująco. Ziuk milczał. Stał zaczerwieniony, zdenerwowany, cichy.

- Warpechowski, a ty? - spytał Marcińczyk.

- I tak minie nie wybierzecie... - bąknął z żalością.

- Nic nie wiadomo. Tylko, Warpechowski, widzisz, nie wszyscy mają do ciebie zaufanie po tej historii. Musisz nam przyrzec, że będziesz uczciwie się uczył i przestaniesz pić wódkę.

- Czemu tylko ode mnie chcecie jakichś obietnic? Kicham na was, będę pił i koniec! - zaperzył się.

- No to jak chcesz, aby na ciebie głosować? Przyrzekasz czy nie?

- Przyrzekam.

- Teraz zobaczymy, kto otrzyma najwięcej głosów...

Okazało się po przeliczeniu, że delegatem na kurs obsługi central telefonicznych obrany został spośród młodzieży internatu Ziuk Warpechowski.

Zdębiał zupełnie, gdy usłyszał swoje nazwisko. Nie wierzył, że mogą go wybrać. Nagle wszystko zawiroowało mu w głowie, jakoś dziwnie ścisnęło mu się serce. Nim się zorientowali, szybko otworzył drzwi, jeszcze szybciej zatrzasnął za sobą. Dobiegł ich tupot

kroków na korytarzu.

- A temu co się stało?

- Nic, nic, rąbnęło go tak z radości, że jednak został wybrany. Ja wam mówię, to będzie jeszcze morowy kumpel - zakończył uradowany szczerze Marcińczyk.

Zabrzączał dzwonek. Drgnęła, potrąciła którąś z kłapek. W słuchawce cisza. Drobną ręką szybko sprawdzała numer. Ten sznur, czarny? Aha, to będzie prawy. Ujęła go szybko, włączyła. Pamiętała, że obecnie należy przycisnąć klucz. Tak, ale czemu w słuchawce cisza, nikt się nie zgłasza? I czemu ten dzwonek terkoce bez przerwy? Znow coś nie tak...

Na twarz Lusi wystąpiły mocne rumieńce. Może to nie był ten sznur? Sprawdzała. Chyba ten... Och, niechże ucichnie wreszcie ten dzwonek... Czemu nikt nie odpowiada? Dłoń gorączkowo manipulująca potrąciła o dalsze klapki, zabrzączały spadając. Westchnęła bezradnie. Obróciła się, wołała:

- Czemu nikt nie odpowiada?

- Nie było żadnego sygnału. Sama, dziecko, straciłaś klapkę, dlatego abonent ci się nie zgłosił - stanął przy niej instruktor, podniósł klapki. Potem wyłączył nieprawidłowo włożone sznury.

- Spójrz, jak ci się sznury poplątały.

Wyciągnęła dłoń. Niby tak mało, osiem sztuk, a potrafią się skłębić jak żmije, ani się w nich rozeznąć.

- Co ja znow źle zrobiłam? - spytała smutno.

- Straciłaś klapkę. Dlatego nie mogłaś słyszeć abonenta. Spokojnie, spokojnie, spróbujemy jeszcze raz... Pamiętamy, że przy włączeniu się abonenta spada jedna z kłapek, odpowiadająca jego numerowi. Wtedy włączamy sznur zgłoszeniowy. Ten, Lusi, który przewięzałaś sobie tasiemką dla rozeznania... Potem już tylko przyciśnięcie klucza i podniesienie do góry klapki, która nam wyłącza dzwonek. Proste?

- Proste, jak pan mówi, ale przy centrali wszystko się gmatwa...

- Bo wszyscy śpieszycie się. Szybkość przeciwiczymy później.

Teraz chodzi o dokładność i przemyślenie ruchów. Bez tego nie opanujecie obsługi.

- Zaraz, zaraz, a dalej. Odszukuję żądany numer i włączam do tego otworu sznur połączeniowy, ten drugi od pary? Tak? Teraz tylko klucz do dania sygnału, czekam na zgłoszenie i koniec... - po raz setny chyba przypominała sobie Chrzanowska kolejność czynności.

- Dobrze, spróbujemy jeszcze raz. Spokojnie, nie gorączkowo.

Lusia poprawiła się na krzeselku. Zabrział dzwonek, brzęknęła klapka. Przesuwała dłonią. Nie, to nie w pierwszym rzędzie, pewnie w drugim... Trafiła. Szybko włączyła sznur zgłoszeniowy, nacisnęła klucz, podniosła klapkę. Dzwonienie ustało. Spokojnie teraz mówiła do mikrofonu:

- Proszę? Tu centrala. Siedemnaście? Już łączę. Sprawdziła u wylotów. Tak, ten sznur będzie do pary z poprzednim, zgłoszeniowym. Zaraz, dzwoni trzynastka, żądany numer będzie czwarty od niej na prawo. Liczyła palcami. Jest. Włączyła numer do gniazdka, kluczem nadała sygnał.

- Halo?

Poznała głos majora.

- Teraz zupełnie dobrze, Lusu. Widzisz, to dlatego, że pracowałaś spokojniej. Dobrze, teraz przejdź do aparatu. A tutaj poprosimy kolegę Kijaka...

Równym krokiem szedł do Centrali. Mijając Lusię uśmiechnął się.

- Zadzwoń zaraz do ciebie.

Usiadł przy centralce, manipulował palcami.

- Panie instruktore!

- Słucham.

- Niech pan spojrzy. Zawsze mam kłopot, a pewnie i koledzy, z liczeniem numerów. A gdyby tak wpiąć pineski nad trójką, szóstką i dziewiątką? Wiedziałbym na przykład od razu, że na lewo od środkowej pineski jest piątka, pod nią w drugim szeregu piętnastka, w trzecim dwadzieścia pięć. To znacznie ułatwiłoby pracę.

- Słusznie... Ale te innowacje lepiej zachować na później, jak już będziecie samodzielnie obsługiwali centrale. Ułatwi to wam pracę. Teraz trzeba dobrze opanować centralę taką, jaka jest. Bez racjonalizacji - śmiał się instruktor.

- Pyszny pomysł, jak pragnę porodzić, majorze - zabrzmiał nagle pełen uznania głos Warpechowskiego.

Zaśmieli się wszyscy.

- No, zaczynamy, bo czas mija. To ostatnia dodatkowa lekcja. Od jutra ćwiczymy łącznie z drugą grupą. Pamiętajcie, żebyście nie byli gorsi od nich.

- Nie damy się! - zawołał Warpechowski.

Zaterkotał dzwonek. Major skupił się, ze zmarszczonym czołem odszukał numer klapki, włączył sznur zgłoszeniowy, nacisnął klucz... Usłyszał dźwięczne, wesołe „halo” Chrzanowskiej.

- Pięknie, panno Lusu!

Jeszcze kilka prób. Instruktor był zadowolony. Wołał z daleka:

- Świetnie. Połączenie trwa średnio osiem sekund. Za dwa tygodnie na pewno już dojdziemy do pięciu, takie jest maksimum czasu na jedną operację. A o tej innowacji pana z pineskami warto pamiętać, to dobry pomysł. Niby drobiazg, a wiele ułatwi. No, teraz poproszę kolegę Kupczyka. Zapiszemy depeszę, dobrze?

Przed dwoma dniami zaczęli pierwsze próby z przyjmowaniem i nadawaniem depesz.

- Dobrze. Tylko przygotuję swój notes - odpowiedział Kupczyk z przejściem siadając przy centrali. Obmyślił rodzaj notesu, który umożliwiał wygodne przesuwanie tabliczki, a jednocześnie nie dopuszczał do zagubienia jakiegoś tekstu.

Dzwonek, brzęk klapki. Łączył spokojnie, powoli, ale w tej precyzji ruchów wyczuwało się olbrzymie napięcie nerwowe.

- Telegram? Proszę. Już słucham.

Lewa ręka powiodła wprawnym ruchem po wskazówkach zegarka, prawa odnotowała natychmiast godzinę 18.50. Notował teraz szybkimi nakłuciami nazwisko, adres nadawcy, odbiorcy, treść telegramu...

- Tak. Powtarzam... - Czytał powoli, wyraźnie wymawiając słowa. Palce szybkimi ruchami przesuwały się po odwrotnej stronie przed chwilą zapisanego arkusza. - Zgadza się? Przyjęte.

Wyłączył się. Szybko powiódł palcami po tekście.

- Siedem sześćdziesiąt!

Instruktor zbliżył się, obliczał cenę depeszy.

- Zgadza się. Świetnie, kolego! Widzące panny z naszego kursu jeszcze tak dobrze tego nie robią.

- No, Kupczyk, ten to z pisaniem jest tak, że moje uszanowanie! - wyduła wargi Rozmuska.

Zaśmieli się wszyscy. Lubili to jej „uszanowanie”.

- Jeszcze może koledzy Maćkowiak i Warpechowski. Na nich skończymy. Kolego Ziuk, a może tak międzymiastową?

- Dobra, choćby z samego Krakowa... - Idąc już wyciągał swój notes. Nie chciał okazać się gorszy od Kupczyka, Nie na próżno prześlęczał ostatnio tyle nocy nad brajlem... Przystanął nagle. Prawda, zegarek... Musiał się zwrócić o chwilowe pożyczenie do któregoś z kolegów. Nie pierwszy już raz od chwili zaczęcia kursu pożalował swego zegarka, który sprzedał na wódkę.

- Gotowe?

- Tak jest.

Znów zaterkotał dzwonek, opadła blaszana klapka.

Próbował czytać, ale palce automatycznie tylko przesuwały się po tekście.

Złożył książkę, uśmiechnął się. Nie przypuszczał, że zdolny jeszcze będzie do odczuwania radości.

Chodził tam i z powrotem po, małym pokoju Koryckiego, gdzie mieszkali razem już od dwóch miesięcy. Żyli się z sobą, dobrze im było razem...

Od dawna nie był tak zadowolony z siebie i z życia... Bez żalu pomyślał tym razem o Lili. Gdyby nie jej stosunek do niego, w głowie mu nie powstałoby szukać innego mieszkania. Tłamsiłby się nadal u brata, zatruwał żalami i tęsknotą.

Na trzeci czy czwarty dzień po sprowadzeniu się do pokoju Koryckiego zauważył, że był on czegoś bardzo podniecony, przejęty. Leżąc słyszał, jak krzątał się po pokoju. Nie odzywał się, nie chciał przeszkadzać... poczuł, że młody socjolog staje przed jego łóżkiem.

- Wie pan, przyszła mi dzisiaj jedna myśl do głowy. Ciekawym, co pan mi odpowie - w głosie jego wyczuwało się wahanie.

- Siadajcie, tu, na łóżku - zachęcił go. - No, o co chodzi? -

Chciał dopomóc, jednocześnie zląkł się, czy Korycki znowu nie chce go do czegoś namawiać.

Gospodarz kluczył niezręcznie, bał się urazić majora, nie chciał, aby tamten pomyślał, że to jakby żądanie rewanzu za udzieloną gościnę.

Ni mniej, ni więcej, chodziło właśnie o kurs telefonistów. Spośród wielu chętnych wytypowano po dłuższej naradzie Kupczyka, którego słabe zdrowie nie wytrzymało pracy w dziewiarni, Chrzanównę, Maćkowiaka, zdolnego, młodego chłopca, mającego na utrzymaniu niedołączną matkę, wreszcie na próbę zdecydowali się, zresztą wbrew Koryckiemu, posłać na kurs Warpechowskiego, pijusa i bumelanta z internatu przy dziewiarni... Zgłoszono także Rozmuską, która paliła się do każdej sprawy. Korycki urwał znowu, potem rzucił z nagłą determinacją:

- A szóste miejsce przeznaczylimy dla pana, majorze. Aż usiadł na łóżku.

- Dla mnie?

- Tak. To był, szczerze mówiąc, projekt Twardosza, aleśmy go obaj z Maleszką poparli. Kitliczowa mówiła, że będzie to panu odpowiadało, bo telefon, łączność na odległość, to też jakby przestrzeń, powietrze, w którym pan latał...

Drgnął.

- Chwileczkę, drogi kolego. Muszę się zastanowić... Kitliczowa, powietrze, przestrzeń... - zniżył głos aż do szeptu, mówił właściwie do siebie samego.

Musiał ująć głowę obu rękami, tak w niej szumiało. Wtedy na lotnisku, gdy był tam ostatni raz... - wspomnienie łuną ogarnęło mu twarz, zakrył ją dłońmi. - Tak, to wtedy powiedział kapitan, żeby opanował obsługę stacji krótkofalowej... Śmiał się wtedy, nie wierzył, A tutaj okazja nastęcza się sarna... Korycki przyniósł nowinę. Nie wypada odmówić. Trzeba się zgodzić, póki jest drobny przynajmniej procent ochoty.

- Zgoda! - rzekł mocno, szybko, żeby się jeszcze nie cofnąć w ostatniej chwili.

Opadł na poduszki, zmęczony, jak po największym wysiłku fizycznym. Czuł krople potu na czole. Otarł je rogiem poduszki.

Korycki ze zdumienia zaniemówił w pierwszej chwili. Potem jął ścisnąć ręce majora, głośno wyrażać swą radość.

- Ale to pewne, pewne? Pan się już nie rozmyśli, majorze? - wołał.

Zdał sobie teraz sprawę, że właściwie nic więcej nie wie ponad to, co mu powiedział Korycki, To może pociągać za sobą zobowiązania, na pewno pociąga, będzie musiał pracować... A jeżeli praca - nie będzie mu odpowiadać? Poza tym od obsługi centrali daleko jeszcze do stacji krótkofalowej... Posmutniał.

- Czy do pracy trzeba będzie iść od razu po ukończeniu kursu?

- Przymusu nie ma. Ale na pewno sam pan będzie chciał, majorze!

Tak się to wtedy zaczęło... Kurs się skończył, rozpędzone koło goniło coraz szybciej. Dzisiejszy dzień był początkiem dalszego etapu...

Zazgrzytał klucz w zamku. Wracał Korycki. Major porwał się z łóżka, pragnął jak najszybciej podzielić się, z przyjacielem nowinami.

Wszedł Korycki, pachnący jakiś. Major mocno wciągnął powietrze.

- No, zdałem, z drugą lokatą...

- Wiem, Kupczyk mi opowiadał. Bardzo się cieszę. Daj pyska, Mietek!

A gdy już uściskali się, sięgnął po coś na stole.

- Mówiłeś kiedyś, że lubisz róże. Kupiłem ci kilka, proszę...

Major ujął wiązankę w dłoń. Rozwijał szybko. Łodygi kwiatów były chłodne. Przeciągnął lekko po mało rozwiniętych jeszcze pąkach. Delikatnie twarde, zdawały się pieścić dotykające je palce. Pokój napełnił mocny, radosny zapach.

- Janusz!

Znowu się uściskali. Kijak posadził go na swym łóżku, mówił podniecony:

- Nie zdążyłem dokończyć... To jeszcze nie wszystko. Przy rozdaniu świadectw był

dyrektor poczty. Przyniósł z sobą skierowania do pracy. Otrzymała Chrzanowska, Warpechowski i ja... Od pierwszego będę telefonistą w banku. Zaraz tam poszedłem. Przyjęto mnie bardzo serdecznie. Personalny, wiesz, swój chłop, były wojskowy, powiedział, że po trzymiesięcznym okresie próbnym będę mógł uzyskać mieszkanie w domu pracowników bankowych... Nie masz pojęcia, jak się cieszę. I myślę, że chyba sobie poradzę, co?

- Na pewno. Zabiegaliśmy o was troje w pierwszej kolejności. Wszystko ładnie, tylko to obiecane mieszkanie mało mnie cieszy. Przyzwyczaiałem się do ciebie, będzie mi smutno samemu...

- Ożenisz się... - zaśmiał się Kijak.

- Może! Nie masz pojęcia, co się dzieje w Związku z tymi małżeństwami! Spieszą się wszyscy, jakby się paliło.. Patrz, Kaczan, Kupczyk, Rozmusczyk, Malińska... Ale, mam dla ciebie nowinę. - Zapalił gaz, postawił czajnik. Zawsze o tej porze pijali herbatę. Wyczekał jeszcze chwilę.

- Co za nowinę? Dostyc chyba na dzisiaj?

- Z tej się ucieszysz... Przyszło pismo z zarządu głównego, żeby podać nazwiska chętnych na kurs krótkofalarstwa.

Kijak mocno oddychał z wrażenia. Co za szczęśliwy dzień!

- Krótkofalarstwa? - powtórzył wolno.

- Tak, tak!

W wyobraźni major ujrzał w tej chwili wnętrze kapitanatu portu lotniczego w Poznaniu.

XVI

- Cóżes się tak rozśpiewał bez pory? Nocy nie rozeznajesz od dnia? - Nachylił się nad klatką, prztykał palcami o prety. Kanarek nie zwracał na niego uwagi, nadal zachłystywał się swoją pieśnią.

- Który to, Kazek?

- Nie poznajesz, przecież Łobuz... Pamiętasz, w zeszłym styczniu też naszło go kochanie, nie patrząc, że śnieg...

- W ciebie się wdał, zimą żeś do mnie zaczął chodzić - zaśmiała się. - Herbatę postawię, Władkowie, jak przyjdą, wypiją gorącego na drogę.

- Mały śpi?

- Śpi, jemu to choć strzelaj nad głową, nie zbudzi się... Podeszedł do stolika, włączył radio, nastawił wesołą muzykę.

Sprawił dłonią, czy przyniesione wczoraj książki leżą na swoim miejscu. Ciekawy był powieści Ostrowskiego. Słyszał, kiedyś urywki przez radio, nareszcie doczekał się swojej kolei... W bibliotece związkowej były tylko dwa egzemplarze, a na „Jak hartowała się stal” amatorów nigdy nie brakło...

Z małej sionki wbiegła sześciolatka dziewczynka. Trzymała coś w rączce.

- Patrz, tata, patrz, jakie ładne...

Przyniesionym przedmiotem dotykała jego dłoni. Wyczuł, że lalka jest inaczej ubrana, jakieś falbanka, zakładki... Przyciągnął córeczkę do siebie, ucałował.

- Któż ją tak ubrał?

- A to pani Małgosia, prawda, że ładne?

Wiedziała już teraz, że matka i ojciec są niewidomi, Jeszcze przed dwoma laty nie rozumiała tego. Przypomnił sobie, jak kiedyś w mieście zaciągnęła go przed wystawę sklepu zabawkarskiego. Była zachwycana, wołała co chwila: „Tata, patrz, jaki duży miś, a ten pies jaki śmieszny...” Potem zastanowiła się, chwyciła jego rękę, wodziła nią po szybie; zauważyła, że musi wszystko sprawdzić dotykiem, nie pojmowała jednak, że nie widzi...

Dziś Fela rozumiała już wszystko, ba, nieraz okazywała się dla nich wielką pomocą. Tylko ten mały brzdąc w swoim łóżeczku o niczym nie ma pojęcia, cóż chceć, dopiero dziesięć miesięcy, w marcu skończy rok.

- Która tam, Kazek?

- Szósta.

- Zaraz nadejdą, no, kuchnia w porządku. Można odpocząć. - Weszła do pokoju, przysiadła na tapczanie. Nowy był, jeszcze nie spłacili ostatniej raty. Przynal się do niej bliżej, omal nie nadział się na szybko migające druty.

- To tak odpoczywasz?

- Phi, bo to robota? Feli potrzebny nowy sweterek, patrz, jaka miękka wełna. - Już idą, poznaję jego chrząkanie - poderwała się na terkot dzwonka.

Silniccy mieszkali w pobliżu. Władysław nie spodziewał się nawet, że w ZISPO tak od razu przyjdą mu z pomocą. Zaraz po ślubie dostał nowe mieszkanie w blokach fabrycznych. „Teraz na Chociszewskiego mieszkało już, zaraz...”

- Kaziu, ilu nas tu mieszka, na tym osiedlu?

- Z Ratajczakiem, choć on nie z ZISPO, dziewięć rodzin...

- To koło związkowe na Chociszewie trzeba będzie zakładać. Mijałowa przyniosła herbatę i paterę z nakrojonymi kawałkami placeka. Silnicka, poza dziećmi, jedyna widząca w tym gronie, zdumiona wodziła za nią oczyma. Mijałowa poruszała się zwinnie, szybko, bez cienia wahania, orientowała się w potrzebach gości, podsuwała placek czy podawała cukier.

- To pani pieczenia ten placek? - Silnicka wzięła w rękę kawał tradycyjnej w Poznaniu „mielonej babki”.

- Nie, placek to u nas Kazek piecze, On by się więcej na piekarza nadawał niż do ZISPO - zaśmiała się Mijałowa.

- Dajcie pokój, na Boga, bo nie zdążymy. Stąd kawał drogi - pośpieszał Silnicki.

- A to nie mogliście przyjść wcześniej? Zawsze tak jak po ogień... Zaraz” tylko poproszę sąsiadkę, obiecała posiedzieć przy dzieciach.

Młoda mężatka spoglądała na idealnie czystą podłogę, potem przyjrzała się oknom. Gładko upięte firanki były rozsunięte, ukazywały się zza nich tłoczące się na parapetach liczne doniczki pelargonii, mirtu i oleandru. Kwiaty były umiłowaniem żony, mąż natomiast kochał się w kanarkach - sześć klatek wisiało tuż obok siebie.

Wychodzili.

- Idźcie naprzód, my za warni, tak będzie najlepiej - usłyszała głos Mijałowej.

Skręcili do końcowego odcinka ulicy Dzierżyńskiego. Trzeba było przejść przez, jezdnię. Silnicka zasłuchała się właśnie w słowa męża, spoglądała ma jego przejętą twarz, nie zważała na ruch uliczny. Na skraju chodnika ostrym szarpnięciem pociągnął ją nagle do tyłu.

- Co takiego, czemu... - nie zdążyła dokończyć, jezdnią z trzaskiem przeleciała ciężarówka. Zajęta rozmową, nie dostrzegła, ale on wyczuł słuchem. Był ostrożniejszy.

- Dzień dobry, cześć pracy!

Poznali głos Ratajczaka. Szedł razem z żoną. Obie widzące kobiety ujęły teraz niewidomych pod ramiona. Właśnie nadjeżdżał tramwaj.

- Ale nas się zbiera do tego tyjratru. Na początku, pamiętam, to dziesięć, dwadzieścia osób, a teraz połowa sali będzie zajęta, pierona - usiłując przekrzyczeć jazgot tramwaju wydziwił Ratajczak.

- Sto trzydzieści biletów! Mówiła mi Kitliczowa. Zmieniło się, co?

- A zmieniło, zmieniło, pierona! Kto by pomyślał. Przyjemnie teraz do Związku chodzić? No, a jakże z wyborami? Za tydzień już?

Silnicki przysunął się bliżej do towarzystwa, wyjaśniał, przekonywał. Ratajczak porozumiewawczo kiwał głową. Wyszli na przystanku obok Teatru Polskiego.

- Płakać mnie się chciało, jak słuchałem o tych wodach rozlanych albo o ciecieruku, co tokuje w zimowe dni. Toż tak samo ja pamiętam. Też ptaków moc, śnieg leży zwałami, zadymka kurzy, serce rwie się daleko, nie wiedzieć samemu gdzie. Akuratnie napisano. - Dzitko z przejęciem wspominał fragmenty „Zapisek myśliwego” Turgieniewa. Stojące przy nim dziewczęta słuchały uważnie.

- To w „Łaskawym chlebie” też będzie o tym? - w pytaniu dźwięczała lekka nuta rozczarowania. One zawsze wołały o mdłości.

- Nie. Zupełnie co innego. Ale tak samo pięknie - spokojnie tłumaczył koleżankom, które pracując na drugiej zmianie nie wzięły udziału w poprzedzającym każdą wyprawę do teatru wieczorze przygotowawczym,

- Posuńcie się na bok, zawadzacie ludziom - Korycki pilnował porządku.

Tłoczyli się w hallu, czekając na Kitliczową. Wprowadzała wszystkich razem nie chcąc stwarzać bileterkom kłopotu przy usadawianiu niewidomych i niepotrzebnego poruszenia wśród widzów.

- Powoli, powoli, wszyscy zdążycie. Przybylak, gdzie cię tak niesie? - zabrzmiał od drzwi wejściowych jej głos.

- Jest już, jest!

- Jesteśmy, nie mogliśmy się doczekać tramwaju.

- Z Dąbrowskiego było wygodniej.

- Sam narzekałeś, że za ruchliwy punkt. Ej, Wisus, wam nigdy się nie dogodzi...

Z Twardoszem weszła grupa sportowców, wybrana ósemka, z którą ćwiczył intensywnie przed zbliżającymi się ogólnopolskimi mistrzostwami niewidomych w gimnastyce. Nie żalowali czasu ni trudu, mieli wielkie ambicje... Pociągała ich poza tym

jazda do Krakowa.

- Wszyscy już są?

- Rozmuskich nie ma.

- Jesteśmy, jesteśmy. Ależ zasapaliśmy się... Co się tu robi, ruch, że moje uszanowanie...

- Idziemy. Tylko spokojnie, spokojnie! Rozbieramy się po prawej stronie... - Kitliczowa pomagała swym pupilom zdejmować okrycia, potem wprowadzała na salę, usadawiała. Mieli już wprawę. Za pierwszym razem nie wiedzieli, jak siadać, potykali się, szczególnie ci mniej samodzielni...

- Ja przy pani! - Maryla chwyciła kierowniczkę pod ramię. Kitliczowa odetchnęła z prawdziwą ulgą, gdy wreszcie wszyscy zajęli miejsca. Stojąc lustrowała jeszcze, czy wszystko w porządku. Siedem rzędów! Uśmiechała się. Początkowo istniała w Związku małeńka grupa teatromanów na własną rękę próbujących dostawać się na przedstawienia.

Szeptali teraz z przejęciem, z zajętych przez nich miejsc rozchodził się szum jak z ula. Zawsze przeżywali pójście do teatru, bo też i ciągnęło ich tutaj, nieustannie nagabywali, kiedy będzie nowa premiera. Nie mogła się nacieszyć ani nadzieić.

Zabrział dzwonek, światła zgasły. Na sali nastąpiło poruszenie, potem uciszyło się. Kurtyna powoli podniosła się w górę. Kitliczowa patrzyła snując jednocześnie własne myśli.

Za pierwszym razem poszła z nimi na przedstawienie bez żadnego przygotowania. Wielu rzeczy wtedy nie zrozumieli. Brakło im tych szczegółów, które później dodawała opisem... Nie należało to do spraw łatwych. Starannie unikała jakichkolwiek wprowadzeń w treść utworu. Próbowwała malować słowami dekoracje, wygląd wnętrza, przedmiotów. Bardzo interesowały ich stroje, dziewczęta szczególnie się o to dopytywały...

Dokładnie omawiała epokę, tło społeczne i obyczajowe, jak najplastyczniej starała się ukazywać sylwetkę autora i jego rolę w literaturze. Przy Turgieniewie doskonale jej pomagały „Zapiski myśliwego”. Czytając je od nowa dopiero teraz dostrzegła, jak wiele znajduje się tam spostrzeżeń dotykowo-słuchowych. Dlatego może odczytane fragmenty tak im trafiały do przekonania.

Na scenie zaczynała się już głośnie „zabawa” około stołu. Kuzowkin wzdragał się, nie chciał pić, tamci napierali. Tropaczow, cyniczny, roześmiany, szyderczo atakował dobrodusznego starca.

Maryla siedząca obok Kitliczowej westchnęła ciężko. W pewnej chwili mocno chwyciła swą opiekunkę za rękę. Kaszak zaciskał wargi. Nie odejmował rąk z oparcia fotelu, w mroku widowni znaczyły się zbieleńskie napiętki. Obok słychać cichutki szloch. Która to?

Całą gromadką siedziały tam dziewczęta. Ach, gruba Dziadówna... Przechyliła się, pogładziła ją po włosach. Dziadówna uspokoiła się...

Po zakończeniu aktu aktorzy spoglądali zdumieni. Sztuka odnosiła sukcesy, ale podobnego entuzjazmu jeszcze nie było.

- Ojej, ja się rozplączę. - Mitkówna tuliła się do koleżanki.

- Ale gra! - Ciszewski uchodził między swoimi za dobrego znawcę teatru.

Kitliczowa rozglądała się. Obok Twardosza dojrzała Jankę Bronowską. Siedziała z wyrazem rozmarzenia na twarzy, słuchała instruktora mówiącego do grupy sportowców. „Coś niedobrego dzieje się z tą dziewczyną, zawsze tak wygląda, jak znajduje się przy Twardoszu. Czy on nie widzi, co się tu święci?” - przemknęło przez myśl pani Haliny.

Odkłoniła się Silnickiej. Przypomniała sobie, że obiecała załatwić sprawę lektorek na przyszły tydzień. Nie знаła mężczyzny siedzącego obok Młyńczaka i jego siostry. Pani Zocha uśmiechała się do niej. Kitliczowa precyzyjnie się w ich stronę.

- Dzień dobry, no i co, panie Czesławie? - To bardzo mocna rzecz.

- Mój narzeczony - Młyńczakówna przedstawiała nieznanego mężczyznę z prawej strony Czesława.

„Aha, więc się jednak nie rozleciało? Czyżby dlatego, że brat zaczął pracować? Możliwe...”

- Ten Karpaczow to zupełnie jak nasz Dzitko. Taki sam ma głos, taki sam żarłok, grubas... Pani Halino, pani Halino! Czy Karpaczow jest grubszy, czy nasz Bolek?

Uciszała dziewczęta. - Jesteście w teatrze - Odpowiedziała, że według niej Karpaczow jest grubszy. Nie były z tego zadowolone.

Ale gdyby tak Dzitkę dobrze podkarmić? - wmieszał się do rozmowy mały Siejek.

- Cisza, cisza, już zaraz się zaczyna...

Scena spowiedzi nieszczęśliwego starca, a potem ponizania, go przez Jeleckiego i nieodstępного Tropaczowa wstrząsnął nimi. Drżeli, dziewczęta cichutko płakały, stary Kaszak trząsł pochyloną siwą głową. Maryla nie mówiła nic, nie odzywała się nawet w czasie drugiej przerwy, skulona i zadumana siedziała spokojnie na fotelu, jakby inny zupełnie człowiek.

Kitliczową zastanawiała mina żony Kupczyka. Siedziała jak oniemiała, nie przejawiała najmniejszego wzruszenia. Kupczyk natomiast przeżywał sztukę bardzo silnie, raz, w chwili gdy na scenie szczególnie ostro napastowano Kuzowkina, poderwał się z miejsca, stanął, przechylił się do przodu, Wyciągnął rękę, jakby pragnął odciąć nią napastników. Dopiero ostre szarpnięcie żony za ramię wróciło mu przytomność... Z

małżeństwem Kupczyka historia była równie niewyjaśniona jak i z Kaczana. Obejrzała się, czy czasem Kaczan nie zmienił zdania w ostatniej chwili i nie pokazał się jednak w teatrze? Ale nie, nie było go. Jej także unikał przez ostatnie pół roku, od powrotu z tego niespodziewanego urlopu, z którego ku zdumieniu wszystkich przywiózł... żonę. Zrezygnował z kierowania pracami kulturalnymi przy dzielni, natomiast z olbrzymim samozaparciem rozpoczął studia. W dwa lata zamierzał zrobić maturę.

Po przedstawieniu Maryla chwyciła ją nagle kurczowo za rękę. Ona, zawsze taka spokojna i opanowana, drżała.

- Pani Halino, jak ja to przeżyłam! Ja też znam smak łaskawego chleba...

Miała z nimi sporo kłopotu, nim wreszcie rozeszli się po sennych już o tej porze, cichych i spokojnych ulicach Poznania. Przystawali przy szatni, w hallu, przed budynkiem teatru, dyskutowali zawzięcie, zwierzali się ze swych wrażeń, pokrzykiwali, któraś z dziewcząt płakała.

- Pamiętajcie, że w poniedziałek o szóstej przyjdzie do nas Kuzowkin i Karpaczów, i jeszcze paru bohaterów. Przygotujcie się dobrze do dyskusji - przypominała kilkakrotnie o spotkaniu z aktorami.

Stali na pomoście „czwórki”, kołyszącej się przy szybkim biegu ze strony na stronę. Motorniczy korzystał z pustek na ulicach Poznania, gnał nieprzepisową szybkością.

Ratajczak opowiadał o swoich sukcesach w fabryce. Nie produkcyjnych, te uważał za całkiem oczywiste, ale o zwiększaniu liczby niewidomych pracujących przy składaniu piast.

- Mówiłem ci, pierona, że się zrobi. Możesz dawać teraz tego leniwego Młyńczaka, czy jak mu tam. Na kajakach to umie jeździć, a do roboty mu nie ochota, siostra na niego haruje, pierona!

Silnicki zatrząśł się hamowanym śmiechem,

- Nie klnij go, on też miał swoje racje... Do piast nie pójdzie, bo na własną rękę zaczyna...

- Jak to?

- Pracuje już, przy maszynie w wytwórni pomocy szkolnych.

- Oooo, pierona! - było w tym wykrzyku wiele szczerego podziwu. Ratajczak marzył, alby poznać z czasem pracę przy jakiejś maszynie. Miał sentyment do motorów, wydawało mu się, że to są żywe stworzenia, które można oswoić podobnie jak Amę.

- Sztancuje tam jakieś blaszki, nawet dobrze nie mogłem wyrozumieć, co opowiadał. Strasznie tym przejęty.

- Muszę się go zapytać, może i ja bym tam poszedł? Choć nie, chłopaków nie zostawię... Wiesz, czterech ludzi nam trzeba. Korycki nie bardzo wie, skąd tak na poczekaniu ich wziąć? Po wioskach i małych dziurach pełno naszych męczy się bez roboty, marnieje, bo tu nie ma gdzie mieszkać.

- No, Maleszka Poznań wyczyścił gruntownie. Teraz się zabrał za starych, co siedzą przy piecach. Słyszałeś, montuje spółdzielnię metalową. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Bursa też ma się przenieść na Wawrzyniaka, będzie tam dużo miejsca.

- Tralala, pierona! A tu okazja pracy jest i fiuuu, przeleci... Mówił Korycki, że poradzą, ale ja nie wiem...

- Ilu was tam już jest?

- Nas? Jedenastu, a tylko jeden widzący. Reszta swoje chłopaki. Ostatnio dostaliśmy list pochwalny. Tu pracowało przedtem osiemnastu ludzi i składali tę samą liczbą piast, co my teraz.

- No, i twoja kobieta tutaj też robi?

- E tam, ważna teraz, maszynistka, pierona, na obrabiarkę poszła - w głosie Ratajczaka zabrzmiała duma, a zarazem żal i jakby rozgoryczenie. - Przy piastach same brajlaki ostały.. Prędko pójdzie w ruch nowa zginiatarka, zwiększamy produkcję, trzeba wyszkolić czterech nowych. Pozwolili prowadzić szkolenie od razu na montażowni. Tylko te mieszkania... - Przypomniały mu się niedawne własne kłopoty, spochmurniał. - Wam to dobrze, każdy z ZISPO dostał mieszkanie, cała dziesiątka...

Z wnętrza wozu dobiegł mocniejszy głos Silnickiej. Ratajczak wsłuchał się, szepnął:

- Przyszlibyście kiedy z żonką, znajdzie się wiśniak na taką uroczystość.

- Nie da rady, bratku, ja się uczę, głowa aż puchnie.

- Prawda, pierona. Ja już za stary jestem, a i to czasem bierze ochota. No nic, córka się za mnie nauczy, dwa latka i doktorem będzie, pierona... Okulistykę sobie wybrała. - Umilkł, a potem odezwał się innym tonem: - Wiśniówkę możemy przełożyć, ale od zarządu się nie wymigasz! Już my przy wyborach pomyślimy o tobie...

Tramwaj zazgrzytał, zapisać hamulce.

- No, wysiadamy - rzekł zamyślony Silnicki.

Przed nimi gramoliła się jakaś kobieta. Przystanąła nagle na stopniu pomostu, wetknęła w rękę Ratajczaka papierek. Silnicki odruchowo zwarł palce, nie przyjął jałmużny.

- Macie, bidoki... Co to, czemu? Nie chcecie?

- Bier se, pani, swoje pieniąchy, my nie żebraki, pierona! - wrzasnął nagle Ratajczak, z pasją rzucił papierek za odchodzącą.

- Cię, moiściewy, jak to teraz zhardziało... - zdziwiła się kobieta.

Rojno było w obszernej świetlicy nowego lokalu Związku przy Jackowskiego, z dala od gwarnych ulic i wielkiego ruchu. Krzyżowały się głosy, padały sprzeczne opinie, ktoś od nowa opowiadał wrażenia z oglądanej przed paru dniami sztuki.

Grupa aktorów teatrów poznańskich zatrzymała się niepewnie w długim korytarzu oświetlonym tylko jedną żarówką. Ale już skrzypnęły drzwi, wynurzyła się drobna postać kobieca, zabłysły w niemrawym świetle siwe włosy:

- Proszę, proszę, czekamy niecierpliwie.

Wprowadzała ich do sekretariatu, gdzie zrzucili okrycia. Witała z serdeczną uciechą.

- Ogromnie są wzruszeni spotkaniem z wami. No, a pan przeżyje ładny masaż - zwróciła się do starszego wiekiem aktora, który w Łaskawym chlebie grał rolę Kuzowkina. - Nie speszcie się, drodzy państwo, i nie okażcie czasem niezadowolenia, gdy będą was brajlowali. Tego nie unikniecie. Oni was słyszeli, teraz będą chcieli zobaczyć po swojemu...

- Brajlowali?

- No tak, to znaczy, będą was obmacywać po twarzach, głowach, ramionach, interesują ich też bardzo ręce. Zapewniam, że wszyscy są idealnie czysti. To cecha typowa dla niewidomych...

- Brajlować, dobre słowo...

- Nazywają siebie brajlakami, wcale zresztą nie w żartobliwej czy uszczypliwej formie. Chodźmy już. Sama jestem ciekawa tego spotkania. Z literatami już się oswoili od czasu, jak urządzam u nas co miesiąc spotkania autorskie. Ale aktorów zobaczą pierwszy raz. Mogą być onieśmieleni...

- Więcej kolegów nie mogło przybyć, mamy dziś różne imprezy, kilku choruje... - tłumaczyli idąc korytarzem.

Z świetlicy dochodził gwar. Na skrzyp otwieranych drzwi wszyscy ucichli, zwrócili głowy w kierunku wchodzących. Aktorzy spoglądali nieco speszeni. Około sześćdziesięciu niewidomych uważnie wsłuchanych, z twarzami zwróconymi w ich stronę - to rzeczywiście robiło wrażenie.

- No, brajlacy, przybyli nasi drodzy goście.

- Dzień dobry, witamy! - przebiegło przez salę.

- Proszę, proszę, siadajcie, państwo. Ja przede wszystkim muszę zapoznać naszych słuchaczy z ich dzisiejszymi gośćmi. - Zwróciła się w stronę niewidomych. - Na pewno jesteście wszyscy ciekawi, kto jak wygląda na codzień, bez charakteryzacji, prawda?

- Tak, tak - odpowiadali trochę nieśmiało.

- Otóż pani Kukułowska. Ta, która grała rolę starej klucznicy Praskowii, pamiętacie? Jest to wysoka, szczupła pani o siwych włosach, bardzo miła, ubrana w ładny żakiet - to zawsze szczególnie ciekawi nasze dziewczęta. Z kolei pan Hanisiak, średniego wieku, trochę już otyły pan, z taką śmieszną łysinką - mrugnęła do Hanisiaka - buty pewnie ma nowe, bo skrzypią, jak to zauważyliście.

Zaśmiali się. Hanisiak trochę stropiony gładził się po głowie.

- Trzeci nasz gość to młody człowiek, bardzo przystojny, tak, tak, dziewczęta, brunet, ma duże, ładne oczy. Czy pamiętacie postać, o której charakteryzacji tak dokładnie wam opowiadałam? To była rola, gdzie mało się mówiło, czy przypominacie sobie krawca Anpadista...

- O tak, tak...

- No, a teraz oddam głos panu Hanisiakowi, czyli Kuzowkinowi, o którym tyleście mówili...

Hanisiak nie miał daru wymowy. Był stremowany nowym, nie znanym sobie środowiskiem. Pozdrowił zebranych od wszystkich aktorów, dodał, że bardzo ich interesuje zdanie obecnych tutaj na temat gry i samej sztuki Turgieniewa.

Słuchali w naprężeniu, pochylali się do przodu, żeby nie uronić jednego słowa.

Kitliczowa prowadziła wieczór.

- Goście nasi chcieliby usłyszeć, co sądzicie o sztuce? Powiedzcie też szczerze o grze. Dlaczego pan Hanisiak nie ma słyszeć prawdy, że grał niedobrze, jakoś mu nie wychodziła rola Kuzowkina...

- O nie, nie! Skąd! Grał wspaniale, ja płakałam, nie mogę zapomnieć... Nie, bardzo dobrze! - rozległ się chór zmieszanych, oburzonych do żywego głosu...

- Zaraz, zaraz, nie wszyscy od razu. Kolega Maniszewski tak głośno protestuje, może powie nam wszystkim...

- Ja chciałbym powiedzieć, że mnie ta sztuka bardzo się podobała. Była taka prawdziwa... Mnie i kolegów wzruszyła jeszcze bardziej dlatego, że tam było tak jak z nami przed dwudziestu laty... Niewidomi, ja sam, byli na łaskawym chlebie. Albo zebrali, albo utrzymywali się z innej jałmużny. Tylko nieliczny procent pracował, zarabiał na siebie... Byli odtrąceni, tak jak, wszyscy biedni ludzie. A dzisiaj wśród nas nie ma już takich... I my dlatego tak bardzo przeżyliśmy... A jeżeli chodzi o pana Kuzowkina...

- Hanisiaka, Kuzowkin to nazwisko w sztuce.

- ...pana Hanisiaka, to trzeba powiedzieć, że grał on świetnie. To było szczerze, czuło

się, że naprawdę płacze na scenie, że przeżywa to z córką swoją, i w ogóle jak go ponizają. To była sama prawda... Byliśmy na Grzechu, tam pan Hanisiak też grał ojca w innej sytuacji... Ale nie grał tak prawdziwie. Ja słyszałem tam aktora, a tutaj żywego człowieka, tego właśnie ojca na łaskawym chlebie... To było bardzo dobre i my dziękujemy wszyscy...

- No, widzicie, kolego, jak dobrze to powiedzieliście... Kto teraz? Mówcie, dziewczęta, tyle z was opowiadało mi o swoich wrażeniach, a teraz milczycie?

- Dzitko? proszę!

- Ja, tego, no z tym aktorem, co był Karpaczow. Bo oni mówią, że do mnie podobny, bo wielki. Ale wielki to nie to samo co świnia. A ten Karpaczow to była świnia, bo tak samo był na łaskawym chlebie i jeszcze prześladował, dureń, tego biednego starego, no tatki tej pani... Ten aktor dobrze grał i ja bym chciał wiedzieć, jak on wygląda...

Teraz dopiero rozgadali się. Kitliczowa ledwie dawała sobie radę z utrzymaniem porządku. Była nawet przyjemnie zaskoczona takim ożywieniem. Najlepszy dowód, jak głęboko przeżyli sztukę. I ciągle to porównywanie między dawną dolą niewidomego, a obecną samodzielnością i równorzędnością we wszystkim.

Gdy po paru godzinach Hanisiak dziękował w imieniu kolegów i swoim, rozgadał się. Mówił szczerze o tym, że specjalnie kładł nacisk na głos, na jego wyrazistość, wiedząc, że wśród widzów tylu jest niewidomych; pytał, czy nie wyczuli fałszu w jego grze, wdzięczny był za wytknięcie błędów.

Potem Kitliczowa oznajmiła, że goście zgodzili się na zawarcie bliższej znajomości przy pomocy brajlowania. Pierwsze dziewczęta otoczyły ich kołem, dokładnie, z przejęciem wodziły palcami po twarzy, badały nos, oczy i usta, zarys policzków, spadzistość ramion. Hanisiak pod koniec czuł się zmęczony...

Gdy ubierali się w sekretariacie, Kitliczowa spytała ich o wrażenia z tego niecodziennego spotkania. Aktorzy byli wstrząśnięci. Hanisiak wyznał, że podobnie ciekawe dyskusje nie zdarzają się często.

Pomimo spóźnionej pory nikt jeszcze nie zamierzał wychodzić ze świetlicy.

XVII

Kaczan szedł do domu nie spiesząc się. Radowało go położenie mieszkania. Tuż przy placu Wolności, na spokojnej ulicy, wszędzie stąd było blisko. Czasem wychodził pod wieczór, wsłuchiwał się w ruch uliczny, przynosiło to odpoczynek zmęczonemu umysłowi.

Nie stracił swego pogodnego, miłego uśmiechu. Tylko ten, kto go dobrze znał, dostrzegłby głębsze bruzdy koło ust. Ruchy też stały się bardziej nerwowe, zdradzały wewnętrzny niepokój.

Kaczan spalał się w nauce, przynosiła mu ona uspokojenie, dawała cel w życiu. I jeszcze jedno. Świadomość, że w łonie żony kołace nowe życie. Budziła się w nim miłość do nie narodzonego jeszcze dziecka.

- Panie, przecież czerwone światło, gdzie pan idziesz?! - powstrzymał go okrzyk.

Obrócił się w kierunku głosu. Jakiś jegomość zrzędził nadal:

- I co tu pomoże nauka chodzenia, pcha się toto na jezdnię, ani patrzy...

- Przepraszam pana, jestem niewidomy - rzekł ze złością.

Nie lubił podkreślać swego kalectwa. Opaski nie nosił, zrezygnował też z białej laski. Nie chciał wywoływać uczucia litości, które sprawiało mu ogromną przykrość.

Przeszedł jezdnię wraz z grupą ludzi. Przyspieszył kroku. Chciał już prędzej znaleźć się u Bronowskiej. Skręcił na Ogrodową.

- A, pan Kaczan, dawno pan u nas nie był. Janka czeka... - Ciotka Bronowskiej żywiła do niego szczególną sympatię. - Janka, masz gościa! - wołała w głąb mieszkania.

- Dzień dobry, Józek - odezwała się dziewczyna. - Siadaj. Ja kuje, mamy jutro klasówkę z pedagogiki...

- Długo nie będę - zastrzegł się. - Przyszedłem po te notatki.

- Daj spokój, nie po to mówię, żeby cię stąd wykurzać. Misia też pożyczła ci część swoich zeszytów... - Dała mu związaną starannie paczkę notatek brajlowskich. - Czemu już dwa razy nie byłeś na gimnastyce? Nie pojedziesz do Krakowa? Twardosz rozżalony na ciebie...

- Czy pojedę? Nie wiem. Zależny jestem od lektorek. Wiesz, że nie łatwo o nie. Ostatnio nie przychodziły, na szczęście dopomógł Marcińczyk, załatwił w ZMP... I jakoś nie mam ochoty jechać. Straciłem zapal do sportu.

- Ja nie mogę, ale pojechałabym chętnie. Tak pragnę zobaczyć Wawel... Twardosz obiecuje zorganizować wycieczkę do Nowej Huty. Zazdroszczę tym, co pojedą... On taki jest

miły na wycieczkach, ty nie wiesz, bo nie było ciebie ani na spływie, ani potem w marszu przez Wielkopolski Park Narodowy. Nie powinienes, Józek, tak wycofywać się...

Pewnym ruchem położył dłoń na wąskiej jej ręce.

- Nie mówmy o tym... To trudne sprawy, może się ułożą. Powiedz lepiej, co u was słychać? Jak idzie?

- Dobrze. To już nie pierwszy rok. Znają nas, nie robią różnicy między nami a innymi. Wiesz, niedawno dostałam dwóję z algebry, coś mi się poplątało. Bardzo było mi przykro, już poprawiłam... Jedyne dyrektora taki sam. Naszych małych z Owińska nie przyjął w tym roku.

- Lepiej się stało. Wszystkie pięć są w Kórniku. Za trzy lata do tamtego liceum będą szły wszystkie niewidome. Dyrektor kórnicki mówi, żeby przysłać nawet dwadzieścia, zawsze przyjmie je całym sercem... Spotkałem je kiedyś, przyjechały do teatru ze szkołą, zaszyły do Związku. Śmieszne szkraby.

- No, no, tylko Joasia jest młodziutka, tamte mają po szesnaście czy siedemnaście lat.

- Bronowska obruszyła się pamiętając o swoich osiemnastu latach.

Śmiał się ubawiony. Pytał z kolei o chłopców w liceum ogólnokształcącym.

- Janek świetnie sobie radzi, jest drugim uczniem, Frankowi idzie trudniej, ale się trzyma...

- Patrz - liczył ma palcach - ilu już nas studiuje? Wy dwie, w Kórniku pięć, chłopcy, to dziewięć. Na uniwersytecie czterech, pełna trzynastka. Żeby tak przed pięciu laty, nikt by nie uwierzył.

- No, a wy? Ty i Silnicki robicie maturę; mówił mi Twardosz, że podstawówkę zaczęło aż sześć osób...

- Widzisz! Skoro Korycki został prezesem, na pewno ruszy wszystko jeszcze lepiej. Sam skończył, chce, żeby inni również drapali się wyżej... Szkoda, że nam zabrano Zygala. Przydałby się w Poznaniu.

- Więcej zrobi w generalnej prokuraturze niż tutaj. Był jego artykuł w miesięczniku fachowym, wysuwa projekty koniecznych ustaw w sprawie niewidomych. Twardosz czytał mi ten artykuł... Jeżeli Zygałowi dalej tak pójdzie, to naprawdę niedługo będziemy mieli niewidomego prokuratora. Chyba pierwszego na całym świecie?

Zamyślił się. Potem rzekł ciszej, żeby nie usłyszała go ciotka krzątająca się w przyległym pokoju.

- Janka, ty nie myśl tyle o Twardoszu... To porządny człowiek, po co sobie i jemu masz stwarzać kłopotliwe sytuacje? On nie jest świnia, nie wykorzysta tego, będzie się denerwował. A ty... ty możesz się załamać, to przecież nie ma najmniejszych szans...

Nie odpowiedziała od razu. Czuła, że ręce jej zwilgotniały. Serce zaczęło bić mocno.

- Józek, co ty pleciesz?

- Dziewczyno, ja widzę! Szkoda ciebie...

- Ależ ja go wcale nie kocham. Tobie się tylko tak zdaje. Lubię go bardzo, wszystkie dziewczęta go lubią, dobry jest dla nas.

- No, jeżeli tak, to w porządku - odpowiedział nie przekonany.

Nagle odeszła go ochota do mieszania się w te sprawy. Co go właściwie obchodzi? Każdy sam musi przejść własną porcję doświadczeń, nie ma rady.

Pożegnał się szybko. Zdziwiona, przejęta tym, co usłyszała, złęknioma, że ktoś odgadł jej tajemnicę, szepnęła:

- Józek, tylko nie powtarzaj nikomu podobnych głupstw, bardzo cię proszę...

- Bądź spokojna.

Skoro się tylko znalazł na dworze, wyczuł od razu, że zapadł już wieczór. Zastanawiał się często, w jaki sposób poznaje porę dnia. Co innego ci, którym pozostał szczątkowy wzrok; oni dostrzegają światło lub jego brak. Kaczan nie widział nic, kompletnie nic. Nawet nie odczuwał nigdy jakichś błysków ognistych, o których opowiadali koledzy. Zawsze nieprzenikniona ciemność i pustka przed sobą... A jednak nie mylił się w określeniu, czy jeszcze jest dzień, czy nastąpiła już noc. Godziny też wyczuwał intuicyjnie z niewielkimi błędami.

Zasłuchał się w miasto. Może wieczór wytwarza jakiś specjalny nastrój, wyczuwalny w krokach, w głosach ludzi, w szorowaniu opon samochodowych i dzwonek tramwajów? Nie, wszystko było takie samo jak zawsze. Ktoś szedł w skrzypiących butach, człapała jakaś staruszka, ciężko posuwała nogami. W którymś miejscu było tłoczniej, mieszały się ze sobą rozmowy i ciche szepty. Wiedział, że jest przed kinem. Wyciągnął laskę przed siebie, szedł ostrożniej. Nagle stanął, wyczuł przeszkodę. Zboczył, szurał laską. Dotknął muru. Ach prawda, tutaj przecież jedna z kamienic wysuwa się zwężając chodnik...

Drgnął. Spieszne kroki z tyłu wydały mu się znajome. Doleciał go zapach wody kolońskiej. Już wiedział. Nie pragnął tego spotkania. Zatrzepotał w nim lęk, czuł, jak burzy się z takim trudem wypracowany spokój. Przygiął się, skurczył, w słabej nadziei, że go może nie pozna... „Nie zechce poznać” - poprawił się w myśli, zaboląta ta myśl.

Była tuż za nim.

- Józek, goniłam za tobą, tak szybko szedłeś... - chwyciła go pod ramię, szukała dłoni. Ujął lekko jej palce, z obojętnością nakazaną sobie całym wysiłkiem woli.

- Dzień dobry. Spieszę się, mam dzisiaj dużo roboty... O, co widzę, obrączka? - Przez

rękawiczkę wyczuł twarde kółko na palcu kobiety.

Drgnęła, potem chwyciła go mocniej pod ramię, przytuliła się. Zadygotał jej głos:

- Tak, wytłumaczę ci... Ty przecież teżnosisz obrączkę, masz żonę. Przejdziemy się, chcę ci wiele powiedzieć. Dla mnie to bardzo ważne.

- Naprawdę, Wando, ja nie mam czasu... - Coś nowego w jej stroju podrażniło jego palce. Delikatnie przeciągnął dłonią po miękkim futrze.

Był już zupełnie opanowany. Chybotął paczką notatek brajlowskich, przegradzał się nimi od Wandy.

Wiosna w tym roku była pełna silnych wrażeń. Zaledwie minęło podniecenie spowodowane nowymi wyborami do zarządu, a już niebywałą emocją stał się wyjazd i zwycięstwo ośmioosobowej drużyny gimnastycznej na zawodach w Krakowie. Poza tym nowe małżeństwa, wyłanianie się dalszych możliwości pracy, wreszcie sprawa z odznaczeniem Kaczana.

Ogromne poruszenie powstało między niewidomymi, gdy pewnego popołudnia rozeszła się wiadomość o nadejściu pisma przyznającego Kaczanowi odznaczenie za ratowanie ginących. Pismo otrzymał Kaczan, kopię przesłano do zarządu.

Korycki wraz z całym zarządem nie wiedzieli, o co chodzi. Posłano do Kaczana, który był właśnie na urlopie. Żona oznajmiła, że poszedł na lekcje. Jakieś pismo o odznaczeniu nadeszło, mówiła, mąż był zdziwiony, gdy mu je przeczytała, ale nic nie powiedział... Od tygodnia zresztą chodzi jakiś podenerwowany, może chory... To ją najbardziej troskało...

Dopiero pod koniec urzędowania wyjaśnił szczegóły telefon z Zarządem Głównym. Tam też panowało poruszenie. Za trzy dni w Poznaniu miano Kaczanowi uroczyste wręczyć odznaczenie. Uratował on tonącą dziewczynkę w ubiegłym roku, w czerwcu, na Wiśle.

O niczym innym nie mówiono w dzielni, szpitalach, w domach, internatach. Kaczana wreszcie ściągnięto do Związku. Był lakoniczny. Wiadomość zrobiła na nim wrażenie, ale starał się je ukryć.

Wzruszali ramionami nad tą jego wstrzemięźliwością. Korycki był nawet lekko urażony. Uspokoila go dopiero Kitliczowa.

Uroczystość przygotowano starannie. Przyjechał delegat z Warszawy, wydarzeniem zainteresowała się prasa, u Kaczana zjawili się fotoreporterzy. W świetlicy brakło miejsc, przybyli nawet ci członkowie, którzy normalnie stronili od Związku.

Odznaczenie wręczał przedstawiciel władz miejskich. Mówił długo, trochę nudno. Jeszcze zabierali głos Korycki i delegat z Warszawy. Kaczan dziękował, uśmiechał się, ręce

mu drżały. Odetchnął, gdy zaczęła się część artystyczna. Nareszcie mógł spokojnie przypomnieć sobie wszystko od nowa.

Jakże strasznie cierpiał, gdy po rozstaniu z Wandą wyjechał do Warszawy. Właściwie nie bardzo zdawał sobie nawet sprawę, po co tam jedzie. Gdzieś kołatało wspomnienie dziewczyny w wiejskiej chacie koło Michalina, gdzie był ewakuowany po powstaniu warszawskim razem ze schroniskiem wojskowym. Ale ważne było to, że chciał być jak najdalej od Poznania, od bolesnego rozczarowania. Tym boleśniej było, że przede obawiał się go zawczasu, że czynił wszystko, aby nie dopuścić do rozwinięcia się w sobie uczucia do Wandy, nie chciał narazić się na nową klęskę. Intuicja przestrzegała go, ale któż by się oparł zakłębom i przysięgom miłości? Z pasją zamykał wtedy na klucz nowe, z takim trudem wywalczone mieszkanie. Starał się o nie z myślą o Wandzie.

W Warszawie zabawił tydzień. Odszukał kolegę z partyzantki, który ukończył akademię WF, był teraz instruktorem przy klubie sportowym „Gwardia”. Serdecznie przywitał Kaczana. Wspominali dawne dzieje przez całe godziny, opowiadali, co teraz porabiają. Kolega znał dobrze Twardosza, wyrażał się o nim z zapalem. Zaciekawilo go, że Twardosz wybrał pracę u niewidomych. Zdumiał się opowieścią Kaczana o sukcesach sportowych poznańskiego zespołu...

Pogoda była ładna, każdego dnia chodzili na basen „Gwardii”. Józek wspominał przygodę na Łasze Grochowskiej, kiedy zamierzał się tam utopić. Obecnie nie przyszlaby mu do głowy myśl o samobójstwie. Tyle, że ostatecznie przestał wierzyć kobietom, przekreślił marzenia o czystej, szlachetnej miłości.

W Warszawie postanowił, że będzie się uczyć. Zygał stał się dla niego przykładem. Zdobyć wiedzę, działać, tworzyć. To tylko mogło zapewnić spokój i przynieść choćby namiastkę szczęścia...

Tymczasem, kąpał się, cieszył krótkimi chwilami, kiedy rozleniwiony słońcem nie pamiętał o Wandzie. Przywiązał się do małej dziewczynki, córki dozorca przystani. Dziecko polubiło niewidomego, który przynosił cukierki i opowiadał zabawne historyjki...

Zdrzemnął się właśnie, gdy w sen wdarł się okrzyk przestachu małej Luni. Porwał się z miejsca, słyszał plusk, wnet pojał, że dziecko wpadło do Wisły. Spieniona woda obijała się o drewniane belkowanie, od strony przystani dudniły kroki biegnących ludzi, ktoś krzyczał. Nasłuchiwał, doszedł go rozpaczliwy, niewyraźny pisk. Skoczył, prul wodę kierując się w stronę, z której dobiegł go głos dziewczynki. Chyba nigdy nie żalował tak swych oczu jak wtedy. Zdawało mu się, że już dopłynął do miejsca, gdzie przypuszczalnie musi być tonąca, na próżno jednak szukał nogami, rękoma, nic... I jakby cudem jeszcze raz usłyszał jej głosik

prosto przed sobą. Wyciągnięte ramię nareszcie znalazło, mocno przytulił dziewczynkę do siebie, unosił jej główkę ponad wodą. Uczuł, że złapała go kurczowo za szyję. Zawracał, prąd znosił, ale i ułatwiał orientację. Zmęczony wysiłkiem, płynął wolno w stronę, gdzie przypuszczalnie znajdował się brzeg... Usłyszał mocne rozbijanie wady przez kilka ramion i głosy dopominające się o małą. Nie oddał, krzyknął tylko: „Nie, ja sam! Pokażcie kierunek...”

Cieężko dyszał, wirowało mu w głowie, gdy dotknął wreszcie gruntu nogami. Dozorca, który nadbiegł już, porwał dziecko w objęcia. Zaraz zaczęto przywracać je do przytomności. Rozradowany ojciec ścisnął niewidomego. Zjawił się kolega. Dokoła słyszał głosy podziwu, prowadzono go na przystań jak triumfatora.

Następnego dnia wyjechał z Warszawy do Michalina. Stamtąd powędrował na wieś, gdzie mieszkała Stefka... Powitała go łzami radości... Minęły jeszcze dwa tygodnie, przywiózł ją do Poznania jako żonę...

Mocne brawa, jakimi dziękowano Czernijewowi za piękną grę, wyrwały go z zadumy. Uroczystość dobiegała końca.

Usłyszał jeszcze zapowiedź Kitliczowej, aby niewidomi nie zapomnieli otworzyć dziś radia o osiemnastej godzinie, bo czeka ich wielka niespodzianka. Zdziwił się, co też może tam być nadzwyczajnego. W tej chwili obok niego zabrzmiał jej głos:

- Kaczan, drogi, a mnie nie pozwolisz raz jeszcze pogratulować ci serdecznie? Gdzież się podziały nasze rozmowy, gdy mnie uczyłeś, jak należy poznawać niewidomych? Ej, Kaczan, Kaczan, brzydko tak nie pamiętać o przyjaciółach. Tyle się namartwiłam o ciebie...

Ujął jej rękę, mocno przycisnął do ust.

- Pani Halino, dopiero przed chwilą zaczęło się jakoś przełamywać we mnie to wszystko...

Kitliczowa niecierpliwie przebierała w zwykłych książkach. Wydawało się, że jest ich jeszcze mniej przy olbrzymich foliach brajlofskich książek zapelniających sosnowe półki. Niedawno dopiero zaczęła kompletować tę dodatkową bibliotekę. Pobudką do tego stała się sprawa Kupczyka.

Było to jakoś pod jesień ubiegłego roku. Julek zdobył pełne umeblowanie do swego małego pokoiku na Dzierżyńskiego. Chciał się ożenić. Zateęsknił za ciepłem kobiecym, za domem, w którym nie będzie pusto, ale nie miał upatrzonej dziewczyny.

Zaproszono go raz na imieniny do sąsiadów. Rej wodziła tam mama, niska, przysadkowata jejmość, utrzymująca całą rodzinę ze straganu, który miała na rynku

Wildeckim. Pan domu wyglądał na chuchro żyjące w bojaźni przed żoną. Była jeszcze córka, dwudziestoparoletnia dziewczyna, ani ładna, ani specjalnie pociągająca... Straganiarka od dawna przyglądała się Kupczykowi, mieszkającemu parę domów dalej. Imponowało jej, że choć ślepy, zarabia jednak ponad tysiąc złotych miesięcznie, jest nauczycielem pisania i czytania na kursie dla niewidomych. Zaprosimy nie były przypadkowe. Zebrało się parę osób. Pito obficie zdrowie grubej, niemrawej Helenki. Julek się podochocił, szeroko opowiadał o swych plamach małżeńskich. Kieliszki nie spoczywały, chłopcu zarobiło się dziwnie wesoło. Z pijaną szczerością zwierzał się, że nie ma dziewczyny, musi sobie dopiero poszukać. Chuderlawy gospodarz kiwał się drzemiąc na swoim krześle. Dziewczyna przyglądała się inteligentnej twarzy niewidomego. Wydawał jej się zupełnie ładny. Ciekawie nadstawiła uszu na słowa matki, mrugającej do niej oczyma.

- To bieda, panie Julku, bieda, nie tak łatwo dzisiaj znaleźć porządną dziewczynę... Chciałabym panu dopomóc... - Nagle palnęła się pięścią w czoło. - Kotku mileńki, jest rada, mądra rada! Toż wy pobierzecie się z moją Helenką! Anioł, nie dziewczyna, z porządnego domu, w sam raz będzie dobrana para. No co, chłopcze kochany? Ej, będę ja wam matkować, co się dużo namyślać, jak taki gołąb prosto z dachu leci do rąk. Bierz dziewczuchę, pókim łaskawa, możemy dzisiaj zapijać zaręczyny, ślub się potem wyrzuchtuje raz, dwa... No, Helenka, cóż siedzisz taka niemrawa, ruszże się, rusz do niego - obcesowo popchnęła córkę w stronę chłopaka. Dziewczyna obłapiła go ramionami za szyję, ucałowała. Julek nie pozostał jej dłużny... Po paru minutach obudzony ze snu pan domu pił z gośćmi zdrowie pary narzeczonych.

Poszło wszystko piorunem. Ani się Kupczyk obejrzał, jak w niecały miesiąc potem wprowadzał żonę do swego domu.

Helenka była dobrą dziewczyną. Ale zahukana, popychana od małego przez matkę, niezaradna, miała mniejsze wyrobienie życiowe niż jej niewidomy mąż. W dodatku, ale o tym Julek dowiedział się dopiero znacznie później, skończyła tylko dwie klasy szkoły podstawowej, ledwie czytać i pisać umiała. Gorzej, że do czytania nie ciągnęło jej ani trochę... Gospodyni była jednak z niej dobra, zaradna, oszczędna, mieszkanie lśniło czystością, Kupczyk chodził zawsze ubrany bardzo starannie. Jeszcze, żeby znalazł w żonie lektora... Ale tu spotkało go rozczarowanie. Zazdrościł innym nauki, sam chciał się uczyć. Dlatego też, między innymi, pragnął się ożenić. Liczył na pomoc żony. Tymczasem nic z tego...

Kitliczowa zauważyła, jakie znaczenie dla umysłowego rozwoju niewidomego ma poziom zainteresowań jego żony. Okazało się, że w wielu domach było podobnie jak u

Kupczyka. Żony stroniły od książek. Pomyślała, żeby utworzyć przy Związku także zwyczajną bibliotekę. Różnymi sposobami zaczęła zachęcać do czytania żony swoich pupilów. Nie chciały, nie przychodziły po książki do Związku. Przesyłała je pocztą. Powoli kilka z nich wciągnęło się do czytania. Między nimi znalazła się i Helenka Kupczykowa. Trudno szło początkowo, dużo znaczył dobór książek, żywych, ciekawych, frapujących akcją sensacyjną i mało skomplikowaną. Sprawa powoli zaczęła się rozwijać. Niejeden już przychodził dziękować. Kupczyk rozplakał się nawet pewnego razu z wdzięczności.

Zaopiekowała się nim wtedy jeszcze bardziej. Odkryła w nim zdolności pisarskie. Kiełkowało to dopiero, ale miało swój własny, odrębny smak, coś jakby dobrze jeszcze nie przetrawionej śliwownicy... Wczoraj przeżywali oboje sukces. I właściwie nie wiadomo, kto bardziej się cieszył słuchając audycji radiowej: autor czy Kitliczowa...

Potrząsnęła siwymi włosami, zanuciła coś z zadowoleniem. Wcześniej jeszcze, dochodziła dopiero dziewiąta. Nie mogła doczekać się przyjścia prezesa, urzędniczek, pierwszych interesantów. Ciekawa była, co powiedzą. Bo gdzież to, Kupczyk pisarzem, rzecz niesłychana! Mało, rozgłośnia poznańska zamówiła u Julka nowe opowiadanie o niewidomych... Jakież był uradowany, gdy dowiedział się o tym.

Prezes Korycki pojawił się pierwszy. Słyszała, jak szybkim, drobnym swym krokiem wszedł do sekretariatu, potem popędził wprost do biblioteki.

- Poczuję zapach pani pudru, wiedziałem, że już pani jest w Związku. Dzień dobry. Co to takiego z naszym Kupczykiem? Naprawdę on napisał?... Mocne opowiadanie, świeże, oryginalne, słuchałem z zachwytem. On sam napisał? - Wyczuła podejrzliwość w tym ostatnim, gwałtownie wyrzuconym pytaniu.

- Sam. I nie to jedno. Od pół roku pisze, razem poprawiamy, dyskutujemy. Literaci zaprosili go już na kilka zebrań roboczych, możliwe, że wejdzie w skład Koła Młodych. O, nasz Julek pracuje, chciałby tylko mieć takie warunki, żeby mógł się spokojnie uczyć. Przecież on pisze tutaj, nie w domu, tłucze się wieczorami po mieście...

- Teraz rozumiem, co on tak wypukiwał każdego niemal wieczora... No tak, w domu ciasno, niewygodna... Ależ to świetnie, naprawdę świetnie! Musimy jakoś pielęgnować, rozwijać ten talent. Już ja nad tym pomyślę, coś się zaradzi... - Odchodził. Nagle zawrócił, uściskał jej dłoń. - To pani zasługa, pani Halino...

- Kupczyka! W żadnym wypadku moja - śmiała się.

- My swoje wiemy. No, tymczasem uciekam. Mam dzisiaj odprawę w komitecie, a jeszcze chciałbym parę spraw załatwić przed wyjściem. Marcińczyk przyjdzie, mamy wiele do obgadania.

W drzwiach omal nie zderzył się z wchodzącym cicho Kaczanem. Przywitali się, nowy prezes śpieszył się do swojej roboty. Kaczan siadł na stole, bujał nogami. Milczała, czekała, aż sam zacznie mówić. Adresowała paczki. Podniosła jedną, powiedziała:

- Kaczan, tu książki dla żony... Weźmiesz ze sobą?

- Dobrze. Wie pani, że chętnie czyta, nawet ostatnio ciągle jej mało książek, tej mojej Stefce... Bywają chwile, kiedy wydaje mi się, że będę jeszcze szczęśliwy. Wczoraj miałem taką chwilę, życie wydało mi się jaśniejsze... - Urwał, potem szepnął: - Dzisiaj znowu sam nie wiem... Nie tak łatwo wyzwolić się z przeszłości. Ech, gdyby nie nauka, zagryzłyby mnie moje strapienia!

Przyglądała mu się uważnie. Postarzał znacznie przez ostatnie miesiące. Pod oczyma pojawiły się zmarszczki, oznaka zmęczenia. Tylko uśmiech został ten sam, zawsze miły, pogodny.

- Ale z Kupczykiem to naprawdę przeżyliśmy niespodziankę. Uszom swoim nie chciałem wierzyć. - Przeszedł na inny temat.

- Jakie wrażenia?

- Dodatkowo. Może czasami za wiele liryzmu, niemęskiej tkliwości. Ale to chyba cecha wszystkich niewidomych, której nie przesłoni największa nawet gburowatość. Dlatego zastała pani w kole recytatorskim same tragiczne i sentymentalne utwory. Niełatwo przyszło pani nauczyć nas innej poezji... Tak samo z Kupczykiem. Może z czasem przełamie się, odnajdzie szersze perspektywy. Chciałbym, aby okazał się prawdziwym talentem.. Wiele spraw mógłby odsłonić, spraw niedostępnych ludziom mającym wzrok.

Zdumiewała się niejednokrotnie dojrzałością sądów Kaczana. Mogły być słuszne, mogły prowadzić do fałszywych konkluzji, ale były własne. To w nim ceniła. Ceniła też ten upór, zdolność koncentracji wysiłku na raz obranym zagadnieniu. Choćby teraz ta nauka. W miesiąc po powrocie z nagłego wyjazdu zgłosił się do Związku z prośbą o ułatwienie mu nauki, ponieważ chce zdać maturę. Wtedy wątpiła, czy mu się uda. Dziś była najzupełniej pewna, że w przyszłym roku Kaczan wstąpi na uniwersytet. Przykład Zygala kusił go w kierunku prawa. Pociągały śmiałe ambicje, wyrastały w marzeniach dalekosiężne projekty.

Uczył się dniami i nocami, Pracował z lektorkami, a potem samodzielnie ślęczał nad brajlowskimi notatkami. Nauczyciele nie mogli się dość nadziwić, zapalili się sami do walki młodego niewidomego, nie żalowali już swego czasu. Kaczan nie znał, co to zmęczenie; upór i wola dodawały mu sił.

Ale Kitliczowa często odnosiła wrażenie, że intensywną nauką pragnie on zabić w sobie wspomnienia.

- Myśli pani, że to rozsyłanie książek wiele pomoże? - Uderzył dłonią w otrzymaną przed chwilą paczkę książek dla żony. Myślał dzisiaj dziwnymi skokami, przerzucał się z tematu na temat.

- Chyba tak. Miałam już dobre echa... Zaśmiał się ironicznie.

- Jakie kobiety wychodzą za niewidomych? W znacznej części ograniczone, płytkie albo niezaradne życiowo, te, które już straciły nadzieję na jakiegokolwiek szansę gdzie indziej. Mąż staje się dla nich automatem do zarabiania pieniędzy. Odciągają go od Związku, od naszej pracy kulturalnej, zwężają zakres zainteresowań. Tego pani od razu nie zmieni, to dłuższa sprawa. Trzeba kontynuować tę walkę, którą zaczęło państwo otwierając przed nami drogę pełnej rehabilitacji społecznej. Musimy podnieść ogólny poziom niewidomych tak wysoko, ażeby już nie trafiały między nas kobiety złe albo ograniczone. I dlatego piękna jest praca Twardosza, wspaniałe pani wysiłki nad wykształceniem w nas poczucia estetyki, wyrabianiem szlachetności i dobroci. Piękny jest upór Maleszki, alby wszystkim zapewnić pracę, nową, ciekawą, ukazującą nasze możliwości, nasz poziom. Dlatego dobrze, że Zygał będzie prokuratorem, że Bronowska zostanie nauczycielką historii, że tylu prostych ludzi, jak Przybylski i inni, uczy się w szkołach podstawowych. Każdy rok zbliża nas do celu. Ale nie ludźmy się, że cel ten jest bliski, że tylko rękę wyciągnąć...

- Nie zgadzam się z tym. A Ratajczakowa, Silnicka, a tyle, tyle innych kobiet? One właśnie pomagają swoim mężom. - I teraz najmniej spodziewanie zaryzykowała: - A twoja żona, drogi kolego? Przeszkadza czy pomaga w studiach?

Żachnął się. Przez twarz przeleciały mu jakieś ognie.

- Nie chciałem z panią na ten temat rozmawiać. A przecież właśnie na taką rozmowę przyszedłem. Czy pomaga mi moje małżeństwo? To dłuższa sprawa, ale pani opowiem...

Koniec tamtej sprawy był nagły, a przecież nie niespodziewany. Cały czas przeczuwałem, bałem się, zawsze tkwiła we mnie jakaś rezerwa... Miłość? Może i była, ale płytka, zmysłowa. Rozbiło się o pieniądze. O to, że zarabiam za mało, by mogła wieść upragnione życie. Stroić się, bawić, próżnować... I wtedy kochać mnie po swojemu. Minutę przed dwunastą cofnęła się, Ogarnął ją lęk. Całe szczęście, że nie później. Nie powiedziałem jednego słowa. Następnego dnia wyjechałem. - Nachylił się ku niej, mówił teraz cicho. - Pod Michalinem była mała, biedna wieś, gdzie po powstaniu ewakuowano schronisko wojskowych inwalidów. Tam poznałem Stefkę. Gdy odjeżdżałem, powiedziała, że mnie kocha, że wyszłaby za mnie i że będzie na mnie czekać. Wzruszony byłem. I tyle. Wkrótce patem zetknąłem się z Olą. Przeżyłem uczucie zbyt głębokie, rozczarowanie zbyt wielkie. Stefka wydawała mi się przy tym za prosta.

Nie pojechałem do Michalina, żeby się żenić. Wiedziałem już, że jestem za biedny - zaśmiał się gorzko, zjadliwie. - Chciałem po prostu zobaczyć, jak się rozwieje jeszcze jedno złudzenie... W Michalinie stało się zupełnie inaczej. Wyszliśmy ze Stefką do maleńkiego sadu. Spytała mnie prosto, czy po nią przyjechałem, bo ona, jak obiecała, czeka. Dowiedziałem się potem, że miała adoratorów, odmawiała. Kunsztownie zbudowałem już gmach mojej niewiary w ludzi, a szczególnie w kobiety, Stefka rozsypała to wszystko w proch.

Kilkakroć mocno uderzył po paczce z książkami. Skrzywił usta.

- Czy pomaga mi moje małżeństwo? Poznałem, co znaczy życzliwość ludzka. Słyszę, jak szumi gaz i Stefka krząta się w kuchni. Za miesiąc spodziewamy się dziecka. Już zacząłem się starać o wózek, łóżeczko. Czy pomaga mi? Czyta, jak bardzo ją o to proszę. Dla mnie, mało dla siebie. Cieszy ją i zaprzęta całą jej myśl tylko i jedynie dom. Pięknie u nas w mieszkaniu, porządnie, czysto, znać serdeczność i troskę. Cenię Stefkę, lubię, dobrze mi z nią. Ale cóż, kiedy we mnie zabrakło miłości. Przestałem w nią wierzyć. Ola, Wanda...

- Kaczan, mnie się zdaje, że jesteś na drodze do wielkiej wygranej... - szepnęła. - Wiele rzeczy wymaga czasu, aby mogły dojrzeć. Jesteś silny, ale nie wiem, czy twoja Stefka nie jest stokroć silniejsza od ciebie?

- Myśli pani? - szepnął, w pytaniu zawisło jakieś nieufne rozradowanie.

XVIII

Udział w splotwie kajakowym wpłynął na Czesława ujemnie. Gwałtowne starcie z Marylą chwilę przed omal nie zakończoną tragicznie kąpielą Michcika wstrząsnęło nim silnie, wzbudziło znowu szereg refleksji, zasklepiło w kręgu ponurych myśli.

Młynczak odsunął się od Związku, nawet na lekcje gimnastyki uczęszczał rzadko i nieregularnie. Bał się zetknięcia z niewidomymi. Zdawał sobie sprawę z własnego stanu. Wiedział, że racja jest po tamtej stronie, że on nic nie ma na swoje usprawiedliwienie. Ta świadomość upokarzała go, jedyny ratunek widział w izolacji od ludzi, którzy życiem swoim, postawą świadczyli o jego błędach, o jego tchórzostwie.

Nie szukał usprawiedliwień. Z całą świadomością, z dawną satysfakcją samoudręczenia powtarzał sobie, że jest tchórzem, że dał się opanować przez urojony lęk, że postępowanie jego jest wielkim nonsensem. I z jeszcze większym egoizmem usuwał się od świata. Odrzucił książki brajlowskie, odesłał do Związku nie rozpakowaną przesyłkę. Z Kitliczową nie chciał rozmawiać, omal że wyprosił ją za drzwi, gdy osobistą interwencją próbowała wpłynąć na zmianę jego postępowania.

Kręcił gałką odbiornika, palił olbrzymie ilości papierosów, leżał godzinami, zbyt leniwy na to, żeby sięgnąć po popielniczkę stojącą na stole. Zocha sprzątała zasypane popiołem podłogi, wzdychała ciężko. Wtedy unosił się, wymyślał, że truje mu życie swoimi staropanieńskimi humorami.

Widział poświęcenie i serdeczne oddanie siostry, jej rezygnację z osobistego życia, ale zamiast podzięką wzniecało to w nim rozgoryczenie i bunt. Zadręczał Zochę wymówkami i żądaniami, nie pozwalał jej wychodzić z domu, narzekał, zarzucał brak współczucia dla jego kalectwa. Znosiła to pokornie. Nie widział, jak zagryzała chwilami wargi i zaciskała dłonie, aby nie wybuchnąć...

Każdego dnia uporczywie czekał nadejścia listonosza, uważnie obmacywał nadeszłą pocztę, starał się odgadnąć, czy nie ma listu od Stasi. Wiedział, że utrzymywały ze sobą bliski kontakt, pisywały, troszczyły się o niego. To go doprowadzało do pasji. Wybuchał wtedy, wyrzucał siostrze, że organizuje znowu zbiórkę przeciwko niemu, nazywał okrucieństwem ze strony Stasi, że znając jego stanowisko nie chce usunąć się i ciągłym nagabywaniem budzi żale i rozpacz.

Zaplątał się w jakiś piekielny kołowrót, z którego nie widział wyjścia. Od momentu utraty wzroku ten okres był chyba najgorszy, zaprzeczał wszystkim nadziejom, jakie budziła

niedawna jego aktywność w kole sportowym. Wizyty Silnickiego przyjmował obojętnie. Wyśmiewał się z jego perswazji, doprowadził wreszcie do tego, że Włodek niemal zupełnie przestał przychodzić. Silnicki nie domyślał się przyczyny. Tymczasem jego małżeństwo z kobietą widzącą, ładną, rozumną tak właśnie rozdrażniło Czesława. Obalało jego koncepcję.

Unikał jakiegokolwiek myśli o pracy. Dziwne, zdawał sobie sprawę, że opanowałby jakiś zawód. Ale mierziło go wszystko, co nie wiązało się z pracą, od której odcięła go utrata wzroku.

W ciągu ostatniego roku Stasia odwiedziła ich dwa razy. Był grzecznie obojętny, zimny, jakby to była wizyta obcej osoby. Ale Stasia wiedziała od Zochy, że przez kilka dni po jej wyjeździe gorzko płakał nocami...

Tak nadeszła jesień, minęły już dwa miesiące ciężkiej udręki Zochy. Była połowa listopada, o szyby deszcz bębnił we dnie i w nocy. Czesław wstał późno, włączył się po pokoju. Przestraszył się nagłego dzwonka u drzwi wejściowych. Minęła dobra chwila, nim pojął, że to listonosz.

- Dzień dobry, szefie. Liściki, jest tu coś i dla pana.

Powoli zamykał drzwi. Pomyślał, że pewnie znów jakieś pismo ze Związku. Pomacał palcami kopertę. Sztywna była, pękata. Powąchał, nic szczególnego nie wyczuł. Rzucił listy na stół, poszedł do kuchni rozejrzeć się za śniadaniem.

Ale gruba koperta nie dawała mu spokoju. Powrócił do niej, znowu niespokojnie obracał w palcach, gładził dłonią. Zdecydował się, nożem kuchennym ostrożnie rozciął brzeg, wyjął złożone cztery kartki. List pisany był brajlem.

Szybko przeszedł do swojego pokoju, podniecony siadł na tapczanie. Tłumaczył sobie, że to na pewno jakiś nowy apel ze Związku, może z redakcji „Pochodni”, nic ważnego... Nie mógł się zabrać do czytania, ogarniał go lęk. Wreszcie przeciągnął palcami po pierwszej linii od góry: „Drogi Czešku...” Szybko podniósł arkusiki do twarzy. Wyczuł łagodny, ledwie uchwytny dobrze znajomy zapach. Tak, to był list od Stasi. Opuścił kartki, z szelestem spadły na ziemię.

Potem schylił się ostrożnie, podniósł je niemal ze czcią, ułożył na stole, zaczął czytać powoli, uważnie. „Nauczyłam się twojego pisma, osądź sam, w jakim stopniu. Myślę, że nawiąże to może do nowa porozumienie pomiędzy nami...”

Dygotał, krew mu uderzyła do głowy. Czytał zachłannie, drżącymi palcami po kilkakroć wodził od nowa po każdej linijce. Nie miał wprawy, szło mu niezdarnie, musiał się zastanawiać nad poszczególnymi literami.

Dziewczyna pisała, że wystarczyła się o przeniesienie służbowe z Gniezna do Poznania

od pierwszego kwietnia przyszłego roku. Złożyła też wniosek o przyjęcie do Instytutu Pedagogiki Specjalnej. „Chcę potem uczyć w zakładzie dla niewidomych, być i przez to bliżej ciebie i twoich spraw.”

- Głupia - syknął, choć myślał zupełnie inaczej.

Odsylabizował końcowy ustęp listu, który zupełnie go oszołomił.

„Dowiedziałam się, że mężnie się przełamałeś, robisz starania o pracę, chcesz się wyuczyć nowego zawodu. Nie wyobrażasz sobie, jak strasznie się cieszę. Leżałam ciężko chora, wiadomość ta dodawała mi sił w szpitalu, pomogła wyzdrowieć. Wierzę teraz, że zmienisz poglądy i na inne sprawy. Tak marzę o tym, abyśmy byli z sobą szczęśliwi.”

W ostatnich słowach gorąco prosiła go o odpowiedź. „Żebyś choć parę słów napisał. Przecież teraz mamy już możliwość rozmawiania ze sobą. Każdego dnia ćwiczę się w lepszym opanowaniu brajla...”

Pogrzeżył się w głębokiej zadumie. Myślał o sobie, a właściwie o jej miłości. Było mu wstyd. Zapragnął w pewnej chwili, aby Stasia znalazła się teraz przy nim, aby mógł przytulić czoło do drobnych jej dłoni.

Wstał i wygrzebał z dna szuflady w biurku brajlowską tabliczkę do pisania. Po długim zastanowieniu napisał zaledwie kilka zdań. Dziękował, donosił, że listem jej był wzruszony, więcej, list ten stał się dla niego przeżyciem. Prosił też, aby na następne, dokładniejsze wiadomości zechciała poczekać. Wtedy napisze, kto z nich dwojga ma rację, a kto się myli...

Z niecierpliwością wyglądał powrotu siostry. Stała zdumiona, gdy ucałował ją w rękę, pomógł zdjąć płaszcz i kapelusz. Ostatnio witał ją ponurym milczeniem albo gderaniem.

- Jest poczta dla ciebie... I był list do mnie od Stasi - w ostatnich słowach zabrzmiała jak gdyby duma.

- Od Stasi? Skąd wiesz, że od niej?

Nie pamiętała w tej chwili, że przecież sama starała się dla dziewczyny o tabliczkę brajlowską i rylec, że prosiła Kitliczową o przesłanie wskazówek ułatwiających opanowanie pisma dotykowego, że zresztą Stasia pisała niedawno o swych dużych postępach.

Patrzyła na brata, którego twarz opromieniał dawno zapomniany uśmiech. I wtedy zrozumiała.

- Ach tak! Napisała?

- To ty wiedziałaś?

- Wiedziałam.

- Napisałem odpowiedź, proszę cię, zaadresuj kopertę. I druga prośba, dawno nie był już u nas Maderek. Chciałbym go bardzo zobaczyć.

W chwilach dobrego humoru Maleszka lubił przypominać Młyńczakowi jedną swoją owocną w skutki wizytę...

Na ulicę Walki Młodych trafił od razu, często przecie przechodził tamtędy. Dalej jednak trzeba się było pytać. Nigdy dotychczas nie odwiedzał Młyńczaka. Poczłł chłodniejszy powiew, stuknął laską o chodnik, odpowiedziało głębsze echo. Była to brama jednego z domów. Nasłuchiwał, właśnie zaszurały obok kroki.

- Bardzo przepraszam, który to numer domu?

- Coś pan, ślepy, nie widzisz?

Oburkliwy przechodzień dopiero teraz spojrzał na pytającego, zmieszał się widokiem ciemnych okularów i białej laski.

- Przepraszam... Czternasty, proszę pana.

- Dziękuję.

Zły był, nie lubił rozpytywać ludzi o drogę. Ileż razy spotkał się z podobnym zachowaniem. Poczłapał dalej, Młyńczak mieszkał pod szesnastym, w bramie, klatka na prawo, drugie piętro...

Czesław ucieszył się witając Maleszkę. Poprosił do pokoju.

- Fajno wam się tu mieszka, i w samym śródmieściu, pieska niebieska. Co słysząc nowego?

- O pracę się staram, zanudziła mnie bezczynność, tylko że nic nie widzę odpowiedniego.

Na twarzy Maleszki odbiło się przyjemne zdziwienie. Zaburczał zaraz, natarł na gospodarza:

- „Czas do pracy, czas...” - jest taka bajka o krasnoludkach, nadawali w radio niedawno. Ja lubię dziecinne słuchowiska, człowiek sam przy nich młodnieje, pieska niebieska... Coś odpowiedniego, coś odpowiedniego! Mnie ludzi zabraknie, a nie roboty! Co chcecie do szcnotkami, może do Ratajczaka piasty składać, tam znowuż trzeba jednego, może się za ceramikę weźmiecie, uruchamiamy wytwórnę pudełek do pasty, piękna robota? Źle? Jeszcze się poszuka, krótkofalarzy zaczynają szkolić, też piękny fach... Człowieku, czego ty chcesz? Przecie roboty jest do cholery! - W zapale uchwycił Czesława za ramię, potrząsnął silnie.

- Chciałbym do przemysłu. Dawni koledzy szukają dla mnie...

- Do przemysłu? Dobra, ale z przemysłem trudniej. Boją się nas w fabrykach, jakbyśmy nie umieli nic zrobić. Ja zawsze powtarzam: za mało się mówi o naszych sprawach.

Trzeba by pisać, krzyżeć jednemu z drugim do ucha, że on sam w porównaniu z niewidomym może jeszcze okazać się fujarą, patalchem, pieska niebieska... Do przemysłu, no i jak, wyjdzie coś?

- Wyjść wyjdzie, za parę dni dostanę wiadomość.

- Chłopie drogi, jakby nie znaleźli, wal do Maleszki jak w dym, coś się wykombinuje.

- Uderzył się nagle w czoło. - Tyś technik, prawda? Bo ja tu z jedną taką sprawą przyszedłem. No, niby niezupełnie, ale nic, zaraz się dogadamy. Organizujemy spółdzielnię galanterii metalowej, ładnie brzmi, hę, pieska niebieska? Głównie o tych starych myślę, co to już nogami ledwie powłóczą i normy gdzie indziej nie zrobią, a jeść przecież chcą i rodzinom dopomóc. Pineski, haftki, naparstki, za którymi baby latają po sklepach i dostać nie mogą, bo nie ma... ot, duperele na początek. Jak pójdzie, można będzie rozszerzyć, z chałupnictwa przerzucić się na warsztaty zbiorowe, robić choćby winklówki do okien. Prosta robota, widziałem kiedyś, każdy niewidomy potrafi. A tu budowy stoją nie wykończone, bo jakieś fuszery zapomniały, że ramy okienne nie utrzymają się same z siebie, musi być kawałek żelaza przy kantach... Dobry pomysł, co? Maleszki głowa pracuje, choć mnie tam wymawiają, że zapaćkałem sprawę kultury w Związku...

- Dobrze, ale co ja mogą pomóc? - zapytał zaciekawiany Młyńczak.

- Zaraz, zaraz, zaczepiła się szelma, pieska niebieska, w kieszeni, ani myśli wyleźć. - Zasapał się, wyjął jakiś przedmiot, z rozmachem, położył na stole. - Jest. To sztanca do robienia pinesek. Nieporęczna, jakoś by trzeba inną obmyślić. Chodzi mi nawet taki pomysł po głowie, musicie poradzić. Obejrzyjcie ją sobie dobrze, ja w paru słowach wyjaśnię, o co chodzi...

Wetknął Młyńczakowi do ręki ciężką sztancę z dużą, solidną rączką do naciskania, gadał przejęty, czasem ukazując coś na sztancy palcami.

- Pierwsza rzecz głupia - to za słaba sprężyna, niepotrzebnie człowiek się męczy... Dureń jakiś robił, brakorób, pieska niebieska. Druga, że cały interes tylko na prawą rękę. U nas jest siedmiu bez jednej ręki. Dwóch właśnie nie ma prawej. Młode chłopaki, żołnierze. Brak dla nich roboty. Mogliby sobie wystukiwać w domu pineski. Ale trzeba przerobić sztancę, żeby były i na prawą, i na lewą rękę. Pomóżcie mi w tym, technik jesteście, dla was to nie sztuka...

Młyńczak nie odpowiedział od razu. Radosna myśl strzeliła mu do głowy przy słowach Maleszki. Sztanca! W Wytwórni Przyborów Szkolnych, gdzie Maderek był głównym technikiem, bardzo wiele części trzeba było sztancować. Że też mu wtedy nie przyszło to do głowy. Sztanca - to byłoby może najlepsze wyjście.

Zaniepokojony Maleszka szarpnięciem za rękaw musiał go przywrócić do przytomności.

- Co się z wami dzieje, pieska niebieska? No jak, pomożecie?

- Ja nie znam się na metalu, jestem technik budowlany.

- Budowlany, toż rodak po fachu! Daj, Młyńczak, pyska! A ja stary murarz warszawski! - Porwał się z miejsca, mocno złapał Czesława w objęcia. - Ale swoją drogą szkoda, że nie umiecie mi z tą sztanca poradzić. Pilna sprawa, trzeba takich dwadzieścia zamówić, już się rozpytują nasi staruszkowie o tę robotę.

- Zostawcie ją u mnie, prezesie. Mam kolegę z głową do takich rzeczy. Idę dzisiaj z siostrą do niego, zaniosę, za parę dni na pewno coś wam wykombinuje - myślał o Maderku.

- Wykombinuje, mówicie, pieska niebieska? To dobrze, ale rzecz pilna, ludzie bez pracy zostają. - Przyszedłem też, żeby z wami pogadać, namówić do roboty, ale tak, to już nie trzeba... Za trzy dni zobaczymy się znowu, jak sami nic nie znajdziecie, to ja wam wynajdę.

- Kolego Maleszka, jak myślicie: jeżeli sztancowanie robi się na maszynie, napęd jest mechaniczny, poradzi sobie z tym niewidomy?

- Czy poradzi? Chłopie kochany, ja mówię, że nie ma roboty, której by nie poradził. Choćby lokomotywy robić... Jest robota, gdzie już bez oczu ani rusz. Nasza robota. Domu nie zaprojektujesz bez wzroku, muru też nie postawisz, jak trzeba...

Zadumał się Maleszka. A potem zrywając się z miejsca wołał:

- Ale i bez nas cudeńka się dzieją... Chodź, kochany, pójdziemy na Stary Rynek. Pokażę ci, co za fanaberie z tymi starymi chatynkami się robi... - Nachylił się Młyńczakowi do ucha, szepnął poufnie: - Mam znajomego majstra, opowie, pokaże, nie będzie odpędzał. Nadychać się można takim zdrowym zapachem zaprawy, posłuchać uderzeń kielni, stukotu cegieł. Serca przybywa słuchając, do wszystkiego ogarnia ochota. Chodź, Młyńczak, pójdziemy, dobrze ci radzę, pieska niebieska...

Ogarniający całe miasto przeciągły gwizd syren fabrycznych oznajmił godzinę drugą. Czesław pomyślał, że za godzinę już będzie śpieszył do domu. Wieczorem zaś przyjdą koledzy, zabiorą go do świetlicy przy dziewiarni, zmierzy się z Czerpakiem, najteższym w kółku szachistów. Od kilku tygodni grali ze sobą zawzięcie.

Żelazna forma spadała rytmicznie na przesuwaną rękami taśmę blaszaną. Potem następował krótki, świszczący zgrzyt, nóż obcinał zbędną część blachy, wyrównywał taśmę, dłoń Młyńczaka przesuwiała ją lekko do przodu, aż do wycucia punktu oporu. Znowu głuchy chrzęst, potem zgrzyt cięcia. Do skrzyni u wylotu maszyny z brzękiem zsuwały się gotowe

podstawki. Pas transmisyjny wizgotał, motor dudnił, sztanca dygotała.

Taśma blaszana skończyła się, Czesław sięgnął po nową.

Z uśmiechem wspominał gwałtowną trwozę, jaka opanowała go, gdy razem, z Maderkiem i starym majstrem Karafką po raz pierwszy zbliżył się do nowoczesnej sztancy poruszanej mechanicznym napędem. Wirowanie pasa, nieustanny jazgot i szum maszyny przerażały go. Lęk był tak silny, że nie mógł zrozumieć słów Karafki, nie wiedział, jak trzymać podaną mu taśmę blaszaną. Nie pojmował, co znaczy punkt oporu, jakie jest następstwo czynności, w jakiej chwili należy nacisnąć rączkę noża ani kiedy unieść ją do góry.

Tak było przez pierwszy tydzień. Wracał podenerwowany, zmęczony wysiłkiem, godzinami siedział w milczeniu, tracił otuchę. Wydawało mu się, że nigdy nie opanuje maszyny, że zawsze będzie go ona odstraszać złowrogim hałasem. Dłonie nie miały wyczucia, rytmiczność ruchów była dla niego nierozwiązalną zagadką. Tkwił przy maszynie jak automat, kierowany cierpliwymi, spokojnymi słowami starego majstra... Były już chwile, gdy Maderek i Karafka porozumiewawczo spoglądali na siebie, tracili nadzieję, czy niewidomy potrafi opanować tę pracę.

Maderek okazał się wypróbowanym przyjacielem. Braterstwo broni zawarte przy walkach o cytadelę zdawało egzamin w nowej sytuacji życiowej. I w szpitalu, i potem Zygmunt odwiedzał Młyńczaka, nie zwracał uwagi na jego humory. Dziesiątki razy proponował, aby zabrał się do roboty, cierpliwie wysłuchiwał gwałtownych zaprzeczeń. Tym bardziej wzruszył się i ucieszył, gdy pewnego wieczora przyszli do niego Młyńczakowie, a Czesław bez żadnych wstępów oświadczył, że chce pracować. W kilka dni później zjawił się znowu, z ożywieniem opowiadając o sztancy. Maderek początkowo myślał z powątpiewaniem o jego projekcie. Sztance w wytwórni miały napęd mechaniczny, wymagały precyzyjnej, szybkiej obsługi, poza tym groziło przy nich niebezpieczeństwo wypadku: pas transmisyjny był umieszczony za blisko. Chciał już stanowczo odmówić, proponować coś w kartoniarni albo przy montażu drewnianych przyrządów. Spojrzenie na rozognioną twarz przyjaciela kazało mu odwlec odmowę. Następnego dnia z zafrasowaną miną długo się kręcił przy sztancy zastanawiając się nad projektem Młyńczaka. Wziął na siebie odpowiedzialność za przyjęcie niewidomego do wytwórni, nie mógł popełnić błędu.

Przyszedł mu wtedy z pomocą stary Karafka. Chudy, łysy zupełnie, sześćdziesięcioletni majster dostrzegł zakłopotanie Maderka. Miał do niego słabość, jak mawiał. Przysunął się bliżej.

- Zaś ale co nie w porządku? - zapytał.

Przysiedli obok maszyny. Karafka okazał nadspodziewane przejęcie się sprawą, zwłaszcza gdy dowiedział się, że stopniowa utrata wzroku Młyńczaka datuje się od walk o wyzwolenie Poznania. Stary przywiązany był głęboko do swego miasta. Wstał, obszedł sztancę, popukał, wymierzył ramionami.

- Da się zrobić, zaś ale by nie szło! - lekceważąco strzepnął dłonią. - Pas się weźmie w dodatkowe zabezpieczenie. Zrobimy obudowę z desek, nie będzie obawy, że chwyci chłopaka za portki. Formy i noże już ja mu będę ustawiał na fest, z tym żaden kłopot. A i poduczyć można. Szkoda takiego ślepaką, zaśby nie miał pracować. Nie takie чудо, prosta robota! Oczy tylko przeszkadzają, każdy, co tu siedzi, na dziewczęta opodał zerka, fuszerek potem zatrząsienie... Zaśby tam nie poradził, poradzi, obywatelu Maderek. Dawajcie tego bidoka.

Sarn zrobili obudowę pasa transmisyjnego. Na trzeci dzień zaraz po pracy technik pobiegł do przyjaciela. Karafka czekał na nich w wytwórni sztywny i uroczysty.

- Dobra jest, zaśby nam nie szło! - Mocno potrząsnął dłonią Młyńczaka. - Siadajcie tutaj, o tak...

A jednak po pierwszym tygodniu nauki i starego Karafkę opuściła nadzieja, Młyńczak wydał mu się niesłychanie tępy. Majster sam próbował pracować przy sztancy z zawiązanymi chustką oczyma. Szło mu wcale niezgorzej. Nie mógł pojąć, czemu inaczej jest z niewidomym.

Aż pewnego dnia lęk ustąpił. Czesław pewnie usiadł przy maszynie, jak stary praktyk ujął taśmę blaszaną. Sam włączył motor. Zaszypiało, huknęło, pas zawirował, dłoń niewidomego nacisnęła rączkę tłoczącą, po chwili drugą, nóż zgrzytnął, rynienką spłynęła do skrzyni gotowa sztuka.

- A nie mówiłem? Zaś ale by nie szło! - Karafka w zachwycie żyłastą dłonią trzepnął Młyńczaka przez kark, aż chłopak się przygiął.

I teraz już poszło jak z płatka. Po dalszych dwóch tygodniach szkolenia osiągnął Czesław średnią wydajność dzienną. Dziesiątego grudnia rozpoczął normalną pracę.

Największy kłopot miał z przychodzeniem do wytwórni. Nie umiał jeszcze poruszać się sam po mieście. Krótka droga z domu do miejsca pracy prowadziła przez kilka ruchliwych skrzyżowań. Rano odprowadzała go Zocha, gorzej było z powrotem, siostra bowiem o tej godzinie znajdowała się jeszcze w biurze. Na szczęście znalazł się robotnik zatrudniony w sekcji chemicznej, który mieszkał obok. Towarzyszył teraz niewidomemu. Młyńczaka krępowało to jednak. Marzył o opanowaniu samodzielnego poruszania się w takim stopniu, jak choćby Silnicki, który radził sobie doskonale. Postępy tymczasem były niewielkie, ciągle jeszcze odczuwał lęk przed nie znaną teraz ulicą, jakże inną niż wtedy, gdy posiadał wzrok.

Godzina trzecia nadeszła szybko. Z ulgą poszedł do umywalni. Na terenie wytwórni poruszał się już zupełnie swobodnie. Potem stanął na uboczu czekając na odprowadzającego go towarzysza.

Za bramą spotkali Karola. Ostatnio znów częściej bywał u nich. Oświadczył, że chętnie odprowadzi Młyńczaka do domu.

- Porozmawiamy przy okazji - dodał.

Młyńczak wyczuwał, że Karol nie przyszedł bez powodu. Trochę się nawet domyślał tematu rozmowy.

- Siądziemy może na ławce? Masz trochę czasu, Czesiu? Młyńczaka opanowało zdenerwowanie.

- Kochany, chodzi o Zochę, prawda? Ja rozumiem. Nic mi nie mów ani nie tłumacz! Nie postępowałem dobrze. To była podłość z mojej strony.

- Ależ, Czesiu!

- Pozwól mi skończyć... Nie miałem prawa przeszkadzać wam. Już dawno powinienem był zacząć pracować. Nam trojgu oszczędziłoby to wielu ciężkich chwil. Ale byłem taki zrozpaczony... Nie szukam usprawiedliwień. Zochna ciągle jeszcze zamierza zrezygnować dla mnie z własnego życia. To niepotrzebne. Patrz, pracuję, zarabiam, idzie mi coraz lepiej. Uczę się sam poruszać. Wracam do sportu. Na zawody nie pojechałem, bo zaniedbałem ćwiczenia. A mogłem, nie należałem do najgorszych. Czytani teraz dużo. W ogóle, nareszcie chcę żyć! Ty, Karolu, zabieraj Zochę jak najprędzej. Ja się gdzieś umieszczę. Prosiłem już Koryckiego, żeby pomyślał o mieszkaniu dla mnie... Będę was często odwiedzał. Chcę, żebyście byli szczęśliwi. Czekaj, Karolu, niech skończę! Jest nadzieja, że za miesiąc nadejdzie kilka psów z ośrodka szkoleniowego, może dostanę jednego. Wtedy będę zupełnie niezależny w poruszaniu się po mieście. I będę miał przyjaciela. Jeszcze dziś porozmawiam z Zochą. Przecież ona bardzo cię kocha, czy ja nie wiem, ile się nacierpiła. - Umilkł. Karol patrzył na niego rozszerzonymi oczyma. Potem mocno ujął go za rękę.

- Dziękuję ci. I ja wiem o wszystkim. Nigdy nie miałem do ciebie żalu. Rozumiałem twoją rozpacz... Myślałem jednak, że każdy człowiek ma prawo do osobistego szczęścia. Ty, ja...

- I Zocha - rzucił Młyńczak.

- I Zocha. Trzeba tak życiem kierować, aby osiągnąć to szczęście nie krzywdząc innych.

- Ja mogłem was skrzywdzić... - szepnął niewidomy, opuścił głowę.

- Ależ, Czesiu, nie o tym chcę mówić... Myślę o tobie. Sprawa pracy to jeszcze nie

wszystko. Praca jest podstawą, na której można budować. Ale trzeba pamiętać o innych tęsknotach ludzkich. Ubzdurałeś sobie, że dla ciebie zamknęła się droga szczęścia osobistego. Spójrz na Silnickiego, spójrz na innych...

- A historia Kaczana?

- Czyż nie ma podobnych wśród widzących? Czesiu, ty chorujesz na kompleks niższości! Z tym wasi walczą, musisz walczyć i ty. - Ujął go za ręce, potrząsnął nimi mocno, serdecznie. - Tak, chciałem mówić z tobą o Zochnie. Ale nie tylko. Chciałem mówić o nas wszystkich, o całej czwórce. Także o tobie i Stasi.

- To sprawa przesadzona...

- Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Upierasz się. Krzywdzisz dziewczynę. Przed tygodniem była u was, powiedziałeś jej to samo, co kiedyś, gdy wróciłeś ze szpitala. Że dajesz jej wolność... A potem jęczałeś w swoim pokoju, tek cię bolały własne słowa... Stasia odwiedziła mnie wczoraj. Rozmawialiśmy długo, bardzo długo. Od trzech dni jest już na stałe w Poznaniu, będzie uczyła w liceum pedagogicznym na Mylnej...

- Tam się uczą niewidome dziewczęta...

- Tym lepiej. Stasia pomoże im, doda otuchy. Otóż radziliśmy wiele. Ona nie rezygnuje z walki o waszą miłość. Kocha ciebie, wie, że ty także ją kochasz, a urojeniami krzywdzisz tylko was oboje. Marzę o tym, aby nasze dwa śluby zbiegły się razem. Obiecано mi mieszkanie służbowe, przenieśliśmy się z Zochą, ty ze Stasią zostalibyście w starym. Pomyśl, Czesiu! Upór nie zawsze jest dobry i słuszny.

Młyńczak podniósł się z ławki. Objął Karola w pól, rzekł smutno:

- Ciężkie brzemie nakładasz na mnie, Karolu. A jeżeli mu nie podołam?

- Kochasz Stasię?

- Kocham, kocham!

- Wobec tego jestem spokojny...

Ubrany był odświętnie. Dotknął dłonią krawata, odruchowo chciał podejść do lustra, zobaczyć, czy dobrze go zawiązał. Uśmiechnął się, nim jeszcze zrobił najmniejszy ruch. W chwilach wzruszenia zapominał czasami, że przecież nie widzi, że lustro jest dla niego tylko martwą, śliską płaszczyzną.

Stasia miała przyjść do nich z wizytą. Karol i Zocha byli w przyległym pokoju. Słyszał ich cichą rozmowę. Domyślał się treści.

Do ostatniej chwili nie był przekonany, czy ma prawo wiązać swój los z losem dziewczyny.

Pomogły właściwie szachy.

Musiał podejść do bocznego stolika, dotknąć znowu wczorajszej nagrody. Jako zwycięzca w turnieju szachowym otrzymał piękny komplet szachów i Pamiątkę z Celulozy Newerlego w wydaniu brajlowskim, sześć potężnych tomów. Pieszczotliwie przeciągał teraz dłonią po płócienną oprawie. A potem usiadł, wysypał szachy na stół, oglądał uważnie każdy pionek z osobna. Białe miały gładką powierzchnię, czarne - u góry maleńką, łatwo wyczuwalną wypukłość. Pola szachownicy były na dwóch poziomach, figury wkładało się w otwory na środku każdego pola. Ładne były, przyjemnie się wyczuwało w dotyku szklistość polewy. Ustawiał teraz pionki, pomyślał o zamierzonym wyjeździe do Łodzi na ogólnopolskie mistrzostwa szachowe...

Doświadczył po raz pierwszy poczucia własnej siły. Jeżeli zwyciężył w szachach, jeżeli wybijał się w gimnastyce, dlaczego nie poradzi sobie w małżeństwie? Miłość Stasi nie była słomianym ogniem, czas aż nadto potwierdził jej stałość. Jeżeli mogą mieć żony inni niewidomi, dlaczego on ma być gorszy? Przecież dorównuje im w pracy. W wytwórni dawno już przekracza normy, wzbudza zdziwienie całej załogi. Długo w noc rozmyślał, co powiedzieć Stasi. To będzie decydująca rozmowa. Przed kilku dniami Zocha przyniosła mu parę złotych obrączek, pamiątkę po rodzicach, oświadczając, że nie ma na nie miejsca u siebie, może je Czesław schowa w swym biurku. „A nuż się kiedyś przydadzą.”

Prędko zgarnął szachy, wyciągnął obrączki z szuflady. Większa pasowała na jego palec. Schował pudełeczko do kieszeni.

Sprawdził godzinę. Czemuż jeszcze nie przychodzi? W tej samej chwili rozległ się dzwonek. Uczuł pot występujący na czole. Znowu poprawił krawat, był to stary nawyk jeszcze z czasu, gdy widział.

- Dzień dobry, Czesiu - usłyszał jej głos, a potem szybkie, zwawe kroki. Serce zadrżało ogromną radością...

W jakiś czas później siedzieli na tapczanie trzymając się za ręce. Siostra z Karolem wyszli do kuchenki, aby zaparzyć kawę. Długo to trwało, obu parom nie śpieszyło się.

Czesław milczał, ręce nieznacznie mu drżały.

- No co, mój drogi? Cieszysz się, że jestem w Poznaniu?

- Cieszę się - wykrztusił. I z nagłym przypływem odwagi począł mówić o tym, co najważniejsze, co zatruwało mu spokój tyłu miesiący, czego bał się i pragnął zarazem.

- Stasiu, nieprawda, że ciebie przestałem kochać, nieprawda...

- Nigdy w to nie wierzyłam...

- Ale ja się bałem, widzisz, bałem się, że zrobię ci krzywdę, zmarnuję życie. I jeszcze

się boję, wczoraj już byłem zdecydowany, dziś sam nie wiem...

Objęła go.

- Czego nie wiesz? Tego, że cię kocham, mój chłopcze jedyny, że ty mnie kochasz?

- Nie, to wiem! Ale czy ja mam prawo?

- Ech, ty głuptasie.

- Stasiu - w głosie jego zabrzmiała nagła determinacja. - Jeżeli już tak się wszystko układa, to... to wyjdź za mnie. I jak najszybciej, bo mi strasznie tęskno za tobą, okropnie smutno i rozpaczliwie... Może dlatego wpadłem w depresję, że łączyła się z tym ponura myśl o utracie ciebie... - kończył ciszej. Wyciągnął małe pudełeczko z kieszeni marynarki, rozwijał z bibułki pamiątkowe obrączki. - Daj mi rękę, o, widzisz, to po rodzicach, patrz, jak ładnie wygląda na twoim palcu - gładził palec z obrączką.

- A ja tobie założę, pozwól... Tak, a teraz pocałuj, Czesiek! Przecież się tyle naczekałam, zasłużyłam na to...

XIX

- Trzymaj się teraz, Korycki, pieska niebieska. Mnie nie przegadasz, gdy idzie o sprawy produkcji - powiedział Maleszka po wyborach.

Były prezes cieszył się, że zarząd Związku przeszedł w ręce Koryckiego, którego znał i cenił. Zadowolony był także, że jego wybrano na członka zarządu odpowiedzialnego za sprawy produkcji. Z tej racji tak dogadywał nowemu prezesowi. Kierownictwo spółdzielni szczerkarskiej też obejmował chętnie, zapowiadał już od dawna zasadnicze reformy. Bomba wybuchła w dobry miesiąc potem.

Tymczasem w Związku było wiele roboty. Rozrastało się wszystko z dnia na dzień, sprawy tłoczyły, jedne pilniejsze od drugich.

Założono już spółdzielnię wyrabiającą galanterię metalową. Trzydzieści sztanc wykonanych według pomysłu Maleszki zawędrowało do prywatnych mieszkań, dając możliwość pracy schorowanym i zniedołężniałym niewidomym. Wprawiali się szybko, liczba sztuk wykonanych dziennie rosła w tysiące. Na zakończenie pracy odliczali uważnie po pięćdziesiąt sztuk, wsypując je do gotowych już pudełeczek.

Te pudełeczka przez długi czas nie dawały Maleszce spokoju. Uważał, że całość produkcji powinni przejąć niewidomi. Byli przecież wśród nich kwalifikowani kartoniarze. Brakło tylko maszyny odpowiednio nacinającej tekturę, mieli kłopot z surowcem. Powoli jednak udało się wszystko rozwiązać. Psim śwędem wystarał się o dwuizbowy lokal na Grunwaldzkiej po jakimś skasowanym sklepiku. Tam umieścił centralę nowej spółdzielni. Przy pomocy oddziału wrocławskiego ściągnął spod Jeleniej Góry maszynę kartoniarską. Łatwiej poszło ze surowcem, bez kłopotów już pozyskał fachowców. Spółdzielnia zaczęła produkować pudełka. Nawet pieczętkę firmową przystawiała na nich niewidoma, schorowana Kałużna.

W drugiej salce trzaskały dwie maszyny produkujące haftki. Były ślusarz, Jachimiak, zapoczątkował wyrób lichtarzy. Lada dzień wypuścić też miano pierwszą partię winklówek do okien.

Jednocześnie trwał już od miesiąca drugi kurs obsługi centrala telefonicznych. Szereg instytucji zgłosiło do Związku zapotrzebowanie na niewidomych telefonistów.

Liga Przyjaciół Żołnierza szkoliła sześciu ociemniałych w krótkofalarstwie. Najlepsze rezultaty osiągnął major Kijak. Nikomu, nawet Koryckiemu, nie zwierzył się z rozmowy, jaką odbył z komendantem portu lotniczego w Ławicy. Wynikiem jej była obietnica starań o

zaangażowanie Kijaka do obsługi stacji w kapitanacie portu. Major nie mógł myśleć o tym bez drżenia. Wróciłby znowu na lotnisko, byłby potrzebny przy samolotach.

Nie popuszczał Maleszka także Ratajczakowi. Zakłady w Żabikowie planowo zwiększały produkcję, wciąż rozszerzano zespół składaczy. Były górnik uzyskał awans na majstra, nadzorował obecnie pracę szesnastu niewidomych. Śmiano się w Związku, że jeżeli Żabikowo nadal będzie się rozrastało w tym tempie, za rok zostaną wyludnione wszystkie spółdzielnie. A Maleszka wciąż zachęcał Ratajczaka do przyjmowania nowych pracowników, nawiązał nawet bliższe stosunki z dyrektorem, dumnym ze „swoich” niewidomych.

Stary Koterba przyszedł kiedyś do Maleszki późnym wieczorem, rozsiadł się na krześle, długo głądził, żartował, opowiadał nowe kawały. Maleszka czekał cierpliwie, czuł, że za tą gawędą stary coś kryje. Wreszcie Koterba wyjąkał:

- Ty umiesz takie rzeczy organizować. A nam już się znudziła prywatna robota. Nie można upilnować wszystkiego, zamówień albo jest za dużo, albo ich w ogóle nie ma. Przydałby się telefon, może i ktoś widzący do załatwiania rachunków, pisania listów i kosztorysów... Siedmiu nas, stroicieli, zna się na tej robocie, dorównamy każdemu. Jak trzeba będzie, sam się podejmuję poduczyć nowych. No, jak, bracie brajłaku, he? - Niespokojnie wyczekiwał odpowiedzi Maleszki.

W miesiąc po tej rozmowie w prasie poznańskiej ukazały się wielkie anonse o rozpoczęciu pracy spółdzielni stroicieli „Niewidomy”. Zgłoszenia przyjmowało tymczasem biuro Związku, ale Koterba zaklinał się, że za parę tygodni dostanie także i odpowiedni lokal.

To były konkretne dokonania. A zamierzenia Maleszki sięgały o wiele dalej. Przewidywane przeniesienie internatu z placu Wielkopolskiego na Wawrzyniaka umożliwi pomieszczenie dalszych trzydziestu niewidomych. Na prowincji sytuacja ociemniałych przedstawiała się znacznie gorzej, rozproszonych w terenie trudno było organizować w spółdzielnie, nie każda zaś praca nadawała się na chałupniczą, brakło warsztatów, maszyn, zdarzały się trudności ze szkoleniem. Maleszka pragnął ściągnąć wielu z nich do Poznania. Główny kłopot - mieszkania - miał być rozwiązany. O pracę już łatwiej. Zresztą uparty warszawiak nie poprzestawał na dotychczas zdobytych pozycjach. Jeździł do fabryki przetworów spożywczych, konferował tam z jakimś starym znajomym, wyszukali zajęcie, które z powodzeniem mogli wykonywać niewidomi. Pewne znów możliwości wyłaniały się w innym zakładzie przy produkcji śrub i nitów. Jakoś umiał Maleszka wywahać te rzeczy, wynaleźć ludzi przychylnych sprawie.

- Pieska wasza niebieska - mawiał zadowolony do Kitliczowej i nowego prezesa. - Już ja będę chodził za robotą dla naszych. Wy patrzcie, żeby nabierali więcej rozumu. Za łeb

jednego z drugim, niech się uczy pisać i czytać, niech zdobywa kulturę. To też potrzebne.

Jakby pragnąc dać przykład, przystąpił do konkursu na najlepszego brajlistę. Zdobył dopiero piętnaste miejsce, ale i tak był zadowolony. Śmiał się do Kupczyka, klepał go po ramieniu.

- Pamiętasz, jakim literę jednej od drugiej odróżnić nie mógł? Jak mi się twoja „laska” z „lampą” mieszała?

Wreszcie, aby raz jeszcze wszystkich zadziwić, zapisał się do chóru. Regularnie przychodził teraz na próby, trochę koślawo, ale śpiewał. Kitliczowa domyślała się przyczyny. Kupczykówna także zwracała często głowę w kierunku kierownika szczotkami.

A z tą bombą Maleszki było tak...

Przez cały niemal czas prezesury najgorszy kłopot sprawiała mu spółdzielnia „Szczotkarz” przy ulicy Garbary. Była to placówka zatrudniająca największą ilość niewidomych, stosunki w niej nie przedstawiały się zachęcająco pod żadnym względem. Przede wszystkim do rozpaczy doprowadzały częste przestoje. Kierownictwo spółdzielni nie umiało zapewnić sprawnej dostawy surowca. Albo przychodził wybrakowany i nie nadawał się do przeróbki, albo nie było go zupełnie. Spółdzielnia nie wykonywała przez to planów, niewidomi sarkali, bo zarabiali mało. Źle też było w szczotkami z higieną, leżała zupełnie praca oświatowo-kulturalna. Między pracownikami rodziły się ostre waśnie, część ich tylko docierała do sądu honorowego przy Związku. W sześćdziesięcioosobowym zespole trudno było utrzymać dyscyplinę, a w żadnym razie nie mógł sobie z tym poradzić prezes, maleńki, poczciwy Jaglarz, chory na astmę.

Maleszka za punkt honoru postawił sobie uzdrowienie stosunków panujących w szczotkami. Poza Jaglarzem spotkał się jednak z oporem ze strony członków kierownictwa spółdzielni. Dobrany zespół przyzwyczaił się już do swych wygodnych miejsc.

Walka była trudna i bez zasadniczych zmian nie mogła zostać rozstrzygnięta. Dużo się jednak poprawiło od chwili, gdy zaczął czuwać nad wszystkim osobiście. Sprzątaczkę zaczęły wreszcie dbać o czystość.

Ostatnio wszystkie sale zostały zradiofonizowane. Tu zresztą więcej było zasługi Kupczykówny, Maleszka jej tylko poradził, jak wystarać się o fundusze, dopomógł w wywarceniu nacisku na kierownictwo spółdzielni. W Kasi rzeczywiście znalazł oddaną duszę, zwłaszcza gdy wybrana została organizatorem pracy kulturalno-oświatowej. Dopilnowała wtedy opróżnienia świetlicy ze śmiecia, z zapasów zleżącego surowca, zorganizowała zbiorowe czytanie w czasie pracy, założyła chór, a obecnie walczyła o pieniądze na zakup

wyposażenia spółdzielnianej orkiestry.

Od czasu jak został kierownikiem, mógł o wiele więcej zrobić.

Interwencje w centrali Spółdzielni Inwalidzkich wpłynęły na zapewnienie regularnej dostawy surowca. Nie było już kłopotów z fibrowym włosiem, którego brak najbardziej się dawał odczuwać. Ustały przestoje, w szczotkarni zapanowała inna atmosfera. To był dopiero początek reform zamierzonych przez Maleszkę. „Pieska niebieska, raj tu będzie, nie praca” - zaklinał się.

Ale rzecz dziwna. Mimo że zrobił dla szczotkarzy tyle dobrego, nie u wszystkich zjednał sobie sympatię. Dwie pierwsze sale warsztatowe wrogo się odnosiły do niego. W ostatniej, największej, zgromadziła się młodzież, tam było weselej, dobry wpływ wywierała Kupczykówna, Maleszka też witany bywał radośnie.

W pierwszych salach pracowali przeważnie starsi niewidomi. W większości byli to malkontenci, niezadowoleni ze wszystkiego. Tego nie mógł dawny murarz zrozumieć. Walczył przeciw o pracę dla niewidomych. Tymczasem dla nich praca była dopustem, najgorszą koniecznością. Byli to zrezygnowani włóczędzy. Przepadło im żebractwo, trzeba było uczciwie zarabiać na chleb. Wyrzekali więc, przeplatali to soczystymi połajankami, niewłaściwie odnosili się do pracujących z nimi kobiet, aż wykurzyli je wszystkie do trzeciej sali. Nie stronili przy byle okazji od alkoholu. Maleszka drażnił ich swoim zapalem, bezinteresownością, jakąś serdeczną troską o każdego człowieka. Wielu odczuwało już nawet sympatię do zaaferowanego zawsze działacza, ale grono najgorszych takim huraganem śmiechu witało każde rozsądniejsze słowo, że reszta milkła speszona, nie odzywała się więcej.

Maleszka obserwował to wszystko uważnie, zastanawiał się, jak do nich trafić. Nie lubił rezygnować. W pierwszej sali przydarzyła mu się pewnego razu ciekawa rozmowa. Wiliński, stary szczotkarz jeszcze sprzed wojny, wyrównywał właśnie gotowe już szczotki. W pewnej chwili osunął mu się nóż, musiał wołać o pomoc przy nastawieniu przyrządu. Maleszka stał właśnie obok, dowodził koledze konieczności opanowania brajla.

Wiliński roześmiał się kpiąco.

- Co ty mi, bracie, zawałasz głowę czytaniem. Z tego jadł chleba nie będę... Wymyśliłbyś, skoro taki z ciebie mądrala, jakby można bez niczyjej pomocy nastawiać noże na potrzebną odległość. Co pięć minut musimy krzyczeć o pomoc do widzających, mała przyjemność.

Pozostali roześmieli się.

- Medal za racjonalizację dostaniesz, Maleszka!

- Ja ci kupię butelkę wódki!

- Dużo bajtluje, mędrek, a sam nawet głupiej szczotki nie zrobi.

Nie odpowiedział im wtedy. Mieli rację, powinien poznać szczotkarstwo. Ale to początek. Musi im czymś zaimponować. Wtedy dopiero poczują respekt do niego, łatwiej będzie ich można prowadzić...

Nauczył się szczotkarstwa. Oczywiście na trzeciej sali. W każdej wolnej chwili siadał przy stole, rozkładał przed sobą garść fibrowego włosia. Wprawił się szybko, zadowolony był, zdobył mowy fach.

Teraz dopiero zaczął interesować się ustawianiem noży do obcinania włosia w szczotkach według odpowiedniej długości, Dokładności przestrzegano w zamówieniach co do jednego milimetra. Noże, których było kilkanaście na sali, nastawiać mogli tylko widzący.

Z uporem godzinami dotykał noży, deski, na której były umocowane, wreszcie suwmiarki. Nic nie mógł wymyślić. Cóż dla niewidomego suwmiarka, kiedy nie odczyta cyfr wypisanych na niej. Nawet gdyby wypisać je brajlem, to i tak dokładność byłaby w granicach centymetra. Nie tędy droga.

Potem zaczął kombinować. Chodził do stolarni, do znajomych metalowców, prosił o wykonanie próbnych miarek, suwaków, podziałek. Zaznaczał odległości małymi gwoździkami, próbował ząbkować miarkę w określonych odstępach - ciągle jednak nie mógł natrafić na właściwy pomysł. Zaciął się, przesiadywał czasem w swoim pokoiku do rana, składając jakieś patyczki, kawałki metalowych linijek, wbijając gwoździe, nacinając brzegi tabliczek. Palce miał opuchnięte od uderzeń młotka, pokłute drutem i gwoździami. Manipulował na wszystkie strony, szukał rozwiązania z maniackim uporem.

W końcu poradził sobie z centymetrami. Oparł się na konstrukcji zwyczajnej suwmiarki, z tym, że na węższej, ruchomej listewce porobił ząbki dokładnie co centymetr. Z chwilą przesunięcia listewki mała zapadka z trzaskiem zatrzymywała się na najbliższym ząbku. Odetchnął z ulgą. To już połowa drogi.

Z milimetrami było jednak znacznie gorzej. Tu się już nie wyczuje, nie sprawdzi palcami liczby ząbków. Za drobne te milimetry, a ręka za mało delikatna. Trzeba szukać innego sposobu... Dopomógł przypadek. Maleszka oglądał przywiezioną z Jeleniej Góry maszynę do cięcia tektury. Rozstaw noży regulowany był przy pomocy śruby. Ta śruba nie dawała mu teraz spokoju. Śruba mikrometryczna! Prosta rzecz, ale wtedy, gdy się widzi i oczyma można odczytać podziałkę. Ale jak poradzić bez oczu. A gdyby wmontować śrubę w ten sposób, aby jeden jej obrót odpowiadał długości jednego milimetra. Oznaczyć zaś koniec obrotu przez nacięcie w śrubie i małą zapadkę?

Połowę swej pensji wydał na mechaników. Wzorzec nowej suwmiarki wykonali dokładnie według jego pomysłu.

Próby w szczotkami odbyły się w uroczystym milczeniu. Maleszka pamiętał rozmowę z Wilińskim, podał mu suwmiarkę, wytłumaczył zasadę jej działania. Wiliński niepewnie trzymał w rękach metalowy przyrząd, chłodny i śliski. Potem przesunął węższą listewkę. Zapadka klapnęła - cichutko. Szczotkarz odmierzył pięć ząbków. Wreszcie, prawie że z nabożeństwem, niezdarnymi palcami przykręcił małą śrubkę. Trzy razy. Trzy razy cicho szczęknęła zapadka. Podał suwmiarkę widzącemu pracownikowi.

- Wiele jest? - spytał.

- Pięćdziesiąt trzy milimetry. Wiliński ze zdumieniem pokręcił głową.

- Ma łeb ten Maleszka, ma... Może kto powie, że nie, he? - zasapał groźnie. Było to tak niespodziewane, że wszyscy zaśmieli się głośno.

- A widzisz, pieska niebieska - zawołał rozpromieniony Maleszka, - Pójdziesz teraz na kurs brajlowski, Wiliński?

- Rzekło się przecież. Pójdę, Maleszka!

Następnego dnia zaniósł suwmiarkę do komisji wynalazczości przy spółdzielczości inwalidzkiej. Półtora miesiąca trwało, nim zapadła ocena. Wynalazek uznano za rewelacyjny, w dużym stopniu ułatwiający pracę, niewidomym nie tylko w szczotkarstwie. Maleszce przyznano pokaźną premię.

Od kilku dni Maleszka chodził wyraźnie nieswój. Stał się gderliwy, kto mógł, unikał bliższego zetknięcia się z nim. W szczotkarni przebywał teraz dłużej niż kiedykolwiek. Jakby w biurze mało było roboty!

Najchętniej tkwił w trzeciej sali. Stawał przy oknie, nasłuchiwał. Nie krepowali się go, rozmowy, śmiechy i pokrzykiwania rozbrzmiewały w izbie od rana. Słuchali dziennika, potem dziewczęta nastawiały muzykę. Koło południa cichło dopiero. Ludzie byli już trochę zmęczeni.

Wtedy Maleszka wzdychał ciężko i odchodził. Nasłuchiwali jego kroków, wzruszali ramionami. „Pewnie znowu jaką suwmiarkę ma w głowie.”

Maleszka tymczasem miał w głowie zupełnie co innego. Nagle strzeliło mu do głowy, ażeby się ożenić. Pozazdrościł kolegom. Nie było miesiąca, żeby nie pobierała się nowa para. Korycki za głowę się łapał, przeważnie zgłaszali się potem z prośbą o poparcie starań w uzyskaniu mieszkania. Jakby to było takie proste.

Murarz wzdychał ciężko po powrocie do swojej norki na Wierzbicicach. Zmierzyła

go nagle ciąga samotność. Wieczorami nawet słowa nie miał do kogo zagadać. Z żoną to choćby się pokłócił, zawsze weselej... Zamyślał o Kasi Kupczykównie. Nie to, żeby się kochał, takie młodzieńcze nowinki dalekie były od niego. Po prostu dziewczyna imponowała mu. Siedziała tyle czasu na głuchej wsi, zdążyła zapomnieć wszystko, co przed laty wyniosła z Owińsk. Gdy brat przywiózł ją do Poznania, była wystraszona, bezradna, ani w robocie, ani w Związku nie spodziewano się po niej pociechy. A tymczasem z szczotkami wybiła się na przodownicę pracy. Wybrano ją k-o w zakładzie, świetnie prowadziła robotę. Zawsze schludna i czysta, wywierała dobry wpływ na towarzyszek. Opowiadano, że zna się na gospodarstwie domowym. Jednym słowem, wszystkie zalety na dobrą gospodynię i żonę.

Pierwszy raz w życiu nie umiał zdobyć się na decyzję. Jednego dnia myślał, że koniecznie musi się ożenić. Za chwilę włosy jeżyły mu się na głowie. Żona - to dzieci, dom, nowe kłopoty. Zabraknie czasu na społeczną robotę. I tak źle, i tak niedobrze. Żałował, że nie jest kochliwy jak inni. Wtedy nie miałby czasu na namysły. Żeniłby się i tyle.

Jednego ranka wstał wcześniej niż zwykle. Dzień zapowiadał się piękny, łagodny wiatr potrącał drzewami, roznosił woń kwiatów z małych ogródków. Maleszka pozbiierał laskę, okulary, kapelusz i raźnie pomaszerował Półwiejską kierując się na plac Wielkopolski.

Głową rodziny Kupczyków był Julek, on więc powinien był udzielić Maleszce zezwolenia na żeniączkę z Kasią. Tak sobie Maleszka wykoncypował i rad był z podobnego obrotu sprawy. Zawsze z chłopem łatwiej się przyjdzie dogadać aniżeli z dziewczyną. Tym bardziej że Kasia nie wiedziała o niczym, może się nawet nie domyślała. Początkowo coś jej świtało w głowie, ale gdy mijały miesiące, a Maleszka nie poczynił żadnego wyraźniejszego kroku, przestała o nim w ogóle myśleć. Zaczął ją interesować ktoś inny... O tym znowu nie miał pojęcia Maleszka.

Im bliżej był placu Wielkopolskiego, tym bardziej zwalniał kroku. Znowu zaczął się wahać. Przez Stary Rynek szedł chyba godzinę. Przystawał przy każdym domu, nasłuchiwał, wahał, wyobrażał sobie, jak chłopaki pracują przy murarce nowoczesnym sposobem.

Na placu przed dziewiarnią długo omijał kupy gruzu po niedawno skończonej budowie. Poczł znużenie. Siadł na ocienionej drzewami ławeczce. Zdjął kapelusz, ocierał pot z czoła. Gorąco się zrobiło. Takie upały w połowie maja, kto by pomyślał.

Siedział wachlując się. Pomyślał o urlopie obiecany w spółdzielni na sierpień. Razem z trzema kolegami zapewnił sobie skierowanie na wczasy. Ustawa państwowa przyznawała im bezpłatnego przewodnika na czterech. Mieli jechać do Cieplic koło Jeleniej Góry. Cieszył się tym wyjazdem... No tak, ale gdyby się miał ożenić, nie wypadałoby opuszczać domu tak zaraz po ślubie! Odłożyć żeniączkę na później? Też niedobrze. Jak

skakać do zimnej wody, to od razu prosto na głowę.

- Wuju, mnie też! Mnie też! - gdzieś blisko rozległ się nagle krzyk dziecięcy. Dudniło, jakby słoń pędził placem.

- Wuju Bolek, na prawo, a potem znowu dokoła! - wołały dzieci jedno przez drugie.

- Ostatni raz, już oddechu nie staje, dzieciomki kochane.

Gruby, sapiący głos wydał się Maleszce znajomy.

W pierwszej chwili nie mógł skojarzyć go z żadną osobą. I nagle roześmiał się na całe gardło. Poznał Dzitkę. Któż inny mógł tak chodzić, jak nie poczciwy olbrzym? Tylko skąd te dzieciaki, czyje?

Dudnienie rozlegało się tuż przy nim.

- Dzitko! - zawołał Maleszka.

Olbrzym zatrzymał się, kazał dzieciakom złączyć z ramion.

- Kto?

- Maleszka. Co ty, chłopie, wyprawiasz? Domy powywracają się. Czyje to dzieci?

Zadyszany Dzitko wymacał ławkę, osunął się na nią z ulgą.

- To taka zabawa, lubię dzieciomki, one też przepadają za mną. Niech jeno wyjdę na plac, zaraz robi się wrzask, że wuj Bolek przyszedł. Dobre dzieci, przyjemne... - urwał, słuchał oddalających się okrzyków. Gmerał w kieszeni, potem huknął potężnie.

- Czego krzyczysz?

- Na dzieci, one wiedzą, że wtedy trzeba biec, cukierki będą. O, słyszysz, jak te sysuny nogi gubią razem z portkami?

- Wuju, cukierka. Cukierka! - ogłuszył ich rozgwar piskliwych głosików.

- Antoś jest? - pytał Dzitko.

- Jestem, jestem, wuju. Podzielić?

- Dziel dobrze i sprawiedliwie. Pamiętajcie, że sprawiedliwość zawsze być musi... - Zaraz potem objaśnił Maleszkę: - Antoś jest najstarszy, daję mu cukierki do podziału.

- Pracujesz na drugiej zmianie? - z innej beczki zaczął Teodor.

- Aha. To dobrze, taka pogoda, byłoby żal. Lepiej na dworze posiedzieć. Ech, żeby to jeszcze na wsi, w lesie, nad rzeką, kiedy łąka pachnie. Tam w moich stronach to bardzo mocno pachniało, szczególnie nad bagniskami. Zbiera czasem ochota pojechać gdzieś nad jezioro. Tu w mieście straszna duchota - dodał smutnie.

- Wuju Bolek, a co teraz? - natarły znowu dzieciaki.

- Pobawcie się same, odpocznę, pogadać muszę z tym drugim wujem - tłumaczył rozpromieniony. Tym samym rozpromienionym tonem zwrócił się do Maleszki: - Nie ma na

świecie większej radości jak dzieci. Ja bardzo lubię dzieci.

- To żeń się, chłopie.

- Musowo trzeba będzie. Ale jeszcze nie pora. Od września na osiem miesięcy biorą mnie na kurs masażystów. Wtedy i połączka będzie większa, i praca akuratniejsza. Poczekać trzeba.

- A masz, bracie, dziewczę wybraną? - zainteresował się nagle Maleszka.

- Pewnie, że mam. Ładna dziewczyna, gruba, wesoła - odpowiedział Dzitko poważnie. Maleszka przypomniał sobie, po co tu przyszedł. Podniósł się, westchnął.

Stanął u wejścia do dziewiarni. W sionce zatrzymał się, pogadał z portierem. Idąc na schody liczył stopnie, choć doskonale pamiętał, ile ich jest. Miał jeszcze nadzieję, że spotka na korytarzu kogoś palącego papierosa, byłaby zmów okazja do pogawędki. Słuchał uważnie, ale tylko z sal warsztatowych dochodził jednostajny szczeł przesuwanych rączek.

Westchnął, nacisnął kłamkę najbliższej izby. Pracował tam Kupczyk. Okazało się, że go nie było. Przychodził w tym tygodniu na drugą zmianę.

Gdy po pół godzinie Maleszka wychodził z dziewiarni, twarz jego promieniała zadowoleniem. Pogwizdywał, kręcił laską w powietrzu. Słońce napawało go radością.

Wywietrzały mu z głowy wszelkie małżeńskie zamiary. Pomyślał, że Związek jest jego wielką rodziną.

XX

W północnej części Babimojszczyzny, wśród błękitnych jezior i wielkich lasów, znajduje się mała stacyjka. Wraz z kilku opodal położonymi domkami nosi ona nazwę Szarcz.

W gęstwinie leśnej giną niezliczone ścieżyny. Przechylone ze starości drogowskazy wytyczają kierunek. Wiatr ciągnący od jezior szemrze nieustannie w wierzchołkach drzew. Rude wiewiórki, których tu zatrzesienie, śmigają po rozłożystych krzakach leszczyzny i przemykają się niemal pod nogami nielicznych wędrowców.

Po ostatnich deszczach grzyby rozrosły się obficie, mało im lasu, całymi koloniami zatarasowały drogę.

W kontraście z bujną zielenią po prawej stronie połyskuje srebrną płaszczyzną jezioro. Ciemniejszą plamą miga zza liści brezent namiotów. Z jeziora dochodzi gwar. Znane każdemu z wioślarzy przeciągłe iii-aaaa, iii-aaaa świadczy o intensywnym treningu. Dalekim echem niesie między drzewa ostry gwizd, zapowiadający zbiórkę.

Jest ciepło. Sierpień w całej pełni. Nawet las nie daje ochłody. Barwna kraska niskim lotem zakosami podąża ku wodzie. Nie płoszy jej kolejny gwizd, a potem gromkie odliczanie.

- Kierunek obóz marsz!

Z gęstego listowia wyłaniają się trójki sportowców w ciemno-bordowych dresach. Wyciąga się długi ich sznur. Krok rażny, uśmiechy na twarzach, ściszone szepty, żarty, przekomarzania. Po bokach kilku przewodników. Dwóch instruktorów zamyka pochód.

- Śpiewamy, wiara!

Do obozu nie jest daleko. Las otwiera się szeroką polaną. Dwa długie, jasne budynki, a przed nimi plac apelowy. Na maszcie furkoce flaga.

Krok sportowców twardnieje. Zgrabnym półkolem omijają budynek, wchodzą na plac. Na hasło rozejścia się rozpierzcha się wszystko w jednej chwili jak stado wróbli.

Skądś rozbrzmiewa akordeon. Ach, to Rysio, już zdążył się dorwać.

- Graj, Rysiu, od ucha.

Dziewczęta nucą, próbują tańczyć w takt muzyki.

Z przeciwnej strony do obozu powraca druga grupa. Zmęczeni, ale uradowani. Program dnia opracowany jest dokładnie: na zmianę są albo ćwiczenia w gimnastyce i lekkoatletyce, albo trening na wodzie.

Gdy w zarządzie głównym Polskiego Związku Niewidomych rozpoczęto organizowanie kół sportowych, sami projektodawcy nie spodziewali się przyszłych

rezultatów. Wyniki budziły podziw i najwyższe zdumienie. Ambicje niewidomych sportowców stawały się coraz większe.

Przed rokiem przyznano Związkowi na własność ośrodek turystyczno-sportowy w Szarczu. Na pięknej Ziemi Lubuskiej wśród starych lasów, przy szlaku babimojskich jezior. W lipcu zjawili się tam uczestnicy szkoleniowego obozu. Teraz miejsce ich zajęła następna grupa, członkowie obozu kondycyjnego. Zjechali tu najlepsi sportowcy z Chorzowa, Krakowa, Poznania, Rzeszowa i innych oddziałów Związku w Polsce. Zostawiono również najlepszych z pierwszego turnusu. Zadania były poważne. Niecały rok dzieli od terminu międzynarodowych zawodów niewidomych sportowców Związku Radzieckiego, Czechosłowacji i Polski.

Dni mijają szybko, zdaje się, że dopiero przebrzmiała poranna pobudka, a już wzywa do snu wieczorny apel.

Gwizdek. Dyżurny instruktor, panna Barbara z AWF w Warszawie, prowadzi cały zespół do obszernej jadalni na obiad. Uwijają się przewodnicy, śpiesznie roznoszą talerze z dymiącą zupą. Brzękają łyżki, szybko znika chleb.

Już po obiedzie. Półtorej godziny spoczynku i ciszy. Ostatni opuszcza jadalnię niewidomy komendant obozu, prezes oddziału Związku w Przemyślu, były wojskowy Grzymała. Szczupły, wysoki, z uśmiechem tłumaczy coś Kitliczowej.

- Dobrze, kolego, ale ja przecież swój program także muszę wypełnić. Nie można tak jednostronnie...

- Chór jest, ćwicz przy każdej okazji. Koło recytatorskie pracuje, szachiści trenują zawzięcie do spotkania z widzzącymi licealistami sąsiedniego obozu z Warszawy. Lektorat też nie szwankuje. Kończy już pani czytanie na głos trzeciej książki. Koncerty, odczyty, pogadanki, prasówki, zabawy, czegoż jeszcze potrzeba?

- Tra la la. Daliście mi trzy godziny w rozkładzie dnia, kiedyż ja je mam w pełni dla siebie? Wciąż coś nowego i stale kosztem k-o...

- Jutro przyjeżdża ekipa filmowa... Narobią nam bałaganu - rzekł nagle zamyślony. - Ale to konieczne. Niechże ludzie zobaczą, co się u nas w Polsce zrobiło także w tej dziedzinie. Dwadzieścia tysięcy niewidomych to armia. Kiedyś armia nędzarzy, dzisiaj dzielnych, normalnych ludzi...

Bronowska najbardziej lubiła wolny czas po kolacji, przed wieczornym apelem. Wokoło gwar, a ona mogła z Jurkiem być sama. Spacerowali polną drogą wzdłuż granicy obozu, trzymał ją mocno pod ramię, czuła się wtedy pewna. Jurek miał jeszcze poczucie światła, rozeznawał cienie, poruszał się bardzo swobodnie. I nie odstępował jej ani na krok.

Czasem łagodnie przesuwiała ręką po jego twarzy. Szczupła, wyrazista, wydawała się jej bardzo piękna. Może piękniejsza nawet niż twarz Twardosza. Tak, na pewno...

Bronowska uczestniczyła w obu turnusach, podobnie jak i Misia. Zarząd Oddziału specjalnie się o to starał.

Było jej tutaj tak dobrze. Uśmiechała się z dawnych swych lęków przed gettem niewidomych.

A jeszcze Jurek. Po brzegi wypełniło się radością jej serce. Do ostatniej chwili nie było zdecydowane, czy Kaliski, student trzeciego roku polonistyki w Krakowie, zostanie na drugim turnusie. W sporcie specjalnie się nie wyróżniał, należał do przeciętnych. A miejsc obóz miał tylko dziewięćdziesiąt.

Jeszcze dziś rumieniała się wspominając wybuch radości na wieść, że Jurek zostaje. Poskoczyła wtedy ku chłopcu i zapominając, że obok znajduje się Kitliczowa, mocno ucałowała go. Był tym zupełnie oszołomiony...

W lipcu przeżywała początkowo wielkie rozczarowanie. Okazało się, że Twardosz będzie kierownikiem sportowym dopiero na drugim, kondycyjnym obozie. W lipcu wyjeżdżał za granicę. Wydało się jej to strasznym ciosem. Wyjazd do Szarcza cieszył ją właśnie najbardziej z tej przyczyny, że miała nadzieję przebywać blisko Twardosza. Straciła wtedy ochotę do zajęć obozowych, nie smakowało jej jedzenie, towarzysze wydali się nudni. Tylko występ słynnego barytona, niewidomego Ryszarda Gruszczyńskiego, który odwiedził obóz na parę dni, wzruszył ją i zachwyił.

Kaliski podszedł do niej w pewne deszczowe popołudnie. Była właśnie wolna godzina, jak teraz. Siedziała w świetlicy słuchając czyjejs gry na pianinie.

- No, jakże koleżance wiedzie się w liceum?

Odpowiadała krótko, zdawkowo. Ale głos wydał się jej bardzo miły. Opowiadał o swoich studiach na polonistyce. Cieszył się, że z nowym rokiem akademickim zostanie asystentem, profesor obiecał mu to. A ona ma podobno studiować później historię, czy to prawda? Potwierdziła, zaciekał ją system studiów uniwersyteckich, chciała dowiedzieć się, jak sobie radzi. Mówił interesująco. Chętnie zgodziła się na jego propozycję, aby siedzieli obok siebie w czasie posiłków. Tak się to zaczęło.

Na obozie zrodziło się wiele sympatii. Niejedna para trzymała się razem. Nie było jednak drugiej tak nierozłącznej jak Kaliski z Bronowską.

Janka czuła się szczęśliwa. Obóz wydał się jej piękny, towarzystwo niewidomych ciekawe. Miejsce sztubackiego uwielbienia dla instruktora zajęła prawdziwa miłość. Kaliski również uległ całkowicie urokowi dziewczyny.

Twardosz po przyjeździe z prawdziwą ulgą przyjął wiadomość o zakochaniu się Janki w Kaliskim. Przed kilku miesiącami Kitliczowa w szczerzej rozmowie powiedziała mu, jak się sprawa przedstawia. W pierwszej chwili był zaskoczony. Przypomniały mu się jednak niektóre powiedzenia czy odruchy Bronowskiej, potwierdzające przypuszczenie. Nie wiedział, jak wybrnąć z trudnej sytuacji.

Starął się nie stykać z Bronowską. Nie zawsze to się udawało, nie mógł przecież traktować jej oschlej od innych. Dziewczyna od razu zresztą wyczuła jego zmieniony stosunek, przeżywała to boleśnie. Żałował jej serdecznie, gdy widział twarz zwróconą ku sobie w smutnym oczekiwaniu, ręce zaciśnięte kurczowo.

Z każdą lekcją gimnastyki powiększała się rozterka instruktora. Zbliżał się koniec roku szkolnego, dziewczyna była przemęczona długomiesięcznym wysiłkiem. Pogarszał się jej stan nerwowy. Na gimnastyce myliła się, ćwiczyła gorzej. Zauważył, jak pewnego razu szybkim ruchem otarła łzy. Wstrząsnęło to nim. Zastanawiał się, czy nie mniejszym złem byłaby rezygnacja z pracy niż mimowolne wyrządzenie krzywdy dziewczynie? Z drugiej strony widział, ile radości daje niewidomym wychowanie fizyczne, jak pomaga im w codziennych trudnościach życiowych. Nie miał prawa zostawiać ich tak w połowie drogi.

Liczył trochę na czas. Dlatego też z ulgą przyjął wiadomość o swym wyjeździe do Bułgarii. Miał nadzieję, że w życiu obozowym Janka prędzej o nim zapomni.

Teraz przechadzała się przytulona do Kaliskiego. Z okna kancelarii obozu Twardosz widział ich wyraźnie. Jurek z zapalem tłumaczył coś Jance. Słuchała uważnie.

W Twardoszu coś drgnęło. Jakby pożałował utraty uczucia tej ładnej dziewczyny. Zaraz jednak odrzucił tę myśl od siebie.

Kitliczowa siedziała obok za stołem, pisała na maszynie dalszy ciąg kroniki obozowej, dyktowanej przez kronikarza, niewidomego pozbawionego obu rąk, Michała Kazinka. Tekst miał przemyślany dokładnie, mówił krótkimi, wygładzonymi zdaniami. Zdumiewała ją zawsze świetna pamięć chłopca. Jego pobyt na obozie był wyłączną zasługą Kitliczowej. W Zarządzie Głównym starała się o ściągnięcie kaleki na obóz. Oświadczyła, że obejmie pełną opiekę nad nim. Nie należało to do zadań łatwych. Kazinek nie mógł sam jeść, trzeba go było rozbierać, pomagać w każdej potrzebie. Aby temu podołać, musiało się mieć wielką gotowość poświęcenia, a jeszcze więcej dobroci. W spojrzeniu Twardosza widniał wyraźny podziw i głęboki szacunek dla pani Haliny.

- Start!

Szybkim łukiem mignęło ciało Kaczana w powietrzu, opadł w wodę daleko od deski

startowej. Płynął środkowym torem, mocno wyrzucając ramiona zagarniał wodę, regularnie chwycił oddech półotwartymi ustami. Otarł się prawą ręką o linę, natychmiast wyprostował kierunek.

„Już zaraz musi być nawrót” - myślał. Nie lubił nawrotów, zwłaszcza w stylu klasycznym. Podświadomie zmniejszał szybkość przy zbliżaniu się do końca długości basenu. Zbyt dobrze pamiętał rozbitą głowę przy którejś z poprzednich prób.

Przy crawlu było łatwiej. Dobrze trafił tym razem. Końcem prawej dłoni dotknął deski ukrytej w wodzie. Jeszcze silny ruch lewym ramieniem, ciało skurczyło się w obrocie, nogi odbiły silnie. Chwilę płynął wyprostowany pod wodą, znowu pruł ją ramionami, aby prędeż, jeszcze prędeż i jeszcze. Drugi nawrót, potem ostatni. Był już zmęczony. Dobywał ostatków sił. A przecież trzeba finiszować. Serce łomotało, jakby się chciało wyzwolić z uwięzi ciała, Zebrał ostatnie siły, woda furczała dokoła, fale rozchodziły się daleko na powierzchni jeziora.

Już. Wyciągnięte dłonie chwyciły za bandę. Zanurzony po szyję w wodzie oddychał teraz ciężko, starając się, by oddech był jak najbardziej miarowy.

- Brawo, Kaczan, brawo! - usłyszał nad sobą głos młodej instruktorki Barbary. - Doskonały czas. Teraz proszę ćwiczyć oddechy.

Drugi z pływaków, Kirski z Krakowa, śmigał teraz w pięknym skoku startowym. Prawie pół basenu przeszedł pod wodą. Zadowolona instruktorka aprobująco kiwała głową.

Spojrzała potem w stronę pomostu, skąd dochodził wesoły gwar. To powracały dwie kobiece osady po godzinnym treningu na łodziach półwysigowych, popularnych „czwórkach” klepkowych.

Ładny był ten zakątek nad jeziorem, piętnaście minut drogi od stałego obozu. Nad brzegiem między wielkimi wierzbami rozsiadło się kilka namiotów. Na blisko sto metrów w głąb jeziora ciągnął się długi, szeroki pomost. Tutaj w czasie zajęć sportowych cumowane były zazwyczaj łodzie. Na noc podciągano je do brzegu i wnoszono pod specjalny podłużny namiot. Sprzęt sportowy należało szanować. Niełatwo zdobył się Zarząd Główny na zakupienie dwunastu łodzi sportowych różnych rozmiarów. A jeszcze szereg kajaków, w tym trzy składaki. Cała flotylla. U dziobu każdej łodzi mała chorągiewka żółtego koloru z trzema czarnymi kołami. Spora przestrzeń jeziora, miejsce kąpieli uczestników obozu, odgrodzone było drewnianym płotem. Osobno, na głębszej wodzie, znajdował się basen dla treningów pływackich, z trzema torami.

Rozradowane dziewczęta pewnie przebiegły pomostem na ląd. Gadały i pokrzykiwały jedna przez drugą. Wioślarstwo zdobyło serca młodzieży.

Na pomoście stał Twardosz z drugim instruktorem. Patrzyli zaniepokojeni na ciemną,

ołowianą chmurkę, rosnącą powoli na zachodniej stronie horyzontu. Dał lekki, ledwie że wyczuwalny wiatr.

- No jak, jedziemy?

- Będzie deszcz, ani chybi. Ale może jeszcze zdążymy... - z wahaniem rzekł Twardosz.

Zdecydował się, zagwizdał. Grupa mężczyzn na brzegu poderwała się z miejsca.

- Osady do wyjazdu!

Zgrabnie, wprawnie siadali już teraz do łodzi. Twardosz zawsze przypominał tę chwilę, kiedy po długim treningu w basenie wypuszczał ich po raz pierwszy na wody Warty. Bał się, przygotował asekurację motorówek. Okazały się niepotrzebne. Doskonale opanowali równowagę, łódź szła prosto, poddawali się swobodnie rytmowi nadanemu przez sternika.

Jedna za drugą ruszyły „czwórki” na wodę. Przy sterze pierwszej zasiadł Twardosz, następną prowadził instruktor Wiktor. Początkowo płynęli wolno, powtarzali wszystkie komendy, sprawdzali szybkość, wykonanie rozkazów. Łodzie to zrywały się lekko z miejsca, to stawały albo leniwie płynęły przed siebie, a znieruchomiałe piórka łagodnie muskały powierzchnię wody.”

Ołowiana chmura na zachodniej części nieba zdawała się martwo stać w miejscu. A jednak jakiś ponury cień padał od niej na rozświetlone słońcem jezioro.

Korzystając z chwili odpoczynku wiosłarze chciwie zanurzali w wodzie dłonie. Łodzie wyrównały, ustawiły się równoległe do siebie. Przed nimi rozwierało się jezioro, z siniejącą daleko linią lasu.

Ujęli za wiosła, przesunęli się na krzeselkach do przodu, na sygnał ruszyli z miejsca. Poooszliiii...

- Iiii-raaaaaz, iiii-raaaaaz, iii-raaaaaz! - biegły nad wodę okrzyki sterników. Grzbiety przeżyły się łukiem, mięśnie nabrzmiewały, serca szalały radością...

Rwali do przodu. Tu nie potrzebowali być czujni, skupieni, w każdej chwili gotowi na spotkanie z przeszkodą. Woda wyzwalała ich z nieustannej ostrożności. Porywała ich niewidzialna, wolna od przeszkód płaszczyzna jeziora.

Twardosz ciągle jeszcze nie mógł się nadziwić ich doskonałej formie wiosłarskiej. Zupełnie poważnie przemyślał nad tym, aby jesienią wystawić dwie załogi do okręgowych mistrzostw wiosłarskich na Rusałce. Mieliby wielkie szansę...

Uważnie obserwował nachylone nad wiosłami, to znów prostujące się ciała, czy nie dostrzeże w nich oznak zmęczenia. Ale świadomość swobody jakby przysparzała im siłę i wytrzymałość. Dzitko rozjaśnił twarz zupełnie dziecięcym uśmiechem. Mocno wdychał

powietrze, krzepkimi, żyłastymi dłońmi zagarniał wodę, aż wyginało się piórko. Za nim skupiony Przybylski nadstawiał uszu na komendę Twardosza. Zawsze był najbardziej posłuszny i uważny. Jeszcze Gwizdalski, śmiejący się łobuzersko, na samym końcu Grzesio Marcińczyk. A w drugiej osadzie nierozłączni Młyńczak i Silnicki, dalej Michcik, któremu puszczono już w niepamięć niesubordynację na spływie kajakowym, i nowa zdobycz Twardosza, krępy, silny, niesłuchanie zwinny Tomkiewicz.

W każdym z nich wyzwał się nadmiar energii, dławionej zazwyczaj przez konieczność nieustannej czujności. Jakże ich zachwycała ta szybkość, którą uzmysławiali sobie z plusku wody, z powiewu, który przelatywał po twarzach. A wreszcie z coraz szybszego, choć zawsze równomiernego nawoływania sternika.

- Iiii - raaaaz, iiii - raaaaz! - niosło się na lasy, odbijało, wracało ustokrotnie echem.

Twardosz sam zachwycony tą jazdą obejrzał się na zachód. Chmura rozpełzła się na dużą część nieba. Chwila, a sięgnie słońca. Na wodzie nie znać było najmniejszej zmarszczki. Wyczekująca cisza stała w powietrzu. Innym zupełnie echem odbijało się od brzegów nawoływanie sterników. Niewidomi musieli zauważyć coś niezwykłego, bo w skupieniu starali się wyłowić słuchem różnicę.

Twardosz nie czekał dłużej. Na komendę piórka frunęły w górę. Łodzie rozbijały jeszcze z szelestem i pluskiem gładką płaszczyznę, zwalniały, wreszcie zakołysały się łagodnie i stanęły w miejsca,

- Musimy wracać, chłopcy, nadchodzi burza albo ulewa. Wypełzła straszna chmura, zasłania już słońce, czujecie, jak zgasło raptownie?

- Tak, już nie grzeje.

- Parno jest, duszno - dorzucił Silnicki.

Im nie śpieszyło się wcale z powrotem do przystani. Chętnie przeżyliby burzę na wodzie. Twardosz jest z nimi, dokoła swobodna przestrzeń. Najwyżej zmokną, to tylko przyjemne.

Zakręcali jednak posłusznie.

Chmura rozszerzała się teraz w sposób przerażająco gwałtowny. Zakryła już całe nieomal niebo, gdzieś tylko na nieboskłonie widniały rąbki jasnej przestrzeni.

Spadły pierwsze krople deszczu, pacnęły po nagich plecach. Zaśmieli się na ten nieoczekiwany prysznic. Zwiększał się powoli, krople zlewały się teraz w strugi, sternik przynaglał, nawoływanie jego stawało się coraz szybsze, o, to było regatowe tempo. Nagle przytłoczyła ich masa wody, jakby drugie jezioro rozwarło się nad nimi. Dłonie ślizgały się po rękojeściach wiosł, zaciskali je mocniej, potrząsali głowami, aby usunąć włosy opadające

na twarzy. Jezioro dziwnie szypiało, syczało i pojękiwało pod strugami ulewy. Twardosz prowadził łodzie na ślepo, o parę kroków nic już nie było widać za spływającą z góry drgającą ścianą, szarą, przyćmioną. Jak przez gruby mur dochodził do niego głos Wiktora z drugiej łodzi. Z trwogą patrzył na wodę, gwałtownie zbierającą się na dnie, sięgającą już kostek wiosłarzy.

Dzitko zaśmiał się nagle krótko, urywanie, krzyknął z zachwytem:

- Hej ho!

Jakby na dane hasło, z czterech piersi poleciało wołanie, starało się przebić lawinę wody.

- Hej ha!

Jeszcze mocniej napinali mięśnie, radośnie słuchali chlupotu wody, łączywie chwytali oddech.

- Hej haaa! - krzyczał Dzitko, najmocniej, najgłośniej ze wszystkich.

Zrobiło się zimno. Nie czuli tego, uszczęśliwieni swoją potęgą, możliwością jazdy na przekór fali potopu, która się zwała na ziemię.

Niepokój Twardosza wzrastał. Mimo wysiłku wiosłarzy obciążona wodą łódź szła wolniej, brzegu jeszcze nie było widać. Ale nie, oto zamajaczyły białe bariery, dzielące płytszą przestrzeń przybrzeżną od głębi, zaraz potem niewyraźną linią zastrzeżyły się korony drzew.

Zwolnił tempo, kanałem wjechali na płytką wodę. Wyjęli piórka, łodzie przybijały spokojnie do pomostu. I w tejże chwili deszcz, jak raptownie się rozpoczął, równie nagle począł ustawać. Zdziwiony Twardosz spoglądał na niebo, które od wschodu zaczęło się teraz szybko rozjaśniać, potem przeniósł spojrzenie na łodzie więcej niż do połowy napełnione wodą.

A potem porwał go entuzjazm wiosłarzy. Rozprostowywali ramiona, oddychali głęboko, wstrząśnięci wspaniałym przeżyciem. Twarze promieniały radością. Jakże pomogła im ta wyprawa i walka z ulewą w przezwyciężaniu resztek zatajonego gdzieś w najgłębszych zakamarkach duszy poczucia niższości.

Teraz czuli się równi wszystkim innym.

Roześmiani, pośpiesznym marszem wracali do obozu przez uśpiony już las. Popołudnie spędzili w gościnie u spółdzielców w Zielomyślu, wiosce leżącej o trzy kilometry od Szarcza. Były to godziny wielkich wrażeń. Najpierw popis grupy artystycznej, później ekipy gimnastycznej. Zdumienie spółdzielców, szczere słowa zachwytu. A potem wspólny podwieczorek pod gołym niebem i wreszcie zabawa taneczna na miękkiej murawie. Nie od

razu ośmieliły się wiejskie dziewczęta. Niewidomi chłopcy, orientując się po glosach, sami wyszukiwali je zapraszając do tańca. Ale potem nie było to już potrzebne, ledwo zabrzmiały pierwsze tony, same porywały partnerów. Niewidome dziewczęta również nie uskarżały się na brak powadzenia... Rysio aż sapał ze zmęczenia przygrywając na swoim akordeonie, za nic w świecie nie chciał go nikomu ustąpić. Na szczęście spółdzielcy posiadali adapter, zainstalowali go na dworze.

Maszerowali teraz, głodni, myśląc o oczekującej ich kolacji. Omawiali zabawę, krytykowali dziewczęta, niefrasobliwi, rozdokazywani jak małe dzieci.

Weszli do obozu ze śpiewem, zasiadali za stoły.

Ci, którzy z różnych względów pozostali w obozie, przywitani ich wieścią o wypadkach we Włoszech. Dobre humory przygasły. Skończyli kolację cichsi niżeli kiedykolwiek. Wstrząśnięci byli nowiną...

Zebrali się przed oknem kancelarii, gdzie zawsze słuchano radia. „Podajemy wiadomości dziennika wieczornego...” - zabrzmiał głos spikera. Nieuważnie słuchali wiadomości z kraju. Wreszcie...

„Rzym w dniu wczorajszym...”

Słuchali chłonąc każde słowo. Komunikat donosił o wielkiej manifestacji włoskich niewidomych, w głównej mierze inwalidów wojennych. Pozostawieni w nędzy, bez środków do życia zorganizowali się w grupy liczące po kilkaset osób, wyruszyli z różnych stron do Rzymu. Tylko jedna grupa dotarła do celu. Policja rozpędziła demonstrantów. Marsz niewidomych weteranów na Rzym wywołał wielkie wrażenie we Włoszech. Robotnicy ogłaszają zbiorowe protesty przeciw złemu traktowaniu niewidomych inwalidów wojennych...

Głos spikera dawno już przebrzmiał. Ktoś wyłączył aparat. Zaległa głucha, pełna napięcia cisza.

Wiatr przelatywał nad obozem, niósł od lasu szum drzew. Rześki zapach płynął od wody i łąk. Powoli, zamyśleni podnosili się ze swoich miejsc, ginęli w mrokach placu.

Ostry gwizdek na apel wieczorny przywitany został z westchnieniem ulgi. Ustawili się bez zwykłego rozgwaru.

Komendant Grzymała polecił odczytać codzienny raport. A potem powiedział krótko:

- Wstrząśnięci jesteście usłyszaną przed chwilą nowiną. My tutaj, zebrani na obozie, otoczeni opieką państwa, mający prawo do pracy, nauki i szczęścia osobistego - i oni tam, w nędzy, głodzie i poniewierce rozpaczliwym marszem do swojej stolicy próbujący wpłynąć na zmianę warunków życia... - głos mu się załamał.

- Poczet sztandarowy wystąpił.

Dwie dziewczyny i chłopiec opanowanym, pewnym krokiem podeszli do masztu.

- Hymn.

Ciche w pierwszej chwili głosy tężały, nabrzmiewały potęgą i siłą.

Echo niesło słowa hymnu daleko na lasy, wody i pola, na kraj i cały świat. Hymn przywróconych do życia ludzi.

Koniec

Poznań, czerwiec 1953 - wrzesień 1954 r.